



SALAMANDRA

MARTWA  
LAGUNA

Michael Dibdin

Po raz pierwszy w Polsce



**Michael Dibdin**

**MARTWA LAGUNA**

Przełożył Krzysztof Fordoński

Tytuł **oryginału** *Dead Lagoon*

*Dla mojej córki Emmy*

# Wenecja - Laguna





# I

Nierówny klucz gęsi przesunął się po niebie na tle wysokiego cirrusa, kierując się ku otwartemu morzu. Słońce ponad Margherą przysłaniał gęsty smog, co sprawiało, że kominy rafinerii wydawały się mniejsze niż zwykle. Giacomo zauważył, że chmury są spienione jak woda za motorówką. Pogoda wyraźnie się zmieniała. Jutro będzie zimno i sztormowo, ostry północno-wschodni wiatr *bora* wzburzy wody laguny.

To wszystko miało się jednak wydarzyć dopiero jutro. Na razie powietrze było nieruchome, powierzchnia wody gładka jak oliwa, słychać było jedynie skrzywienie wiosł w dulkach i chlupot piór zanurzanych w wodzie. Sąsiedzi uważali, że Giacomo musi mieć nierówno pod sufitem, skoro nadal pływa łodzią wiosłową. Dzisiaj nikt już nie wiosłuje, może z wyjątkiem chłopaków z klubów wiosłarskich w mieście. Giacomem nie kierowała jednak chęć powrotu do barwnych tradycji przeszłości. Miał swoje powody, by przedkładać wiosła nad silnik spalinowy. W spokojny wieczór, taki jak ten, warkot silnika niesie się ponad wodą na wiele mil, a Giacomo nie chciał, by ktoś ciekawski dowiedział się, dokąd omijając mielizny, płynie krętymi kanałami.

Oczy rybaka z uwagą śledziły wodę przed dziobem. Była to pora odpływu, a kanał był nie oznakowany. Lepiej byłoby popłynąć kiedy indziej, ale Giacomo musiał wykonać otrzymany przez telefon rozkaz. Głos w słuchawce powiedział: „jutro”, więc musi to być jutro. Giacomo wiedział, że jego trud zostanie hojnie wynagrodzony. Teraz jednak musiał wykorzystać całą swoją wiedzę. Zanurzenie płaskodennego skifu wynosiło zaledwie kilka centymetrów, ale na tych zdradzieckich, martwych wodach zawsze można wejść na mieliznę.

Uniósł głowę i odnalazł wzrokiem długi, niski brzeg porośnięty bujną zielenią, ku której posuwał się powoli meandrami kanału. Na wschodzie puste moczary i słone bagna *laguna morta* - martwych błot, do których nie docierają świeże prądy przypływów - rozmywały się w zapadającym zmierzchu. Nauczycielka na Burano opowiadała, że kiedyś wznosiło się tutaj wspaniałe miasto z pięknymi pałacami, kościołami i brukowanymi ulicami, które wiele stuleci temu zostało pochłonięte na skutek zmieniającej się topografii laguny.

Giacomo stanął na rufie i zapalił papierosa. Nauczycielka była dobrą kobietą i hojnie płaciła za kraby i małże, ale miała nieszczęście urodzić się na stałym lądzie, a wszyscy przecież wiedzą, że ludzie ze stałego lądu są okropnie łatwowierni. Giacomo wydmuchnął chmurę papierosowego dymu, która popłynęła leniwie ponad wodą w kierunku kęp dzikich traw porastających pobliską łachę błota. Głuchy huk silników samolotu startującego z pobliskiego międzynarodowego lotniska Tessera przypomniał Giacomowi, po co tu przybył. Ponownie zanurzył wiosła i napał na nie całym ciężarem, aby przepchnąć *sandolo* przez płytką wodę.

Światło gasło już, kiedy Giacomo skierował skif na płaski brzeg odsłonięty przez odpływ. Wskoczył z łodzi i wciągnął ją na brzeg. Przed nim wznosiła się ściana pnączy i jeżyn, rozrośniętych krzewów i karłowatych drzew, które przysłaniały niski mur otaczający wyspę. Do zamurowanej obecnie bramy prowadziły kamienne schodki. Giacomo zarzucił na plecy torbę z niebieskiego płótna i ruszył w kierunku muru zieleni.

Pod zwisającymi gałęziami było już zupełnie ciemno. Giacomo wydobyl z kieszeni ogumowaną latarkę. Z dziury w murze wyskoczył szczur i dał nurka w płytką wodę. Dziura powstała przez usunięcie z trzystuletniej ściany dwóch płaskich cegieł barwy ochry. Giacomo pamiętał, ile to kosztowało wysiłku - dobre dwadzieścia minut musiał walić młotem w dłuto. W tamtych czasach budowano porządnie, nawet dla takich klientów jak ci tutaj. Na pozostałych ceglach udało mu się zrobić jedynie niewielkie wyłobienia. Wspiął się teraz po nich na mur jak po stopniach. Wszędzie spokój. Ludzie nawet za dnia omijali tę wyspę szerokim łukiem. Nikt

przy zdrowych zmysłach za żadną cenę nie zgodziłby się przypłynąć tutaj po zmroku.

Grunt po drugiej stronie muru sięgał niemal szczytu ściany. Giacomo zeskoczył i zaczął się przedzierać przez krzaki, kierując się prawie niewidocznymi drogowskazami: ułamaną gałęzią, kępą zdeptanej trawy, grubymi jak macki ośmiornicy odrostami jeżyn, uciętymi rybackim nożem. Ziemia trzeszczała i chrzęściła pod stopami, jak gdyby szedł po potłuczonej porcelanie.

Niespodziewany hałas za jego plecami sprawił, że Giacomo zamarł, wyciągając przed siebie latarkę, jak gdyby trzymał pistolet. Na wyspie było dużo węży i mężczyzna bez powodzenia próbował przekonać samego siebie, że wyłącznie to budzi jego lęk. Zapalił następnego papierosa, aby się uspokoić, i ruszył dalej przez kolczaste zarośla po trzeszczącym, nierównym terenie, aż dostrzegł ostatni znak: rozdwojony konar, który leżał na kępie dzikiej róży, jak gdyby spadł z rosnącego wyżej drzewa. Jedna gałąź, skierowana w stronę Giacoma, znaczyła drogę powrotu. Druga, przypominająca skamieniałą dłoń, wskazywała dalszą drogę. Giacomo odnalazł wkrótce stos czerepów, białych w świetle latarki. W tej samej chwili ponownie usłyszał tajemniczy dźwięk.

Dopiero kiedy zsunął z ramienia torbę, zorientował się, że nie zabrał saperki, którą zwykle ze sobą nosił. No, na pewno nie zamierzał po nią wracać, co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. Nie miał też ochoty dotykać tutaj czegokolwiek gołymi rękami. Wyrzucił papierosa, ułamał suchy konar i zaczął rozrzucać nim stos, odsuwając na boki to długą kość udową, to gładką, lśniącą łopatkę, czaszkę, potężną kość biodrową lub miednicę. Spod kości wynurzyło się w końcu połyskliwe wodoodporne płótno.

Gdy Giacomo usiłował przyspieszyć pracę, gałąź pękła. Wziął następną, a kiedy i ta się złamała, kaloszem usunął ostatnie leżące na worku kości. Dysząc ciężko, zerwał nieprzemakalne płótno i wydobył trzy paczuszki owinięte srebrzystą folią i termokurczliwym plastykiem. Każda miała wielkość korkowego pływaka, ważyła jednak dużo więcej -dokładnie kilogram. Giacomo ostrożnie wsunął je do torby. Później wrzucił do niej jeszcze wodoodporne płótno i ruszył w drogę powrotną.

Światło latarki przemknęło po krzakach. Giacomo szukał wzrokiem sękatą gałęzi, która miała mu wskazać drogę do domu. Nigdzie jednak nie było jej widać.

Przeszukiwał zarośla, czując narastające przerażenie, aż wreszcie dostrzegł konar. Musiał spaść, kiedy Giacomo odłamywał gałąź, która miała mu zastąpić szpadel. Przez chwilę był bliski paniki, opanował się jednak z wysiłkiem i zaczął rozglądać po otaczających go zaroślach. Tak, to na pewno tędy, na prawo od tej przysadzistej, przechylonej kępy. Zgadza się, trafił.

Kilka metrów dalej ścieżkę, jeśli rzeczywiście była to ścieżka, zamykała wysoka na dwóch ludzi ściana jeżyn. Musiał się pomylić. Zawrócił, ale nie umiał już trafić na polankę, na której ukryta była przesyłka. Nagle dostrzegł coś, co przypominało jeden ze znaków wskazujących drogę do łodzi. Rzucił się w tamtym kierunku jak motorówka przecinająca fale, przedzierał się i szamotał, aż kolczaste pędy oplątały mu nogi i zatrzymał go nieprzebyte gąszcz jeżyn.

Instynktownie podniósł wzrok ku niebu, ale napływające ze wschodu chmury pochłonęły gwiazdy. Złowroga dżungla, której korzenie tuczyły się na setkach tysięcy ludzkich szkieletów, napierała ze wszystkich stron, odcinając go od świata.

Giacomo gorączkowo wyszeptał modlitwę. Po raz ostatni zdarzyło mu się to, kiedy złośliwe połączenie wiatru i odpływu pochwyliło go wraz z bratem Filipem na morzu tuż przy północnym falochronie, przy wejściu do Porto di Lido. Wtedy pracował, teraz jednak o wiele bardziej potrzebował pomocy swego patrona. Łowienie ryb to jedna sprawa, zaś to, co robił teraz, było czymś zupełnie innym. Modlitwa pomogła mu przynajmniej opanować panikę. Wyplątał się

z pędów i wyszedł z zarośli, poszukując ścieżki. Starał się przy tym nie myśleć o tym, co chrzęści pod jego stopami.

Kiedy drogę zastąpił mu mężczyzna w bieli, Giacomo poczuł gwałtowną ulgę na myśl, że nie jest już sam. Nagle przypomniał sobie, gdzie się znajduje, i przerażenie napłynęło mu do gardła jak wymioty. Zmusił się, by raz jeszcze spojrzeć w tym samym kierunku. Postać nie poruszyła się, zawieszona wśród masy pnączy. Kłapy marynarki unosiły się lekko jak na wietrze. Nie było jednak wiatru. Nagle Giacomo dostrzegł twarz, a raczej to, co z niej zostało, i szczury wyskakujące z rękawów. Wystarczyło jedno spojrzenie - masa na wpół pożartego ciała i chrząstek, poszarpana klatka piersiowa, biały garnitur w strzępach. Upuścił torbę i rzucił się do ucieczki, przerażenie kazało mu pędzić poprzez stosy ludzkich kości, przedzierać się przez roślinność pasożytującą na tej żyznej glebie, uciekać z wyspy umarłych, aby zachować życie i zdrowie zmysły.

Wracając z piekarni, zatrzymuje się, aby kupić sałatę i owoce. Drobnny deszczyk wciąż siąpi, nadając chodnikom tłustawy połysk i znacząc powierzchnię kanałów dziobami jak po ospie. Sebastiano i jego syn wciągają towary pod zieloną płachtę zwieszającą się z dwóch masztów łodzi.

- Ech, *contessa* Proszę tylko spojrzeć na ten koper! Świeżutki, z Sant' Erasmo, pierwsza klasa.

Ada wie, że Sebastiano próbuje po prostu ubić interes, ale nie potrafi się oprzeć pochlebstwu zawartemu w słowie *contessa*, wypowiedzianym bez ironii czy służalczości, tak jak wypowiadano je w czasach, kiedy tytuły były po prostu elementem rzeczywistości, częścią opisu człowieka, jak kolor włosów czy oczu. Kupuje zatem nieco drogiego koperku wraz z główką sałaty, jabłkami i winogronami. Kiedy Sebastiano waży jej zakupy, Ada dostrzega na drugim brzegu kanału człowieka w rozwianym płaszczu, który mierzy ją wzrokiem idioty.

- Co się stało? - Sebastiano unosi oczy znad kontuaru ustawionego naprędce z kilku skrzynek ziemniaków, cytryn i pomidorów. Odwraca się i spogląda w tym samym co *la contessa* kierunku. Zaulek po drugiej stronie jest pusty, widać tylko rusztowanie osłonięte folią szarpaną teraz przez zimny wschodni wiatr. - Wszystko w porządku? - pyta, patrząc ze słabo skrywanym niepokojem.

Kanałem przepływa barka pełna plastikowych worków z piaskiem i cementem. Na zaimprovizowanym pokładzie z desek stoją poobijane taczki i przewrócona na bok betoniarka. Płynie do domu Paganów, dla Ady dom ten nadal się tak nazywa, choć Maria Pagan nie żyje już od ponad roku. Dom kupił jakiś cudzoziemiec, który wydaje teraz fortunę na remont...

- Zanieś sprawunki *contessa* Zulian do jej domu - warczy Sebastiano do syna, wysokiego, niezdarnego chłopaka w kurtce ozdobionej napisem „Washington Redskins”, ze złotym kolczykiem w uchu i czapką baseballówką założoną tyłem na przód. Chłopak wydaje z siebie jęk i szepcze coś cicho, na co Sebastiano odpowiada gardłową monosylabą. Ojciec i syn kiwają się, kiedy przepływająca obok barka sprawia, że ich łódź zaczyna drzeć i uderzać o opony, zawieszane na brzegu jako odbijacze. Ada Zulian przypomina sobie automobil, który widziała wiele lat temu, kiedy rodzice zabrali ją na Lido. Dziękuje za propozycję pomocy, mówi Sebastianowi, że zapłaci mu w przyszłym tygodniu, i odchodzi, przechylona nieco na bok, z pękatymi plastikowymi siatkami w biało-błękitne pasy.

Na kamiennej kolumnie podpierającej balustradę mostu przysiadła mewa z krwawym kawałkiem wątroby w dziobie. Ada starannie unika oczu ptaka, by nie rzucił na nią uroku. Kiedy dociera do środka mostu, mewa zsuwa się z kolumnieki i opada ku powierzchni wody, gdzie leniwym machnięciem skrzydeł wznosi się w górę, by złapać wiatr, który unosi ją jak skrawek papieru wysoko ponad domy.



- Ada!

W pierwszej chwili nie chce się odwracać. Kiedy jednak okrzyk się powtarza, rozpoznaje głos Daniele Trevisana. Rzeczywiście, to on wychyla się z okna swego domu po drugiej stronie kanału.

- Co tam nowego? - pyta.

Adę Zulian ogarnia nagle pewność, że wszystko to już się kiedyś wydarzyło. Co, oczywiście, jest prawdą - kiedyś, wiele lat temu, przed wojną, przed jej ślubem, kiedy oboje byli młodzi. Tylko że wtedy to ona była w oknie, a Daniele stał na dole, szepcząc jej słodkie słówka...

- Wszystko w porządku? - pyta Daniele Trevisan, tak samo jak chwilę wcześniej Sebastiano.

Ada mocniej chwyta siatki i rusza po stopniach mostu, śliskich od kropel deszczu. Wszyscy tak bardzo się o nią martwią! Od chwili, kiedy Rosetta nagle zniknęła, co zmusiło Adę do ukrycia się wśród wariatów na San Clemente, ludzie stali się okropnie troskliwi. Wie, że powinna być wdzięczna za te drobne dowody troski, ale prawdę powiedziawszy, to wszystko działa jej na nerwy. Co właściwie powinna powiedzieć? Aż nazbyt dobrze wie, że nie może rozmawiać o swoich problemach, nie wywołując znaczących spojrzeń i chichotów.

- Pełno tutaj duchów - mamrocze do siebie.

- Przepraszam?

- Powinno się coś z tym zrobić.

Daniele obserwuje ją z góry wzrokiem nieruchomym jak spojrzenie mewy.

- Kto powinien?

Ada wzrusza ramionami.

- Władze. Chyba do nich zadzwonię, złożę skargę.

Daniele Trevisan wzdycha i macha dłonią.

- Wejdz do mnie na chwilę, Ado. Usiądziesz, wypijesz filiżankę kawy i pogawędzimy sobie.

Ada spogląda na niego i potrząsa przecząco głową.

- Muszę iść do domu.

- Nie dzwoń na policję! - prosi Daniele. - Nie chcesz chyba, żeby ludzie znowu zaczęli gadać, że widzisz duchy.

- Na podłodze było błoto - mówi Ada, on jednak tego nie słyszy.

- Trzymaj policję z dala od całej tej sprawy - nalega Daniele. - Jeśli uważasz, że musisz z kimś porozmawiać, porozmawiaj ze mną.

Ada uśmiecha się i kiwając głową, podnosi siatki, po czym rusza w dalszą drogę. Dlaczego tak bardzo zależy mu na tym, by nie dzwoniła na policję? Ada nie ma najmniejszych wątpliwości, że tym razem ma do czynienia z czymś rzeczywistym. Poprzednio, kiedy chodziło o Rosettę, nigdy nie doświadczyła nic równie dotykającego. Jakże by się cieszyła, gdyby było inaczej! W głębi serca wiedziała jednak, że mała dziewczynka, którą wołała rozpaczliwie każdej nocy, aż jakiś wyczerpany sąsiad doniósł na nią na policję, nigdy tak naprawdę nie istniała. Krucha i delikatna figurka kryjąca się w mroku panującym w jej głowie była zawsze bezcielesna jak myśl, a szaleńcze wysiłki Ady, by ją ku sobie przywołać, nie były niczym więcej niż krzykiem przez sen.

Tym razem jednak wszystko jest inne. Powiedziała Daniele o dwóch sprawach, ale on, jak zwykle, usłyszał tylko to, co chciał usłyszeć - to, co pasowało do jego wizji starej szalonej Ady i jej duchów. Nie zwrócił najmniejszej uwagi na to, co mówiła o błocie. Ada jednak widziała błoto. Dotknęła go i powąchała. Wie, że było prawdziwe, wie też, że duchy nie zostawiają śladów stóp. A zatem postacie, które nawiedzają jej dom, nie mogą być duchami. Czym zatem

są?

Drżąc, idzie brzegiem kanału i skręca w wąski zaułek prowadzący do kuchennych drzwi Palazzo Zulian, dawniej przeznaczonych wyłącznie dla służby i dostawców. Kiedy ludzie zapomnieli o użytkowaniu łodzi, wszystko stanęło na głowie. Z wyjątkiem zmarłych nikt już nie podróżuje wodą.

Najpierw zauważa krzesło, które leży na matowej marmurowej podłodze. Groteskowy, ozdobiony rzeźbami mebel wykonano wieleset lat temu z jakiegoś ciemnego drewna, ciężkiego jak lane żelazo. Stał w korytarzu przez całe życie Ady. Z przyjemnością wrzuciłaby go do kanału, ale to niemożliwe. Jej obowiązkiem jest zachowanie nietkniętego rodzinnego dziedzictwa. Poza tym nie byłaby w stanie go podnieść. A jednak mebel poruszył się - jak się wydaje - o własnych siłach. Ostatnio zauważyła wiele podobnych incydentów, różne przedmioty ożywały pod jej nieobecność niczym stado ptaków i przysiadły w nieco innym układzie. Bezsukutecznie próbowała ustalić jakąś zasadę czy cel tego zjawiska. Właśnie trywialność całej sprawy czyni ją tak bardzo niepokojącą.

Klatka schodowa prowadząca na pierwsze piętro jest jak ciemny tunel, który wcina się we wnętrzości mrocznego budynku. Ada bez skutku naciska przełącznik. Żarówka pewnie się przepaliła, jak wiele innych w tym domu. Nie ma służby, musi więc radzić sobie, jak potrafi, dopóki nie przyjadą Nanni i Vincenzo. Przynajmniej siostrzeńcy przy niej zostali, pomimo dzielących ich ostatnio poglądów. Nie są może szczególnie czuli czy serdeczni, ale przyjeżdżają do niej czasami ze stałego lądu. To już coś w dzisiejszych czasach, kiedy młodzi ludzie gorsi są od Turków...

Zatrzymuje się u szczytu klatki schodowej, w długim korytarzu przecinającym cały budynek. Powietrze wypełnia wzmocniony przez pustą, sklepioną przestrzeń *androne*, pod jej stopami słychać chłopot fal o bezużyteczne, prowadzące do wody schodki. Przez chwilę Adzie wydaje się, że słyszy coś więcej, szept albo szelest, gdzieś w pobliżu. Nie ma wątpliwości - myszy. Zrezygnowała z walki z nimi, gdy zdechł kot, a ona nie miała jakoś serca znaleźć sobie nowego. Dość już miała pożegnań.

Stawia siatki na podeście i otwiera drzwi prowadzące do pokoi, których okna wychodzą na kanał. Pozostała część budynku jest nie używana. Wielki salon pogrążony jest w mroku, okiennice są zamknięte. Czy aby na pewno otwierała je przed wyjściem? A może to było wczoraj? Dobiegający zza jej pleców hałas każe się jej zatrzymać i obejrzeć -nie, to tylko przewróciła się jedna z siatek. Ze środka wypada jabłko i powoli toczy się w kierunku schodów. Właśnie tam, u podnóża wysokich schodów, wyciągając w jej stronę długie kościste ramię, stoi kościotrup.

Ada wbiega do salonu, zatrząskuje drzwi i opiera się o nie plecami, próbując złapać oddech. Która z możliwości jest gorsza - kościotrup prawdziwy czy urojony? Nie dzieje się nic więcej. Cisza. Upływa wiele czasu, zanim Ada z mocno zaciśniętymi oczami zdobywa się na otwarcie drzwi. Kiedy uchyla powieki, *portego*, podest, schody i korytarz są puste.

Podnosi jabłko, bierze siatki i niesie je do kuchni. Przez zamknięte okiennice sączy się zaledwie tyle światła, by mogła zobaczyć drogę przed sobą. Z dala dobiegają okrzyki ludzi pracujących w domu Paganów. Stawia zakupy na stole kuchennym i wraca do salonu, sięga do włącznika. Pokój przecina błyskawica i kościotrup stoi teraz tuż przed nią, wyciąga ku niej szponiastą dłoń, czaszka śmieje się odrażająco.

Ktoś chwytą ją za ramię. Ada odwraca się gwałtownie. Twarzą ku niej stoi dziecko o długich blond włosach i gładkiej, okrągłej, alabastrowej twarzy, czystej i nieruchomej, wykapaną Rosetta. Płacząc i jęcząc, Ada biegnie przez pokój, zderza się ze szkieletem i rzuca się do telefonu.

Długi sznur wagonów zatrzymał się przy peronie i warkot lokomotywy powoli ucichł. Maszynista wygramolił się ze środka i skierował ku kantynie, mijając rzędy ciemnych pociągów oczekujących przy innych peronach na odjazd wczesnym rankiem, do którego pozostało jeszcze kilka godzin.

Przez chwilę mogło się wydawać, że pociąg, który wjechał właśnie na stację, jest równie pusty jak pozostałe. Nagle w połowie jego długości otworzyły się drzwi i ukazał się w nich mężczyzna. W chwilę później stanął na peronie i wciągnął w płuca nocne powietrze. Był wysoki, dość ponury, o bladej, poważnej twarzy z orlim nosem. Miał na sobie długi płaszcz i kapelusz, spod którego wystawały kosmyki włosów przyprószone gdzieś siwizną.

Sznur wagonów sypialnych zadrżał lekko, gdy do drugiego końca dołączono lokomotywę, która miała przeciągnąć go z powrotem po długim moście na stały ląd, skąd pociąg wyruszał w dalszą drogę do Triestu. Mężczyzna sięgnął po zniszczoną skórzaną walizkę, zatrzasnął za sobą drzwi i ruszył powoli wzdłuż peronu. Dworzec był pusty, kawiarnia i kiosk z gazetami jeszcze zamknięte. Mężczyzna przeszedł przez jaskrawo oświetlony hall i wyszedł na szerokie schody, oddychając głęboko. Później, jak gdyby usatysfakcjonowany, zszedł po schodach i skręcił w lewo.

U stóp mostu Scalzi dwóch chłopaków wypakowywało z motorówki paczki gazet i ustawiało je obok zamkniętego kiosku. Mężczyzna zwrócił się do nich w dialekcie. Jeden z chłopaków wyciągnął nóż i rozciął nim paczkę, jak gdyby patroszył rybę. Mężczyzna podał mu pieniądze i odwrócił się, przeglądając nagłówki: ALARM - SMOG NAD MESTRE i ZIELONE ŚWIATŁO DLA METRA POD LAGUNĄ.

Ponownie skręcił w lewo, oddalając się od szerokich ulic i sklepów o witrynach zasłoniętych okiennicami, i wszedł w zaułek tak wąski, że ledwie dało się nieść w ręku walizkę. Kroki rozbrzmiewały w ciszy jak wystrzały. Spłoszył samotnego kota, któremu z pyska zwisała nie dojeżdżona rybia głowa. Gdzieś wysoko samotne oświetlone okno zdradzało jakiegoś nocnego marko czy może rannego ptaszka. Kiedy mężczyzna przeszedł pod lampą zawieszoną na wysokości pierwszego piętra na haku z kutego żelaza, jego cień wyprzedził go i popędził przodem, wydłużając się na kocich łbach. Mężczyzna minął narożnik i skręcił w następny zaułek, który stopniowo rozszerzył się w niewielki plac. Pośrodku była studnia zamknięta zardzewiałą pokrywą. Kroki ucichły, jak gdyby bruk rozmiękł pod stopami idącego i zmienił się w bagniste pole, którym był niegdyś. Wspomnienia otoczyły mężczyznę jak grupka małych żebraków.

Okna dwupiętrowych domów były różne: na parterze -prostokątne i zakratowane, a na wysokim piętrze - zamknięte eleganckimi podwójnymi łukami niskich sypialni. Tuż pod dachem znajdowały się małe kwadratowe okna. Identyczność fasad naruszała nieco skomplikowana siatka pionowych i poziomych kabli i drutów telefonicznych, rur kanalizacyjnych i gazowych, metalowych klamer wzmacniających, wywietrzników, kanalizacji, sznurków do bielizny, lamp i skrzynek na kwiaty. Niektóre budynki były schludne, pomalowane na kolor ochry lub brunatny, z innych tynk odchodził płatami jak spalona na słońcu skóra.

Mężczyzna zatrzymał się przed najbardziej zniszczonym budynkiem, stojącym naprzeciwko studni. Do wysokości piętra tynk odpadł już zupełnie, odsłaniając czerwone cegły. Z zamkniętych okiennic na pierwszym piętrze dawno zeszła farba, odkrywając surowe drewno. Kamienne, zdobione żłobkowaniem i wolutami parapety poznały rdza spływająca z metalowej balustradki. Portal wykonany był z białego istriańskiego kamienia, czerwoną farbą wymalowano na nim numer domu w owalnej ramie. Obok drzwi umieszczono dzwonek z przyciskiem, przypominający wywróconą na nice kobiecą pierś. Na mosiężnej tabliczce powyżej widniało nazwisko ZEN.

Mężczyzna wyjął z kieszeni klucz, drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem. W

korytarzu panował chłód i unosił się zapach stęchlizny. Żarówka ożyła, zalewając go żółtawym światłem i odsłaniając zagracone wnętrza, tynk osypujący się ze ścian, kolorowe płytki podłogi i klatkę schodową. Wziąwszy kilka szybkich wdechów, mężczyzna zamknął za sobą drzwi i ruszył na górę. Kręcone schody robiły dwa pełne obroty i kończyły się niewielkim podestem. Wyżej były schody do sypialni. Mężczyzna postawił walizkę na podłodze i przystanął, wpatrując się w lekko uchylone drzwi. Pchnął je gwałtownie i wszedł do środka.

Opróżnione ze sprzętów pomieszczenie wydawało się obszerne i ponure, o ileż jednak mniejsze od tego, jakim je pamiętał! Kiedy powracał tu myślami - jak jeszcze przed chwilą na podeście - wydawało mu się ogromną, imponującą przestrzenią. Poczłł rozbawienie, kiedy przekonał się, jak niewielkie jest w rzeczywistości. Nie roześmiał się jednak, ponieważ w tej samej chwili coś w nim umarło - zrozumiał, że utracił kolejną, być może najważniejszą z nielicznych nici, które wciąż jeszcze łączyły go z dzieciństwem.

W kuchni na suszarce ktoś zostawił karteczkę: *Drogi Aurelio, zrobiłam, co mogłam, trochę tu biednie, ale czego w końcu miałbyś się spodziewać, przynajmniej jest tu teraz czysto i pościeliłam łóżko w Twoim dawnym pokoju, czekamy na Ciebie z obiadem, będzie jak za dawnych czasów!* Rosalba. Mężczyzna delikatnie odłożył kartkę, jak gdyby bał się, że ją połamie, i wrócił do salonu, gdzie zabrał się do otwierania okien, a później ciężkich drewnianych okiennic, które przymocowywał do muru metalowymi haczykami. Do pokoju napłynęło chłodne nocne powietrze, zastępując woń nieobecności i zaniedbania. Mężczyzna skierował się ku drzwiom, podniósł walizkę i poszedł na górę.

Stało tutaj trochę mebli, przez co niska sypialnia wydawała się ciasna i duszna. Szeroka na całą ścianę szafa z lustrem dawała wprawdzie złudzenie przestrzenności, ale iluzję tę niweczyło zastęłe, stęchłe powietrze. Mężczyzna położył walizkę na łóżku i przyjrzał się swemu odbiciu w lustrach. Sobowtór spozjrzał na niego zmęczonymi oczami -wyglądał na kogoś, kto wbrew woli został uwięziony w odległym i niegościnnym hotelu. Nic tu nie mówiło, że ze wszystkich pokoi na świecie ten właśnie powinien być dla niego najbardziej znajomy.

Tutaj również otworzył okno i wciągnął w płuca chłodne, słonawe powietrze. Woda w kanale pod oknem falowała i drżała, wszystko poza nią było nieruchome. Miasto sprawiało wrażenie opuszczonego. Dla kogoś, kto przywykł do życia w Rzymie, gdzie bez przerwy, w nocy i za dnia, słycać szmer ruchu ulicznego, tak całkowita, bezwarunkowa cisza wydawała się czymś niepokojącym, jak gdyby dowodziła, że zamarła jakaś ważna funkcja życiowa. Mężczyzna odwrócił się od okna, usiadł na łóżku i zszuł buty. Czując ogarniające go zmęczenie, położył się i zamknął oczy. Lampa, skomplikowana konstrukcja z barwnego szkła z Mura-no, rzucała żółtawe światło...

Obudził go chlupot wody. Przemarzył do szpiku kości, zesztyniał, czuł się wyczerpany i zagubiony. Dopiero po długiej chwili zdał sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje, świadomość ta nie przyniosła mu jednak ulgi. To był okropny błąd. Nie powinien tu przyjeżdżać.

Hałas, który go obudził, rozlegał się nadal - stały, regularny, rozbrzmiewający echem w zamkniętej przestrzeni między domami. Mężczyzna podniósł się z łóżka, spuścił bosc stopy na lodowate płytki podłogi, które kolorem i połyskiem przypominały parmezan, i podbiegł do okna. Nadal ani śladu świtu. Spozjrzał na zegarek. Minęła właśnie piąta rano.

Kawałek dalej, koło mostu, lampa uliczna rzucała światło na powierzchnię wody. Właśnie tam coś się przesuwało, jakaś łódź. Mężczyzna patrzył, jak na oświetlony fragment wody wypływa niewielki ponton, a w nim dwie potężne, bezkształtne postacie. Ponton skręcił za róg i zniknął. Ponownie zapadła cisza. Trąc oczy, Aurelio Zen zamknął okno i wrócił do łóżka.

## II

Kiedy obudził się ponownie, sypialnia zalana była oślepiającym blaskiem, co sprawiło, że zaczął mrugać oczami. Słyszał głośny plusk fal i czuł ostrą woń, która zaskoczyła go już w chwili, gdy wysiadał z pociągu. Zapomniał nawet tak charakterystyczne cechy tego miejsca, jak wszechobecny, silny zapach morza.

Od czasu, kiedy matka przeprowadziła się do niego do Rzymu, Zen z rzadka jedynie wracał do swego rodzinnego miasta. Składał tu przelotne wizyty, aby upewnić się, że dom stoi wciąż na swoim miejscu, albo by wydobyć z *comune* jakiś niezbędny papierek. Świadomie unikał głębszego zastanawiania się nad przyczynami swego dobrowolnego wygnania, udając przed innymi i samym sobą, że wymaga tego jego kariera. Po części była to prawda, zdawał sobie jednak sprawę z tego, że było w tym coś jeszcze - bolesne, niepokojące kwestie, które skrywał w niedostępnej części swego umysłu pod wieloznacznym hasłem „Osobiste”.

Teraz jednak powoli przypominał sobie o wszystkim. Zorientował się, że chłopot dobiegający zza okna to fale wywołane przez łódź przepływającą pobliskim kanałem Cannaregio. Minionej nocy nie było tu ruchu, dlatego właśnie nowy dźwięk kazał mu rzucić się do okna. Przypomnił sobie ponton i dwie niewyraźne sylwetki. Im dłużej zastanawiał się nad całą sprawą, tym dziwniejsza mu się wydawała. Dlaczego ktoś miałby wiosłować po wąskich kanałach o takiej godzinie? A może wcale się nie obudził? Może to był tylko sen? Żadna inna odpowiedź nie miała sensu.

Na zewnątrz, na dziedzińcu, zawiewał kapryśny wiatr, ocierał się o kamienne ściany, wyskakiwał niespodziewanie z wąskich zaułków. Lekko zamglone słońce wydobyło cienie, które zdawały się bardziej rzeczywiste niż powierzchnie, z których rozproszone, padające ukośnie światło wysała wszelką realność. Aurelio Zen zatrzasnął za sobą drzwi i ruszył do kawiarni na nabrzeżu Cannaregio. Rosalba dokonała cudów, doprowadzając dom do stanu, w którym nadawał się do zamieszkania, ale kredens i szafki pozostały puste. Powinien pamiętać o tym, by zabrać ze sobą przynajmniej paczkę kawy.

Kiedy dotarł do rogu, w pierwszej chwili wydało mu się, że się zgubił. Ani śladu kawiarni, zniknął również położony obok zakład fryzjerski i sklep z artykułami żelaznymi. Zen rozejrzał się niepewnie. Tak, po drugiej stronie kanału wznosił się *palazzo*, a dalej stał kościół. To był ten narożnik, nie miał co do tego wątpliwości, po barze pozostało jednak tylko brudne okno zaklejone wyblakłymi plakatami protestującymi przeciwko eksmisji nielegalnych lokatorów. Miejsce dawnych sklepów zajęła pracownia masek karnawałowych.

Zaułkiem szedł wychudzony, siwy mężczyzna w staromodnym garniturze, szorstkim swetrze i miękkich kapciach w kratę. W pewnej odległości za nim włókł się przygnębiony kundel.

- Przepraszam! - krzyknął Zen. - Nie wie pan, co się stało z barem Claudia?

Oczy mężczyzny rozszerzyły się ze strachu.

- To ty, Anzolo? Myślałem, że nigdy już cię nie zobaczę.

Zen spojrzał na starca uważnie.

- Daniele? - wyszeptał. - Jestem Aurelio, syn Angela.

Stary człowiek przyjrzał mu się zmrużonymi oczami. Jego pomarszczone policzki były nie ogolone, nos pokrywała platanina czerwonych żyłek. W dolnej szczęce pozostały trzy samotne zęby, wystające jak tabliczki z cyframi w ogromnej srebrzystej kasie, która stała niegdyś na kontuarze baru Claudia.

- Aurelio? - wyszeptał wreszcie. - Mały chuligan, który terroryzował całą dzielnicę i

unieszczęśliwiał swoją matkę? Jak dzisiaj słyszę jej słowa: „Na miłość boską, złój mu tyłek Daniele! Nie potrafię już z nim wytrzymać. W tym wieku chłopak potrzebuje męskiej ręki, żeby nauczyć się porządku”. - Złośliwym szarpnięciem odciągnął psa od kawałka tynku, który zwierzak obwąchiwał z wyraźnym zainteresowaniem. - A jak się czuje Giustiniana?

- Moja matka ma się świetnie, Daniele.
- A ty, co tutaj robisz?
- Przyjechałem w interesach.
- Jakich interesach?
- Pracuję w policji.

Daniele Trevisan cofnął się o krok.

- Policji?
- Co w tym złego?
- Nic. Tylko kiedy pomyślę, że jak byłeś mały...
- Słucham? - zapytał Zen.
- No cóż, szczerze mówiąc, spodziewałbym się raczej, że jeśli już będziesz miał do

czynienia z prawem, to od tej drugiej strony.

Zen uśmiechnął się krzywo.

- A Claudio?
- Kto?

Starszy pan wydawał się przestraszony, jak gdyby padł właśnie ofiarą złośliwego żartu. Zen machnął ręką w stronę zamkniętych drzwi i zaklejonych plakatami okien.

- Przeniósł się! - wykrzyknął Daniele. - Claudio przeprowadził się bliżej mostu, tam gdzie są turyści. A jakież to policyjny interes cię do nas sprowadził, jeśli stary przyjaciel rodziny może ci zadać tak niedyskretne pytanie?

Zen dostrzegł jednak zbliżający się *vaporetto* i pobiegł w stronę przystanku, pozostawiając Daniele Trevisana, który odprowadził go wzrokiem z pytającym, odrobinę może złośliwym uśmiechem na ustach.

W pierwszej chwili wydawało się, że Zen nie złapie tramwaju wodnego, na szczęście jednak inny, kierujący się w stronę dworca kolejowego, przybił do nabrzeża pierwszy, tak że Zen zdążył przejść leniwym krokiem przez Ponte Tre Archi i zapalić jeszcze papierosa.

Kiedy przepłynęli obok modernistycznych budynków rady miejskiej na San Girolamo i wyszli na otwarte wody laguny, wiatr uderzył z całą siłą. Łódź przedzierała się przez krótkie fale, podskakując i dygocząc, wodny pył osiadał na pokładzie i oknach sterówki. Ze względu na papierosa Zen musiał stanąć na schodkach prowadzących pod pokład. Była właśnie godzina szczytu i tramwaj pełen był dzieci i dorosłych dojeżdżających do pracy. Wszyscy siedzieli lub stali nieruchomo, czytając, rozmawiając albo patrząc przez okna. Gdyby nie kołysanie, drzenie, huk fal i powietrze przesycone solą, a nie spalinami, Zen czułby się tak samo jak w autobusie, który każdego ranka dowoził go do pracy w Rzymie. Obserwował dzieci przygarbione pod ciężarem tornistrów, rozmawiające wesoło albo dokazujące. Dla nich to przecież coś normalnego, sam kiedyś tak uważał. Myślą, że wszędzie tak to wygląda. Myślą, że nic nigdy się nie zmieni.

Przy Fondamenta Nuove Zen przesiadł się, aby uniknąć objazdu przez Murano. Szybciej znalazłby się na miejscu, gdyby wysiadł na następnym przystanku i dotarł do *Que-stura* bocznymi uliczkami, miał jednak mnóstwo czasu i wsiadł na linię *circolare destra*, która prowadziła dookoła stoczni Arsenale i przez otwartą przestrzeń kanału żeglowego. Tutaj siłę wiatru czuło się jeszcze wyraźniej, powierzchnia wody zmieniała się w *staccato* drobnych, ozdobionych białymi grzywami fal. Rozbijały się z hukiem o burtę tramwaju, w słonej mgiełce

zapalały się miniaturowe tęcze, a drobne kropelki zrosiły twarz Zena jak pot.

Wysiadł przy Riva degli Schiavoni, przeszedł szeroką promenadą, gwarną i pełną przechodniów nawet o tak wczesnej porze, i zanurzył się w labirynt rozciągających się dalej mrocznych, pustych uliczek. Kierował się swoim nosem, który okazał się dobrym przewodnikiem, ponieważ wyprowadził go na most nad kanałem San Lorenzo w pobliżu trzypiętowego budynku, gdzie mieściła się kwatera główna policji *Provincia di Venezia*. Zen pokazał swoją legitymację do kamery umieszczonej nad dzwonkiem i drzwi otworzyły się z głośnym szumem. Od czasu ataków terrorystycznych komisariaty policji chronione były jak posterunki wojsk kolonialnych na nieprzyjacielskim terytorium. Siedziby *Questura* i położonej obok *Squadra Mobile* mieściły się w tradycyjnych budynkach, typowych dla tej niezbyt urodziwej części miasta, co sprawiało, że podobne środki bezpieczeństwa wydawały się jeszcze bardziej dziwaczne.

Strażnik siedzący w westybulu za szybą z pancernego szkła był wyraźnie śpiący i bezceremonialnie poinformował Zena, że w budynku nikogo jeszcze nie ma, co potwierdzały szeregi ekranów, na których widać było puste pokoje, korytarze i klatki schodowe. Zen wszedł na pierwsze piętro i otworzył drzwi pierwszego z brzegu pokoju. To, co zobaczył, doskonale mógł przewidzieć każdy, kto kiedykolwiek pracował w dowolnym włoskim komisariacie, od Aosty do Syrakuz. Powietrze było duszne, zatęchłe, przegrzane i suche. Nagie ściany pomalowane zostały na kolor, który przypominał odcieniem resztki zapomnianego w lodówce mleka. Z sufitu zwisała na cienkich łańcuszkach podwójna jarzeniówka pozbawiona osłony. Podobne do kabin natryskowych przegrody z mlecznego szkła w ramach z aluminium pokrytego miedzią dzieliły pomieszczenie na trzy części. Na środku każdej przegrody stało duże drewniane biurko.

Zen podszedł do jednego i przejrzał zawartość trzech połączonych tacek. W końcu znalazł to, czego szukał: plik spiętych spinaczem wydruków komputerowych. Na pierwszej stronie był napis: NOTIZIE DI REATI DENUNCIATI ALLA POLIZIA GIUDIZIARIA i daty z poprzedniego tygodnia. Na spiętych kartkach odnotowano wszystkie incydenty, o których w wymienionym okresie poinformowana została policja. Zen przejrzał wydruk, szukając czegoś odpowiedniego dla siebie.

Problem był bardzo delikatny. Zen nie chciał zwracać na siebie uwagi, przejmując sprawę, do której został już ktoś wyznaczony, albo taką, która z jakichś powodów mogła kogoś specjalnie interesować. Z drugiej jednak strony nie mógł po prostu wybrać jakiegoś drobnego przewinienia. Musiało to być coś dostatecznie niezwykłego, aby usprawiedliwić przeniesienie z oddziału elitarnej Criminalpol w Rzymie w celu przejęcia tej właśnie sprawy. Nadal zastanawiał się nad odpowiednim rozwiązaniem, kiedy wpadło mu w oko znajome nazwisko.

Raz jeszcze przeczytał informację, później rzucił dokument na biurko i zapalił papierosa. *Contessa* Chryste wszechmogący. Na chwilę zagłębił się we wspomnieniach, później ponownie spojrzął na wydruk. Dwa tygodnie wcześniej Ada Zulian poinformowała policję o intruzach w swoim domu, twierdząc, że najście stanowiło część trwających od ponad miesiąca systematycznych prześladowań. W następnym tygodniu ponowiła swoją skargę.

Zen wyjrzał przez okno. Powoli pokiwał głową. Ta sprawa powinna być odpowiednia - zbyt trywialna, by wzbudzić jakiegokolwiek zainteresowanie miejscowych policjantów. Związki rodzinne zapewnią właśnie ten typ iluzorycznej logiki, jakiej potrzebował dla usprawiedliwienia swego udziału, gdyby ktoś chciał go o cokolwiek pytać. Zapisał w notesie datę i numer sprawy, po czym odłożył listę na metalową tackę.

Kiedy po półgodzinie dział personalny odpowiedział w końcu na jego telefon, Zen poszedł się tam przedstawić. Dyżurny urzędnik wygrzebał druk przesłany faksem z Rzymu.

- Zen, Aurelio, Criminalpol. Przeniesienie czasowe w związku ze sprawą... -

Zmarszczył czoło, wpatrując się w druk. - Dziwne, ktoś zapomniał wypełnić ten punkt.

Zen potrząsnął głową.

- Typowe! Ludzie, którzy dzisiaj pracują w tym dziale, nie pamiętają nawet, jak się nazywają. - Wyciągnął notes - Chodzi o jakąś Zulian. Mam tu gdzieś wszystkie szczegóły... O właśnie, proszę. - Pokazał urzędnikowi numer i datę, a ten wpisał je do druku. - Musicie mi tu znaleźć jakiś wolny kąt - zauważył Zen.

Urzędnik przyjrzał się wiszącej na ścianie rozpisce.

- Jak długo zamierza pan tu być?

Zen wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć. Co najmniej tydzień, może dwa.

- Do siedemnastego mamy wolne biurko w pokoju trzysta dziewiętnaście. Gatti jest na urlopie.

Pokój 319 okazał się niewielkim biurem od frontu, z oknami wychodzącymi na kanał. Zen przyglądał się właśnie przez okno barce chłodni z napisem GELATISANSON, która przeciskała się obok policyjnych motorówek zakotwiczonych przed *Questura*, kiedy otworzyły się drzwi i do środka wszedł Aldo Valentini, którego nazwisko figurowało na drzwiach obok nazwiska nieobecnego Gattiego.

Valentini, szczupły mężczyzna o wyglądzie naukowca, nosił okulary od Armaniego i rzadką blond bródkę, która przypominała trawę rosnącą pod deską. Wydawał się zadowolony z towarzystwa i zaproponował Zenowi wspólne śniadanie. Kiedy wyszli na słońce, przedarłszy się przez tłum pracowników, którzy spieszyli się, aby podpisać listę obecności i zniknąć z budynku, Valentini zapytał o przyczyny przeniesienia.

- Zartujesz chyba! - rzucił z lekko nosowym akcentem z Ferrary. - Ada Zulian! Kobieta, która nie zna się nawet na zegarku...

Zen machnął niecierpliwie ręką.

- A jakie to ma znaczenie, skoro zna właściwych ludzi?

Aldo Valentini wzruszeniem ramion przyznał mu rację.

Skierowali się do baru na końcu nabrzeża. Czerwony neon nad wejściem zapraszał do baru „*Dei Greci*” - nazwa pochodziła od pobliskiej cerkwi prawosławnej. W środku nie było nawet śladu Greków, choć wymowa barmana sugerowała, że urodził się gdzieś dobrze na południe od Chioggii.

- Jednak cokolwiek by powiedzieć, to przecież *la Zu-lian!* - wykrzyknął Valentini, kiedy zamówili już kawę. - Boże wszechmogący, przez ostatnie dwadzieścia lat z regularnością jo-jo trafiała i wychodziła z domu wariatów. Jej skarga znalazła się na moim biurku głównie dlatego, że nikt inny nie zgodziłby się jej nawet tknąć. - Urwał i podszedł do kontuaru, by wziąć ciastko. - Przeszukaliśmy cały jej dom od piwnic po strych - ciągnął. Biały lukier z ciastka osiadł mu na wąsach. - Postawiliśmy nawet policjanta przed jej drzwiami. Nikt tam nie wchodził, nikt stamtąd nie wychodził, a jednak ta kobieta nadal twierdziła, że jest prześladowana. To jednoznaczny przypadek hysterii albo próba zwrócenia na siebie uwagi.

Zen odgryzł kęs nadziewanego kremem rogalika z francuskiego ciasta.

- Na pewno masz rację. Ale to właśnie w beznadziejnych przypadkach potrzebna jest opinia kogoś z zewnątrz. Upozoruję śledztwo, po czym podpiszę się pod twoimi wnioskami. To kompletna strata czasu, ale co mnie to w końcu obchodzi? Mogłem trafić na te parę dni w jakieś gorsze miejsce. - Popił ciastko łykiem kawy. - A tak w ogóle, co się tu ostatnio dzieje?

Valentini wzruszył ramionami.

- Nuda, jak zwykle. W Mestre i Margherze trochę się dzieje, zwłaszcza w narkotykach, ale nasz rejon to zbyt mały teren, żeby w sumie zebrało się to na coś znaczącego. No, a jeśli



pytasz o samo miasto, nie ma o czym mówić. Przestępcy to ludzie jak inni. Nic ich nie obchodzą miejsca, gdzie nie można jeździć samochodem.

Zen powoli pokiwał głową.

- A to porwanie, o którym parę miesięcy temu pisali we wszystkich gazetach? Jakiś Amerykanin?

- Mówisz o sprawie tego Durridge'a?

Zen zapalił papierosa.

- Powinna nieco ożywić sytuację.

- Może i powinna, gdyby tylko dopuścili nas dostatecznie blisko - odparł krótko Valentini.

- To znaczy?

- Karabinierzy byli na miejscu pierwsi, a kiedy wystąpiliśmy o udział w sprawie, odpowiedzieli, że akta zostały przesłane do Rzymu jako tajne. - Znowu wzruszył ramionami. - Bóg jeden wie, o co w tym wszystkim chodziło. Dawniej moglibyśmy wykorzystać nasze kontakty i dowiedzieć się, o co poszło, ale dzisiaj...

Wskazał na nagłówek gazety leżącej na kontuarze. STARY LIS WALCZY O ŻYCIE. Poniżej umieszczona była fotografia polityka. Zen sięgnął po gazetę i przebiegł wzrokiem artykuł dotyczący domniemanych wpłat dokonanych przez znanego przemysłowca na numerowy rachunek w szwajcarskim banku, jak przypuszczano, wykorzystywany do finansowania wspomianej partii. Karykaturzysta gazety wykorzystał do umieszczonego obok rysunku hasło owej partii z poprzednich wyborów: „Uczciwsza alternatywa”. W drugim artykule rzecznik prasowy Ligi Północnej oznajmiał, że rozwój wydarzeń jest „śmiertelnym ciosem dla kliki złodziei, którzy od dziesięcioleci wysysali soki naszego kraju”, i domagał się reformy ordynacji wyborczej, aby w radykalny sposób zmienić mapę polityczną kraju.

- Zupełny chaos - zauważył kwaśno Valentini. - Nic nie można już załatwić. Nikt nie wie, jakie obowiązują teraz zasady.

Zen poczuł dotknięcie na ramieniu i obejrzał się za siebie. Jakaś młoda blondynka w narciarskiej kurtce i džinsach wpatrywała się w niego z uśmiechem i wskazywała palcem w górę. Zen myślał przez chwilę, że ma do czynienia z wariatką, a może członkinią jakiejś sekty. W górze dostrzegł jednak poruszający się w przeciagu kartonowy pro-stokącik. Po obu stronach wymalowany był papieros w czerwonym kółku przekreślony grubą czerwoną kreską.

- Nie powiesz mi chyba, że nie wolno już sobie nawet zapalić! - stwierdził niedowierzająco.

Valentini wzruszył jednak tylko nieśmiało ramionami.

- Rada miejska przegłosowała przepis o obowiązkowym zapewnieniu stref dla niepalących. To tylko na pokaz, dla turystów. Zazwyczaj nikt nie zwraca na to uwagi, ale raz na jakiś czas jakiś dupek się przyczepi.

Valentini zapłacił rachunek i wyszli z baru. Słońce świeciło teraz o wiele mocniej. Zen zatrzymał się na chwilę, aby spojrzeć na plakaty na murze. Rysunek na nich był identyczny z tym, który Zen widział już wcześniej tego ranka na oknie zamkniętej kawiarni w Cannaregio, te jednak były dużo nowsze. U góry plakatu umieszczony był lew świętego Marka z wyzywającym wyrazem pyska. Duże czarne litery poniżej tworzyły napis NUOVA REPUBBLICA VENETA. Plakaty zapraszały na demonstrację, która miała odbyć się następnego dnia na Campo Santa Margherita.

- Kompletny chaos - powtórzył Aldo Valentini, kierując się z powrotem do *Questura*. - Codziennie okazuje się, że przeciwko jakiejś znanej postaci, za której absolutną nietykalskość dałbyś głowę, toczy się śledztwo, a oskarżenia obejmują zakres od korupcji do współpracy z

mafią. Skutek jest taki, że nikt nie ośmieli się dzisiaj oddać przyjacielowi przysługi. Nic nie ucieszyłoby mnie bardziej od przemiany naszego kraju w raj moralnej doskonałości, tylko jak, u diabła, mamy sobie radzić do tego czasu?

Zen skinął głową. Od kilku miesięcy przynajmniej raz dziennie uczestniczył w podobnych rozmowach. Znał już na pamięć wszystkie użyteczne kwestie.

- Tak samo jak w Rosji - oznajmił. - Stary system był może straszny, ale przynajmniej funkcjonował.

- Mój szwagier wprowadził się właśnie do nowego domu koło Rovigo - podjął Valentini. - Ludzie z telekomunikacji powiedzieli, że będzie musiał czekać sześć tygodni na instalację telefonu, poszedł więc do inżyniera i zaproponował mu *busta-rella*, wiesz, co mam na myśli. Nic specjalnego, zaledwie pięćdziesiąt tysięcy za przesunięcie nazwiska na początek listy.

- Nic nadzwyczajnego - wymamrotał Zen.

- Nic nadzwyczajnego. Wiesz, co powiedział mu ten facet? „Nie ma mowy, *dottore*”, mówi, „moja posada jest więcej warta”. Możesz to sobie wyobrazić? „Moja posada jest więcej warta”.

- Obrzydliwe.

- Jak, u diabła, mamy cokolwiek załatwić, kiedy wszyscy zachowują się w taki sposób? Już choćby od tego robi się niedobrze.

Valentini wrzucił papierosa do kanału, gdzie samotna mewa podjęła nieudaną próbę pochwylenia niedopałka przed lądowaniem na ostatniej w szeregu policyjnej motorówce.

Kiedy wrócili do biura, zastali czekającego tam na nich mężczyznę. Stał w promieniach słońca wlewających się przez okno, ale odwrócił się w ich stronę, kiedy otworzyli drzwi.

- Aldo?

Mężczyzna podszedł bliżej, ze zmarszczonymi brwiami przyglądając się Zenowi.

- Kto to? - zapytał podejrzliwie.

Valentini dokonał prezentacji.

- Aurelio Zen, Enzo Gavagnin. Enzo jest szefem Wydziału do spraw Narkotyków.

Enzo Gavagnin miał szeroką kobiecą twarz i krępe, muskularne ciało gondoliera.

Przyjrzał się Zenowi chłodno.

- Nowa posada?

Zen potrząsnął przecząco głową.

- Pracuję w ministerstwie - powiedział. - Czasowe przeniesienie.

Enzo Gavagnin posłał szybkie spojrzenie Valentiniemu.

- Emisariusz z Rzymu, co? - szepnął tonem jednocześnie żartobliwym i sarkastycznym. - Mam nadzieję, że nie zdradziłeś mi żadnych naszych sekretów, Aldo.

- A mamy jakieś sekrety? - rzucił lekko Valentini. - Każdy, kto przybywa z tak daleka, żeby odebrać mi sprawę Ady Zulian, jest moim przyjacielem.

Gavagnin roześmiał się głośno.

- Bardzo dobrze! Przyszedłem do ciebie w związku ze sprawą włamania na Burano.

- Sprawa Sfriso?

- Jeśli chcesz zmniejszyć jeszcze ilość czekającej cię dzisiaj pracy, to masz szczęście.

Odkryłem, że sprawa ta jest blisko powiązana z pewnym śledztwem, którym zajmuję się od dłuższego czasu...

Valentini spojrzał na niego pytająco.

- Sam nie wiem, Enzo. Jeśli jednego dnia pozbędę się dwóch spraw, mogą pojawić się pytania.

Gavagnin wziął Valentiniego pod ramię i odprowadził na bok.

- Chodzi po prostu o możliwy konflikt interesów. Oczywiście, nie chcemy, żeby trwające już śledztwo zostało wystawione na niebezpieczeństwo, byłoby więc lepiej, gdyby...

Zniknęli za szklanym przepierzeniem i zmienili się w rozmyte sylwetki. Zen wszedł do swojego kącika i wygrzebał z szuflady biurka książkę telefoniczną. Wyszukał nazwisko Paulon, M. i wybrał numer.

- Słucham? - Pytanie zabrzmiało prawie niegrzecznie.
- Marco?
- Kto mówi?
- Aurelio.

Na krótką chwilę w słuchawce zapanowała cisza.

- Aurelio! Co u ciebie? Czytałem o tobie niedawno w gazetach. O tej sprawie u Świętego Piotra. Ja z nim chodziłem na ryby, myślę sobie, a on się obraca wśród arcybiskupów! No, no. Jesteś w mieście?

- Tak. Moglibyśmy się spotkać.
- Oczywiście!
- Potrzebuję rady, a może i pomocy.
- Dzisiaj rano rozwożę towar, ale... Znasz *osteria* nad kanałem San Girolamo,

naprzeciwko kościoła?

Enzo Gavagnin wycofał się z kącika Valentiniego, wyraźnie załatwiwszy swoją sprawę. Mijając biurko Zena, posłał mu chytre spojrzenie.

- Jak się nazywa? - zapytał Zen.

- Niech mnie diabli porwą, jeśli wiem! Od dwudziestu lat chodzę tam codziennie po obiedzie, ale w życiu nie zapytałem o jej nazwę. Wszyscy mówią na nią „Dziura w Ścianie”. Ma pomalowane czerwoną farbą okna. Naprzeciwko kościoła. A o co właściwie chodzi?

- Później ci wytłumaczę. Dzięki, Marco.

Zen wstał i zapiął płaszcz. Etap wstępny został zakończony. Nadeszła pora udawać, że bierze się do roboty.

### III

Kiedy zadzwonił dzwonek, pomyślała w pierwszej chwili, że to następna sztuczka, kolejny z okrutnych żartów, które wydają się obmyślane po to, by poddać próbie jej wytrzymałość, jej kruchą równowagę psychiczną. Nikt nie zagląda już do Palazzo Zulian, oprócz jej siostrzeńców, którzy z regularnością przyływów w każdy weekend przyjeżdżają do niej z Werony. Dzisiaj jednak jest dopiero wtorek, więc Nanni i Vincenzo powinni być w pracy, czymkolwiek się zajmują...

Dzwonek zabrzmiał ponownie, niwecząc możliwość, że wszystko to dzieje się wyłącznie w jej umyśle. Wszystko, co się powtarza, jest realne, uznaje Ada i przechodzi przez korytarz do pokoju, którego okna wychodzą na zaułek. Ustawione pod kątem lustro przymocowane do kolumny tuż obok okna pozwala na dyskretne spojrzenie na drzwi i podjęcie decyzji, czy przyjąć gościa, czy też nie. Ada natychmiast cofa głowę, ponieważ w lustrze dostrzega obcą twarz, która patrzy jej prosto w oczy.

- *Contessa!*

Dziwny głos. Nie należy do żadnego z jej prześladowców, może to przynajmniej ktoś nowy. Postanawia zaryzykować jeszcze jedno spojrzenie. Wysoka, szczupła postać w czarnym płaszczu i kapeluszu. Nadal tam stoi, patrzy prosto w lustro. Nie ma co dalej się chować. Jeśli ona go widzi, on widzi ją również. Bądź rozsądna, mówi sobie Ada, z ociąganiem kierując się w stronę drzwi i schodząc na dół.

Nieznajomy jest wysoki i chudy, ma pociągłą twarz i jasne, szare oczy. Twarz jest poważna, wręcz ponura, ale nieznajomy zachowuje się uprzejmie i z szacunkiem. Mówi dialektem z łatwością i precyzją, czystym dialektem Cannare-gio, który Ada zawsze uznawała za najczystszy w całym mieście. Podaje jej pokrytą folią kartkę, na której są jakieś napisy i jego zdjęcie. Ada marszczy czoło, widząc nazwisko wypisane dużymi literami.

- Zen? - mówi powoli.

Ponownie przygląda się gościowi, tym razem bardziej uważnie.

- Zgadza się, *contessa*. - Mężczyzna kiwa głową. - Chłopak Angela.

Ada prycha głośno, - Chyba Giustiniany. Twój ojciec miał w tym bardzo ograniczony udział, jeśli mi wybaczysz to stwierdzenie. Wymyślił sobie, że pojedzie do Rosji, i dał się zabić, ot tak, zostawiając żonę całkiem samą! Mój Silvestre zginął, broniąc przynajmniej naszych ziem w Dalmacji. Co ma z nami wspólnego Rosja, na miłość boską?! Wchodź, wchodź, zimno mi się robi na samą myśl o tym wszystkim.

Podczas gdy Ada zamyka drzwi na zamki i zasuwę, jej gość rozgląda się dokoła w słabym, niepewnym świetle *an-drone*. Tynk wydaje się wilgotny i lepki, ugina się lekko pod dotykiem jak nasiąknięta gąbka. Kiedy mężczyzna wciąga w nozdrza wilgotny zapach i nasłuchuje ech dobiegających z drugiego końca korytarza, od strony kanału, na jego ustach pojawia się tajemniczy uśmiech.

- Przyprawiała cię tutaj, kiedy u mnie pracowała -mówi dalej Ada, prowadząc go na górę. - A kiedy przekonała się, że nie mam nic przeciwko temu, zaczęła cię tu zostawiać, gdy wybierała się do pracy gdzieś indziej. Oczywiście, nie możesz tego pamiętać, byłeś wtedy jeszcze oseskiem.

Mężczyzna milczy. Ada Zulian z bolesnym wysiłkiem dociera na piętro i gestem zaprasza go do salonu.

- A co cię tutaj sprowadza? Twoja matka nigdy do mnie nie zachodzi, podobnie jak wszyscy inni. Nikogo, od czasu kłopotów z Rosettą. Można by pomyśleć, że to zaraźliwe!

- Dowiedziałem się, że ostatnio miała pani pewne problemy - rzuca mężczyzna ostrożnie.

Ada Zulian przygląda mu się z uwagą.

- Może miałam, a może nie - odpowiada ostro. - A co to obchodzi ciebie, Aurelio Battista?

- Skoro poinformowała pani policję...

- Policję? A co niby ty masz wspólnego z policją?

- Pracuję w policji.

Śmiech Ady rozbrzmiewa głośno w ciszy, która zapadła w salonie. Mężczyzna wydaje się zaskoczony.

- Cóż w tym takiego zabawnego?

- Policja! Ależ ty zawsze byłeś cichym, spokojnym chłopczykiem! Taki poważny, taki płochliwy, tak łatwo cię było przestraszyć! Przecież właśnie dlatego wpadłam na podobny pomysł!

- Jaki pomysł?

- Żeby przebierać cię za Rosettę! Nadal miałam wszystkie jej sukienki, bluzeczki i pończoszki, wszystko. Kiedy zabrali mnie na San Clemente, wzięli to wszystko i spalili. Wtedy jednak wciąż wierzyłam, że pewnego dnia może do mnie wrócić. Naprawdę, po prostu wejdzie do domu, równie nagle i bez powodu, jak zniknęła. Chciałam, by wszystko było gotowe na jej powitanie, na wszelki wypadek. Nie zadawałabym żadnych pytań, wiesz przecież. Przyjęłabym ją z powrotem i wszystko potoczyłoby się dalej, jakby nigdy nic się nie stało...

Nagle odwraca wzrok, jak gdyby coś poruszyło się gdzieś blisko niej. W salonie jest otwarta tylko jedna z okiennic, mroczną przestrzeń pokoju mnożą dodatkowo liczne lustra o najróżniejszych kształtach, wszystkie oprawione w złocone drewno, podobne do tego, z którego wykonano meble.

- Prawdę mówiąc - odzywa się w końcu Ada - myślę, że pomagałeś mi trzymać ją na dystans. Dopóki kręciłeś się tutaj w jej sukienkach, Rosetta nie ośmieliła się pokazać. -Siada na niskiej, twardej sofie obitej wytartym ciemnoróżowym jedwabiem. - A może wszystko właśnie od tego się zaczęło! Może zdenerwowało ją, że znalazłam sobie kogoś na jej miejsce, i postanowiła odzyskać to, co należało się jej. Trudno powiedzieć. Ale wyglądałeś naprawdę słodko, Aurelio! Szkoda, że nie przyszło mi wtedy do głowy, żeby zrobić kilka zdjęć.

Mężczyzna stoi i przygląda się jej z pełną szacunku uwagą. Po chwili klaszcze głośno w dłonie i zaczyna krążyć po pokoju z raczej niepotrzebnym wigorem.

- Trzy tygodnie temu, *contessa*, zadzwoniła pani na policję i poinformowała o intruzach w pani domu. Wysłano łódź patrolową i budynek został przeszukany od piwnic aż po strych. Nikogo nie znaleziono. Podjęte śledztwo nie doprowadziło do wykrycia żadnych śladów, które mogłyby potwierdzić pani doniesienie o włamaniu i prześladowaniach.

Urywa dramatycznie, spoglądając na starszą panią, która przysiadła na stylowej kanapce.

- Ależ to oczywiste! - mówi Ada. - Myślisz, że oni są głupi?

Mężczyzna marszczy czoło.

- Policjanci?

Ada wybucha śmiechem.

- Dobrze wiem, że są głupi! Nie, mówię o moich gościach. Są o wiele za sprytni, aby dać się złapać jakiemuś gliniarzowi z Ferrary. Ach, ci ludzie z mokradeł! Wszyscy mają malarię, biedacy, mają ją we krwi, gniją im od niej mózgi.

- Kiedy ostatni raz doszło do czegoś takiego? - pyta mężczyzna wyraźnie lekceważącym tonem.

- Zeszłej nocy - odpowiada zuchwale Ada. - Był już prawie świt, kiedy zostawili mnie w spokoju.

- Co się stało?

- To samo, co zawsze. Najbardziej boję się kościotrupa. Zawsze rzuca się na mnie niespodziewanie.

- Ilu ich jest?

Ada wzrusza ramionami, jak gdyby zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Trudno powiedzieć. Przychodzą i odchodzą. Czasami wydaje mi się już, że sobie poszli, a oni nagle skądś wyskakują.

- Czy zaatakowali panią?

Kobieta potrząsa przecząco głową.

- Po prostu próbują mnie wystraszyć, nie dać mi zasnąć przez całą noc. Nigdy nie wiem, co stanie się za moment.

Mężczyzna zastanawia się przez dłuższą chwilę.

- Jak dostają się do domu? - pyta w końcu.

- Nawet mnie o to nie pytaj! Po prostu się pojawiają. Ostatnio w mojej sypialni. Zapaliło się światło, obudziłam się, a oni już tam byli.

Kiedy przypomina sobie swoje przerażenie, nie jest w stanie opanować drżenia głosu.

- Czy drzwi frontowe były zamknięte?

- Na zamek i zasuwę, jak zawsze. Ale ich nic nie zdoła powstrzymać. - Podciąga rękaw sukni i pokazuje ciemną plamę siniaka na ramieniu. - Proszę! To po tym, jak wpadłam na jednego z nich. Mam też inne, ale nie mogę ich pokazywać, oglądał je już lekarz.

Mężczyzna kiwa potakująco głową.

- Czytałem akta sprawy - mówi. - Wyniki badania nie są jednoznaczne. Kontuzje mogły powstać na skutek uderzenia w jakiś sprzęt domowy. Na przykład krzesło czy stół.

- Czy uważasz może, że zataczam się po domu i wpadam na meble jak jakiś pijak? - protestuje Ada. - Co w takim razie powiesz na błoto?

- W raporcie wspomniano o śladach na podłodze. Nie przypominały jednak śladów butów. - Zen wzdycha głęboko. - Problem, *contessa*, polega na tym, że po tym, co się pani przytrafiło wcześniej, ludzie nie są skłonni wierzyć w to, co pani opowiada.

- Nic nie mogę na to poradzić - odpiera Ada sucho.

- Została pani wtedy oskarżona o cowieczne zakłócanie spokoju publicznego wołaniem swojej zmarłej córki Ro-setty. Następnie spędziła pani dwa lata w zakładzie dla psychicznie chorych, gdzie stwierdzono, że cierpi pani na zespół maniakalno-depresyjny. Nie ma zatem nic niezwykłego w tym, iż bez konkretnych dowodów na to, że zjawiska, które pani opisuje, istnieją poza pani wyobraźnią, będzie mi trudno, o ile w ogóle będzie to możliwe, podjąć śledztwo w tej sprawie.

- Nie prosiłam, byś tu przychodził - ucina Ada.

Jej gość sięga do kieszeni po notes, pisze coś pospiesznie na wyrwanej kartce i podaje ją Adzie.

- Oto mój numer telefonu - mówi. - Mieszkam tuż za rogiem, w naszym starym domu. Gdyby to coś się powtórzyło, proszę do mnie dzwonić, o każdej porze.

Ada przygląda się numerowi, a potem patrzy mężczyźnie w oczy. Kiwa potakująco głową.

Po wyjściu z *palazzo* Aurelio Zen skręcił w lewo, w zaułek tak wąski, że musiał iść bokiem jak krab. Gdy wydało mu się już, że znalazł się w ślepej uliczce, trafił na portyk prowadzący do niewielkiego mostka. Odpływ pozostawił zaledwie rynsztok o szerokości kilku

centymetrów pomiędzy łachami czarnego mułu. Łodzie tkwiły w nich jak przewrócone na grzbiet żuki. Wśród okolicznych budynków wyróżniała się elegancka fasada Palazzo Zulian.

Powietrze ciężkie było od odoru mułu, ponieważ nie docierały tutaj powiewy bryzy. Na dnie kanału tkwiły najróżniejsze śmieci: kółko dziecinnego wózeczka, dziurawe wiadro, kalosz. Wielki szczur przemknął szybko i wskoczył do otwartego ścieku. W starszych budynkach ludzie nadal kładą na klapie sedesu ciężki kamień, by uniemożliwić szczurom przedostanie się do domu.

Pomiędzy domami po drugiej stronie kanału biegła wąska uliczka prowadząca do szerszej, ze sklepami i kościołem. Zen mijał domy, na których drzwiach wypisane były numery wyglądające jak daty niemożliwego życia: 1684-1679, 1635-628. Przeszedł przez most, po którym jakiś mężczyzna pchał taczki wyładowane puszkami z olejem jadalnym. Dom na drugim brzegu kanału zasłonięty był rusztowaniami i płachtami. Wystawała spod nich plastikowa rura, którą zrzucano gruz na zakotwiczoną na kanale barkę, w tej chwili tkwiącą w mule. Jeden robotnik szufłował piasek na taczki, a drugi przytrzymywał je na kładce z deski.

Zen rzucił okiem na budynek. Czy to nie tutaj właśnie mieszkała rodzina Paganów? Ich dwaj chłopcy chodzili z nim do szkoły, choć nigdy nie należeli do tej samej bandy. Zapewne odziedziczyli dom i teraz zarządzili remont. Ku swemu zaskoczeniu poczuł ukłucie zazdrości. Gdyby tylko mógł sobie pozwolić na przerobienie rodzinnej siedziby w prawdziwy dom dla nich wszystkich, z oddzielnym mieszkaniem dla matki i mnóstwem miejsca dla Tani...

Natychmiast odepchnął od siebie ten pomysł. Absurdem była myśl, że w tym wieku mógłby jeszcze rozpocząć nowe życie. Tutaj nic go już nie czeka. Wykorzystał to miejsce, przemienił je w doświadczenie i wspomnienia, które ukształtowały jego osobowość. Powrót oznaczałby swego rodzaju duchowe kazirodztwo. Nic nowego nie mogło mu się tutaj przydarzyć. A Tania nie zechciałaby przenieść się do miasta, które pomimo swego uroku tak naprawdę było prowincjonalne. Ruszył w dalszą drogę, z pewnym niepokojem konstatując, że od chwili przyjazdu w ogóle nie myślał o Tani.

W mdłym świetle południa trójkatne *campo* wydawało się własną pomniejszoną repliką, scenografią zbudowaną z samych fasad. Jakże inaczej wyglądało we wspomnieniach! Wspaniałe, pełne znaczenia i najróżniejszych ludzi, wielobarwne, a jednak spójne... Teraz plac wydawał się mały, nędzny i opuszczony. Miasto umierało. Gazeta, którą Zen kupił tego ranka, podawała ponury wskaźnik śmiertelności. W ciągu poprzednich dwudziestu czterech godzin urodziło się sześć i zmarło dwadzieścia jeden osób. Dwadzieścia jeden jedynych w swoim rodzaju, niepowtarzalnych osobowości, strażników miejscowego życia i tradycji, przestało istnieć, podczas gdy większość z sześciu nowych weneccjan zapewne będzie musiała emigrować w poszukiwaniu pracy i mieszkania. Za pięćdziesiąt lat w ogóle już nie będzie weneccjan.

Ze wszystkich domów w okolicy dom Morosinich był zawsze najgościnniejszy i najbardziej pełen życia. Wielkość i układ miał identyczne jak dom Zenów, ale na tym kończyły się podobieństwa. Dzielnica Cannaregio leżała w połowie drogi pomiędzy dworcem a rzeźnią i większość mieszkających w tej dzielnicy mężczyzn pracowała w jednej z tych dwóch instytucji. Podobnie jak ojciec Aurelia, Silvio Moro-sini pracował na kolei i w pełni wykorzystał ten fakt, kiedy nadeszła wojna. Silvio, który swoje sympatie zawsze lokował na lewicy, choć dobrze przy tym orientował się, z której strony wieje wiatr i kiedy nie należy za wysoko podnosić głowy, nie miał ochoty na żadne bohaterskie wyczyny.

Angelo Zen również mógł postarać się o zwolnienie od służby wojskowej - kolej była niezbędną dla wysiłku wojennego częścią gospodarki - wolał jednak zgłosić się na ochotnika i został wcielony do źle wyszkolonej i gorzej jeszcze wyposażonej armii, którą Mussolini wysłał na front wschodni, aby poprawić swoją pozycję w kontaktach z niemieckim sojusznikiem. Angelo zniknął wraz z dziesiątkami tysięcy Włochów zaginionych lub uznanych za zabitych.

Narastająca pewność jego śmierci, połączona z brakiem jakiegokolwiek dowodu, który mógłby pewność tę ostatecznie potwierdzić, przenikała dom Zenów jak lodowaty podmuch z zaśnieżonych pól bitewnych i obozów jenieckich, gdzie *Armata Russa* spotkał zasłużony i sromotny koniec.

Jednak podczas gdy ojciec Zena istniał wyłącznie poprzez swoją nieobecność, potwierdzaną fotografiami koloru sepia przedstawiającymi osobę, której istnienie powoli stawało się równie hipotetyczne jak realność życia po śmierci, Silvio Morosini należał do tłumu tak samo jak on rzeczywistych postaci, rozpychających się i domagających uwagi w domu, którego nominalnie był głową. Tak naprawdę jednak rola ta zarezerwowana była dla jego żony Rosalby, najlepszej przyjaciółki Giustinianny Zen jeszcze na długo przed jej zamążpójściem. Kiedy sprawdziła się przepowiednia Rosalby, że związek ten, chroń nas Panie Boże, nie może skończyć się niczym dobrym, Rosalba nie porzuciła ani Giustinianny, ani pozbawionego ojca dziecka.

Skutkiem tego Aurelio nauczył się traktować dom Morosinich niemal jak własny i często z tego korzystał, aby uciec przed niemożliwym do zniesienia widokiem matki w milczeniu płaczącej przy pracy. W domu Silvia i Rosalby często wybuchały otwarte i zażarte kłótnie, do których włączali się wszyscy obecni, niezależnie od tego, czy kłótnia dotyczyła ich w jakikolwiek sposób, a nawet od tego, czy mieli pojęcie, o co właściwie poszło. Każdy miał okazję, by pokrzyżać i przybrać różne pozy, a pośród tych amatorskich występów rzeczywista przyczyna sporu zacierала się stopniowo, zapomniana, o ile nie wybaczona. Mały Aurelio nie zechciałby może zamieszkać na stałe w takiej atmosferze, ale z pewnością stanowiła ona przyjemny kontrast z aurą duszącego napięcia panującą w jego rodzinnym domu, do której istnienia nikt nigdy nie potrafił się nawet przyznać, nie mówiąc już o próbach jej zamiany.

Podobnie jak cała dzielnica, a właściwie całe miasto, dom Morosinich z czasem stał się, oczywiście, miejscem o wiele spokojniejszym. Rosalba regularnie pisywała i telefonowała do Giustinianny, kiedy ta przeniosła się do Rzymu, aby zamieszkać z synem. Dzięki temu Zen dowiadywał się o ślubach kolejnych dzieci i o śmierci Silvia w minionym roku. Mimo to, kiedy zobaczył starą kobietę, która powitała go na schodach, doznał wstrząsu. Przez telefon wydawało się, że Rosalba prawie wcale się nie zmieniła, i Zen podświadomie oczekiwał, że zmianie nie uległ również jej wygląd. Jednak ta pełna życia i radości kobieta przywodziła teraz na myśl gasnące wspomnienie swojej babki, legendarnej postaci, która urodziła się, jeszcze zanim Wenecja z pewnym opóźnieniem została przyłączona do świeżo zjednoczonego Królestwa Włoch. Rysy twarzy wydawały się ściągnięte do wewnątrz jak kurczący się wszechświat, tworząc w efekcie pomniejszoną wersję twarzy, którą zapamiętał.

- Witaj w domu, Aurelio! - krzyknęła Rosalba, obejmując go kilkakrotnie. - Mam nadzieję, że wszystko u ciebie było takie, jak się tego spodziewałam. Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, ale niełatwo jest przywrócić do życia dom, który stał pusty przez tak wiele lat.

Zen uśmiechnął się ciepło do staruszki.

- Dokonałaś cudu, Rosalbo. Prawdziwego cudu.

Teraz, kiedy zobaczył, jak Rosalba wygląda, poczuł wstyd, że dopuścił do tego, by podjęła się ciężkiej pracy przygotowania domu na jego przyjazd. Zadzwoił tylko, by dać jej znać, że przyjeżdża, i poprosił, by sprawdziła, czy dom, do którego wciąż miała klucze, nadaje się do zamieszkania. Powinien się domyślić, że zrobi wszystko sama, przekonana, że nikt inny nie potrafiłby zająć się tym jak należy.

- Daj płaszcz - powiedziała Rosalba z ożywieniem. - Teraz, kiedy przywykłeś do życia na południu, chyba ci u nas zimno.

Zen wciągnął nosem apetyczny zapach.

- Coś tu bardzo smakowicie pachnie.



- Och, to nic takiego. Odrobina *risotto de sepe col nero* i sola. Wchodź do środka, proszę.

Siedząc w obszernym fotelu w jadalni, Zen popijał musujące wino, podczas gdy Rosalba przedstawiła mu w skrócie miejscowe plotki i nowinki. Fotel ten był niegdyś tronem, z którego Silvio Morosini ogłaszał wyroki i dekryty i ogólnie rzecz biorąc, panował nad swoim niesfornym klanem. W owych czasach Zen nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby zasiąść w tym fotelu, podobnie jak nie potrafił wyobrazić sobie, że mógłby dotknąć jędrnych, pulchnych ud najstarszej córki Silvia, Antonii, która stała się wtedy dla niego przyczyną wielkiego niepokoju i rozpaczony jako pierwsza przedstawicielka płci przeciwnej, która nie była dla niego „tylko dziewczyną”. Antonia zaś uważała Zena za odpowiedniego partnera do gry w piłkę i wszelakich zabaw dla swoich braci, ale sama nie interesowała się nim w najmniejszym stopniu. A teraz była matką czworga dzieci i handlowała nieruchomościami w Yicency.

- ...ciągle latają gdzieś na drugi koniec świata. Moje wnuczki znają Rio de Janeiro i Hongkong lepiej niż naszą starą Wenecję. A nawet kiedy się zjawia, gapią się tylko, jak wszyscy inni. Potrzebujemy rodzin, nie turystów! Ale co możemy zrobić? Nie ma żadnej pracy, a czynsze są po prostu wariackie, choć połowa domów stoi pusta...

Urwała, prawdopodobnie przypomniawszy sobie, że dom Zenów również pozostaje nie zamieszkały od chwili, gdy Giustiniana wyprowadziła się do Rzymu.

- Jeszcze kropelkę wina? - zaproponowała, stając w drzwiach z butelką w dłoni. - A potem możemy siadać do stołu.

Przy obiedzie dołączyła do nich młoda kobieta, którą Rosalba przedstawiła Zenowi jako Cristianę Morosini. Jako późny i nieoczekiwany przybysz w rodzinie, Cristiana była jeszcze malcem w pieluchach, kiedy Zen wstąpił do policji i opuścił miasto, aby podjąć pracę na stałym lądzie. Teraz była piękną kobietą około trzydziestki o leniwych, zmysłowych ruchach, szokująco podobną do swojej starszej siostry. Podając risotto, ciemnoszare od atramentu kałamarnicy, Rosalba wyjaśniła, że Cristiana odeszła od męża, lokalnego polityka, odkrywszy, że ten sypia z jedną ze swoich zwolenniczek.

- *Mamma!*

- Nie ma się co krygować przed starym przyjacielem rodziny. Dostatecznie często widywałeś cię, jak latałaś po domu z gołym tyłkiem, prawda, Aurelio?

- Wyśmienite - wyszeptał Zen, smakując połączenie sypkiego ryżu, soczystej kałamarnicy i tłustego sosu.

- Nie kryguję się - zaprotestowała Cristiana. - Jednak to po prostu dość groteskowe niedopowiedzenie. - Uniosła w górę trzy palce. - Najpierw ta bogata dziwka z Zattere, tak na początek. Potem Maria Luisa Squarcina, nie zapominajmy też o tej Populin, wprawdzie ona zaprzecza, ale co niby ma robić? To daje już trzy, nie licząc różnych sekretarek, dziennikarek i wybranych wielbicielek. A to są tylko te, o których wiedzą wszyscy. Gdyby przez łóżko można było dojść do państwowych urzędów, Nando rządziłby już naszym pięknym krajem.

- A ciebie co sprowadza do domu, Aurelio? - zapytała Rosalba. - Przez telefon powiedziałeś tylko, że to praca, ale co konkretnie?

Zen popił smakowity słonawy kęs łykiem wina.

- No cóż, sprawa jest oczywiście ściśle tajna...

- Na nas możesz liczyć - zapewniła go Rosalba.

- Nie piśniemy ani słowa - dołączyła się Cristiana.

Matka Aurelia zwykła była mawiać, że istnieją dwa sposoby upewnienia się, że wszyscy mieszkańcy Wenecji o czymś się dowiedzą: można dać to wszystkim plebanom do odczytania po mszy albo powiedzieć Rosalbie Morosini.

- Prawda jest taka, że to w sumie błahostka. Stęskniłem się ostatnio za domem, chciałem też załatwić tutaj parę spraw. Kłopot polegał na tym, że nie miałem już urlopu, musiałem więc upozorować wyjazd w sprawach zawodowych.

- Wystąpiłeś o przeniesienie.

- Zgadza się. W ministerstwie, gdzie pracuję, dostajemy raporty z całego kraju dotyczące wszystkich popełnionych przestępstw i podjętych działań. Normalnie wszystko to trafia do komputera i zostaje włączone do statystyk, wyciągnąłem jednak raporty z Wenecji i przejrzałem je w poszukiwaniu czegoś odpowiedniego. No i kogo tam znalazłem, jak nie samą Adę Zulian...

- *La contessa!* - krzyknęła Rosalba.

Zen skinął głową.

- Prawdopodobnie zadzwoniła na policję ze skargą na włamywaczy. Wykorzystałem więc swoje kontakty i postarałem się o czasowe przeniesienie celem przeprowadzenia śledztwa w tej sprawie.

Kłamstwo to przyszło mu równie lekko i bez wysiłku jak kałamarnicy, którą właśnie jedli, wystrzelenie chmury atramentu.

- Ada i jej duchy! - krzyknęła Rosalba, nałożywszy gościowi dokładkę risotto. - Wszystko zaczęło się wtedy, kiedy zniknęła jej córka. Nigdy się z tym nie pogodziła. Siostra Lisy Rosteghin była pielęgniarką w szpitalu dla psychicznie chorych na San Clemente, ach, te historie, które opowiadała o Adzie...! Podobno doszło do tego, że delegacja wariatów zwróciła się do dyrektora ze skargą na jej zachowanie. „Niech nam pan wybaczy, *dottore*”, powiedzieli, „ale musi pan coś z tym zrobić - ta kobieta doprowadza nas do szaleństwa!”

- Pamiętam, jak raz podeszła do mnie na ulicy - powiedziała Cristiana, wycierając usta chusteczką - i w dziwny sposób zwróciła się do mnie imieniem tej zaginionej dziewczynki. Naprawdę, wystraszyłam się wtedy nie na żarty.

- Ta kobieta doprowadza nas do szaleństwa! - powtórzyła rozbawionym tonem Rosalba. - Ona nigdy nie miała wszystkich klepek w porządku. Saonerowie wynajmowali od niej kiedyś dom. Wiecie, co wtedy zrobiła? Kiedy wysłała im rachunek, odkryli, że policzyła im też za zużyty do jego wypisania papier i atrament! Jesteście w stanie w to uwierzyć?

- A co się stało z jej córką? - zapytał Zen.

Ożywienie Rosalby rozwiało się w jednej sekundzie.

Wzruszyła ramionami.

- Tak naprawdę, nikt tego nie wie. To się stało w ostatnich latach wojny. Wtedy zdarzyło się wiele okropnych rzeczy.

Posprzątała naczynia i wyszła do kuchni. Zen uniósł wzrok i zobaczył wbite w siebie wielkie, wilgotne jak para morskich anemonów oczy Cristiany. Miał zaledwie chwilę, by to dostrzec, zanim wróciła Rosalba.

- Skoro wspomniałaś o Saonerach, nie wiesz przypadkiem, co stało się z Tommasem? - zapytał Rosalbę, gdy nakładała mu filet z soli.

- Młodszym bratem? Do dziś tak go nazywam. Był twoim najlepszym przyjacielem, prawda?

Zapamiętane obrazy zawirowały w pamięci Aurelia jak stado spłoszonych gołębi.

- Wiele lat temu straciłem z nim kontakt. Ożenił się?

- Nie, zrezygnował też z pracy, aby skupić się wyłącznie na polityce - odpowiedziała Cristiana. - Jest teraz prawą ręką Nanda.

- Muszę do niego zajrzeć. - Zen zamyślił się. - Nadal mieszka przy Calle del Magazen?

- Łatwiej będzie ci go znaleźć w biurze partii - stwierdziła sucho Cristiana. - Siedzą tam

prawie cały czas, zwłaszcza teraz, kiedy zbliżają się wybory municypalne. Nando zaleca, by oddali wszystko dla ruchu, zwłaszcza dla zwolenniczek ruchu.

- A jak czuje się Giustiniana? - zapytała z ożywieniem Rosalba. - Nałóż sobie jeszcze kawałek soli, na miłość boską. Nic przecież jeszcze nie zjadłeś.

## IV

Aurelio Zen szedł powoli przez ciche, puste ulice miasta, lekko oszołomiony nie tylko winem, które wypił do obiadu, i kieliszkiem grappy, na który później namówiła go jeszcze Rosalba, ale również spotkaniem z Cristianą Morosini, której delikatne białe ciało w niewytłumaczalny sposób skojarzyło mu się we wspomnieniach ze świeżą, rozpluwającą się w ustach solą. W głowie kotłowały mu się sprzeczne myśli, a temu chaosowi w umyśle znakomicie odpowiadał chaos otaczającego go miasta: budynki różnej wielkości zebrane w jak gdyby przypadkową całość, jak usypane na stos cegły. Ten swojski bałagan, podobnie jak wiele spraw tutaj, wydawał mu się teraz obcy. Nazbyt przywykł do zaplanowanych widoków i szerokich bulwarów stolicy. Wszystko było tak bardzo odmienne od tego, co sobie wyobrażał.

Szedł Fondamenta delle Cappuccine, rozglądając się za winiarnią, o której powiedział mu Marco. Gałęzie wiecznie zielonych krzaków wystawały ponad wysokim murem, zdradzając jeden z ukrytych ogrodów miasta, dawnych warzywników zakładanych na środku każdej ze stu wysp, aby zapewnić świeże jarzyny dla mieszkańców. Przechodząc pod drzewem, zauważył gromadę zdziczałych kotów, które obsiadły gałęzie jak stado ptaków.

Zaczął się już przyplw, poziom wody nadal pozostawał jednak na tyle niski, by zwały mułu przy obu brzegach kanału San Girolamo były doskonale widoczne. Pracowało tam dwóch robotników - jeden pchał taczki po kładce z desek wzdłuż nabrzeża kanału, drugi kopał łopatą porcje błota gęstego i czarnego jak smoła. Cuchnący odór unosił się ciężko w powietrzu, tak silny, że prawie dotykalny.

- Proszę uważać!

Głos dochodził z góry. Zen podniósł głowę i zauważył w oknie starszą panią, która przyglądała mu się z niepokojem. Niecierpliwie wzruszył ramionami.

- O co chodzi, *signora*?

- Rura! - krzyknęła kobieta w odpowiedzi. - Zaraz by się pan przewrócił.

Dopiero teraz Zen zauważył metalową rurę na drodze, która z wąskiego zaułka prowadziła do unieruchomionej przez odpływ czerwonej barki z napisem POZZI NERI i numerem telefonu.

- Dziękuję! - krzyknął z zawstydzeniem do swojej zba-wicielki, która wzruszyła ramionami i zniknęła.

Przeskoczył rurę i ruszył w dalszą drogę. Zamieszkawszy w mieście, które od dwóch tysięcy lat dysponowało systemem kanalizacji, zapomniał o „czarnych studniach”, szambach, które były przy każdym weneckim domu, a do których spływały nieczystości nie nadające się do wylewania bezpośrednio do kanałów.

Kawałek dalej zobaczył najpierw kościół, o którym mówił Marco, a później samą *osteria*. Rzeczywiście była czerwona, czy raczej czerwona była być może kiedyś. Wyblakły szyld nad drzwiami głosił: „Najznakomitsze wina z Piave z naszej własnej winnicy, butelkowane i z beczki”. Wnętrze było, w porównaniu z blaskiem popołudniowego słońca, zadymione i mroczne, jednak zanim jeszcze oczy Zena przyzwyczyły się do półmroku, usłyszał znajomy głos, długie, miękkie „*Ciao!*” wznoszące się i opadające jak fala.

Jeden z graczy podniósł się od stolika na tyłach sali i ruszył w kierunku Zena z wyciągniętą na powitanie dłonią stwardniałą od pracy. Marco Paulon był silnym, muskularnym mężczyzną o skórze pomarszczonej i brązowej jak bekon. Jego twarz była bezkształtną maską, w której jasne oczy błyszczały jak dwa metalowe guziki w misce z polentą.

Marco i Zen nie byli sobie szczególnie bliscy jako dzieci, ale nie stracili ze sobą kontaktu

dzięki korzystnej dla obu umowie, na mocy której Paulon opiekował się domem Zena i dokonywał koniecznych napraw w zamian za możliwość wykorzystywania parteru jako powierzchni magazynowej.

Marco doprowadził Zena do wolnego stolika pod oknem i zamówił dwa kieliszki *fragolino*.

- O co właściwie chodzi z Adą Zulian? - zapytał wesoło.

Zen zakrzuszył się z wrażenia. Nawet Rosalba nie zdołałaby tak szybko roznieść jego opowieści. Po chwili jednak okazało się, że Marco otrzymał informację od samej *contessa*.

- Starsza pani nie może już za bardzo dźwigać, więc często, gdy dostarczam towar do sklepów, odbieram zamówione przez nią sprawunki i podrzucam jej do domu po drodze do Mestre. Zaszedłem do niej przed obiadem ze skrzynką wody mineralnej, którą zamówiła, a ona powiedziała mi o twojej wizycie. Szczerze mówiąc, uznałem to za jedną z jej halucynacji. Akurat, myślę sobie, policja nie ma nic lepszego do roboty niż wysłać z Rzymu Aurelia Zena w sprawie Ady Zulian!

Właściciel *osteria* przyniósł dwa kieliszki słodkawego pianistego wina. Zen pochylił się i zniżył głos.

- Prawdę powiedziawszy, sam to tak załatwiłem.

Marco Paulon uniósł z zaskoczeniem brwi.

- I nikt się nie zdziwił?

Zen zakręcił szklanką tak, że wino zawirowało w środku. Przymrużył jedno oko.

- Prawdopodobnie tak by się stało, gdybym komuś o tym powiedział. Załatwiłem sprawę w ten sposób, że zostałem tu oficjalnie przysłany w sprawie Durridge'a. Pamiętasz? Tego Amerykanina, który zniknął kilka miesięcy temu. Dużo pisali o nim w gazetach.

Paulon uśmiechnął się z podziwem.

- Sprytny z ciebie skurwysyn!

Zen spojrział na kalendarz zawieszony na ścianie nad głową Marka. Przez ponumerowane kwadraty oznaczające kolejne dni miesiące biegła zielona falista linia wskazująca przypyływy i odpływy w lagunie. Dolina fali znajdowała się prawie dokładnie w połowie wysokości kwadratu tego właśnie dnia, co znaczyło, że odpływ wypadł na południe.

- Poziom wody jest pewnie zbyt niski, żeby gdzieś teraz popłynąć - powiedział.

Marco zmarszczył czoło.

- Wszystko zależy od tego, dokąd chcesz płynąć. Zakotwiczylem łódź przy Sant'Alvise. Tam nigdy nie wysycha.

Spojrzał pytająco na Zena, który westchnął w odpowiedzi.

- Rzecz w tym, że muszę sprawiać wrażenie, iż zajmuję się sprawą Durridge'a, a jednocześnie tracić na nią jak najmniej czasu. Wiesz, o co mi chodzi?

Marco uśmiechnął się ponownie i pokiwał głową.

- Ten sam Aurelio, co zawsze! Pamiętam cię ze szkoły. Pracowałeś mniej niż ktokolwiek w klasie, a w końcu zawsze miałeś najlepsze stopnie. Nigdy nie zrozumiałem, jak ci się to udawało. Kiedy myśmy odpowiadali, zawsze najwyraźniej widać było to, czego nie wiemy, a ty potrafiłeś zebrać dwie, trzy wiadomości i podać je tak, jakbyś wiedział więcej od nauczycielki! Nienawidziliśmy cię za to!

Zen dopił wino.

- Przesadzasz - powiedział cicho.

- Nic podobnego! - odparował agresywnie Paulon. - Spójrz tylko, dokąd cię to doprowadziło. Masz wygodną pracę za biurkiem w Rzymie, podczas gdy ja wożę po mieście skrzynki z warzywami.

Zen w milczeniu zapalił papierosa. Po chwili Marco Paulon się uśmiechnął.

- Ale co mi tam! Kto powiedział, że życie jest sprawiedliwe?

Sięgnął po papierosa z paczki, którą Zen położył na stole.

- Co zatem mogę dla ciebie zrobić, Aurelio? Nie przejmuj się czasem. Jeśli będzie to konieczne, zrobię jutro dodatkowy kurs.

Zen przypalił Markowi papierosa.

- Byłoby idealnie, gdybym mógł rzucić okiem na wyspę, na której mieszkał DurrIDGE i z której został porwany.

- Gdzie to jest?

- Dość daleko stąd. To jedna z ufortyfikowanych wysp niedaleko Porto di Malamocco.

Marco Paulon przez chwilę palił w milczeniu.

- Policyjna motorówka się zepsuła? - zapytał w końcu cicho.

Zen gestem poprosił właściciela o więcej wina.

- Bardziej martwię się o załogę - powiedział. - Trafia mi się pewnie jakieś dzieciaki prosto ze wsi, które przeszły przyspieszony kurs sterowania w La Spezia. Można im zaufać na tyle, że mnie nie utopia, przynajmniej dopóki nie będzie mgły, ale nic poza tym. Potrzebuję kogoś, kto zna lagunę. Czegoś, czym mógłbym nafaszerować raport tak, by wyglądało, że straciłem o wiele więcej czasu na jego przygotowanie, niż zajmie mi to w rzeczywistości. Krótko mówiąc, kogoś takiego jak ty.

Marco Paulon skinął poważnie głową. Podniósł kieliszek *fragolino*, który zjawił się właśnie na stole.

- Witaj, Aurelio. Witaj w domu!

Obydwaj wypili wino i zaczęli się przyjaźnie spierać, kto powinien uregulować rachunek. Aurelio w końcu ustąpił. Na zewnątrz rozproszone światło słoneczne zmieniało perspektywy, zacierało szczegóły, podając wszystko w wątpliwość. Na placyku niedaleko nabrzeża dwóch malarzy strząsało i zwijało płachtę płótna wielką jak żagiel.

- Wygląda na to, że choroba Ady jest zaraźliwa - oznajmił żartobliwym tonem Marco. - Mój kuzyn powiedział mi wczoraj o następnym takim. Gość zaczął nagle widzieć wokół siebie ludzi, których w ogóle nie ma.

Skręcili za róg i weszli w cień rzucany przez wysokie mury opuszczonej fabryki.

- Trzeba oczywiście pamiętać - dorzucił Marco - że on jest z Burano, a tam wszyscy mają nierówno pod sufitem. A już zwłaszcza mój kuzyn.

Wskoczył lekko do zakotwiczonej przy nabrzeżu płaskodennej łodzi. Zen poszedł w jego ślady, ostrożnie schodząc na wycięty ze starego dywanu kwadrat na przednim pokładzie. Otwarta ładownia pełna była najróżniejszych towarów przewożonych z hurtowni w Mestre do sklepów w mieście: puszek z fasolą i przecierem pomidorowym w termokurczliwej folii, obciążonych plastikiem gąsiorów z winem, dużych kartonów pełnych mydła w proszku, tamponów i baterii.

Marco Paulon przekręcił kluczyk w stacyjce, pchnął rumpel i zwolnił cumę rufową, która przymocowana była do jednego z pali wbitych w regularnych odstępach w dno kanału. Wskazał palcem marmurową tabliczkę na ścianie dawnej fabryki umieszczoną na wysokości około metra nad poziomem nabrzeża. Wryto tam kreskę i napis *Marea alta 4.11.66*.

- Tyle gadania o powodziach - rzucił - ale moim zdaniem zwariowane odpływy są jeszcze gorsze. Coraz rzadziej można przepłynąć przez Cannaregio, a o mniejszych kanałach w ogóle nie ma co mówić! Całe miasto powinno się natychmiast wybagrować, ale nic nie można zrobić, od kiedy przedsiębiorcy budowlani przestali brać łapówki.

Silnik zaskoczył z głośnym ryknięciem, które po chwili ścichło do regularnego warkotu, podobnego do odgłosów tramwaju wodnego.

- Cumę rzuć!

Dopiero po chwili Zen zrozumiał znaczenie tych słów. Odwiązał drugą linę, która przytrzymała *comacina* przy nabrzeżu, wciągnął ją i zgrabnie zwinął na pokładzie. Kiedy Marco wrzucił wsteczny i odepchnął od siebie rumpel, by łódź oderwała się od nabrzeża, pod powierzchnią wody wykwitł czarny kwiat mułu. Później Marco wrzucił całą naprzód i wypłynęli na środek kanału.

- Zgadnij, do kogo to wszystko należy! - krzyknął, wskazując zrujnowaną fabrykę.

Zen przeszedł niepewnie pomiędzy kartonami, by stanąć na rufie.

- Do Ady Zulian! - oznajmił Marco z triumfem.

- Naprawdę?

- Przez wiele lat nikt o tym nie wiedział - stwierdził Marco. - *Contessa* utrzymywała to w tajemnicy. Uważała, że rodzina Zulian nie powinna mieć nic wspólnego z czymś tak pospolitym jak tkalnia. - Wybuchnął głośnym śmiechem. - Najśmieszniejsze jest to, że jako ruina miejsce to jest o wiele więcej warte, niż było kiedykolwiek, gdy fabryka funkcjonowała. Ada musi polegać na ludziach, którzy z dobrego serca wyświadczają jej drobne usługi, podczas gdy w każdej chwili mogłaby zarobić miliardy, po prostu sprzedając to gruzowisko!

Zen pochylił się instynktownie, kiedy przepływali pod niskim mostem. Marco zwolnił obroty, później skręcił gwałtownie rumpel, włączając syrenę, by ostrzec jednostki, które mogły nadpływać zza ostrego zakrętu.

- Co ludzie mówią o sprawie Durridge'a? - zapytał Zen.

Marco pogrzebał w kieszeni, wyciągnął paczkę papierosów i poczęstował Zena.

- Co konkretnie chciałbyś wiedzieć?

- Czy chodzą jakieś plotki? Co mogło się wydarzyć?

Marco zwolnił obroty, by przepuścić taksówkę. Pasażerka, kilkunastoletnia dziewczyna na wózku inwalidzkim, przyglądała się im poważnym wzrokiem.

- Jakim człowiekiem był ten Durridge? - podjął Zen. - Co robił? Kto go widywał?

Marco zmarszczył brwi i splunął do wody Zen poczuł rozczarowanie. Jego towarzysz najwyraźniej nic nie wiedział o zaginionym Amerykaninie, ale jak każdy wenecja-nin nie zamierzał przyznać się do niewiedzy.

- To był typowy bogaty cudzoziemiec - oznajmił w końcu Marco. - Przyjeżdżał i wyjeżdżał. Nasze miasto było dla niego tylko hotelem. My, obsługa, nic go nie obchodziliśmy. -Urwał, szukając natchnienia. - Wydawał w swoim domu wspaniałe przyjęcia. Chłopaki z taksówek zarabiali mnóstwo pieniędzy, wożąc jego gości tam i z powrotem. Dostawcy żywności też nie narzekali... - Zamilkł i wskazał imponujący czteropiętrowy budynek, który właśnie mijali. -Palazzo Zen, Aurelio! - zauważył żartobliwym tonem. - Kiedy wprowadzisz się z powrotem?

Zen uśmiechnął się i posłusznie przyjrzał pałacowi wzniesionemu przez jego przodków w owych odległych czasach, kiedy jego rodzina należała do najbogatszych i najpotężniejszych rodów w mieście. Ucieszył się, że Marco znalazł sposób, by zmienić temat. Wyraźnie nie było szans na łatwe rozwiązanie tej sprawy. Zdobyte dotychczas wiadomości ograniczały się do wycinków z gazet - skrawki informacji rozdęte do kilku kolumn dzięki spekulacjom i powtórzeniom oraz fotografiom Ivana Durridge'a w białym garniturze, który zwykle nosił.

- Coś ci jednak powiem - dodał Marco z większą pewnością siebie. - Jego tak naprawdę wcale nie porwali.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Paulon wzruszył ramionami.

- Moim zdaniem to było tak samo jak z Toniem.

Obok burty powoli przepłynęła rozłożona gazeta. Spojrzawszy na nią, Zen rozpoznał

numer, który przeglądał w czasie śniadania z Aldem Valentinim. Przesunął wzrokiem po nagłówku - STARY LIS WALCZY O ŻYCIE - i nagle wpadł na pomysł, jak dotrzeć do tajnych akt sprawy Ivana Durridge'a. Jeśli jednak artykuł mówił prawdę, musi działać szybko.

- Antonio Puppini- odpowiedział Marco na nie wypowiedziane przez Zena pytanie. - Pewnego dnia popłynął na słone moczary na polowanie i nigdy nie wrócił. Kiedy znaleziono wywróconą do góry dnem łódź, wszyscy myśleli o najgorszym, ale ciała nigdy nie odnaleziono. W każdym razie kilka lat później karabinierzy złapali go podczas blokady dróg pod Grado - to było jeszcze w czasach, kiedy polowano na terrorystów i od wszystkich żądano dokumentów...

Łódź przemknęła pod lukiem mostu i znaleźli się na otwartych wodach laguny, obok nabrzeża dla promów przy Fondamenta Nuove.

- Okazało się, że zwiął - Marco próbował przekrzyczeć ryk silnika pracującego teraz na pełnych obrotach. - Pracował dla brata swojej bylej dziewczyny, który miał stację...

Zen przestał słuchać. Zgubił się już w meandrach opowieści Marca, nie miał też zielonego pojęcia, co łączy ją ze sprawą Durridge'a. Tak właśnie było na lagunie - słabe światło i ruchliwość wody niweczyły każdą próbę osiągnięcia precyzji i jasności, ale temperowały przy tym arogancję i agresję, jakże częste na stałym lądzie. To właśnie go ukształtowało, uświadomił sobie Zen. Taki właśnie kodeks niósł ze sobą, genetyczny kod wypalony w jego jestestwie.

W oddali, na prawo od cmentarza na San Michele, dalekie wyspy Torcello i Burano były teraz zaledwie kreskami na horyzoncie. Burano wyróżniała się charakterystyczną dzwonnica, przechyloną na bok jak pijak.

- Mówiłeś coś o kimś, kto widział duchy na Burano? -powiedział Zen.

- Nie na Burano. Ten facet tylko stamtąd pochodzi. Nazywa się Giacomo Sfriso. Ma trawler na spółkę z bratem, wychodzą w morze, zarzucają też sieci na lagunie. Obydwaj po dwudziestce, nieźle sobie radzą. Naprawdę bardzo dobrze.

Okrążyli moło osłaniające osuszone tereny za Arsenale, na których mieściły się suche doki i tereny rekreacyjne.

- Pewnego wieczoru w zeszłym miesiącu Giacomo wziął *sandolo* - mówił dalej Marco. - Nikt nie zwrócił na to uwagi, wszyscy wiedzą, że bracia Sfriso pracują na okrągło. W ten sposób doszli do pieniędzy, wszyscy tak twierdzą. Zapadł zmrok, a on nie wracał, ale nadal nikt się tym nie przejął. Giacomo znał lagunę jak własną kieszeń. - Marco przechylił rumpel. Łódź położyła się na burtę i skierowała dziobem ku potężnej białej plamie San Pietro. - Wrócił na Burano dopiero następnego dnia o piątej rano, bełkocząc jak wariat! Nikt nie mógł zrozumieć, co gada. Jego brat Filippo wezwał lekarza, który dał mu zastrzyk, ale kiedy chłopak doszedł do siebie, było jeszcze gorzej. Gadał coś o chodzących trupach i tak dalej. I od tego czasu, jak twierdzą moi informatorzy, naszej rybce brakuje kilku centymetrów do wymaganej przepisami długości.

Łódź prześliznęła się pod piękną żelazną kładką dla pieszych, łączącą wysepkę San Pietro z Arsenale. Znaleźli się na ubogich przedmieściach, wśród gęstwy wzniesionych z cegieł kamienic zamieszkiwanych dawniej przez armię robotników ze stoczni. Nigdzie w mieście nie było tak wielu ślepych zaułków i tak niewielu prostych ulic, nigdzie domy nie były tak ciemne i zatłoczone, dialekt tak wyraźny i niezrozumiały dla obcych. Nie przez przypadek katedra San Pietro, symbol żądań Rzymu wobec Republiki, została wzniesiona w tak mało imponującej okolicy, podczas gdy nad Piazzą królowała prywatna kaplica dożów.

Marco podprowadził łódź do nabrzeża naprzeciwko pochylni, na którą wciągnięto kilka starych *vaporetto* czekających na naprawę lub pocięcie na żyłki. Rzuciwszy cumy na dziobie i rufie, zaczął grzebać wśród paczek w ładowni.

- Pomóż mi, proszę - odezwał się do Zena.



Wspólnie rozdzielili stos pakunków, odsuwając na boki skrzynki i kartony, aż w końcu Marco pochylił się i wyciągnął niewielką kwadratową paczkę, która wnosząc ze sposobu, w jaki się z nią obchodził, musiała sporo ważyć.

- Co to takiego? - zapytał Zen.

Marco przeniósł paczkę na nabrzeże i otarł pot z czoła. Wskoczył z łodzi, rozerwał papier, którym była owinięta, wyciągnął żółtawą broszurkę i podał ją Zenowi.

- Zaraz wracam - powiedział i zniknął w zaułku.

Na okładce broszurki, podobnie jak na widzianych przez Zena wcześniej plakatach, widniał napis NUOVA REPUBBLICA VENETA i lew świętego Marka. Tekst traktował o jakichś skomplikowanych kwestiach budżetu regionalnego i miejskiego dotyczących rozbudowy spalarni śmieci na Sacca San Biagio i wyraźnie był najnowszym odcinkiem serialu, który trzeba by czytać od początku, by zrozumieć, w czym leży problem. Zen dotarł właśnie do sloganu zamykającego stronę - WENECKIE ROZWIĄZANIE DLA WENECKICH PROBLEMÓW - kiedy Marco wskoczył do łodzi i odbił od brzegu.

- Następny przystanek na twojej wysepce - oznajmił, przekręcając kluczyk w stacyjce.

Zen pomachał broszurką.

- O co w tym wszystkim chodzi?

- Za dwa tygodnie mamy wybory municypalne.

- Ale która to partia?

Marco wykrzyknął pozdrowienia do szypra łodzi płynącej w przeciwnym kierunku.

- Paru miejscowych chłopaków, którzy myślą, że mogą rzucić wyzwanie Rzymowi i wygrać.

- A mogą?

Marco wzruszył ramionami.

- Chciałbym, żeby komuś się to udało. Wszyscy powtarzają, że będzie to katastrofa, ale co innego przydarzało się nam przez ostatnie czterdzieści lat? Miasto zmieniło się w szpital geriatryczny, nie ma pracy, nie ma domów, a wszystkie nasze podatki lądują w kieszeniach mafijnych grubych ryb z Południa. Bóg jeden wie, czy Dal Maschio będzie choć odrobinę lepszy, ale na pewno nie może już być gorszy, a jeśli te skurwysyny z Rzymu ze strachu posrają się od tego w majtki, to ja będę na niego głosować!

Zen wpatrywał się w Marka.

- Powiedziałaś, kto?

- Dal Maschio.

- Ferdinando Dal Maschio?

- Znasz go?

Zen potrząsnął przecząco głową.

- Nie, nie.

Łódź przemknęła kanałem wzdłuż ogrodów na wysepce Sant'Elena, a następnie, jak gdyby przez tajemne wrota, wypłynęła na szerokie wody basenu San Marco. Obok nich przesunął się wielki frachtowiec, kierując się z doków do przejścia na otwarte morze w nadbrzeżnym pasie mielizn przy Porto di Lido. W przeciwnym kierunku płynął holownik ciągnący dwie barki pełne odpadków, wszędzie wokół krążyły promy i łodzie rybackie. Marco skierował dziób łodzi w stronę San Clemente, wyspy, na której Ada Zulian spędziła dwa lata w szpitalu psychiatrycznym. Tutaj, na otwartych wodach laguny, fale były krótkie i silne, rozbijały się o burty, zraszając twarze mężczyzn słonymi kropelkami. Marco zmniejszył prędkość, by przepuścić prom samochodowy kierujący się na Lido.

- Zapomniałem o najlepszym kawałku opowieści tego faceta z Burano! - krzyknął

poprzez łoskot fal, kiedy łódź zakołysała się w kilwaterze promu. - Zgadnij, gdzie, jak twierdzi, zobaczył te duchy?

Zen potrząsnął głową.

- Na Sant' Ariano! - krzyknął Marco. - Na wyspie umarłych!

Łódź miała teraz przed sobą wolną drogę. Marco przyspieszył i skierował się na spokojniejsze wody za wyspą San Giorgio.

- Tylko że dla rodziny Giacomina to nie jest wcale takie śmieszne - dokończył już poważnie. - Wygląda na to, że łązi po domu przez cały dzień, mamrocząc coś do siebie. Nie potrafi sam trafić do łazienki, a o łowieniu ryb w ogóle nie ma mowy. Jego matka i brat są bliscy szaleństwa.

Laguna migotała i błyszczała w słońcu jak rybia łuska. Aurelio Zen usiadł wygodniej, przymknął oczy i spróbował przypomnieć sobie twarz Tani Biacis, swojej... no właśnie, kogo? Ukochanej? Kochanki? Partnerki? Czar ich związku polegał między innymi na tym, że wymykał się wszelkim definicjom. Pomimo to Zen zawsze uważał ten układ za rzeczywisty i trwały, a jednak teraz, kiedy zaledwie na kilka godzin wystawił go na działanie przenikliwych oparów laguny, poczuł, że jego pewność znika. Nie odczuwał już tak wyraźnie nieobecności Tani, zniknął dojmujący ból wywołany jej brakiem. Było to w dwójnasób ironiczne, ponieważ to właśnie dla niej w ogóle przyjął propozycję Ellen.

- Rodzina jest poważnie zaniepokojona tym, że śledztwo ugrzęzło, Aurelio - powiedziała mu Ellen. - Bill, mój nowy facet, jest prawnikiem, a firma, dla której pracuje, zajmuje się sprawami Durridge'a. Wspomniałam mu, że przypadkowym zbiegiem okoliczności znam pewnego włoskiego policjanta.

Za każdym razem, kiedy Ellen milkła, linia głuchła.

- To w końcu twoje miasto, Aurelio. Znasz tam ludzi, mówisz ich językiem. W każdym razie kiedy Bill podsunął ten pomysł rodzinie Durridge'a, byli po prostu zachwyceni.

Mimo lat, które upłynęły od chwili zerwania z Zenem i powrotu do Ameryki, Ellen nadal płynnie mówiła po włosku, choć jej akcent zdecydowanie się popsuł. Samogłoski brzmiały płasko i nienaturalnie, całe zdania mamrotała niezrozumiale, jak stary człowiek, który próbuje jeść bez sztucznej szczęki. Zen z drżeniem pomyślał, że kiedyś uważał podobne manieryzmy za czarujące.

- Wszystko sprowadza się do tego - cytuję teraz Billa - że potrzebują ciała. Żywego lub umarłego. Oczywiście, woleliby to pierwsze, ale gdyby w grę miało wchodzić najgorsze...

Umilkła i linia zamarła. Brzmiało to tak, jak gdyby jedno z nich odłożyło słuchawkę, jakby cała rozmowa została wcześniej nagrana i zmontowana. Po chwili odezwała się ponownie i wszystko toczyło się dalej, jak gdyby nie było żadnej przerwy, żadnej luki, żadnej wątpliwości.

- Wszystkie jego interesy są w zawieszeniu. Jeśli uda ci się odblokować przepływ pieniędzy, jak to określił Bill, możesz wyznaczyć cenę. Mówimy teraz o poważnych pieniądzach.

- I o poważnym przestępstwie - odparł sucho Zen. - Pracownicy państwowi nie mają prawa podejmować żadnych obowiązków opłacanych z innych źródeł...

- Och, daj spokój, Aurelio! I tak pracujecie tylko do południa. No i Bill może załatwić, że pieniądze zostaną przelane na numerowane konto w Szwajcarii, jeśli sobie tego zażyczysz.

Była to kusząca propozycja, ale Zen nigdy by jej nie przyjął, gdyby Tania nie dostała sądowego nakazu eksmisji z mieszkania w Parione, które dla niej znalazł i za które opłacał czynsz. Jej sytuacja zawsze była niepewna - właściciel próbował pozbyć się jej od ponad roku - ale i ona, i Zen wciąż unikali rozmowy o przyszłości. Cokolwiek miało się wydarzyć, konieczne było podjęcie bolesnych i trudnych decyzji, a oboje milcząco zgodzili się odkładać je jak najdłużej, aby nie zakłócić czaru okresu frywolnej nieodpowiedzialności, który po części krył się

w ich świadomości, że stan taki nie może trwać wiecznie.

Samo to, iż Tania zasugerowała, że mogłaby zamieszkać z Zenem - i co było niemożliwe do uniknięcia, z jego matką - było poważnym ustępstwem z jej strony. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej szalałby ze szczęścia. Próbował przekonać ją, by się do niego wprowadziła, od chwili gdy odeszła od męża. Kiedy jednak chwila ta w końcu nadeszła, poczuł natychmiast, ni mniej, ni więcej, tylko niepokój, odkrył bowiem, że Tania i jego matka świetnie się dogadują. Zostały sobie przedstawione miesiąc wcześniej i ku zaskoczeniu Zena, okazało się, że rozumieją się znakomicie. Liczył na to, że będzie mógł panować w domu na zasadzie *divide et impera*. Jeśli matka i kochanka lubią się nawzajem, jaka będzie jego sytuacja?

Musiał zdrzemnąć się na chwilę, ponieważ następną rzeczą, z której zdał sobie sprawę, było potężne łupnięcie i wstrząs, który rzucił go na deski pokładu. Podniósł wzrok i zobaczył ogromną ścianę z cegieł wznoszącą się ponad łodzią.

- Porwali go!

Marco przywiązał cumę do metalowego kółka w murze. Z niesmakiem wskazał na metalową drabinkę na wysokiej ceglanej ścianie, śliską i pokrytą wodorostami.

- Jak mógłbyś sprowadzić po czymś takim opierającą się ofiarę? - zapytał. - Nawet jeśli był nieprzytomny, żeby znieść go na łódź, trzeba by użyć dźwigu.

Pochylił się nad Zenem, wznosząc w górę palec.

- A właśnie w tamto popołudnie za nic nie udałoby ci się podплыnąć tutaj łodzią. Był to jeden z najniższych odpływów, jakie pamiętam. Ruch na całej lagunie zamarł! Wyglądało to tak, jakby ktoś wyciągnął korek z wanny. Błoto, wszędzie, jak okiem sięgnąć. - Marco Paulon wyciągnął się na pokładzie. - Uwierz mi, Aurelio. Ten twój Amerykanin po prostu zwiął! Pewnego dnia pojawi się z powrotem, cały i zdrowy, tak jak Tonio Puppini. I czy ktoś może mieć im to za złe? Zdarza się przecież czasami taka chwila, kiedy ma się ochotę zniknąć z własnego życia, co?

## V

W słońcu zawirowała miniaturowa burza śnieżna, na chwilę zasłaniając postać mężczyzny w budce telefonicznej.

- Tak, natychmiast - powiedział. - Aurelio Zen. Z, E, N. *vicequestore*, Criminalpol.

Wiatr osłabł i drobne kawałki polistyrenu leniwie opadły na ziemię. Mężczyzna podniósł jeden i zaczął się nim bawić.

- Proszę mu przypomnieć o sprawie Renata Favellonie-go. Proszę przypomnieć, że powiedział wtedy, iż gdybym kiedyś czegoś potrzebował, mam się z nim skontaktować. Zadzwońię dokładnie za pół godziny. Jeśli do tej pory nie otrzymam satysfakcjonującej odpowiedzi, będę się musiał poważnie zastanowić nad dalszymi posunięciami.

Powiew wiatru uniósł w górę białe plastikowe śmieci i poniósł je w narożnik placyku. Aurelio Zen rzucił kawałek polistyrenu, który obracał w palcach, odłożył słuchawkę na widelki i wyciągnął kartę telefoniczną.

Na *campo*, nad którym wznosił się potężny kościół z cegły, nie było żadnego baru ani kawiarni. Zen skręcił w uliczkę pomiędzy domami naprzeciwko budki. Przeszedł przez dwa mostki przerzucone nad kanałami o szerokości rowu melioracyjnego. Kanałem przepłynęła podarta torba z reklamą sieci supermarketów, niesiona falą przyływu jak poszarpana meduza.

Otworzył oszklone drzwi pod szyldem z napisem ENO-TECA. W niewielkim mrocznym pokoju kilku starszych mężczyzn sęczyło wino i ochryplymi głosami wymieniało uwagi w syczącym dialekcie. Zen zamówił kieliszek czerwonego *raboso* i bułkę ze śmietankowobiałą pastą z wędzonego dorsza, czosnku i oliwy. Usadowił się w kącie, spoglądając na zegarek. Powiedział: trzydzieści minut, minęło już pięć. Nie należy się spóźniać. Był to jego jedyny, jakże słaby, kontakt z najwyższymi szczeblami władzy. Musiał odpowiednio rozegrać tę sprawę, problem polegał jednak na tym, że teraz nikt już nie wiedział, co to znaczy „odpowiednio”.

Kilka lat wcześniej Zen podjął się, na życzenie jednej z ważniejszych partii politycznych Włoch, udziału w śledztwie dotyczącym morderstwa popełnionego na Sardynii. Mimo, że wynik był odmienny od zakładanego, okazało się, że odpowiada interesom rzeczonyj partii równie dobrze, o ile nie lepiej jeszcze. Po powrocie do Rzymu Zen został zaproszony na przyjęcie do siedziby partii, Palazzo Sisti, gdzie starszy już mąż stanu, który stał na jej czele, słowami: „Gdyby pan kiedyś czegoś potrzebował...”, potwierdził, że partia ma u Zena dług.

W owym czasie podobna obietnica miała wartość czeku bez wpisanej sumy. Można ją było jednak, jak każdy czek, zrealizować jedynie raz. Rozwaga nakazywała zatem, by nie czynić tego zbyt pośpiesznie - nie było jednak najmniejszego pośpiechu. Podobna obietnica zawsze zachowuje swoją wartość. Nawet śmierć polityka, który ją złożył, nie umniejsza wartości przyjętego przezeń zobowiązania. Cały system, w którego ramach działał Zen i wszyscy inni, opierał się na podobnych niepisanych umowach, które szanowano niezależnie od losu poszczególnych osób. Gdyby cokolwiek przydarzyło się *l'onorevole*, obietnica, którą złożył Zenowi, prze-szłaby po prostu na jego następców, wraz z niezliczonymi podobnymi zobowiązaniami.

Teraz jednak doszło do czegoś, czego nikt się nigdy nie spodziewał. Począwszy od śledztwa dotyczącego łapówek rzekomo wypłaconych celem uzyskania kontraktów na budowy, sędziowie śledczy z Mediolanu odkryli stopniowo cały system łapówek, kopertówek, podarunków, prezentów i lewych funduszy, który obejmował zarówno rządzących, jak i całą gospodarkę kraju. Oczywiście wszyscy od zawsze wiedzieli o istnieniu tego systemu. Co więcej, wszyscy z niego korzystali bodaj w niewielkim stopniu: aby przyspieszyć działanie

biurokratycznego młyna czy uciec z potwornego urzędowego labiryntu. Nikt się nie spodziewał, że zasięg korupcji zostanie kiedykolwiek ujawniony, a już na pewno nie oczekiwał, że ci, którzy korzystali z niego na szczytach władzy, zostaną aresztowani i postawieni przed sądem.

W końcu podejmowano już niezliczone śledztwa i wszystkie one spełzały na niczym. Właśnie w celu uniknięcia możliwych kłopotów Palazzo Sisti poprosił Zena o interwencję w sprawie sardyńskiej, w którą zaplątany był jeden z pośredników, niejaki Renato Favelloni. Podobnie jak wiele razy w przeszłości, Zen odniósł wówczas sukces. W miarę jednak jak mediolańscy sędziowie kontynuowali śledztwa, wymieniając coraz słynniejsze nazwiska i podpisując nakazy aresztowania „ludzi poza wszelkim podejrzeniem”, coraz bardziej widoczne stawało się, że coś się zmieniło. Labirynt władzy istniał nadal, ale w jego centrum nie było już nikogo.

Minotaur padł martwy i dławiące wiatry perswazji i gróźb, wcześniej powstrzymujące wszelkie wysiłki nakreślenia granic jego imperium, straciły na sile. Sędziowie bez przeszkód wykonywali swoją pracę. Renato Favelloni również został aresztowany, ale wierny swym zasadom natychmiast dobił targu z oskarżycielami, zdradzając swoich pracodawców w zamian za obniżenie przyszłego wyroku. Efektem były liczne komunikaty podające do wiadomości publicznej nazwiska osób, przeciwko którym podjęto postępowanie w sprawach o „nielegalne praktyki” i „nieściskości proceduralne” -jak gdyby podobne praktyki i procedury nie były prawem i normą przez minione pół wieku. Najbardziej znane nazwisko na liście należało do samego *l'onorevole*, sędziowie domagali się pozbawienia go immunitetu parlamentarnego, aby możliwe było podjęcie przeciwko niemu postępowania sądowego.

Już samo to było niesłychane, wprost niewyobrażalne, ale ogólnie zakładano, że sprawa na tym się zakończy. Podobnie jak wszyscy posłowie do włoskiego parlamentu, *l'onorevole* posiadał chroniący go przed postępowaniem sądowym immunitet, którego pozbawić go mógł jedynie komitet złożony z posłów. Prawdopodobieństwo, że do tego dojdzie, było rzeczywiście bardzo niskie. Politycy zawsze wykazywali zrozumiałą opór wobec dopuszczania wymiaru sprawiedliwości do swoich spraw. Nie istniały żadne przyczyny, dla których z własnej woli mieliby zezwolić na podjęcie postępowania przeciwko człowiekowi, który od ponad piętnastu lat zasiadał jako minister w kolejnych rządach, jednej z najważniejszych i najbardziej wpływowych osobistości w kraju, powszechnie uznawanej za kandydata na przyszłego prezydenta. Jeśli dobiorą się do niego, kto wówczas pozostanie bezpieczny?

Ci jednak, którzy rozumowali w ten sposób, nie dostrzegali zasięgu dokonujących się zmian, co nie było szczególnie zaskakujące. Dla nich upokarzające było już samo stwierdzenie, iż prawdziwe przyczyny tego, że sędziowie z Mediolanu odnieśli sukces tam, gdzie wielu ich kolegów zawiodło, miały więcej wspólnego z upadkiem Związku Radzieckiego niż z czymkolwiek, co wydarzyło się w ich rodzinnym kraju. Stwierdzenie takie wiązało się również z koniecznością przyznania, że od roku 1945 włoskie życie polityczne było jedynie teatrem marionetek, reżyserowanym przez walkę między Wschodem a Zachodem. Teraz sznurki zostały przecięte, a teatrzyk zamknięty. Dwa dni wcześniej, co podała gazeta, którą Zen dostrzegł na wodach kanału, komitet parlamentarny, „kierując się najgłębszym przekonaniem, że w zaistniałej sytuacji działanie sprawiedliwości powinno zyskać poparcie ze wszystkich możliwych stron”, przegłosował, iż sędziowie z Mediolanu mogą podjąć postępowanie przeciwko ich czcigodnemu i szanownemu koledze.

Dla *l'onorevole* i jego współpracowników było to gorsze od wyroku śmierci. Na wiele lat miał zniknąć w Archipelagu Gułag procesu sądowego, oczekując ostatecznego wyroku, który nie będzie miał już zbytniego znaczenia. Cios został zadany. Decyzja komitetu parlamentarnego była o wiele groźniejsza od wszystkiego, co mogli zrobić sędziowie, ujawniała bowiem, do jakiego

stopnia *l'onprevole* był uwikłany w zarzucaną mu działalność, a przede wszystkim dowodziła, że przestał być ważnym graczem na politycznej scenie.

Zen miał jedynie nadzieję, że przysługa, o którą zamierza poprosić w zamian za swoją dawną pomoc, jest na tyle drobna, że *l'onorevole* będzie mógł ją wyświadczyć bez żadnego kłopotu, nawet w zaistniałych okolicznościach. Spojrzał na zegarek. Za pięć minut powinien się o tym przekonać. Wsunął do ust ostatni kęs *bacala mantecato*, popił ostatnim łykiem wina i podszedł do baru, by zapłacić.

Kiedy odwrócił się ku drzwiom, zderzył się z dwoma mężczyznami, którzy właśnie weszli do środka. Zatopiony w myślach, próbował precyzyjnie się do wyjścia, jednak jeden z nowo przybyłych złapał go za ramię.

- Wielki Boże, Aurelio, to ty?

Zen obejrzał się i zaparło mu dech w piersiach.

- Tommaso!

Zen i Tommaso patrzyli na siebie niepewnie, podczas gdy trzeci mężczyzna szacował ich wzrokiem z chłodnym uśmiechem.

- Nie mogę teraz z tobą rozmawiać - powiedział z pośpiechem Zen. - Zatrzymasz się tutaj? Wracam za dziesięć minut, może nawet szybciej.

Na placu skrawki białego plastyku nadal dziko wirowały w podmuchach przybierającego na sile wiatru. Kiedy Zen podchodził do telefonu, ten nagle się rozdzwonił. Aurelio zatrzymał się, wpatrując się w aparat z napięciem. Spojrzał na zegarek. Minęło dokładnie trzydzieści minut od jego telefonu do Palazzo Sisti. Podniósł słuchawkę.

- Halo?

Cisza w słuchawce pełna głosów, pusta, dźwięczna, przerywana była trzaskami i brzęknięciami.

- Halo? Halo?

Odpowiedź, która w końcu zabrzmiała, była spokojna i niespieszna, jak gdyby głos kpił sobie z niepokoju Zena.

- Moi doradcy poinformowali mnie, że posunął się pan do gróźb przeciwko mnie. Pewien jestem, że to tylko następna z niezliczonych pomyłek i błędów, jakimi zawinili.

Jezu Chryste! To przecież *l'onorevole* we własnej osobie! Sytuacja w Palazzo Sisti musi być naprawdę krytyczna, skoro zmuszony jest sam załatwiać podobne sprawy przez telefon.

- Nic nie mogłoby być bardziej odległe od prawdy! - Zen usłyszał własny przeproszający głos. - Nawet nie śniło mi się, by...

- Może nie, wielu jednak jest takich, którzy postąpiliby inaczej. Ludzie, dla których i z którymi pracowałem przez ćwierć wieku! Teraz twierdzą, że mnie nie znają. Plują mi w twarz i przekazują mnie w więzach i kajdanach w ręce moich wrogów!

- Zadzwońm jedynie po to...

- Mogą sobie myśleć, że już nie żyję, ale jeszcze się przekonają! W najmniej spodziewanym momencie powstanę z martwych i zasiądę, by sądzić tych, którym zdawało się, że sami mogą mnie osądzać.

Zakończywszy swoją przemowę, *l'onorevole* umilkł.

- Halo? - powiedział z wahaniem Zen.

- Ciągłe jestem tutaj, niezależnie od tego, co oni myślą.

- Kiedy spotkaliśmy się w Palazzo Sisti, *onorevole*, po zamknięciu sprawy Burola, był pan na tyle uprzejmy, by stwierdzić, że gdybym kiedykolwiek potrzebował jakiejś przysługi,

mam się z panem skontaktować. Jedyne z tego powodu pozwoliłem sobie zatelefonować.

Lepka przymilność jego własnego głosu sprawiła, że Zen poczuł potrzebę natychmiastowego przepłukania ust, ale niełatwo jest w jednej chwili wymazać dziesięciolecia służalczości.

- Czego chcesz? - zapytał *l'norevole*. - Nie wszystko mogę w obecnych czasach, ale...  
Zen umilkł.

- Czy mogę mówić zupełnie otwarcie?

- Ależ proszę! Uważasz mnie za głupca? Właśnie dlatego to ja zadzwoniłem do ciebie!

Nasz pracownik ustalił numer, z którego telefonowałeś. Dzwonię z bezpiecznego aparatu. Nie mam jednak dla ciebie całego dnia, Zen. Pytam po raz drugi: czego chcesz?

Plac był nadal pusty, jednak Zen przysunął słuchawkę bliżej ust i ściszył głos.

- Chodzi o dostęp do akt policyjnych, *onorevole*.

Na krótką chwilę zapadła cisza.

- Skłonny byłbym sądzić, że jest to jedna z tych nielicznych dziedzin, w których masz większe możliwości działania niż ja.

- Te akta zostały utajnione.

- Dlaczego?

- Między innymi tego chciałbym się dowiedzieć. Chodzi o zaginięcie Amerykanina nazwiskiem Ivan DurrIDGE.

Cisza zapadła teraz na dłużej. Zen obserwował unoszące się w podmuchach wiatru ścinki plastyku i milczał.

- Wydaje mi się, że przypominam sobie tę sprawę - powiedział w końcu *l'onorevole*. - Dlaczego cię interesuje?

Zen wiedział, że próba ukrywania prawdy przed tym człowiekiem nie ma sensu.

- To prywatna sprawa - odparł pospiesznie. - Rodzina zwróciła się do mnie z prośbą o zajęcie się śledztwem, przedtem jednak muszę się dowiedzieć, dlaczego zostało utajnione. Nie mogę sobie pozwolić na to, by nastąpić komuś na odcisk.

W słuchawce rozległ się suchy śmiech.

- Ja też nie.

Ponownie zapadło milczenie.

- Będę musiał dowiedzieć się, czyje interesy wchodzi tutaj w grę - odezwał się w końcu głos. - Popytam się. Zakładając, że moje źródła wydadzą *nihil obstat*, jak chciałbyś otrzymać te materiały?

Zen dostrzegł kątem oka jakiś ruch. Obejrzał się za siebie. Młody człowiek w drelichu niósł na ramionach cztery drewniane krzesła.

- Skontaktuję się jeszcze dzisiaj i przekażę szczegóły pańskim pracownikom. Dziękuję bardzo, że zechciał mi pan poświęcić tak wiele swego cennego czasu, *onorevole*. Nie potrafię wprost wyrazić, jak bardzo jestem panu wdzięczny.

W słuchawce rozbrzmiewały już tylko trzaski, ale Zen dopiero po dłuższej chwili odwiesił ją na widełki i odszedł.

Kiedy wrócił do *osteria*, Tommaso siedział samotnie przy stoliku naprzeciwko wejścia. Podniósł się, kiedy Zen stanął w drzwiach, a później krzyknął do barmana, by przyniósł butelkę wina.

- Zaczynałem już myśleć, że wszystko to sobie wymyśliłem! - zawołał, chwytając Zena za ramiona, jak gdyby chciał w ten sposób upewnić się, że nie ma do czynienia z duchem. - Ile to już lat? Nawet nie zadzwoniłeś, żeby dać mi znać, że znowu jesteś w mieście! Aurelio, szczerze mówiąc, czuję się obrażony!

- Przyjechałem dopiero dzisiaj rano, Tommaso. Miałem właśnie do ciebie dzwonić.

Zen uszczypnął przyjaciela w policzek i posłał mu jeden z rzadkich niewymuszonych uśmiechów. Tommaso Saoner wyglądał dokładnie tak jak zawsze, od kiedy Zen mógł go pamiętać: wieczna szczecina na policzkach, grube, pozbawione wdzięku rysy twarzy, okulary o prostokątnych szklach i szerokich czarnych oprawkach, przez które Tommaso spoglądał na świat jak przez dwa telewizory.

- Twoje zdrowie, Aurelio! - krzyknął Tommaso, nalewając wina.

- I twoje!

Opróżnili kieliszki.

- Gdzie twój towarzysz?

Twarz Tommasa spoważniała.

- Ferdinando? Musiał już iść.

- Ferdinando Dal Maschio?

Tommaso rozpromienił się w jednej chwili.

- Słyszałeś o nim? Pozycja ruchu poprawia się oczywiście z każdym dniem, mamy coraz więcej członków, ale nie miałem pojęcia, że mówi się już o nas w Rzymie!

Zen wyciągnął paczkę papierosów, później rozejrzał się dookoła.

- Mogę tutaj palić?

Tommaso zmarszczył brwi.

- A niby czemu nie?

- Dzisiaj rano dowiedziałem się, że rada miejska nakazała wyznaczenie stref dla niepalących we wszystkich miejscach publicznych.

Tommaso wybuchnął głośnym śmiechem.

- Och, na miłość boską! To tylko dla turystów. Nie ma mowy o podobnych bzdurach w prawdziwych weneckich barach, jak ten, gdzie prawdziwi weneccjanie piją dobre weneckie wino. W każdym razie ta banda oszustów i złodziei z rady wyleci z hukiem, kiedy tylko lud będzie miał możliwość wyrazić swoją pogardę. A kiedy my przejmemy władzę, odwołamy wszystkie bezsensowne przepisy.

Zen poczęstował przyjaciela papierosem.

- My? - zapytał.

Tommaso odmówił gestem.

- Mam na myśli nasz ruch. *Nuova Repubblica Véneta*. Co mówią o nas w Rzymie?

Zen zapalił papierosa, przyglądając się Saonerowi.

- Nie mam pojęcia.

- Ale powiedziałeś przecież...

- Słyszałem o Dal Maschciu, ale nie w Rzymie, a już tutaj. Od jego żony, Cristiany Morosini. Jej matka jest naszą sąsiadką.

Uniesienie Tommasa zniknęło równie nagle, jak się pojawiło.

- Nie zwracaj najmniejszej uwagi na to, co ona wygaduje - odpalił. - To wszystko babskie bzdury. Nie uwierzysz, co Ferdinando musiał znieść z tą dziwką. Miała mnóstwo szczęścia, że dawno już się jej nie pozbył, przetrzepawszy najpierw porządnie skórę!

Zen obserwował przyjaciela zza obłoku dymu.

- Bez wątplenia uznał, że podobne zachowanie nie byłoby wskazane z politycznego punktu widzenia.

Tommaso nie dosłyszał ironii w głosie Zena, więc z powagą skinął głową.

- Możesz mi wierzyć, zasłużyła sobie na to. Większość kobiet byłaby dumna z tego, że ich mężowie potrafią samodzielnie podjąć się zmiany polityki w Véneto, wyrwać się z zastanych



kolein i zaproponować nową, porywającą wizję Wenecji dwudziestego pierwszego wieku, niepodległej i znowu potężnej!

Oczy Tommasa lśniły entuzjazmem. Zen nalał następny kieliszek lekkiego musującego wina.

- Ale nie Cristiana - mówił dalej z goryczą Saoner. -Nie, ona zrobiła wszystko, co w jej mocy, by podkopać jego pozycję, najpierw ośmieszając go publicznie, a później przyprawiając mu rogi z jakimś reporterem ze stałego łądu. Czy można się dziwić, że szukał pocieszenia w ramionach swoich zwolenniczek? - Wychylił kieliszek i z widocznym wysiłkiem spróbował zmienić temat. - Dostyc polityki. Jakież to szczęśliwe wiatry przyniosły cię do nas, Aurelio?

Zen westchnął, jak gdyby rozczulał się nad samym sobą.

- *Mamma* dowiedziała się od Rosalby, że Ada Zulian skarżyła się na jakieś kłopoty, ktoś ją podobno prześladuje. Oczywiście, wszystko to dzieje się wyłącznie w jej wyobraźni, ale dla mojej matki Ada to wciąż *la contessa*, więc nie miałem innej możliwości, jak tylko wystąpić o przeniesienie, i przyjechałem, by przyjrzeć się całej sprawie osobiście.

Powtarzając ten stek kłamstw, Zen zamyślił się nad tym, jak jego alibi zmienia się i rośnie, jak przybywa mu szczegółów, a przy każdym powtórzeniu staje się zgrabniejsze. Jeśli nie będzie ostrożny, sam wkrótce w to wszystko uwierzy.

Tommaso poważnie pokiwał głową.

- Zabawne, właśnie wczoraj zastanawialiśmy się nad sprawą rodziny Zulianów. Wiele osób naciskało na *contessa*, by sprzedała starą fabrykę, ale ona odmówiła, jak prawdziwa weneccjanka. „*Chi vende, scende*”. Dyskutowaliśmy właśnie nad kwestią wykorzystania podobnych miejsc, kiedy dojdziemy już do władzy. Ferdinando posłużył się sprawą fabryki Zulianów jako przykładem. Jak się twierdzi, międzynarodowe konsorcjum zaproponowało fortunę za tereny na Sant'Alvise, gdzie zamierzało wybudować kompleks hoteli. Nic podobnego nie wchodzi oczywiście w grę, ale musimy podjąć decyzję, czy przeznaczyć takie tereny na budownictwo mieszkaniowe, czy też na rozwój przemysłu lekkiego. Ferdinando uważa, że...

Tommaso Saoner przedstawił szczegółową analizę powyższej kwestii. Zen kiwał głową i próbował opanować ziewanie. Nigdy nie żywił specjalnego zainteresowania dla polityki, a już na pewno nie dla jej zwariowanych skrajności. Nie dziwił się już, że Cristiana straciła cierpliwość, zmuszana do znoszenia podobnych występów we własnym domu. Kiedy obraz jej zmysłowych, pełnych kształtów pojawił się w jego wyobraźni, Zen zaczął się leniwie zastanawiać nad tym, jak wiele z tego, co powiedział o niej Tommaso, jest prawdą. Czy Cristiana naprawdę jest dziwką. Odpychając od siebie fantazje, z poczuciem winy przypomniał sobie, że powinien zadzwonić do Tani.

- ...w kontekście możliwej długoterminowej strategii rozwoju - zakończył Saoner, obserwując Zena w sposób, który sugerował, że czas na odpowiedź.

- Oczywiście! - powiedział Zen. - Zgadzam się w zupełności!

Tommaso zmarszczył brwi.

- Naprawdę?

- W zasadzie tak - dodał szybko Zen.

- Jakiej zasadzie? Jediną zasadą, jaką można tutaj rozpatrywać, jest stwierdzenie, że Wenecja powinna należeć do nas, weneccjan, a nie grupki cudzoziemców, którzy wykupują nieruchomości po wywindowanych cenach, na które nie stać naszych ludzi, tak że młodzi muszą emigrować na stały łąd, podczas gdy połowa domów w mieście stoi pusta.

Zen zgasił papierosa.

- Ja też jestem teraz cudzoziemcem, Tommaso. A mój dom stoi pusty.

Tommaso spojrział na niego z zaskoczeniem. Wybuch śmiechu zabrzmiał jak agresywne

szczeknięcie.

- Nie żartuj sobie, Aurelio! Ty nie musisz się usprawiedliwiać. Jesteś jednym z nas, jesteś prawdziwym weneccy-ninem z urodzenia i wychowania. Nic nas nie obchodzi, co robisz ze swoją własnością. - Ścisnął dłoń Zena i spojrzał mu prosto w oczy. - Dlaczego się do nas nie przyłączysz? Ruch potrzebuje ludzi takich, jak ty.

Zen z zakłopotaniem wzruszył ramionami.

- Nic o nim nie wiem - powiedział, cofając dłoń.

- Wiesz o nim wszystko - odpowiedział gorączkowo Tommaso. - Czujesz to we krwi.

Wpatrywał się w Zena z dzieciinną otwartością i napięciem. Aurelio poczuł się nieco niepewnie. Ponownie wzruszył ramionami.

- Nigdy w życiu nie zapisałem się do żadnej partii.

- Jesteśmy ruchem, nie partią! A ludzie, którzy tłoczą się, by się do nas przyłączyć, to właśnie ci, którzy nigdy nie mieli nic wspólnego z żadnymi partiami, którzy mają już dosyć starego skorumpowanego gangu i pustych sloganów. Jestem pewien, że dobrze wiesz, o czym mówię. Słyszałem już, że dwa lata temu zostałeś wykorzystany przez tych skurwysynów, którzy podpierają zmurszały rząd! Mówię o tym morderstwie na Sardynii. Palazzo Sisti tkwił w bagnie po uszy, może się mylę? Ale w końcu cała wina spadła na jakąś miejscową dziewczynę, która ku wielkiej uldze wszystkich dała się zabić. Typowe! Ale teraz wszystko się zmienia, właśnie dzięki ruchom takim, jak nasz. - Ponownie chwycił Zena za ramię. - Jutro wieczorem mamy zebranie, Aurelio. Może byś przyszedł? Spotkasz ludzi, którzy próbują coś zrobić tu i teraz, i wtedy może zmienisz zdanie.

- Zobaczę - odpowiedział Zen niezobowiązująco. - Wydaje mi się, że mogę być zajęty.

Z twarzy Tommaso zniknęło podniecenie. Wstał od stołu i rzucił na blat kilka banknotów.

- No cóż, nie będę cię dłużej zatrzymywał, Aurelio. Co tym razem niepokoi *contessa*

Czy znowu odwiedzają duch jej zmarłej córeczki?

- Tym razem to kościotrupy w sypialni - odparł Zen.

Tommaso roześmiał się i pokiwał głową.

- Biedna staruszka.

Razem podeszli do drzwi.

- Czy ktoś tak naprawdę wie, co stało się z Rosettą Zulian? - zapytał Zen, kiedy wyszli już na zadaszony pasaż.

- Zniknęła - odparł Tommaso wymijająco.

Zen skinął głową.

- Ale wygląda na to, że nikt nie wie ani kiedy, ani gdzie.

- Czy to ma jakieś znaczenie? Ta było tak dawno temu.

- Nie dla Ady - stwierdził Zen. - Jestem pewien, że wymyśliła sobie tych upiornych gości, którzy zatrują jej życie. Ale podobnie jak wszystkie sny, musi to być zniekształcony obraz czegoś realnego. Im więcej dowiem się o tym, co naprawdę się stało, tym łatwiej będzie mi ustalić, co się właściwie dzieje teraz.

- Wygląda mi to na zajęcie dla psychiatry, nie dla policjanta - zauważył wymijająco Tommaso. - Zamierzał już skręcić w boczną uliczkę, kiedy nagle zatrzymał się i spojrzał na Zena. Okulary błysnęły w mroku. - Znam kogoś, kto prawdopodobnie wie, co się stało - powiedział powoli.

- Kto to jest? - zapytał Zen.

Tommaso Saoner uśmiechnął się znacząco.

- Przyjdź jutro na zebranie, to go poznasz. Campo Santa Margherita, o siódmej wieczorem. - Jowialnie poklepał Zena po ramieniu. - Wspaniale, że znowu wróciłeś do miasta,

Aurelio! Wenecja nie jest Wenecją bez swych synów. Do jutra!

## VI

Aurelio Zen powoli szedł do domu przez ciemniejące ulice. Drogi prowadzące do stacji kolejowej i parkingów wypełniała już fala dojeżdżających do pracy, studentów i turystów, która codziennie wlewała się do miasta, na kilka godzin podnosząc liczbę mieszkańców do poziomu sprzed pięćdziesięciu lat i tworząc złudzenie ożywienia. Jednak wraz z nadejściem wieczoru fala odpływała, unosząc tłum i odsłaniając żalosną rzeczywistość.

Rozmyślania o codziennym rytmie ludzkich fal przypomniały Zenowi, co Marco Paulon powiedział o sprawie Durridge'a: jeśli ktokolwiek chciał porwać Ivana Durridge'a z jego wyspy, nie mógł wybrać do tego gorszej chwili. Marco aż nazbyt dobrze pamiętał ten dzień. Odpływ był wtedy naprawdę wyjątkowy, woda w lagunie opadła ponad metr poniżej przeciętnego poziomu i łódź Paulona została uwięziona na płyciźnie w połowie drogi na Murano.

- Tkwiłem tam cztery godziny w deszczu z ładunkiem fasoli i solonego dorsza. Pływam tam od lat, niezależnie od przyływów i odpływów, i nigdy jeszcze nie wszedłem na mieliznę. Padało tak, że trzy razy musiałem wypompowywać wodę z łodzi, a dookoła nie było dosyć wody, żeby utopić motyla! Kiedy więc usłyszałem wiadomość, że ten Amerykanin został porwany, pomyślałem sobie, że chciałbym mieć tę łódź, którą posłużyli się porywacze. Tego popołudnia nie można było zbliżyć się do wyspy na odległość pięćdziesięciu metrów!

Wspomnienie słów Marka obudziło przelotną myśl -myśl, która miała coś wspólnego nie z Durridge'em, tylko z Adą Zulian. Zen bezskutecznie próbował ją pochwycić, gdy przemykała na krawędzi świadomości. Szedł przed siebie, skręcając bez najmniejszego wahania to w prawo, to w lewo, nie zdając sobie sprawy z tego, że podjął decyzję. Podświadoma doskonała znajomość miasta wytworzona przez całe lata chłopiących wędrówek, dziesięć lat włóczęg po labiryncie Wenecji, powróciła niespodziewanie. Minęło wprawdzie wiele czasu, ale miasto nie zmieniło się prawie wcale. Myślał o swej rozmowie z *l'onorevole*, o sprawie Burola i przerażającej pustce sardyńskiego krajobrazu. Czuł się tam bezbronny, niekompetentny, nagi, zupełnie jak wyciągnięta z wody ryba. Tutaj wszystko było inaczej. Maszerował, pewny siebie i bezpieczny, osłonięty przez miasto, którego kręte, zamknięte w sobie tajemnice były dla niego równie znajome, jak to, co działo się w jego własnym umyśle.

Durridge, Zulian... Co łączyło te dwie sprawy? Włamywacze? Ale upiory z opowieści Ady Zulian, o ile istniały poza jej fantazją, wydawały się całkowicie bezinteresowne, pozbawione jakiegokolwiek motywacji poza chęcią złośliwej zabawy. Właśnie na tym polegał zasadniczy problem: nie można było wprost uwierzyć, nawet nie biorąc pod uwagę psychicznej choroby Ady, by ktoś chciał zadawać sobie tyle trudu dla tak nikłych efektów. Po co tracić czas na straszenie staruszki, skoro można było wykorzystać swoje talenty, by zarobić fortunę na niepokojeniu bardziej wpływowych mieszkańców miasta?

Po co porwano amerykańskiego milionera, skoro nikt nie zażądał okupu? Może Marco Paulon się nie mylił i Durridge z sobie tylko znanych powodów po prostu sfingował dramatyczne zniknięcie? Z całą pewnością nic nie wskazywało na to, by uważał, że zagraża mu jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Mimo, że jego dom był fortecą, trudno wyobrazić sobie mniej bezpieczne miejsce. Oktagonony, nazywane tak od swego kształtu, zostały wzniesione dla obrony trzech przejść w piaskowej łasze oddzielającej lagunę od otwartego morza. Większość była w ruinie, z wyjątkiem oktagonu naprzeciwko Porto di Malamocco, zakupionego w latach pięćdziesiątych przez pewną angielską ekscentryczkę, która kazała go odbudować.

Wielu bogatych ludzi marzy o prywatnych wyspach, ale wyspa wewnątrz weneckiej laguny - w zasięgu wzroku i z łatwym dostępem do miasta, a przy tym doskonale odosobniona,

zielona i samotna - to przywilej dostępny dla bardzo nielicznych. Ivan DurrIDGE wykorzystał okazję, kiedy stara i chora Angielka sprzedała swój *ottagono* za niewielką fortunę. Zen spodziewał się krzykliwie luksusowego pałacyku, zaskoczył go więc widok, który czekał na niego na szczycie metalowej drabinki. Sztuczna wyspa porośnięta była drzewami, krzewami i roślinami tworzącymi zgrabny, naturalny ogród.

Na środku stała kordegarda, długi, niski budynek cechujący się wojskową surowością, który został zręcznie przebudowany na rezydencję przy zachowaniu jego zasadniczych cech, a jednak w taki sposób, że sprawiał teraz wrażenie wiejskiego dworku. Jedynym zauważalnym zabezpieczeniem była wyblakła tabliczka ostrzegająca intruzów przed złym psem. Po samym psie nie było nawet śladu, co pozwalało się domyślać, biorąc pod uwagę stan tabliczki, że opuścił wyspę wraz z poprzednią właścicielką. Zen spacerował leniwym krokiem po posiadłości, raczej podziwiając piękno tego miejsca i czując, że powinien spędzić tutaj trochę czasu, by usprawiedliwić kłopot, na jaki naraził Marca Paulona, niż w nadziei, że może znaleźć coś ważnego. Zatrzymał się właśnie na trawniku przed domem, podnosząc wzrok na postrzępioną plamę błękitu pomiędzy gałęziami drzew, kiedy z zamyślenia wyrwał go nagły okrzyk.

- Hej!

Zen poderwał się gwałtownie. Nie przyszło mu do głowy, że na wysepce może znajdować się ktoś oprócz niego. Rozejrzał się dookoła. Przy narożniku domu stał starszy mężczyzna w fartuchu roboczym.

- Co pan tu robi? - zapytał burkliwym głosem.

Zen z wystudiowaną nonszalancją zapalił papierosa.

- No? - zapytał mężczyzna, ruszając w jego kierunku przez trawnik. - To własność prywatna.

- Policja.

Wyrażająca milczącą wrogość twarz mężczyzny nawet nie drgnęła. Pokrywała ją sieć koncentrycznych zmarszczek, jak fale na wodzie.

- A wy kim jesteście...? - rzucił Zen.

- Calderan, Franco.

- Co tu robicie?

- Co robię? Ja tu mieszkam! Jestem ogrodnikiem i zajmuję się domem. Pracowałem dla angielskiej *signora*, a potem dla Amerykanina.

Zen pociągnął sceptycznie nosem, jak gdyby uznał to wyjaśnienie za oczywiste kłamstwo.

- Gdzie byliście, kiedy wasz pracodawca zniknął?

Mężczyzna zmarszczył brwi.

- Składałem już zeznania.

- Więc złożycie je jeszcze raz! - rzucił Zen. - A może boicie się, że szczegóły nie będą się zgadzać? Może zapomnieliście już stek kłamstw, jakie wymyśliliście za pierwszym razem?

Franco Calderan wbił wzrok w trawnik, na którego nieskalanej powierzchni widać było dwie równoległe linie przypominające ślady nart. Spojrzał na Zena, jak gdyby to on właśnie ponosił odpowiedzialność za tę skazę.

- Powiedziałem im prawdę! To był wtorek, mam wtedy wychodne. Powiosłowałem do Alberoni i złapałem autobus, żeby spotkać się z siostrą i jej rodziną, jak co tydzień. Oni mogą to potwierdzić!

Uśmiech Zena jednoznacznie dawał do zrozumienia, jak cenne jest alibi opierające się na zeznaniach krewnych podejrzanego.

- Kto wiedział, że macie wolne we wtorki?

- Nikt! Wszyscy!

- Najpierw mówicie jedno, potem drugie! Dlaczego kłamięcie? Kogo próbujecie ochraniać?

Zen umilkł, czując pogardę dla samego siebie. Dlaczego, u diabła, atakuje tego staruszka? Pracował w policji już tak długo, że nie mógł powstrzymać się przed próbą zemśczenia się za mało gościnne powitanie.

- Nie próbuję nikogo ochraniać! Wszyscy wiedzą, że w każdy wtorek odwiedzam moją siostrę, i to już od trzydziestu lat! - Ogrodnik zrobił krok naprzód i stanął twarzą w twarz z Zenem. - A właściwie po co ty tu przyjechałeś, żeby od nowa wywlekać całą sprawę? Swoje już przeszedłem i starczy! A może nie zadałeś sobie wcale trudu, by przeczytać to, co powiedziałem twoim kolegom? - Oczywiście Cal-derana zwięźli się. - Mówisz, że jesteś z policji? Chciałbym zobaczyć twoje dokumenty.

Zen spełnił jego prośbę i po kilku gorzkich zdaniach mógł opuścić wyspę w stosunkowo godny sposób. Spotkanie to sprawiło jednak, że całe jego prywatne dochodzenie w sprawie Durridge'a coraz bardziej zaczęło zakrawać na kpinę. W tej sprawie podjęto już raz śledztwo, i to w czasie, kiedy wspomnienia i tropy były jeszcze świeże. Jaką mógł mieć nadzieję, że zdoła rozwiązać zagadkę teraz, trzy miesiące po porwaniu?

Takie właśnie myśli zajmowały Zena, kiedy jego wewnętrzny autopilot kierował go przez trzewia San Polo i doprowadził do małego drewnianego podestu przy jednym z kanałów, które dzieliły na części całe miasto. Prom znajdował się właśnie na drugim brzegu i Zen dołączył do młodej pary czekającej na nabrzeżu. Mężczyzna wpatrywał się w wodę pustym wzrokiem, ze słuchawek na jego głowie wydobywał się syk, jak szmer odległej fali. Jego partnerka w zaawansowanej ciąży czytała w tygodniku „Gente” artykuł o życiu prywatnym Umberta Bossiego, „charyzmatycznego przywódcy separatystycznej *Leghe*”. Oboje mieli na nosach ciemne okulary i żuli gumę.

Kiedy prom skierował się w ich stronę, Zen przypomniał sobie, że miał podać Palazzo Sisti numer faksu, pod który mogliby mu przesłać akta sprawy Durridge'a. Żaden inny kraj nie przyjął nowej technologii tak błyskawicznie jak Włochy, gdzie za jednym zamachem przecięła ona węzeł gordyjski usług pocztowych. Od dziesiątków lat trwały debaty nad sposobem dokonania reformy *la posta*, nieskończonych litanii przepisów i regulaminów, arogancji nadmiernie licznego personelu, a przede wszystkim niemożności dostarczenia listu do adresata w czasie krótszym niż tydzień. Teraz debata została zamknięta. Ci, którzy mieli dostęp do cudownych maszynek, przeskoczyli prosto z dziewiętnastego w dwudziesty pierwszy wiek, podczas gdy reszta - do której w tym akurat wypadku zaliczał się i Zen - pozostała w bagnie poprzedniego stulecia.

*Questura* dysponowała oczywiście kilkunastoma faksami, ale biorąc pod uwagę możliwe problemy, jakie mogły powstać przy okazji odbioru tak obciążających materiałów, podawanie jednego z jej numerów było nazbyt ryzykowne. Czy znał kogoś, kto mógł mieć faks? Być może Marco Pau-lon, ale tego dnia Marco wyświadczył już Zenowi dosyć przysług. Poza tym nie ma go w domu. Wysadzając Zena przy Campo San Stin, gdzie musiał jeszcze dostarczyć towar, Marco powiedział, że popłynie na Burano, aby posłuchać najnowszych opowieści o szalonym rybaku i chodzących trupach.

Prom zatrzymał się, uderzając o nabrzeże, i pasażerowie wysiedli. Zen zszedł po drewnianych schodach, wręczył marynarzowi pięćsetlirówkę i wszedł na pokład. Tommaso Saoner powinien mieć faks, a przynajmniej znać kogoś, kto ma, ale dzisiejsze spotkanie z dawnym przyjacielem było dla Zena na tyle niepokojące, że postanowił nie korzystać z jego pomocy w tak delikatnej sprawie. Oczywiście, zawsze trudno jest odnawiać więzy, które były kiedyś bardzo ścisłe - nie tylko domy dzieciństwa wydają się mniejsze w porównaniu z tymi ze

wspomnień - ale Zen był wprost wstrząśnięty zmianą, jaka zaszła w Tommasie. Ruch polityczny, do którego Tommaso się przyłączył, podziałał na niego jak nowa religia.

Jedynym wspomnieniem, które nasunęło się Zenowi w związku z odmianą Tommasa, dotyczyło młodego playboya, syna jednego z kolegów Zena w mediolańskiej *Questura*, który został maoistą. Pewnego wieczoru wszedł na przyjęcie w rodzinnym domu i z rewolweru swego ojca zastrzelił jednego z gości, wybitnego sędziego. Bardziej chyba przerażające niż sama zbrodnia było niewzruszone przekonanie chłopca, że postąpił właściwie, że jego czyn był jedynym zrozumiałym i możliwym do usprawiedliwienia, każdy zaś, kto uważał inaczej, był albo hipokrytą, albo kretynem, a w każdym razie osobą skazaną na skończenie na śmietniku historii. Ale to wydarzyło się w roku 1978. Teraz nikt nie podniecał się już tak bardzo polityką. Jak to możliwe, że Tommaso dał się do tego stopnia uwieść jakiejś marginalnej partyjce, której program, sądząc z tego, czego Zen mógł się o nim dotychczas dowiedzieć, wydawał się kompletnym szaleństwem? Jezu Chryste, pewnie okaże się, że będzie jedynym widzem na zebraniu, na które obiecał przyjść!

Prom skierował się na zatłoczone wody *canalazzo*. Zen i młoda para, stojąc na środku pokładu, kołysali się, kiedy fale wznoszone przez przepływające statki uderzały o kadłub. Przewoźnicy na dziobie i rufie rytmicznie zanurzali wiosła w wodzie szybkimi pchnięciami, jak gdyby kopali ziemię. Wkrótce prom dobił do brzegu, gdzie zebrała się już grupka pasażerów czekających na przewiezienie na drugą stronę. Maszerując po deskach zasłaniających wykop pod nowy gazociąg, Zen ruszył w kierunku uliczki prowadzącej w głąb wyspy.

Kiedy zbliżył się do Ponte Guglie, zaszedł do otwartego jeszcze sklepu warzywnego. Wnętrze było niskie, mroczne i zastawione towarami tak, że prawie nie można się w nim było poruszać. Kiedy oczy Zena przywykły do mroku, dostrzegł właściciela, który przysiadł za kontuarem jak pajak w sieci. Zen kupił kawę, wodę mineralną i paczkę herbatników na śniadanie. Sklepiarz wystukał ceny na nowoczesnej kasie elektronicznej, jakiej wymagają władze podatkowe, a która wyglądała w tym miejscu jak komputer w jaskini troglodytów.

Dźwigając zieloną plastikową torbę z zakupami, Zen ruszył wzdłuż kanału Cannaregio, czując, że zaczynają go boleć nie przyzwyczajone do długich marszów nogi. Skręcił w uliczkę, która stopniowo przechodziła w trójkątne *campo* z okrągłą studnią, dawniej ozdobioną rzeźbami, które wytarł jednak czas i dotyk dłoni. Zauważył pas chodnika pobieleły od odchodów ptaków, które przysiadły na przebiegających nad placem drutach. Jak wiele razy już tędy przechodził? Jak wiele razy wracał tędy do domu? Myśl ta wywołała w nim niepokój. Unikał kontaktu ze swymi dawnymi ja, z których każde wydawało się jedyne w danym momencie przeszłości, a teraz okazywało się zaledwie jednym z nieprzerwanej, zmiennej serii samozwańców. Zaczynam zachowywać się tak samo jak Ada Zulian czy ten rybak z Burano, pomyślał. Nie powinienem tu przyjeżdżać. Powinienem zostać w Rzymie, gdzie wszędzie można dojechać samochodem i nikt nie wierzy w duchy.

Dom wydawał się pusty i zimny. Kiedy Zen otworzył drzwi do jadalni, rozdzwonił się telefon. Zen stał, wpatrując się w aparat, nie odebrał jednak. Telefon zadzwonił jedenaście razy i w końcu wyłączył się z krótkim brzęknięciem. Przyglądając się ostrożnie aparatowi, Zen postawił na podłodze zakupy i przeszedł przez pokój, by otworzyć okno. Do środka wpłynęło chłodne powietrze wieczoru, tworząc prądy i wiry. Poczuł, że podłoga kołysze się łagodnie pod jego stopami, jak pokład łodzi stojącej na kotwicy. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że nie jest jedyną osobą podziwianą zmiernych. Z okna sypialni na poddaszu domu naprzeciwko obserwowała go młoda kobieta.

Zen pomachał do niej.

- Dobry wieczór!

Cristiana Morosini uśmiechnęła się przelotnie i skinęła głową. Wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale wtedy ponownie rozdzwonił się telefon. Z niecierpliwym wzruszeniem ramion Zen odwrócił się, by odebrać.

- Halo? Kto? Tania! Och, właśnie chciałem do ciebie dzwonić! Czy to ty dzwoniłaś przed chwilą? Nie? Właśnie wszedłem do domu, usłyszałem dzwonek, ale nie zdążyłem odebrać. Pomyślałem, że to może ty. - Sięgnął po paczkę papierosów. - Och, w porządku. Nie wygląda na to, by wiele tu było do roboty, ale spróbuję przeciągnąć sprawę tak długo, jak tylko zdołam... - Umilkł, żeby zapalić papierosa. - Oczywiście, że za tobą tęsknię, kochanie, ale przecież tu chodzi o pieniądze. Przecież właśnie dlatego tutaj przyjechałem. Rodzina płaci od dnia, więc im dłużej mi to zajmie, tym lepiej, prawda? - Przycisnął słuchawkę do ucha. - Oczywiście, że biorę pod uwagę twoją sytuację, Taniu. Mam tylko nadzieję, że ty myślisz również o mojej. Miło jest od czasu do czasu poczuć tę odrobinę zrozumienia. Wcale nie uważam, by mieszkanie w warunkach połowych we własnym domu było szczególnie zabawne.

Kłęby dymu przepływały przez pokój jak wodorosty, wyznaczając przebieg prądów powietrza i nieruchome kąty.

- To nie jest moja prawdziwa praca. Na tym polega różnica. Nie muszę biegać Amerykanom na posyłki. Wolałbym zostać w Rzymie, odbębnić swoją robotę w biurze, a potem wrócić do domu i spędzić z tobą wieczór. Musimy jednak myśleć o przyszłości. Nie możemy dłużej żyć tak, jak dotychczas, a moje mieszkanie jest za małe dla nas wszystkich, więc jeśli nie zdobędziemy jakichś pieniędzy... - Umilkł. Westchnął, słuchając. - Nie jestem zły! Ale uczciwie mówiąc, mam dostatecznie wiele kłopotów, nie potrzebuję jeszcze wyrzutów, że wcale nie czujesz, że jest mi dostatecznie przykro, bo nie ma mnie przy tobie. Rozumiesz? W naszej sytuacji myślę, że mogłabyś okazać nieco więcej wyrozumiałości.

Odsunął od ucha słuchawkę, z której wydobywały się pełne złości skrzeknięcia. Położył ją na stole i podszedł z powrotem do okna. Cristiana Morosini już nie było. Wrócił do stołu, ale głos już zniknął, zastąpiony przez elektroniczny szum.

Odłożył słuchawkę, przeszedł do kuchni i tam również otworzył okno. Ciąg powietrza przybrał na sile i uniósł smugi dymu, wycinając nowy kanał, który połączył oba okna. Zen oparł się o parapet i wyjrzał ponuro na ciemną, ruchliwą powierzchnię kanału. Nie udało mu się odpowiednio rozegrać rozmowy z Tanią. Oczekiwała pocieszenia, uspokojenia i miłości, a on nie potrafił jej tego dać. Wszystko to było jak język, którego nauczył się kiedyś, ale już zapomniał.

Już wcześniej dochodziło do podobnych spięć, nigdy jednak wtedy, kiedy byli daleko od siebie. Dotychczas rozłąka wydobywała to, co mieli w sobie najlepszego, zaś kiedy byli razem, podobne scysły wkrótce szły w zapomnienie. Jednak rozmowa, do której właśnie doszło, wydawała się symptomem poważniejszych problemów, niedociągnięć i skaz ich związku. Sądząc z zachowania Tani, można wnosić, że jej zdaniem tych ostatnich wcale mu nie brakuje.

Zen rzucił niedopałek do kanału. Zaczął się przyptyw, dokładnie tak samo jak wtedy, gdy wyglądał przez okno wczesnym rankiem zaraz po przyjeździe. Zamknął okno, wrócił do jadalni i podniósł torbę z zakupami. Przez krótką chwilę jego wzrok zatrzymał się na telefonie. Nie było jeszcze zbyt późno, by zadzwonić do Tani, przeprosić i porozmawiać...

Odwrócił się i zaniósł zakupy do kuchni, gdzie ułożył je starannie na pustych półkach. Było już za późno. Czuł, że dzieli ich dystans nieskończenie większy niż w rzeczywistości - jak gdyby Tania znajdowała się na drugim końcu świata, a może nawet w jakimś innym świecie.

Cofnął się o krok i spojrzał z podziwem na swoje dzieło. Nie zasługiwało może na publikację w magazynie poświęconym wyposażeniu wnętrz, ale rano będzie mógł przynajmniej napić się kawy. Wieczór zapowiadał się długi, pusty i nudny - zdecydowanie nie była to zachęcająca wizja. Na początek musiał znaleźć jakieś miejsce, gdzie będzie mógł zjeść kolację.



Nie miał ochoty na posiłek w ponurej i drogiej *trattoria*. W rozmowie z Tanią celowo podkreślał negatywne strony swojej sytuacji dla uzyskania efektu dramatycznego, pozostawało jednak faktem, że nie była godna pozazdroszczenia. Pomimo wszystko, nie miał jednak najmniejszej ochoty na to, by znaleźć się gdziekolwiek indziej, a już na pewno nie w Rzymie.

Jak gdyby w odpowiedzi na jego myśli zadzwonił telefon. Zen przez chwilę rozważał możliwość niepodnoszenia słuchawki. Ostatnią rzeczą, na jaką miał teraz ochotę, była próba podjęcia pracochłonnego wysiłku, koniecznego dla sensownego kontaktu z Tanią. Nie miał jej nic do powiedzenia, jednak na dłuższą metę udawanie, że nie ma go w domu, mogło tylko pogorszyć sytuację. Po głębokim westchnieniu przeszedł przez jadalnię i podniósł słuchawkę.

- Aurelio Battista, to ty?

- Kto mówi?

- Och, dzięki Bogu, jesteś w domu! Dzwoniłam już dwa razy, ale nikt nie odpowiadał.

Myślałam, że oszaleję, jeśli i tym razem nikt nie odbierze!

- *Contessa*?

- Oni tu są! Jest gorzej niż poprzednio! Mają noże! Na miłość boską, przyjdź tu szybko!

## VII

Oczywiście, zanim zjawi się na miejscu jej rycerz i obrońca, jej dzielny mściciel, intruzów już nie będzie. Przeszukuje wszystkie pokoje *palazzo*, ale nikogo nie znajduje. Powiedziała mu już wcześniej, że oni nie są głupi. Jednak syn Giustiniany również nie jest głupi. Zawsze szybko podejmuje decyzję, dostrzegała to już wtedy, kiedy był jeszcze dzieckiem. Ada przypomina sobie swoje zaskoczenie, kiedy czasami rozwiązywał pewne zagadki, odnajdując związek pomiędzy dwoma sprawami, o których ona całkiem zapomniała albo ich w ogóle nie zauważyła.

Nie starczy to jednak, by ją uspokoić. Cokolwiek ludzie o niej mówią, ma jeszcze sporą dozę zdrowego rozsądku i bardzo jej się on teraz przydaje. Zwyczajna ludzka inteligencja jest bezsilna w obliczu przeciwników, którym zmuszona jest stawić czoło. Mógłby jej pomóc Kościół, ale Ada odwróciła się od Boga, kiedy On pozwolił, by Rosetcie stała się krzywdą. Nie posuwa się tak daleko, by podawać w wątpliwość Jego istnienie, ale pierwiej pozwoli się porwać diabłom, niż przyzna, że On istnieje.

Jednak tym razem o mało nie zaczęła się modlić. Nigdy jeszcze nie było tak źle. Przywykła już do ciągłych najść, nagłych ataków i skoków w ciemnościach, zapalających się i gasnących świateł, krzyków, pisków i szyderczego śmiechu. Wszystko to było straszne, ale wydawało się, że rytuał ten ma pewne reguły, które aż do dzisiejszego wieczoru nie zostały nigdy złamane. Najważniejsze z jej punktu widzenia było to, że niezależnie od tego, co intruzi mogli robić, jak głośno hałasować, nigdy nie tknęli jej nawet palcem.

Od dawna już wie, że intruzi mają ręce, ponieważ w atakach paniki często zdarzało się jej na nich wpadać. Są realni, niezależnie od wszystkiego, co mówią ludzie. Jednak aż do tej chwili wszelki kontakt fizyczny był całkowicie przypadkowy, dochodziło do niego na skutek jej paniki lub tego, że któryś z intruzów nie potrafił dostatecznie szybko usunąć się z drogi. To była w stanie niemal tolerować, ale to, co wydarzyło się dzisiejszej nocy, było zbyt potworne, zbyt straszne, by wyrazić to słowami...

Ada odkrywa teraz, kiedy próbuje wszystko wyjaśnić, że na tym właśnie polega jej problem. Cokolwiek mówi, jakkolwiek próbuje opisać zajście, wszystko wydaje się nierzeczywiste, fantasmagoryczne - nawet dla niej. Sama nie potrafi do końca uwierzyć w to, co ją spotkało, jak więc może się spodziewać, że uwierzy jej ktoś inny? Ponownie spogląda na Aurelia Battistę, który przysiadł obok na niskim, twardym stołku. W jego głosie wyczuwa współczucie, ale zaczyna już żałować, że w ogóle do niego zadzwoniła.

- Boli? - pyta Aurelio, przemywając ranę roztworem octu, którego Ada używa jako środka dezynfekującego.

Ada dotyka płytkich ran po wewnętrznej stronie nadgarstków.

- To nic.

Mężczyzna potrząsa przecząco głową.

- Wezwę motorówkę ambulans, *contessa*. Ktoś musi opatrzyć te zranienia.

Ale ona tego właśnie sobie nie życzy. Udział policji to zupełnie inna sprawa. Wbrew ostrzeżeniom Daniele Trevisana policjanci, z którymi miała dotychczas do czynienia, byli doskonale uprzejmi, nawet pomimo wyraźnie widocznego sceptycyzmu. Lekarze jednak to coś zupełnie innego. Ada nigdy nie zapomni tego, co zrobili z nią ostatnim razem, choć nie potrafi przypomnieć sobie żadnych szczegółów. Nigdy więcej, tego jest pewna. Wolałaby sama podciąć sobie żyły, niż wrócić na San Clemente!

Jednak nikt nawet nie pyta jej o zdanie. Chłopak Giustiniany rozmawia już przez telefon,

pewnym tonem wydaje polecenie, nazywa ją „pacjentką”, jak gdyby była jakimś przedmiotem. Chcąc odzyskać panowanie nad sytuacją, w wyobraźni zastępuje go jego dawnym wcieleniem, przebranym w spódniczkę i bluzeczkę, bawiącym się lalkami Rosetty, widzi go zupełnie samego w wielkim salonie, w otoczeniu ogromnych mebli...

- Zaraz tu będą - mówi ten drugi Aurelio Battista. -A teraz proszę mi powiedzieć, co stało się z nożem?

Ada wskazuje drugi koniec salonu, gdzie stoi ogromny stół, który według rodzinnej tradycji wykonano z poszycia zdobyczej tureckiej galery. Mały Aurelio nazywał go „smoczym stołem”, kiedy laził dookoła wielkich nóg rzeźbionych w kształcie smoczych łap... Teraz też wchodzi pod stół, aby podnieść leżący na podłodze nóż kuchenny.

- Czy to pani nóż, *contessa*? - pyta, trzymając nóż za koniuszek ostrza.

Ada kiwa w milczeniu głową.

- Jest okropnie tępy - szepcze cicho.

Aurelio kładzie nóż na krześle i przygląda się jej uważnie.

- Jeden z nich trzymał mnie za ramię, a drugi ciął -wyjaśnia Ada. - Musiał mocno naciskać, bo nóż jest bardzo tępy. To bolało.

Wyraźniej jednak niż ból pamięta obecnie swój strach. Wie teraz, że tak naprawdę nie próbowali jej zabić, ale wtedy nie miała tej pewności, a przerażenie, jakie ją ogarnęło, było tak wielkie, że straciła panowanie nad pęcherzem. Nie wspomina jednak przy Zenie o tym, że najważniejszą dla niej sprawą było usunięcie śladów tego przed jego przybyciem.

- Czy może pani opisać intruzów? - pyta Aurelio, siadając ponownie.

Oczywiście, może. Nie chce jednak tego robić. Wie aż nazbyt dobrze, że groteskowe zjawy o zniekształconych rysach twarzy i w fantastycznych strojach wydadzą się zupełnie absurdalne, jak wizje z nocnych koszmarów. I wszystko dzieje się tak, jak to przewidziała. Kiedy opowiada o wysokiej postaci z potężnym zakrzywionym nosem, o zapadniętych oczach i ogromnych wargach, ubranej w obszerny kraciasty strój, dostrzega znaczące spojrzenie swego gościa.

- Często wychodzi pani z domu, *contessa*?

Starannie ukrywa fakt, że nie potrafi dostrzec w tym pytaniu żadnego sensu.

- Raz, może dwa razy w tygodniu po sprawunki...

- I nigdy nie chodzi pani na przykład na Piazzę?

Przygląda mu się z niepokojem. Po raz ostatni poszła na Piazzę jeszcze przed wojną, kiedy żył jej mąż. Z kim mogłaby iść tam teraz? Po co?

- A niby po co? - pyta.

Mężczyzna wzrusza ramionami.

- Niektórzy ludzie lubią tam chodzić na spacer, żeby pokazać się i zobaczyć innych.

Na przykład w czasie karnawału.

Ada Zulian potrząsa głową.

- Karnawał jest dla dzieci. Ja nie mam dzieci.

Przez chwilę patrzą na siebie w milczeniu. Mężczyzna kiwa głową, jak gdyby pojmował, jak wiele kosztowały ją te słowa.

- To się zdarzyło już drugą noc z rzędu - mówi, przechodząc do mniej bolesnego tematu.

Ada potwierdza skinieniem głowy.

- A wcześniej? - pyta Aurelio.

Próbuje sobie przypomnieć, ale zanim przychodzi jej do głowy jakakolwiek odpowiedź, Zen zadaje kolejne pytanie.

- Czy istnieje jakaś regularność tych... zjawisk?
- O co ci właściwie chodzi? - pyta Ada z niepokojem.
- Czy mają miejsce o jakiejś konkretnej porze dnia lub nocy, a może w konkretny dzień tygodnia?

Ada w samą porę dostrzega zastawioną pułapkę. Lekarze zadawali jej dokładnie to samo pytanie poprzednim razem, kiedy chodziło o Rosettę. Wtedy jeszcze im ufała, nie miała się na baczności, nie wiedziała bowiem, do czego są zdolni. Powiedziała im więc prawdę, że jej córeczka pojawiała się codziennie o szóstej wieczorem. Jej inkwizytorzy uchwycili się tej informacji z okrutną radością. Szósta wieczorem, stwierdzili, dokładnie o tej porze prawdziwa Roset-ta miała wrócić do domu tego dnia, kiedy zniknęła. Fakt, iż jej halucynacje podlegały tak regularnemu rytmowi, dowodził ponad wszelką wątpliwość, że stanowią objaw zespołu maniakalno-depresyjnego.

No cóż, wiele zapłaciła za tę lekcję, ale nigdy jej nie zapomni. Nie da się jeszcze raz przyłapać.

- Nie - odpowiada z przekonaniem. - Przychodzą, kiedy tylko chcą. Nie ma żadnej regularności.

Aurelio Battista marszczy brwi.

- Jest pani pewna?

- Mogę to udowodnić! - stwierdza tryumfalnie Ada.

Podnosi się z fotela i podchodzi do szafki, gdzie trzyma oprawne w skórę foliały, w których jej ojciec prowadził rachunki rodzinnej przędzalni bawełny. Na obszernych pustych stronicach pozostałych na końcu każdego tomu Ada zapisuje co dnia, pismem tak drobnym, że prawie nieczytelnym, bilans swojego życia.

Wydobywa tom, w którym właśnie prowadzi notatki, i przerzuca strony do zapisu sprzed prawie miesiąca, kiedy rozpoczęły się te dziwne zjawiska. Pewnym, zdecydowanym głosem, w którym nie ma śladu podniecenia czy niepokoju, odczytuje datę i czas trwania każdego najścia Aureliowi Battistie, który z powagą notuje to wszystko w swoim notatniku.

Kiedy Ada, znalazłszy obronę w faktach, na powrót wstawia do szafki potężny tom, słyszy dobiegający z zewnątrz głos syren i widzi błękitne światło, które przez wychodzące na kanał okiennice przedziera się do salonu. W jednej chwili opuszcza ją cały, okupiony tak ciężkim wysiłkiem, spokój. Czy syn Giustiniany naprawdę zamierza oddać ją w ręce lekarzy?

- Potrzebuję klucza do drzwi od kanału - mówi mężczyzna, odkładając swój notatnik.

W głowie Ady pojawia się sprytna myśl.

- Tego klucza? Ależ tych drzwi nie używano od wielu lat. Nie mam nawet pojęcia, gdzie jest.

Głos syreny przechodzi w niski pomruk. Aurelio Batti-sta podchodzi do okna i otwiera okiennice.

- Przycumujcie obok! - woła. - Zaraz zejdziemy na dół.

Odwraca się ku Adzie. Migocące błękitne światło na suficie sprawia, że cały pokój zaczyna pulsować.

- Gdzie jest klucz, *contessa*?

Ada ponownie podchodzi do szafki, otwiera szufladę i szuka wśród najrozmaitszych kluczy, zabytkowych i nowych, z których każdy opatrzony jest karteczką zapisaną pedantycznym pismem ojca.

- Nie mam pojęcia, gdzie może być - mówi. - Bóg jeden wie, kiedy używano go po raz ostatni.

Prawda jest taka, że pamięta tę chwilę aż nazbyt dobrze. Było to wtedy, gdy stan jej ojca

pogorszył się do tego stopnia, że konieczne było przeniesienie go do szpitala.

Jej gość jednak nie daje się łatwo zniechęcić.

- W takim razie przejdziemy przez most - mówi. - Tam jest zejście do wody.

Sięga po płaszcz Ady i prowadzi ją na dół. Kiedy jednak schodzą do *androne*, Zen podchodzi do potężnych drzwi wychodzących na kanał. Klucz, oczywiście, wisi na swoim miejscu, na gwoździu wbitym w ścianę. Kiedy Zen zdejmuje go, na ścianie pozostaje rdzawy zarys. Warkot silnika motorówki sprawia, że cała piwnica wibruje.

Klucz gładko obraca się w zamku i drzwi otwierają się bezszelestnie. Przyływ jest na tyle wysoki, że ambulans może zatrzymać się naprzeciwko schodków. Jeden z sanitariuszy wyskakuje na brzeg, podczas gdy drugi wysuwa z motorówki trap. Aurelio Battista wykrzykuje do sanitariusza jakieś polecenia, a ten z powagą odpowiada skinieniem głowy. Mają coś z nią zrobić, kiedy dotrą do szpitala. Ada pojmuje z rozpaczą, że sytuacja wymyka jej się spod kontroli. Starła się temu zapobiec, ale to już dla niej zbyt wiele.

Zaczyna krzyczeć, szamotać się, nagle osuwa się na bruk i pozwala im robić ze sobą, co chcą. Szybki ruch, brzęk instrumentów, ukłucie w ramię i nagle wszystko litościwie znika.

Bliski już był tego, by nie wracać do domu. Gdyby nie nóż kuchenny, który owinął gazetą, nieudolnie próbując zachować odciski palców, prawdopodobnie ruszyłby od razu do miasta w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby zjeść kolację. Najpierw jednak poszedł do domu, a to wszystko zmieniło.

Zbliżając się do budynku wydłużonym trójkątem *campo*, zauważył, że w oknach palą się światła. Pamiętał, że zgasił je przed wyjściem. Kiedy był jeszcze dzieckiem, matka aż nazbyt często powtarzała, jakim marnotrawstwem jest zostawianie w pustym pokoju włączonej żarówki, ostrzegała go też przed niebezpieczeństwem pożaru - w żaden sposób nie można było jej wytłumaczyć, że w rzeczywistości w żarówce nie ma żadnego płomienia - wiążącym się z pozostawieniem światła bez opieki.

Przez chwilę zastanawiał się jeszcze, czy wejść do domu. To, co przydarzyło się Adzie Zulian, wstrząsnęło nim o wiele bardziej, niż chciał się do tego przyznać. Nawet jeśli było to samookaleczenie, a prawdopodobieństwo kazało skłaniać się ku tej wersji, rozwój sytuacji był bardzo niepokojący. Gdyby rany były odrobinę głębsze, nóż mógłby uszkodzić tętnicę. Takie było znaczenie skaleczeń na nadgarstkach Ady. Z niezrozumiałych dla siebie powodów Zen czuł, że sygnał ten adresowany był właśnie do niego, wyrażał sprzeciw wobec jego obecności w mieście, wobec jego udziału w tym, co się tutaj działo.

Odpychając od siebie te myśli, najciszej jak potrafił, otworzył drzwi i ruszył na górę. Zanim jeszcze dotarł do podestu, usłyszał dobiegające z kuchni odgłosy. Jediną bronią, jaką dysponował, był kuchenny nóż Ady. Ściskając jego rączkę przez gazetę, podkrał się na palcach i zatrzymał pod drzwiami, nasłuchując. Nie było wątpliwości - ktoś był w środku.

Z drugiej strony dobiegły go kroki. Zen stał z nożem w zaciśniętej dłoni. Klamka poruszyła się i w drzwiach pojawiła się sylwetka kobiety widoczna w padającym z kuchni świetle. Zen opuścił nóż.

- Dobry wieczór - powiedział, jak gdyby sytuacja była absolutnie normalna.

Cristiana Morosini powitała go niepewnym gestem.

- Myślałam, że poszedłeś na kolację - powiedziała. - Gdzieś zniknęła miotełka do kurzu mojej matki. Myślała, że może zostawiła ją u ciebie. Otworzyłam drzwi kluczem, który nam dałeś.

Zen skinął głową i wszedł do pokoju.

- Dzwoniła Ada Zulian - powiedział.

Położył na stole nóż Ady.

- Jak się czuje?  
- Jak się czuje? - powtórzył Zen. W jego głosie zabrzmiała prawie histeria. - Nie najlepiej. Naprawdę nie najlepiej. Próbowала popełnić samobójstwo, a przynajmniej upozorować próbę samobójczą.

Cristiana Morosini przewróciła oczami.

- Znowu!

Zen spojrział na nią szybko.

- Czy kiedyś już próbowała?

Cristiana skinęła głową.

- Kilka lat temu. Podcięła sobie żyły nożem kuchennym. Na szczęście znalazł ją jeden z jej siostrzeńców i zdołali ją jakoś odratować. *Mamma* ma rację, jej potrzeba lekarza.

Zen wzruszył ramionami.

- W takim razie dostała, czego jej trzeba. Wysłałem ją do szpitala.

- Czy obrażenia były poważne?

Zen potrząsnął przecząco głową.

- Tak naprawdę chodziło mi o to, by znalazła się pod obserwacją. Chcę mieć pewność, że nie jest sama, dopóki nie przemyślę całej sprawy i nie postanowię, co robić dalej.

Neutralny temat został tym samym wyczerpany, stali więc, przyglądając się sobie niepewnym wzrokiem. Zen spojrział na zegarek.

- Chciałabyś zjeść ze mną kolację? - zapytał niespodziewanie.

Cristiana wzruszyła ramionami.

- Już jadłam. *Mamma* przygotowała *sopa de pesse*.

- Chodź, przynajmniej dotrzymasz mi towarzystwa. Jako dawnemu przyjacielowi rodziny. Jestem bardzo samotny, Cristiano. Ciarki mi przechodzą po plecach, kiedy tu wchodzę. Nie wiem, po co tu przyjechałem. Nie wiem, co tu robię. Muszę z kimś porozmawiać. Potrzebuję też faksu. Może ty masz faks, Cristiano? Zaspokoilibyś w ten sposób wszystkie moje potrzeby.

Przez chwilę przyglądali się sobie w milczeniu. Cristiana uśmiechnęła się i zaczęła zapinać płaszcz.

- Mam faks w biurze, gdzie pracuję. Jeśli chodzi o jedzenie, niewiele tu mamy w okolicy do wyboru, ale niedaleko jest zupełnie niezła pizzeria. Możemy tam pójść, jeśli chcesz.

Zen zastanawiał się przez chwilę.

- Oddaję się w twoje ręce - powiedział w końcu.

- Wielki Boże, to Gabriella Rosteghin! - wykrzyknęła Cristiana z radosnym śmiechem.

- To znaczy, że jutro wszyscy w okolicy będą już wiedzieć.

- O czym będą wiedzieć? - wyszeptał Zen.

- O tobie i o mnie, oczywiście.

Zen przyjrzał się rozchichotanej grupie nastolatków strzelających spojrzeniami z końca pizzerii.

- Nic jeszcze nie zrobiliśmy - powiedział cicho.

- Tym lepiej! Gabriella woli takie sytuacje. Ma w ten sposób większe pole do popisu.

Nie musi przejmować się dopasowywaniem faktów.

Zen napił się piwa.

- Opowiedz mi o całej sprawie z *Nuova Repubblica Veneta* - poprosił. - O co w tym wszystkim chodzi? Jak się to zaczęło?

Cristiana westchnęła i pokiwała głową.

- Jakies cztery lata temu Nando wstąpił do założonej właśnie *Lega Veneta*. Już wtedy powiedziałam mu, że popełnia błąd. Polityka wciąż - pomału, ale w końcu zapomina się o

całym świecie. Pamiętaj, że wtedy nikt nie miał jeszcze pojęcia o tym, jak popularna okaże się Liga. Nawet sam Bossi uważał, że potrzeba będzie dziesięciu lat, by przekonać ludzi o istnieniu rzeczywistej alternatywy wobec działających partii. Jak się jednak oczywiście okazało, od samego początku odnieśli niespotykany sukces. Każdy dostrzegł możliwość przejęcia władzy i wtedy właśnie zaczęły się kłopoty.

Kelner przyniósł zamówione pizze. Cristiana doszła w końcu do wniosku, że skusi się na kawałek, więc przez chwilę byli zajęci jedzeniem.

- Spotkałem się dzisiaj z Tommasem Saonerem - powiedział Zen, sięgając po szklanekę z piwem. - W ogóle go nie poznaję. Kiedy go słuchałem, wydał mi się zupełnie innym człowiekiem.

Cristiana energicznie skinęła głową.

- To samo stało się z Nandem. Zmienił się całkowicie, tak jak przewidywałam. Dawniej był taki wesoły, zupełnie normalny! Ale z chwilą, kiedy zabrał się za politykę, stał się kompletnym fanatykiem. Polityka jest jak narkotyk. Dostaje się do krwi i całkowicie zmienia człowieka.

Przez chwilę jedli w milczeniu.

- Dlatego właśnie zerwał z Bossim - podjęła Cristiana. - Nando chciał, by *Lega Veneta* odsunęła się od Ligi Północnej, która jak twierdził, jest zbyt silnie zdominowana przez Lombardię. Rodzina Dal Maschio pochodzi z Wenecji, ale Nando wychowywał się w Pawii i nigdy nie zapomniał, jak kpiono tam z jego akcentu. W każdym razie jego propozycja została odrzucona, więc razem z Saonerem i kilkoma innymi wystąpili z Ligi i utworzyli swoją organizację.

- I naprawdę chcą odtworzenia Republiki Weneckiej?

Cristiana skinęła głową.

- „Nasza przeszłość jest naszą przyszłością. Nasza przyszłość naszą przeszłością”. To jeden ze sloganów Nanda. To nie ma żadnego sensu, prawda? Ale on naprawdę w to wierzy. Nie jest oszustem, jak wielu innych polityków. Wierzy we wszystko, co mówi. - Odsunęła od siebie talerz z nie dojedzoną pizzą. - Dostyc tego gadania o Nandzie! - Przez chwilę wpatrywała się w Zena. - Jesteś żonaty, prawda?

Odpowiedział wzruszeniem ramion.

- Z prawnego punktu widzenia tak. Ale to wszystko już przeszłość. A moja przeszłość na pewno nie jest moją przyszłością. Przynajmniej o ile moje zdanie ma tutaj jakiegokolwiek znaczenie.

Cristiana wybuchnęła śmiechem.

- Dzieci?

Zen potrząsnął przecząco głową.

- Czasami jednak zdaje mi się, że jakiś drugi ja nadal jest mężem Luiselli i prawdopodobnie mają już jakieś dzieci. - Przyjrzał się twarzy Cristiany. - Nie masz czasem wrażenia, że za każdym razem, kiedy stajesz na rozdrożach, oddziela się od ciebie duchowy bliźniak, który podąża tą drogą, której ty sama nie wybrałaś? Wiem dokładnie, jaki jest ten mój żonaty bliźniak. Sam mógłbym nim zostać. Bardzo łatwo. Jednak stało się tak, że nim nie jestem. - Uśmiechnął się ponuro i sięgnął po papierosa. - Słuchajcie filozofa z pizzerii! Przepraszam, wygaduję kompletne bzdury.

Grupka nastolatek minęła ich stolik, kierując się do wyjścia.

- *Ciao*, Cristiana.

- *Ciao*, Gabriella.

Grupka znika w ciemnościach wśród szeptów i chichotów. Wydawało się, że wraz z ich

wyjściem sala się zmniejszyła i stała bardziej przytulna.

- Myślałeś kiedyś o tym, by wrócić do domu? - zapytała Cristiana.
- Do domu?
- Zamieszkać tutaj.

Kiedy Zen nie odpowiedział, dodała: - Być może masz swoje powody, by nadal mieszkać w Rzymie. Coś lub kogoś.

Zen powoli potrząsnął przecząco głową.

- Tylko pracę.
- Gdybyś chciał, mógłbyś przenieść się tutaj.
- Prawdopodobnie tak. Nigdy jednak nie miałem żadnego powodu, by wracać.

Przynajmniej na razie.

Spojrzał na Cristianę.

- To twój dom - powiedziała Cristiana. - Czy to nie jest wystarczający powód?

Zen wzruszył ramionami.

- Częściej wydawało mi się, że to powód, by tutaj nie wracać. Ci duchowi bliźniacy, o których mówiłem, są tutaj bardziej liczni niż gdziekolwiek indziej.

Na krótką chwilę zapadła cisza.

- Skoro już mówimy o duchach, Ada Zulian opisała mi dziś wieczorem swoich prześladowców - wyszeptał Zen, jak gdyby mówił do siebie. - Powiedziała, że jeden z nich miał haczykowany nos, szeroki uśmiech, wytrzeszczone oczy i był ubrany w luźny kostium w biało-czarną kratę jak arlekin. Drugi ma blade, rozmyte rysy, ani męskie, ani kobiece, nosi złoto-szkarłatny płaszcz.

Cristiana parsknęła kpiąco.

- Przypomina to stroje karnawałowe.

Zen skinął głową.

- To samo i mnie przyszło do głowy. Tylko gdzie Ada mogłaby zobaczyć stroje karnawałowe? Prawie nie opuszcza domu, a jeśli już, chodzi najwyżej do okolicznych sklepów. W tej dzielnicy nie widuje się przebierańców. Ada nie ma telewizora i nie czyta gazet.

- Może zapamiętała je z dzieciństwa.

Zen dopił piwo i strzelił palcami, by przywołać kelnera.

- Kiedy Ada była dzieckiem, nie było jeszcze karnawału. Dzieci przebierały się za króliczki, kowbojów czy piratów, czasami, jeśli pogoda była odpowiednia, urządzano też tańce dla dorosłych, ale nic więcej. Szykowne spektakle, jakie dzisiaj przygotowuje się dla śmietanki towarzyskiej z Mediolanu i Rzymu poprzebieranej w fantastyczne kostiumy, z których każdy kosztuje majątek, to współczesny wynalazek. Jestem pewien, że Ada nigdy w życiu nie widziała „tradycyjnego” weneckiego stroju karnawałowego.

- Przecież musiała go kiedyś widzieć - odparła Cristiana, wstając i zapinając płaszcz. - Jak inaczej mogłaby go tak dokładnie opisać?

Na zewnątrz zaczął padać kapuśniaczek. Szli do domu przez puste ulice i mostki nad mroczną wodą kanałów, jak gdyby wszystko to należało tylko do nich, jak gdyby całe miasto stanowiło ich prywatną własność. Świadomość, że stali się tematem plotek, nadawała ich spacerowi czar tajemnicy, choć w innych okolicznościach byłaby to najzwyczajniejsza kolacja w restauracji.

Dużo się śmiali. Cristiana Morosini miała ostre, kąśliwe poczucie humoru, które wydawało się Zenowi czymś nowym i świeżym po miesiącach feministycznej powagi. W zasadzie zgadzał się z poglądami Tani - a przynajmniej jego niezgoda na nie nie była na tyle silna, by chciał się z nią kłócić - były one jednak nieustępliwie poprawne i nie zostawiały miejsca



na odrobinę humoru. Kiedy Cristiana opowiadała, zdecydowanie bez śladu siostrzanych uczuć, anegdotki o wspólnej znajomej, Zen poczuł ciepło i swobodę, jakich nie zaznał od bardzo dawna.

Kiedy dotarli do swoich domów, umilkli, czując się nagle bardzo niepewnie.

- No cóż, dobranoc - powiedział Zen. - Dziękuję, że ze mną poszłaś. Naprawdę wspaniale się bawiłem.

- Ja też. - Wyjęła z torebki wizytówkę i podała ją Zenowi. - Tam pracuję, masz tu numery telefonu i faksu. Zadzwoń do mnie, powiem ci wtedy, czy coś przyszło.

Zen patrzył, jak Cristiana podchodzi do drzwi i otwiera je. Obejrzała się i pomachała do niego na pożegnanie. Dopiero wtedy i on się odwrócił.

## VIII

Nad ranem miasto spowiła gęsta mgła. Kiedy na skutek kombinacji przypływu i silnego wiatru od morza, ulice zalewała budząca lęk *acqua alta*, rada miejska rozwieszała mapy przedstawiające trasy prowadzące przez wyżej położone tereny, jednak mgła nie szanowała żadnych ograniczeń. Kierowała się swoimi prawami, pojawiając się w jednym miejscu, rzednąc w drugim, zamazując kontury, niweczając podziały, sprawiając, że znajome stawało się obce i nieprawdopodobne.

- Do jasnej...!
- Na miłość...!
- Patrz, gdzie idziesz!
- To nie twoja ulica!

Dostrzegając obdartego starego człowieka z psem u nogi, Zen pospiesznie znika w tumanie mgły, zanim uwikła się w następne spotkanie z ulotnymi wspomnieniami Daniele Trevisana. Już za chwilę jednak - następne zderzenie.

- Przepraszam!
- Och!
- Rosalba?
- Ach, przecież to nasz Casanova we własnej osobie!
- Przepraszam?
- „Wychodzę tylko spotkać się z Wandą”, tak mi powiedziała wczoraj wieczorem.

Wanda Dal Maschio to siostra Nanda, jakoś pomimo wszystkiego, co się stało, pozostały przyjaciółkami. Zaraz potem zadzwoniła do mnie Lisa Ro-steghin, żeby zapytać, kim jest ten wysoki, ciemnowłosy nieznajomy, z którym Cristiana poszła na pizzę!

Zen uśmiechnął się słabo.

- Chciałem tylko poznać najświeższe ploteczki.
- Ależ oczywiście! - odparła serdecznie Rosalba. - Kiedy tylko Cristiana wróciła i usłyszałam, że chodziło o ciebie, wiedziałam, że o niczym nie może być mowy. W końcu mógłbyś być jej ojcem!

Uśmiech Zena zgasł powoli. Rosalba podniosła siatkę i po chwili zniknęła we mgle.

- Mgła jak mleko. - Usłyszał jeszcze jej głos. - Uważaj, jak idziesz, Aurelio!

Nad Cannaregio wiał lekki wietrzyk, przesuwał mgłę, która tworzyła prądy o różnej gęstości. Wznoszące się nad kanałem pałace i kościoły pojawiały się i znikwały, ich kształty stawały się na przemian to wyraźne, to nieostre, jak odbitka ze zniszczonej przez czas płyty fotograficznej. Z bocznego kanału z ponurym wyciem syreny wysunęła się barka. Z oddali dochodziły podobne dźwięki syren i innych sygnałów, stłumione przez wilgotne powietrze.

Zen posuwał się powoli w stronę przystanku tramwaju wodnego, kiedy nagle potknął się i upadł, boleśnie uderzając się w kolano i bark. Kiedy się podniósł i rozejrzał dokoła, zobaczył rurę, o którą się potknął. Składała się z prostych metalowych odcinków połączonych błękitnymi plastikowymi obejmami, które umożliwiały dotarcie do studni. Przy nabrzeżu stała zakotwiczona jedna z wszechobecnych czerwonych barek oznaczonych napisem POZZI NERI, do której zlewano zawartość opróżnianego szamba.

Zen podniósł teczkę, zapalił papierosa i ruszył na drugą stronę mostu, na przystanek, gdzie czekało już kilkunastu pasażerów. Trzy rozmyte we mgle masywne drewniane słupy o fallicznie zaokrąglonych szczytach połączono łańcuchami, tworząc trójnóg, do którego zakotwiczony był przystanek. Wyglądały jak idol poświęcony jakimś bogom laguny. Od czasu

do czasu kanałem przepływała niewidoczna łódź, sprawiając, że drewniana platforma zaczynała się kołysać.

Po dłuższym oczekiwaniu we mgle rozbłysł stożek światła, który stopniowo rósł, aż w końcu pojawiła się sama łódź, jedna z *motoscafi* z wygiętym ku górze dziobem, sprawiającym, że przypominała torpedowiec. Oczekujący tłum wsiadł na pokład i prom powoli ruszył w dalszą drogę. Silnik pracował na najniższych obrotach, a reflektor na dziobie omiatał powierzchnię wody. Kiedy opuścili Cannaregio, woda zaczęła kołysać się ciężko, wprawiając tramwaj w drgania.

Przy Fondamenta Nuove, gdzie musiał się przesiąść, Zen zaszedł do baru na *caffè corretto*. Barman włączył radio, Zen usłyszał więc ostatnią pozycję lokalnych wiadomości -informację o jakimś rybaku, którego ciało wyłowiono w północnej części laguny. Jak stwierdzono, policja prowadzi śledztwo. Zen wychylił wrzącą kawę wzmocnioną grappą i podszedł do okna, by rozejrzeć się za swoim tramwajem. Odbijał właśnie prom na Burano i Treporti, ale przy nabrzeżu oznaczonym numerem 5 nic się nie działo.

Na ścianie naprzeciwko okna wisiał kalendarz, identyczny jak ten, który Zen widział poprzedniego dnia w *osteria*, gdzie pił z Markiem Paulonem. Na kwadracikach oznaczających dni zaznaczony był stan wody w lagunie. Zen zdjął kalendarz i przepisał dane do swego notatnika, podnosząc co pewien czas głowę, by sprawdzić, czy nie przyплыł już jego tramwaj linii *circolare destra*. Poczekał jeszcze pięć minut i zdecydował się na spacer.

Z dala od słabego wietrzyku wiejącego nad otwartymi wodami laguny mgła utknęła w krętych zaułkach i alejkach gęsta jak szlam. Zen brnął przez nią, w ostatniej chwili unikając bezpośredniego kontaktu ze ścianami, kanałami i innymi przechodniami, aż dotarł w końcu do Campo San Lorenzo. Błękitno-biała motorówka ruszała właśnie spod *Questura* z rozdzierającym uszy rykiem silnika, który policjanci zawsze starają się wydobyć ze wszystkich swoich pojazdów. Zen wszedł po schodach do swego biura na drugim piętrze. Aldo Valentini stał przy oknie, spoglądając na wirujący szary całun.

- Obrzydliwe paskudztwo - powiedział ponuro, dostrzegając odbicie Zena w szybie. - Osiada w gardle i płucach. Czujesz ten smak? Wszystkie zanieczyszczenia z Mestre i Marghery zapakowane dla wygody użytkowników w łatwy w użyciu aerozol.

Zen opadł na krzesło za swoim biurkiem i zadzwonił do Ospedale Civile. Przybierając maksymalnie brutalny ton, zmusił niechętną pracownicę tej instytucji, by przekazała mu informacje o stanie zdrowia Ady. W końcu został połączony z lekarką, która poinformowała go, że pacjentka wróciła do zdrowia i chciała już udać się do domu, zatrzymano ją jednak zgodnie z poleceniami, które Zen przekazał sanitariuszom z ambulansu. Odwiedzili ją siostrzeńcy, którzy poparli żądania ciotki, twierdząc, że skoro sobie tego życzy, powinna zostać wypuszczona do domu.

- Oczywiście, mają absolutną rację - zakończyła pani doktor. - Pomijając już poważny niedobór naszych środków, nie mamy w zwyczaju zatrzymywać pacjentów, którzy mogą i chcą opuścić szpital.

- Rozumiem, oczywiście - powiedział uspokajająco Zen. - Dziękuję pani za cierpliwość. Niestety, w tej chwili mamy niewielkie problemy ze środkami transportu, ale przyjadę i osobiście odbiorę *contessa*, kiedy tylko będziemy mieli wolną motorówkę.

Odłożył słuchawkę, zanim pani doktor zdążyła odpowiedzieć. Otworzył teczkę i wydobyl nóż zawinięty w gazetę.

- Gdzie zdejmną mi z tego odciski palców? - zapytał Valentiniego.

- Laboratoria są na uniwersytecie. Jeśli podrzucisz nóż Renaldiemu w piwnicy, prześle go dalej. Zniosę go na dół. Nie mam nic do roboty, od kiedy odebrano mi sprawę Sfrisa.

Valentini, który pochodził z Ferrary, wymówił to nazwisko: „Sfriza”. Zen podniósł wzrok znad biurka.

- Czy nie chodzi o to włamanie, o którym wczoraj mówiłeś?
- Tak. Dzisiaj mamy utonięcie. Koło Burano.

Zen przypomniał sobie nagle, co Marco Paulon opowiadał mu poprzedniego dnia w czasie rejsu do *ottagono*.

- Sfriso? Czy to nie ten sam człowiek, który twierdził, że widział kościotrupy chodzące po Sant’ Ariano?

Aldo Valentini skinął głową.

- Teraz sam do nich dołączył. Wczoraj wieczorem wyłowił go mnich, który wracał na San Francesco del Deserto. Spędziłem wczorajszą noc na Burano, próbując ustalić, co naprawdę się stało, tylko po to, by dzisiaj rano dowiedzieć się, że całą sprawę przejął Gavagnin. Właśnie zajmuje się na dole bratem topielca.

- Dlaczego ci ją odebrano?

Valentini jęknął.

- Niech mnie diabli porwą, jeśli to wiem. Najpierw Gavagnin próbował podebrać mi sprawę włamania. Twierdził, że dostrzega związek z pewną sprawą dotyczącą narkotyków, nad którą właśnie pracuje. Ja sam nijak nie potrafiłem go dostrzec. Bracia Sfriso byli po prostu zwyczajnymi rybakami z Burano.

- Co to było za włamanie?

- Doszło do niego w niedzielę, kiedy Sfriso byli z matką na mszy. Dom został doszczętnie splądrowany, ale nic nie zginęło. Jeden z sąsiadów zauważył włamywaczy i zadzwonił pod dziewięć dziewięć siedem, jednak zanim dotarliśmy na miejsce, dawno już nikogo nie było. Jediną dziwną rzeczą w tym wszystkim było to, że Sfriso odmówili współpracy. Nie życzyli sobie śledztwa, nie chcieli nawet złożyć skargi, dopóki nie powiedziałem im, że muszą to zrobić.

Zen skinął głową, by zademonstrować zainteresowanie.

- No, a teraz jeden z nich nie żyje. Czy znaleziono jakieś ślady przemocy?

Valentini wzruszył ramionami.

- Ja nic nie zauważyłem, a teraz sprawa jest poza moim zasięgiem. Gavagnin musiał tym razem pociągnąć jakieś sznurki na samej górze. Nie zadali sobie nawet trudu, by ze mną porozmawiać, po prostu polecono mi przekazać akta. - Westchnął. - Naprawdę mnie to wkurwiło. Pierwsze interesujące śledztwo od kilku miesięcy, a oni zaraz mi je odebrali. - Podniósł z biurka nóż kuchenny i owinął go ponownie w gazetę. - Do czego go użyto?

Zen streścił pokrótce wydarzenia minionej nocy. Aldo Valentini ziewnął głośno.

- Założę się, o co tylko chcesz, że odciski na rękojeści należą do niej.

Zen wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie tak. Niezależnie od tego zamierzam postawić naszego człowieka na straży w jej domu. Nie chciałbym, żeby następnym razem zginęła.

- Lepiej byłoby zamknąć staruszkę w domu wariatów. Szef nie zgodzi się na bezterminowe oddelegowanie personelu, żeby chronić psychicznie chorą, by nie podcięła sobie żył. Nie zajmujemy się tutaj opieką nad staruszkami.

Zen przyłożył palec do ust.

- Jeśli się nie zgodzi, zostaną bez roboty - powiedział scenicznym szeptem. - Dopiero tu przyjechałem, na miłość boską. Chcę przeciągnąć to przynajmniej na tydzień.

Valentini uśmiechnął się szeroko.

- Och, jeśli tak to ujmujesz, argumenty za podjęciem interwencji policyjnej są

absolutnie przekonujące. Zniosę to na dół i skoczę gdzieś na śniadanie. - Skierował się ku drzwiom, kiwając głową. - Skurwysyny!

Kiedy Valentini wyszedł, Zen zadzwonił do biura *questore*. Francesco Bruno, kierujący policją prowincji, był właśnie w mieście, połączono więc Zena z jego zastępcą. Zen nakreślił dotychczasowy przebieg sprawy, po czym wyjaśnił, dlaczego chciałby postawić policjanta w Palazzo Zulian. Zastępca *questore* z początku wyraził poważne wątpliwości w tej kwestii, a później jeszcze poważniejsze zdziwienie, że do śledztwa w stosunkowo mało istotnej sprawie przysłany został funkcjonariusz Criminalpol.

- Zgadza się! - potwierdził trzymufająco Zen. - Ta kobieta wyraźnie musi mieć jakichś potężnych znajomych, którzy załatwili przeniesienie mnie tutaj. Tym bardziej istotne jest, byśmy nie zrobili niczego, co mogłoby nas narazić na krytykę. Jak będziemy wyglądać, jeśli umyjemy ręce od całej sprawy, a ona popełni samobójstwo?

Zastępca *questore* zgodził się pospiesznie. Uzbrowiwszy się w ten sposób w poparcie samej góry, kolejne dwadzieścia minut Zen spędził na walce z telefonami wewnętrznymi, zanim udało mu się wszystko załatwić. Wystukał na maszynie polecenie służbowe i zniósł je na dół do działu personalnego, aby zainteresować pracujących tam policjantów wprowadzeniem go w życie.

Kiedy ponownie zasiadł za swoim biurkiem, zadzwonił do *Serenissimi Viaggi*, biura podróży, w którym pracowała Cristiana Morosini. Wcześniej jeszcze, przed wyjściem z domu, zatelefonował do Palazzo Sisti i przekazał numer faksu, ale jego rozmówca nie chciał lub nie potrafił poinformować go, czy *l'onorevole* zdołał uzyskać interesujące Zena materiały. Dlatego też rozczarowanie Zena, kiedy okazało się, że nie może rozmawiać z samą Cristianą, która wyszła w jakiejś sprawie, osłabło na wieść o tym, że dotarła tam właśnie przesyłka na jego nazwisko, którą może w każdej chwili odebrać.

Złapał płaszcz i kapelusz i wybiegł na dwór. Światło na korytarzach i klatce schodowej wydawało się zamglone, jak gdyby opary otaczające budynek zdołały przesączyć się przez ściany i zabarwiły powietrze we wnętrzu. Gdzieś z dołu dobiegło go trzaśnięcie drzwiami i w korytarzu echem rozległy się szybkie kroki butów z metalowymi czubkami. Zen ruszył na dół. Kiedy dotarł do podestu, natrafił na potężnie zbudowanego mężczyznę, który pędził na górę, przeskakując na raz po dwa stopnie.

- Enzo Gavagnin? - zapytał Zen.  
- Słucham? - rzucił mężczyzna, odwracając się gwałtownie.  
- Jestem Aurelio Zen, *vicequestore*. Poznaliśmy się wczoraj. Zostałem tutaj przysłany z ministerstwa.

Oczy Enza Gavagnina stały się jakby mniejsze i pełne napięcia.

- Przepraszam! Nie mam czasu na pogawędkę.  
- Proszę, proszę - wyszeptał spokojnie Zen. - Musisz pewnie pracować nad jakąś bardzo poważną sprawą. Utopiony rybak, jak mi powiedziano. Nigdy o niczym podobnym nie słyszałem! Pośliznął się na ośmiornicy czy może cholewy kaloszy wkręciły mu się w wyciągarkę?

Gavagnin przyjrzał mu się z uwagą.

- Pierdol się - rzucił w dialekcie.

Mgła na zewnątrz była jeszcze gęstsza niż rankiem. Budynki przepływały w niej jak statki, wznosząc się ponad ulicami, którymi przemykały bezkształtne postacie. Kiedy Zen skręcił za róg, zauważył Aida Valentiniego topiącego smutki w kieliszku wina, którym popijał kanapkę. Przez chwilę Zen poczuł pokusę, by się do niego przyłączyć, ruszył jednak w dalszą drogę. Zatrzymał się tylko w piekarni, gdzie kupił pół bochenka chleba oliwkowego. Żuł z zadowoleniem kęsy pieczywa, smakując ciepłe ciasto i słodkie czarne oliwki.

Biuro *Serenissimi Viaggi* mieściło się przy uliczce na północ od Piazzzy, pełnej sklepów z karnawałowymi maskami i kostiumami. Grupa turystów przechodziła właśnie jak patrol wojskowy na terenie nieprzyjaciela - ciasno zbity dla bezpieczeństwa, aparaty gotowe do strzału przy pierwszej okazji. Jeden z nich dostrzegł plakaty wywieszane w oknie biura podróży i skrzywił się, jak gdyby zaniepokojony myślą, że w mieście, które istniało dla niego wyłącznie jako cel wycieczek, można w ogóle myśleć o podróżach dokądkolwiek.

W niewielkim pomieszczeniu stały dwa biurka z komputerami. Błaty zasłane były folderami i rozkładami jazdy. Jedno biurko było puste, przy drugim siedziała kobieta o trupim wyglądzie anorektyczki, nienaturalnie białej cerze i czarnych włosach. Nie podniosła wzroku, kiedy Zen wszedł do środka.

- Dzień dobry - powiedział. - Jestem znajomym Cristia-ny. Przyszedłem odebrać faks, który przesłano tu na moje nazwisko.

Kobieta westchnęła potężnie, wstała i podeszła do sąsiedniego biurka. Przez pewien czas grzebała w papierach, w końcu wróciła z dużą kopertą i podała ją Zenowi, wciąż unikając jego wzroku. Z wyraźną dezaprobatą patrzyła na nadgryzioną połówkę bochenka.

- Trzydzieści osiem tysięcy - powiedziała.

- Przepraszam?

Kobieta wystukała coś na klawiaturze podręcznego kalkulatora.

- Przyjęcie czternastu stron faksu razy dwa tysiące lirów równa się dwadzieścia osiem tysięcy, plus pięć tysięcy opłaty manipulacyjnej, plus VAT stawka piętnaście procent, co daje cztery tysiące dziewięćset pięćdziesiąt, powiedzmy, pięć tysięcy, w sumie trzydzieści osiem tysięcy. Chce pan rachunek?

Zen zapłacił i wyszedł w mgłę, ściskając w rękę kopertę. Skręcił w prawo, z dala od głównej ulicy i tłumów przed wystawami sklepów. Na Campo Santa Maria Formosa znalazł to, czego szukał: małą, przytulną winiarnię, o tej porze prawie pustą. Ściany obito zabejcowanymi deskami, wewnątrz przypominało kadłub łodzi spłaszczony jak *polio alla diavola*. W oknach wisiały koronkowe zasłonki. Mosiężne lampy z kulistymi abażurami rozświetlały dyskretny półmrok żółtawym światłem.

Przy barze wykonanym z bloku cętkowanego marmuru stało trzech mężczyzn, którzy omawiali zalety różnych typów silników. Zen wybrał sobie krzesło na tyłach winiarni i usiadł twarzą ku drzwiom. Kiedy podszedł barman, Zen zamówił smażone kraby i ćwierć litra białego wina. Poczekał, aż mężczyzna odejdzie, później otworzył kopertę i rozłożył na stole jej zawartość.

Dokumenty przesłane z Palazzo Sisti składały się z czternastu stron maszynopisu z podwójną interlinią. Tekst nie miał nagłówka ani niczego, co mogłoby wskazywać, że stanowi część oficjalnego raportu. Napisano go na zwykłym papierze, aby ukryć źródło lub wszelkie szczegóły, które mogłyby skompromitować przyjaciół czy stronników *l'onorevole*.

Zen pospiesznie przebiegł go wzrokiem, później wrócił do początku i zaczął czytać od nowa, tym razem z większą uwagą, gdzieś robiąc na marginesach notatki. Najpierw dowiedział się, że zaginiony mężczyzna nie nazywał się Durridge, a Durić. Urodził się w roku 1919 w Sarajewie, mieście równie sławnym podówczas, wkrótce po zakończeniu wojny, która tam właśnie się rozpoczęła, jak obecnie, kiedy pozostawione zostało swojemu losowi przez świat, którego jak się wydawało, niczego nie nauczyły potworności minionych siedemdziesięciu pięciu lat.

Kiedy barman przyniósł zamówioną potrawę, Zen niedbale położył na maszynopisie kopertę. Kruszył obsmażone na złocisty kolor szcypce i wydobywał ze środka delikatne mięso, popijając białym winem i studiując raport. Kiedy Ivan Durić miał lat dwadzieścia, jego kraj

objęła następna europejska zawierucha, tym razem jednak Durić mógł wziąć w niej aktywny udział. Niestety, stanął po niewłaściwej stronie i kiedy partyzanci Tita przejęli władzę w nowej komunistycznej Jugosławii, rodzina Duriciów musiała pospieszyć wyjechać. Przedostała się przez Adriatyk do Włoch, a stamtąd do Stanów Zjednoczonych, gdzie Ivan zmienił nazwisko i zabrał się do zarabiania milionów na transporcie ciężarowym.

Zen dokończył posiłek. Nalał sobie jeszcze odrobinę wina, zapalił papierosa i wrócił do lektury. DurrIDGE po raz pierwszy znalazł się w zasięgu zainteresowania władz włoskich w marcu 1988 roku, kiedy kupił *ottagono* na wodach laguny i wystąpił do miejscowej *Questura* o prawo stałego pobytu. Od tej pory, według danych straży granicznej, podróżował między Chicago a Wenecją cztery do pięciu razy w ciągu roku. Jego nazwisko jeszcze dwukrotnie pojawiło się w oficjalnych aktach. Za pierwszym razem chodziło o skargę, którą DurrIDGE złożył w końcu września minionego roku, dotyczącą wtargnięcia na jego teren. Drugim dokumentem był raport z datą o miesiąc późniejszą, sporządzony, kiedy Franco Calderan zadzwonił do karabinierów, aby poinformować, że jego pracodawca zniknął.

- ...wodorosty zaplątały się w śrubę, a wtedy...
- ...musiał wszystko rozebrać i czyścić ręcznie...
- ...ja tam jestem wierny małemu fiatowi, którego używał mój ojciec...

Zen wydmuchnął prawie idealne kółko dymu i zamówił następną butelkę wina. Franco Calderan wrócił od rodziny z Lido wkrótce po siedemnastej, jedenastego. Przypłynął niewielkim pontonem i już zbliżając się do wysepki, zauważył zniknięcie łodzi należącej do jego pracodawcy.

Łodzi, tradycyjnej *topa*, która zamiast zwykłego żagla miała silnik dieslowski volvo, nigdy więcej nie widziano. DurrIDGE nigdy nie pływał nią bez towarzystwa Calderana po tym, jak na własnej skórze przekonał się o niebezpieczeństwach związanych z żeglugą po lagunie. Wszedł na mieliznę na południe od *Fondi dei Sette Morti* i musiał spędzić na pokładzie noc. Rano ściągnęli go rybacy z kutra wracającego do Chioggii. Ponieważ łódź zniknęła, prowadzący śledztwo przyjęli, że została uprowadzona przez tę samą osobę czy może osoby, które porwały Ivana DurrIDGE'a.

Marco Paulon zwrócił już uwagę Zena na to, że czas, w którym możliwe było dokonanie porwania, był niezwykle krótki. Wiadomo było, że DurrIDGE znajdował się na wyspie kilka minut po pierwszej, ponieważ rozmawiał wtedy przez telefon ze swoją siostrą z Florydy. Najpóźniej o drugiej odpływ był tak niski, że uniemożliwiał przypłynięcie lub odpłynięcie z *ottagono*. Rozpatrywano też możliwość, że porywacze dostali się na wyspę drogą powietrzną, ale wykluczono ją ze względu na kłopoty z lądowaniem na niewielkim trawniku, który był jedynym miejscem nie porośniętym wysokimi drzewami - sami karabinierzy zmuszeni byli przez cały czas trwania śledztwa docierać na wyspę drogą wodną. Jednego nikt nie podawał w wątpliwość - Amerykanin był podręcznikowym wręcz przykładem celu dla zawodowych porywaczy: bogaty, samotny, mieszkający na uboczu. Tezę tę mogło jednak potwierdzić jedynie żądanie okupu.

Do tego miejsca tekst był mniej lub bardziej dosłowną kopią raportu karabinierów z Wenecji. Śledztwo posuwało się dalej na poziomie lokalnym, bez jakichkolwiek oznak, że sprawa może mieć dalsze implikacje. Nieoczekiwanie na początku stycznia karabinierzy otrzymali instrukcje od swoich zwierzchników w Ministerstwie Obrony, zgodnie z którymi mieli wstrzymać wszelkie działania dotyczące sprawy DurrIDGE'a i przekazać całość posiadanej dokumentacji do Rzymu celem „oceny”.

Końcowa część faksu składała się z fragmentów - tutaj z pewnością doszło do redagowania tekstu - wewnętrznego memorandum skierowanego do osoby określanej jako „wyższy urzędnik Ministerstwa Obrony”. Brzmiały one następująco: „W sprawie, której

dotyczyło pańskie pismo, informujemy, że odpowiednia agencja ujawniła ostatnio fakt prowadzenia od dłuższego czasu śledztwa w sprawie Ivana Durridge'a vel Duricia, któremu równoległe postępowanie mogłoby przynieść poważny uszczerbek. Równoległe śledztwo zostaje więc niniejszym zawieszona w interesie bezpieczeństwa wewnętrznego, podczas gdy wspomniana powyżej agencja kontynuować będzie własne dochodzenie, którego wyniki zostaną przekazane zainteresowanym stronom w odpowiednim czasie”.

Więc o to chodzi, pomyślał Zen, dopijając kieliszek wina. „Odpowiednia agencja” - eufemizmem tym określano tajne służby, w tym wypadku chodziło zapewne o jednostkę przy samym Ministerstwie Obrony, SISMI. Czy Durridge był agentem, czy też celem ich działań, pozostawało pytaniem wyłącznie akademickim. Wszystko, co łączyło się z działaniami tajnych służb, znajdowało się poza zasięgiem Zena. Mógł co najwyżej liczyć na to, że zdoła zebrać dostatecznie wiele danych, by przeciągnąć jeszcze odrobinę swoje prywatne śledztwo i wydobyć jak najwięcej pieniędzy od rodziny Durridge'a. Tylko jak?

Ponownie zabrał się do lektury faksu. Wydawało się, że sprawdzono prawie każdy istniejący trop. W końcu dostrzegł dwa możliwe do zbadania ślady. Pierwsza możliwość dotyczyła wcześniejszego wtargnięcia na *ottagono*, które nastąpiło jeszcze w lecie, druga - dalszych losów łodzi Durridge'a. Żadnej z nich nie dawało się uczciwie określić jako obiecującą, ale przy odrobinie zręczności mógł dzięki nim wywołać u swoich pracodawców złudzenie, że osiągnął poważne postępy, zwłaszcza jeśli pracodawcy ci rzeczywiście mieli wciąż jakieś złudzenia.

Kiedy wrócił do *Questura*, zabrał się do roboty. Skarga Durridge'a dotycząca wtargnięcia we wrześnie trafiła do archiwum policji i podczas gdy karabinierzy musieli odesłać wszystkie swoje akta do Rzymu, *Questura* nie otrzymała nigdy takiego polecenia - z tego prostego powodu, że nigdy nie prowadziła żadnej sprawy Durridge'a. Wystarczyło, że Zen zadzwonił po odpowiednie dokumenty, i już po dziesięciu minutach leżały na jego biurku.

Ku jego rozczarowaniu nie dawały żadnej możliwości owocnego rozwoju sprawy. Winni zostali zatrzymani i zidentyfikowani, okazało się przy tym, że to szanowani przedstawiciele lokalnej społeczności. Giulio Bon pochodził z Chioggii, gdzie kierował niewielką stoczną. Jego towarzysze mieszkali w mieście: Massimo Bugno pracował na promie ACTV, a Domenico Zuin był właścicielem taksówki wodnej.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, kiedy odebrana została skarga Ivana Durridge'a, na tym właśnie akwenie znajdowała się policyjna motorówka, która zatrzymała intruzów, gdy zbierali się do odpłynięcia łodzią należącą do rzeczonoego Zuina. Wszyscy trzej zgodnie stwierdzili, że są niewinni. Nie wiedzieli, że wyspa jest zamieszkała, zakładali, że została opuszczona, jak wiele innych wysp na lagunie. Nie mieli żadnych złych zamiarów, zamierzali jedynie wspólnie wypić butelkę wina i rozegrać partyjkę brydża.

Zen podniósł się zza biurka i podszedł do okna. Wydawało mu się, że mgła przeniknęła nie tylko do wnętrza budynku, ale i do jego mózgu, ciężkiego od wina. Odwykł od niego w ciągu lat spędzonych na Południu, gdzie ludzie przepijali je coca-colą, a na to, by upijać się importowanym piwem, mogły pozwolić sobie jedynie bogate dzieciaki. Powróciwszy na północ, automatycznie przerzucił się na miejscową tradycję, zaczynając dzień od kawy z kieliszkiem grappy, a później utrzymywaniem uzyskanego stanu kolejnymi kieliszkami wina, ale jego mózg nie potrafił już tego znieść.

Zapalił papierosa. Dym ocierał się o szybę jak kot, jak gdyby chciał połączyć się z mgłą za oknem. Incydent z wtargnięciem nie dał mu nic, co można by pokazać prawnikowi Durridge'a. Pozostawała zatem łódź. Zatelefonował do biura, w którym przechowywano dane o wszystkich pływających jednostkach prowincji Wenecja. Poprosił o przesłanie danych



dotyczących wszystkich jednostek zarejestrowanych od pierwszego listopada zeszłego roku.

Dopiero wtedy, wykorzystawszy wszelkie preteksty do dalszego przeciągania sprawy, zszedł na dół i wezwał motorówkę, która miała zawieźć go do Ospedale Civile na nieuniknioną konfrontację z Adą Zulian.

## IX

Jeśli Zen martwił się, że jego obecność na zgromadzeniu separatystycznego ruchu weneckiego zostanie w jakikolwiek sposób dostrzeżona, uspokoił się, kiedy tylko dotarł na Campo Santa Margherita. Wraz z nadejściem wieczoru silny porywisty wiatr oczyścił miasto z mgły. Już od pierwszego wejrzenia Zen przekonał się, że plac pełen jest ludzi.

Zazwyczaj podobnej skali zgromadzenie polityczne zwróciłoby na siebie uwagę policji. Na sąsiednich ulicach ustawiono by uzbrojone po zęby oddziały, nie tyle w oczekiwaniu na możliwe zamieszki, ile po to, by przekazać w ten mało subtelny sposób, że niezależnie od tego, co mogą proponować mówcy, ani oni sami, ani ich stronnicy nie powinni zapominać, że prawo do ostatecznej decyzji pozostaje w gestii państwa i jego agend.

Tutaj jednak jedynym policjantem, którego potrafił dostrzec Zen, był on sam. Być może po rewelacjach ujawnionych w ciągu ostatnich kilku miesięcy państwo zaczynało w końcu tracić ducha, a może wołało robić wrażenie na bardziej niebezpiecznych przeciwnikach. Ludzie, którzy przyszli wysłuchać Ferdinanda Dal Maschia, nie byli zrewoltowanymi studentami czy strajkującymi robotnikami. Poważny wiek i wygląd nie wskazujący na skłonność do udziału w gwałtownych demonstracjach pozwalał stwierdzić, że byli to zwyczajni, praworządni mieszkańcy dzielnicy Dorsodu-ro, którzy nie przejawiają skłonności do naruszania spokoju publicznego i jakichkolwiek ekscesów.

Tłum był najgęstszy na drugim krańcu placu, gdzie wzniesiono zaimprovizowane podium. W tyle sceny, pod transparentem z lwem świętego Marka i nazwą partii, siedziało czterech mężczyzn, słuchając piątego, który przemawiał do tłumu przez głośniki ustawione po bokach drewnianej konstrukcji. Na obrzeżach grupy zapamiętałych zwolenników zbierał się tłumek mniej entuzjastyczny, rozglądający się, poruszający bez celu, słuchający przemówień - tłumek ludzi nie przekonanych, ale dopuszczających możliwość dołączenia do grupy.

Zen zajął miejsce właśnie wśród nich, po prawej stronie, wśród widzów i wahających się. Wczesne popołudnie poświęcił na próby przekonania Ady Zulian, by zgodziła się na obecność policjanta w swoim domu - przynajmniej od zmroku do świtu. Zen zakładał, że starsza pani będzie zadowolona z ochrony, ona jednak gorąco zaprotestowała przeciwko podobnej „ingerencji w jej prywatność”. Wysilków Zena nie wsparł też Bettino Todesco, dość gburowaty policjant, który miał stanąć na straży tej nocy. Nie pomogło również pobranie przez Zena odcisków palców Ady do porównania z tymi, które zdjęto z rękonoży.

W końcu Ada zażądała rozmowy z siostrzeńcami. Nanni i Vincenzo Ardit przyjechali z Werony, kiedy tylko dowiedzieli się o tym, że ich ciotka znalazła się w szpitalu, i popołudnie spędzili w Wenecji. Zatrzymali się w należącym do rodziny domu niedaleko Palazzo Zulian. Minęło zatem zaledwie kilka minut, nim jeden z nich zjawił się, aby udzielić ciotce moralnego wsparcia.

Vincenzo Ardit przyjemnie Zena zaskoczył. Był to dobrze zbudowany, silny mężczyzna po dwudziestce o krótko przyciętych włosach i zmęczonych oczach, które zdradzały, że właśnie odbył służbę wojskową. Spokojny i w widoczny sposób przywykły do obchodzenia się z Adą, wytłumaczył jej pożytki płynące z obecności policjanta w domu przez ograniczony czas, „co mogłoby dowieść, że ciocia nie wyobraża sobie po prostu tego wszystkiego”. Ada uniosła w górę zabandażowane nadgarstki i zapytała, czy nie jest to dostatecznie przekonujący dowód, ale ten pokaz urazy dowodził, że w zasadniczej sprawie wyraża zgodę.

Przez następną godzinę Zen i Ardit uspokajali Adę. Dopiero potem mogli zostawić ją samą z nieokrzesanym Tode-skiem, którego zamknięto w małym pokoiku przy schodach z

rozkazem, by go nie opuszczał nie proszony. Kiedy Zen wychodził, Ardit przeszedł się z nim do końca uliczki z oczywistym zamiarem odbycia swobodniejszej rozmowy.

- Moja ciotka jest bardzo chora. Potrzebna jej hospitalizacja i opieka medyczna, niestety, jej ostatnie doświadczenia były tak straszne... To było jeszcze średniowiecze psychiatrii, początek lat pięćdziesiątych. Dali jej mnóstwo leków i zastosowali elektrowstrząsy. Skutek jest taki, że ciotka zrobi wszystko, byle tylko tam nie wrócić. - Westchnął głęboko. - Jak na razie Nanni i ja postępowaliśmy zgodnie z jej życzeniami. Jeśli jednak ponownie spróbuje popełnić samobójstwo, będziemy nalegać, by poddała się leczeniu, którego tak bardzo potrzebuje.

Zen pozostawił Ardita z jego obowiązkami rodzinnymi, a sam ruszył do domu, czując ogarniające go wyczerpanie. Wziął prysznic. Popełnił jednak ten błąd, że położył się na chwilę na łóżku. Kiedy otworzył oczy, w pokoju było już ciemno, a dzwony San Giobbe były właśnie ósmą. Skutkiem tego, kiedy dotarł na miejsce, spotkanie NRV zbliżało się już do końca. Mówca stojący na podium poruszył problem konieczności wsparcia drobnych sklepikarzy i rzemieślników przez wpływające na „biurokratycznych intrygantów” i złagodzenie „nieznośnego i niesprawiedliwego brzemienia podatków”.

Jedno spojrzenie na twarze słuchaczy przekonywało o słuszności przyjęcia tej właśnie linii politycznej. Prawie wszyscy wokół stanowili żywe wcielenie *piccola-borghesia*. Bardziej skrajna retoryka separatystyczna potrafiłaby przekonać co romantyczniejszych spośród nich, ale w ostateczności do większości przemówić mogły jedynie kwestie życia codziennego. Żadnemu z obecnych nie odpowiadało, by jakiś polityk z Rzymu mówił im, co mogą, a czego nie mogą robić, zwłaszcza teraz, kiedy sędzia Antonio Di Pietro i jego koledzy potwierdzili ich długo skrywane podejrzenia, że ci właśnie politycy sami od zawsze robili wszystko, co tylko im się spodobało.

Mówca wrócił na swoje miejsce pożegnany głośnymi okrzykami, a do mikrofonu zbliżył się jeden z siedzących z tyłu podium. Nawet przez welon wieczornej mgły Zen rozpoznał Tommasa Saonera, który miał przedstawić najważniejszego mówcę wieczoru. Po dłuższej pauzie, w czasie której okrzyki i oklaski stały się jeszcze głośniejsze i bardziej rytmiczne, z tłumu w dramatyczny sposób wynurzył się przywódca *Nuova Repubblica Veneta* i wskoczył na podium.

Ferdinando Dal Maschio jedynie z pozoru był tym samym człowiekiem, którego Zen widział poprzedniego dnia w barze. Wygląd fizyczny nie uległ zmianie - żyłasty mężczyzna średniego wzrostu, o ostrych orlich rysach i rozwichrzonej jasnobrązowej czuprynie - a jednak efekt całości był kompletnie odmienny. W *osteria* Dal Maschio wydawał się pospolity, sprawiał wręcz wrażenie naiwniaka, kogoś, kogo można wziąć na wódkę czy polowanie, ale na pewno nie poprosić o wysłanie ważnego listu. Teraz jednak był całkowicie odmieniony. Kiedy kroczył przez podium i sięgał po mikrofon, promieniował autorytetem, witalnością i pewnością siebie.

Kiedy tylko Dal Maschio zaczął przemawiać, Zen zdał sobie sprawę z tego, że ma do czynienia z urodzonym oratorem. Fascynację budzić mogło już choćby to, że głos mówcy nie pasował do jego chłopięcego wyglądu. Głęboki i lekko zachrypnięty, ze zgrzytliwym tonem, który był zapewne pamiątką dzieciństwa spędzonego w Lombardii, nadawał się znakomicie do dzikiego, szyderczego ataku na „pochodzącą z wyboru mafię” w Rzymie, od którego zaczęła się przemowa. W tłumie rozległ się ryk aprobaty, gdy Dal Maschio wymieniał grzechy klasy politycznej, która od czasów wojny kierowała krajem.

- Moglibyśmy wybaczyć im nieudolność, gdyby nie byli przy tym arogancy. Gotowi bylibyśmy nie dostrzegać ich arogancji, gdyby nie byli do tego skorumpowani. Ich korupcja zaś nie cuchnęłaby tak bardzo, gdyby przez ostatnie pięćdziesiąt lat nie wygłaszali wciąż kazań o potrzebie zachowania wysokich norm moralnych i rządach prawa. Ale nieudolność połączona z arogancją z dodatkiem korupcji pomnożone przez hipokryzję? Nie! Nie, przyjaciele, nie mogą się

spodziewać, że pozwolimy wciskać sobie podobne gówno!

Nagły przeskok w wulgarność wywołał burzę oklasków. Dal Maschio zdobył już dla swojej sprawy ich umysły, teraz podbił ich serca, odsłaniając się jako jeden z nich, prosty człowiek, który posługuje się prostymi słowami. Był jednak dostatecznie przebiegły, by wiedzieć, że ataki na łatwe cele w Rzymie, jakkolwiek mogły być popularne, nie wystarczą. Wstępną tyradą rozgrzał tylko tłum. Teraz nadszedł czas, by przejść do spraw lokalnych i przedstawić alternatywną wizję przyszłości.

- Ekolodzy mówią o „zagrożonych gatunkach”. Wiele mówi się o losie wielorybów i słoni, nosorożców, tygrysów i delfinów. - Urwał niespodziewanie, pozwalając słuchaczom zastanawiać się, co ma to wspólnego z ich problemami. - Istnieje jednak gatunek o wiele od nich ważniejszy, bliższy naszym sercom, który w równym stopniu znalazł się w niebezpieczeństwie, a nikt nawet palcem nie kiwnie, by go ratować. Ten gatunek, przyjaciele, to weneccjanie! - Dal Maschio zrobił krok w tył. Odczekał, aż ucichnie fala oklasków i okrzyków. - Jest już późno, bardzo późno! - krzyknął żarliwie. - W ciągu pięćdziesięciu lat od zakończenia wojny straciliśmy co najmniej połowę mieszkańców, ci zaś, którzy pozostali, mają najwyższy średni wiek wśród miast Europy. Nie zapominajmy przy tym, że oficjalne dane wliczają również wszystkich cudzoziemców, którzy osiedlili się w naszym mieście i doprowadzili do szaleńczego wzrostu cen nieruchomości, przybyszów, z którymi nie łączy nas wspólna przeszłość, a przez których wielu spośród nas nie może dłużej mieszkać w swoim rodzinnym mieście!

Słowa te wywołały kolejną falę okrzyków.

- Nie jest to wyłącznie kwestia liczb - mówił dalej Dal Maschio, nagle poważniejąc. - Odtworzenie liczby weneccjan nie jest jedyną kwestią. Ważniejsze jeszcze jest zachowanie naszej kultury, a czasu, jaki nam na to pozostał, jest rozpaczliwie mało! Zostało nam dosłownie kilka lat na repatriację zmuszonych do emigracji tysiacy obywateli naszego miasta, by starsze pokolenia mogły przekazać młodym swoje rzemiosła, tradycję i język. Później więz zostanie zerwana i nie będzie już żadnej możliwości, by to naprawić, skończy się obejmująca półtora tysiąclecia historia Wenecji. Jeśli nasze miasto w ogóle przetrwa, stanie się skansenem dla bogatych turystów karmionych przez McDonald'sa, wykupionym w całości przez Disneyland, z aktorami grającymi dozę i Radę Dziesięciu. - Dal Maschio urwał, pozwalając słuchaczom zastanowić się nad tą ponurą wizją. Kiedy przemówił ponownie, odezwał się niskim, rzeczowym głosem, co stanowiło dramatyczny kontrast z jego poprzednią wypowiedzią. - To jednak nie musi się zdarzyć. To się nie zdarzy. Nie dopuścimy do tego. - Urwał ponownie, wpatrując się przed siebie, jak gdyby nagle zabrakło mu słów. Kiedy wreszcie się odezwał, słowa były ciche, brzmiało w nich jednak napięcie objawienia, wielkiej prawdy ogłaszanej po raz pierwszy. - My, weneccjanie, musimy wziąć swój los w swoje ręce. - Skinął głową, jak gdyby dopiero teraz dotarło do niego znaczenie tego stwierdzenia. - Przez ponad stulecie pozwalaliśmy się mieć chimerze nacjonalizmu. Uwolniliśmy się z kajdan cesarstwa austriackiego po to tylko, by oddać się pod hegemonię Rzymu. Teraz jednak, kiedy wyszło na jaw, jak bardzo zgniły to reżim, pojawiają się ludzie, którzy chcą, byśmy oddali się bez sprzeciwów we władanie Mediolanu!

Tę aluzję do rywalizującej z NRV Ligi Północnej powitała fala szmerów w tłumie.

- Być może jest to sensowne rozwiązanie dla innych - podjął Dal Maschio, a w jego głosie ponownie zabrzmiała agresja - dla tych regionów, które historycznie uznawały supremację Lombardczyków, lub tych, które nie mają dostatecznych środków, by domagać się niepodległości. - Na chwilę przerwał, po czym przemówił normalnym tonem. - My jednak jesteśmy inni! Wenecja zawsze była inna! Istria i wybrzeże dalmatyńskie zawsze były nam bliższe niż Werona. Korfu i Morze Egejskie bardziej znajome niż Mediolan. Konstantynopol równie obcy co Rzym. Tam, gdzie inni skupiali się na sobie, my zawsze sięgaliśmy wzrokiem w

dal. Te różnice są naszym dziedzictwem i naszą chwałą. Nowa Republika Wenecka doprowadzi do ich odrodzenia! Uczynimy nasze miasto wolnym portem, odnowimy historyczne związki z nowo powstałymi republikami na wybrzeżu dalmatyńskim, zaproponujemy znaczące ulgi handlowe i ekonomiczne dla biznesmenów, a wszystko po to, by Wenecja ponownie stała się łącznikiem pomiędzy wschodnim wybrzeżem Morza Śródziemnego i Europą Północną. - Dal Maschio wypił łyk wody ze szklanki. Uśmiechnął się szeroko, znowu stał się swoim chłopakiem. - Mamy jedną przewagę nad innymi. Przewaga ta jest jednocześnie naszym przekleństwem, mówię oczywiście o turystach.

Kiedy w tłumie rozległy się wybuchy śmiechu, Dal Maschio z aprobatą skinął głową.

- Wiemy wszyscy aż nazbyt dobrze, że nie ma na naszej planecie nikogo, kto nie chciałby odwiedzić naszego miasta, a każdy, kto już tu był, chciałby kiedyś powrócić. Każdego roku odwiedza nas dwadzieścia milionów takich właśnie „gości”, co jednak my sami z tego mamy? Prawie nic! Większość z nich spędza w naszym mieście niecały dzień, a ci nieliczni, którzy zatrzymują się na dłużej, obsługiwani są przez światowe sieci hotelarskie, których zyski trafiają do Paryża, Londynu albo Nowego Jorku. Tacy turyści są jak *acqua alta*, zalewają całe miasto, uniemożliwiają normalne życie i pozostawiają po sobie wyłącznie gówno!

Słowa te nagrodzono burzą oklasków. Dal Maschio uniósł w górę dłoń, prosząc o ciszę.

- Jeśli jednak zatamujemy tę falę, przyjaciele, przyniesie nam ona dostatecznie dużo pieniędzy, by podtrzymać stabilną i silną gospodarkę! Turyści płacą średnio pięćdziesiąt dolarów od głowy za wstęp do Disneylandu pod Paryżem. Jak dużo skłonni byliby zapłacić za przywilej odwiedzin w najświetniejszym i najpiękniejszym mieście na świecie? W tej chwili mogą tu wchodzić za darmo, jak gdyby wszystko tu do nich należało! Każdy, kto by zechciał odwiedzić Nową Republikę Wenecką, musiałby wykupić wizę, za którą musiałby zapłacić... Ile zażądamy? Sto tysięcy lirów? Zapewniłoby to Nowej Republice Weneckiej natychmiastowy gwarantowany dochód roczny w wysokości dwóch bilionów lirów!

W tłumie rozległy się głośne westchnienia. Dal Maschio wzruszył skromnie ramionami.

- Nieźle, prawda? Kwota ta przewyższa roczny budżet niejednego kraju rozwijającego się. Dla nas jednak jest to dopiero początek. Niepodległość nie jest wyłącznie marzeniem, to jedyna polityka, która umożliwi nam wykorzystanie w pełni potencjału naszego jedyne w swym rodzaju miasta. Nie wolno nam jednak wpaść w pułapkę samozadowolenia, przyjaciele. Nie marnujcie swych głosów dlatego, że wierzycie - pamiętajcie: absolutnie słusznie - iż nasze zwycięstwo jest przesądzone. Wygrajmy wybory municypalne, ale wygrajmy je w decydujący sposób, zdobywając przewagę, która będzie jednoznacznym sygnałem dla moralnie i gospodarczo zbankrutowanego reżimu w Rzymie! Zmusimy ich do ogłoszenia wyborów w najbliższej przyszłości, abyśmy mogli raz na zawsze wyzwolić się spod jarzma, które ciąży nam od tak dawna, abyśmy mogli wreszcie zacząć wykuwać naszą przyszłość w tym jedyne, nieporównywalnym z niczym mieście-państwie! - Dal Maschio odwrócił się. Wydawało się, że przemowa jest już skończona, tłum zaczął niepewnie klaskać. Nagle, jak gdyby pod wpływem niespodziewanego natchnienia, Dal Maschio ponownie chwycił mikrofon i odezwał się zachrypniętym głosem: -Piętnaście wieków temu nasi przodkowie zebrali się na pustych brzegach laguny w poszukiwaniu ratunku przed obcą dominacją, uciskiem i niewolą. Pozostawili za sobą stały ląd i przez stulecia przemieniali to niegościnne miejsce w miasto, które zalicza się do cudów świata. Nigdy nie padali na kolana przed cesarzem czy papieżem, zawsze podążali własną drogą, nie służyli nikomu, jedynie interesom Republiki. Może nie zawsze szczególnie dbali o metody działania albo o dobór sprzymierzeńców, ale sprawili, że przez ponad tysiąc lat Wenecja budziła poważanie i lęk. Jeśli chcemy na powrót odzyskać dawną wielkość, jeśli chcemy po prostu przetrwać, musimy pójść ich śladem - jako Europejczycy, jako Włosi, ale

przede wszystkim jako weneccjanie!

Aplauz, jaki nastąpił po tych słowach, był niezwykle entuzjastyczny. Gdzieś z tyłów samotny głos zawołał: „Autonomia dla Giudeccii!”, ale sarkazm utonął w owacjach na cześć Dal Maschia i jego współpracowników.

Zen zastanawiał się właśnie, jak ma zwrócić na siebie uwagę Tommasa, kiedy obok pojawiło się dwóch chłopaków z opaskami NRV na ramionach, którzy kazali mu klaskać. Jeden był niski i puciołowaty, delikatne dziecinne rysy jego twarzy kłóciły się jednak z wąskimi wargami i twardymi, ruchliwymi oczami osadzonymi odrobinę za blisko siebie. Jego towarzysz był starszy i smuklejszy, nosił wąsik, miał długie wyperfumowane loki i okulary przeciwsłoneczne o wielkich szklach. Zen odmówił „włączenia się do ogólnego entuzjazmu”, a kiedy chłopcy nalegali, powiedział, że przyszedł spotkać się z Tommasem Saonerem.

Starszy spojrział na niego ostro.

- Czy przypadkiem nie nazywasz się może Zen? - zapytał.

- Nie przypadkiem, mój ojciec też się tak nazywał.

Odrodzony weneccjanin pokiwał głową z uznaniem, później jednak skinął energicznie, jak gdyby chciał powiedzieć, że nie czas na żarty.

- Tommaso kazał nam cię znaleźć - powiedział krótko. - Chodź z nami.

Młodzieńcy ruszyli przed siebie, brutalnie przepychając się przez tłum. Oświetlenie podium już zgasło, a ochotnicy rozbierali całą konstrukcję. Pod jednym z platanów, których korzenie wybrzuszały bruk tak, że plac wyglądał jak sfalowane morze, Ferdinando Dal Maschio rozmawiał ze swoją publicznością. Witał się ze wszystkimi serdecznie, jak gdyby każdy był już starym przyjacielem, członkiem rodziny. Było to imponujące przedstawienie, zwłaszcza że wydawało się całkowicie naturalne.

Wokół Dal Maschia ustawili się jego pomocnicy, wśród których znajdowali się Tommaso Saoner i puciołowaty mężczyzna o uważnych oczach, w którym Zen z zaskoczeniem rozpoznał Enza Gavagnina. W dyskretny sposób kontrolowali oni przepływ podchodzących osób. Starszy z chłopaków podszedł do Saonera i rozmawiał z nim przez krótką chwilę. Tommaso spojrział w kierunku Zena i przywołał go gestem.

- No i jak, Aurelio, jaka jest twoja ocena?

Saoner był zarumieniony, miał rozszerzone źrenice i przyspieszony oddech, poruszał się gwałtownie. Zen przypomniał sobie słowa Cristiany, że polityka jest jak narkotyk. W innych okolicznościach uznaliby, że Tommaso jest pijany.

- Sporo ludzi - odpowiedział Zen.

Nielatwo jednak było teraz zniechęcić Tommasa.

- A Dal Maschio? - zapytał z ożywieniem. - Co o nim sądzisz?

Zen wzruszył ramionami.

- To urodzony polityk.

To zostało lepiej przyjęte.

- Przestań owijać w bawełnę, Aurelio! Jesteś z nami czy przeciwko nam?

Zen przyjrzał się Tommasowi z udawanym przerażeniem.

- Nie ma innego wyboru?

- Nie dla kogoś takiego jak ty, prawdziwego weneccjani-na! Słyszałeś, co powiedział Dal Maschio. Zostało nam zaledwie parę lat, w najlepszym wypadku dziesięć, może dwadzieścia, aby uratować miasto i wszystko to, co sprawia, że jesteśmy tym, czym jesteśmy!

- Myślałem, że przemówienia już się skończyły, Tommaso.

Podszedł do nich Enzo Gavagnin. Pozdrowił Zena pospiesznym skinieniem głowy, a później zwrócił się do Saonera.

- To twój przyjaciel?

Tommaso spojrział na Zena.

- Dawniej nim był.

Gavagnin splunął na chodnik jasnożółtą plwociną.

- A teraz?

Tommaso wzruszył ramionami i zmusił się do uśmiechu.

- Och, Aurelio jest w porządku. W końcu zrozumie, co jest grane. Logika naszych argumentów jest oczywista. Po prostu nie ma innych możliwych do wprowadzenia w życie rozwiązań dla problemów, którym musimy stawić czoło. - Wziął Zena za ramię i odprowadził go z dala od groźnych spojrzeń Gavagnina. - Chodź, pójdziemy do Andrei.

Wydostali się z tłumu, przeszli przez *campo* i pod niskim portykiem. Lampa w żelaznym abażurze na pobielonym wapnem suficie rzucała cień, który wyglądał jak ogromny przyczajony pająk. Niewielki dziedziniec zwęzał się w ślepą uliczkę zamkniętą przez kanał. Znowu zaczął się przypływ, niewidoczna w mroku woda uderzała o stopnie. Zen poczuł ulgę, że Bettino Todesco stoi na warcie w Palazzo Zulian. Być może nie wszystko jeszcze było w porządku, ale udało się uniknąć najgorszego.

Na placu stało osiem domów, nie licząc nadbudówki nad portykiem. Tommaso zatrzymał się przed drzwiami ostatniego budynku po prawej stronie. Na plastikowej tabliczce nad dzwonkiem widniało nazwisko DOLFIN.

- Nie wiem, czy jest w domu - wymamrotał Tommaso. - Nie ma telefonu, musimy więc zaryzykować.

- Dlaczego właściwie uważasz, że on może cokolwiek wiedzieć o Rosetcie Zulian? - zapytał Zen.

Tommaso wzruszył ramionami i nacisnął dzwonek.

- Pamiętam, jak moja matka mówiła, że jego nazwisko było łączone z tamtą sprawą. Nie pamiętam już żadnych szczegółów, ale jeśli ktokolwiek wie coś na ten temat po tylu latach, to może to być tylko Andrea.

Wysoko nad ich głowami z głośnym skrzypnięciem otworzyło się okno.

- Kto tam?

Głos należał do starszego mężczyzny, brzmiał apodyktycznie, prawie niegrzecznie.

- Tommaso Saoner, przyprowadziłem kogoś, kto chce się z panem spotkać.

- A ja chcę go widzieć? A może to ona? Czyżbyś rozszerzył zakres swoich usług o stręczycielstwo, Saoner? Przez cały wieczór próbowałem zagłuszyć jakoś wasze zwariowane przemówienia.

- To nie ma nic wspólnego z polityką, panie Andrea. Przyprowadziłem swojego kolegę ze szkoły, Aurelia Zena.

- Zen? Mówisz o Stefano? Nie, on już nie żyje. Guido? Biagio? Alberto?

- Aurelio! - krzyknął Tommaso.

Zen ledwie dostrzegał w górze wśród mgły siwą głowę.

- Nie ma nikogo takiego. Znałem kiedyś Angela Zena, ale on już nie żyje.

- Jestem jego synem! - krzyknął Zen.

- Angelo Giovanni - kontynuował rozmówca, jakby niczego nie słyszał - razem byliśmy w Młodych Faszystach, wstąpiliśmy jako jedni z pierwszych. Ale on nie miał dzieci. Wydaje mi się, że urodził mu się chłopiec, ale dziecko przyszło na świat martwe. A zanim mógł postarać się o następne, pojechał do Rosji i...

- Każe nam pan tu czekać całą noc? - zapytał Tommaso.

- Dobrze już, dobrze! Nie bądź taki niecierpliwy!

Chwilę później rozległo się brzęczenie zamka. Tommaso otworzył drzwi.

- Muszę wracać - powiedział Zenowi. - Mamy spotkanie polityczne, w którym muszę wziąć udział. Może zobaczymy się później, o ile Andrea nie zdoła cię przekonać, że nie istnieje!

Przeszedł pod portykiem i wyszedł na oświetlone *campo*, nucąc coś pod nosem. Zen wszedł do środka i stanął niepewnie w korytarzu.

- Wchodź na górę! - Usłyszał.

Zamknął drzwi i ruszył po schodach. Kiedy dotarł do pierwszego piętra, stanął twarzą w twarz ze wspartym na lasce chudym mężczyzną około osiemdziesiątki, ubranym w obszerny szlafrok z czerwonego materiału. Twarz mężczyzny była obwisła, o potężnej zuchwie.

- Dlaczego powiedział pan, że Tommaso to alfons? - zapytał Zen, czując, że powinien przejąć inicjatywę.

Starzec zaśmiał się gorzko.

- Próbowałem nakłonić mnie, bym przyłączył się do tego ruchu politycznego, w którym działa, tego, który przed paroma minutami hałasował na placu. - Gestem zaprosił Zena do środka. - Powtarzałem mu tyle razy, że ja już z tym skończyłem. Raz dałem się nabrać, bo byłem młody i głupi, ale Mussolini był przynajmniej prawdziwy! Dać się jeszcze raz ogłupić, i to w moim wieku, przez taką tanią imitację jak Dal Maschio - nie, dziękuję!

Pokój, do którego weszli, był podobnej wielkości jak pokój w domu Zena, ale wypełniony przeróżnymi przedmiotami, wydawał się o wiele mniejszy. Każdy skrawek powierzchni zastawiony był meblami lub półkami zavalonymi najróżniejszymi przedmiotami: był tam dzwon okrętowy, monety i medale, poszarpany strzęp flagi, skamieniała ryba, *ferro* o sześciu wyrostkach z dziobu gondoli, fragmenty rzeźb, arabskie i greckie książki, instrumenty medyczne i muzyczne, zwinięty bicz, zapinka do włosów z kości słoniowej...

- Skąd się to wszystko, u diabła, wzięło? - zapytał Zen, rozglądając się dookoła z podziwem.

- To łupy.

- Przepraszam?

Andrea Dolfin przyjrzał mu się ze złośliwym uśmieszkiem.

- Nie znasz historii Wenecji? Powinieneś, skoro nazywasz się Zen, o ile naprawdę tak brzmi twoje nazwisko. Kiedy następnym razem będziesz przechodził przez Piazzę, rozejrzyj się dookoła. Zrabowaliśmy naszym braciom w chrześcijaństwie z Konstantynopola więcej niż Turcy. Aja, w granicach swoich możliwości, podtrzymuję tę tradycję.

Gestem zaprosił Zena, by usiadł na obitym skórą krzesle o wysokim oparciu i krótkich nogach.

- Usiądź, proszę, i powiedz, co mogę dla ciebie zrobić.

Zen z pewną trudnością opadł na krzesło, które jak się wydawało, zostało przygotowane specjalnie dla jakiegoś tłustego karła.

- Jestem policjantem - powiedział. - Pracuję nad sprawą dotyczącą *contessa* Zulian. Tommaso myślał, że mógłby mi pan powiedzieć, co stało się z jej córką Rosettą.

Przez długą chwilę Andrea Dolfin w milczeniu wpatrywał się w Zena.

- Rosetta Zulian. - Przeszedł kawalek, szurając bosymi stopami w zniszczonych skórzanych sandałach. - To zemsta Tommasa - wyszeptał. - Kpiłem sobie z jego nawiedzonych przemówień, przysłał mi więc ciebie z bagażem strasznych wspomnień. - Odwrócił się i przyjrzał się Zenowi z mrocznego kąta pokoju. - Pijesz przynajmniej?

Zen wykonał gest wskazujący, że od czasu do czasu nie pogardzi kropelką. Starszy pan otworzył szafkę i wydobyl ciemnobrązową butelkę i dwa niezbyt czyste kieliszki.



- Recioto di Valpolicella - oznajmił, podchodząc do Zena. - Zrobione przez mojego syna, to jego hobby. To rocznik tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty trzeci. To z osiemdziesiątego pierwszego było jak sen, ale nic już nie zostało. Ten rocznik mógłby jeszcze trochę poleżeć, ale już teraz jest zupełnie niezły.

Napełnił oba kieliszki. Zen pociągnął łyk mocnego rubinowego wina deserowego. Bukiet był przejmująco winogronowy, pełen słodczy, łagodny, ale intensywny.

- Jesteś z policji? - zagaił Andrea Dolfin, siadając w brudnym fotelu i opierając stopy na hebanowym putcie o obtłuczonej głowie. - Może nie powinienem mówić ci o moich łupach.

Zen spojrział na niego sponad kieliszka, nic jednak nie powiedział.

- Nie chodzi mi o to, że ludzie, którym to wszystko zabrałem, wyrażali jakiś sprzeciw - mówił dalej Dolfin. - Oni byli już ponad tym, a może raczej pod. Innymi słowy, znaleźli się już w krainie umarłych. - Na jego wargach pojawił się skrywany uśmiech. - Nic już nie mogłem dla nich zrobić, jednak w pewnych wypadkach wydawało mi się, że mogę udzielić schronienia ich własności. Później, kiedy wojna się już skończyła, zamierzałem odnaleźć ich spadkobierców i spróbować oddać im to wszystko, ale wydarzenia potoczyły się w taki sposób, że nigdy się do tego nie zabrałem. - Spojrział na Zena. - Wstrząsające, co? Zamierzasz mnie wsypać?

Zen milczał przez chwilę, jak gdyby zastanawiał się nad tym pomysłem.

- Proszę mi opowiedzieć o Rosecie Zulian - powiedział w końcu.

Przez twarz Dolfina przebiegł skurcz, zniknął jednak, jak gdyby nigdy się nie pojawił, i ponownie zagościł na niej senny, nieobecny wyraz.

- Co mogę ci o niej powiedzieć? To już tak dawno, tak daleko stąd... Rosetta była dziwnym, samotnym dzieckiem. Nigdy nie bawiła się z dziećmi z sąsiedztwa. Woląla chodzić swoimi ścieżkami, znajdowała sobie przyjaciół tam, gdzie chciała. Jej najlepszą przyjaciółką była dziewczynka, możesz w to uwierzyć? z getta. Możesz sobie wyobrazić, co myślała o tym *contessa*, z tymi swoimi wszystkimi śmiesznymi pretensjami? - Pochylił się, aby dolać wina. - Jej przyjaciółka nazywała się Rosa Coin. Mieszkałem wtedy w sąsiedztwie, na Calle del Forno, tuż przy Ghetto Vecchio, i często je widywałem. Łączyło je o wiele więcej niż tylko podobne imiona. Obie miały faliste brązowe włosy, jasną cerę i ciemne oczy, takie same szczupłe, kanciaste i drobne ciała, innymi słowy, były prawie bliźniaczkami. Podobieństwo nie było wyłącznie fizyczne. Łączyła je pewna specyficzna wrażliwość, ich nastrój zmieniał się niekiedy w jednej chwili z egzaltacji w najgłębszą rozpacz. Nawet ich zainteresowania były podobne. Rosetta grała na pianinie, Rosa na skrzypcach. Czasami żartowały, że kiedy wojna wreszcie się skończy, stworzą duet... - Twarz starca spoważniała. - Wtedy wydawało się to takie oczywiste. Wojna przyniosła ze sobą pewne niedogodności, ale dla większości z nas życie nie zmieniło się zbytnio aż do chwili obalenia Mussoliniego. Wtedy Amerykanie i Anglicy dokonali inwazji z południa, a Niemcy od północy i nasz kraj na dwa lata stał się polem bitwy. - Pociągnął łyk wina. - Nawet wówczas udało nam się tutaj, w Wenecji, wyjść z tego obronną ręką, jeśli nie liczyć Żydów. Dwustu, w tym rodzina Coinów, zostało deportowanych do obozów zagłady.

- A Rosetta Zulian? - zapytał Zen.

Andrea Dolfin uśmiechnął się i skinął głową.

- Starszy pan zaczyna się gubić we wspomnieniach, co? To prawda. Kiedy wracam pamięcią do tamtych dni, czasami wszystko mi się myli i zapominam o tym, co naprawdę się wydarzyło. Trudno jednak zapomnieć o sprawie Rosetty Zulian, to bowiem, co się stało, było wprost nie do uwierzenia. - Strzelił palcami. - Zniknęła, ot tak! Stało się to wiosną tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku. Miała wtedy pewnie około piętnastu lat. Pewnego popołudnia wyszła z domu, powiedziała matce, że wróci o szóstej. Nikt więcej jej już nie widział. Nigdy nie odnaleziono jej ciała. Ani śladu, żywej czy martwej. - Dolfin pokiwał smutno głową. -

*Contessa* nigdy się z tym nie pogodziła. Najpierw, kilka lat wcześniej, zginął jej mąż, a teraz coś takiego. Zaczęła rzucać absurdalne oskarżenia. - Posłał Zenowi spojrzenie. - Właśnie dlatego musiałem się przeprowadzić. Zaczęła rozsiewać pogłoski, że zamordowałem jej córkę. - Dolfin wzruszył ramionami. - W normalnej sytuacji po prostu bym ją wyśmiał, ale czas tuż po wojnie nie był dla mnie łatwy. Pewni ludzie mieli mi za złe, że byłem członkiem partii. Jak gdybym był jedynym faszystą w Wenecji! - Roześmiał się gorzko. - Złożyła nawet oficjalne doniesienie na policję! Oczywiście, nic z tego nie wyniknęło, ale wielu ludzi skłonnych było przypuszczać, że nie ma dymu bez ognia. Dostatecznie wielu, by zatruć mi życie w starym domu. Zebrałem więc swoje lary i penaty i przeniosłem się do Dorsoduro. Ludzie tutaj są zupełnie inni. Nic ich nie obchodzi, co robiłeś pięćdziesiąt lat temu, pod warunkiem, że teraz dajesz im spokój. - Podniósł się z widocznym bólem, otulając chude ciało czerwonym szlafrokiem. - A teraz ten głupiec Saoner oczekuje, że przyłączę się do jego fantazji

o niepodległej Wenecji! Mógłbym, pod warunkiem, że zrównano by z ziemią Cannaregio i wybudowano na jego miejscu parking. Wydarzyło się tam tak wiele strasznych rzeczy, tak wiele okropieństw. Kto chce o tym wszystkim pamiętać? Wszyscy skończymy jak Ada Zulian, rozmawiając z ludźmi, których nie ma, a ignorując tych, którzy istnieją.

Czując, że rozmowa dobiegła końca, Zen podniósł się i zaczął zapinać płaszcz.

- Dziękuję za gościnę - powiedział. - Wino było wyśmienite.  
- Nie jest złe - przyznał Andrea. - Przykro mi, że nie jestem w stanie opowiedzieć ci więcej o Rosetcie Zulian. - Popatrzył Zenowi prosto w oczy. - Obawiam się, że to jedno z tych wydarzeń, które na zawsze już pozostaną tajemnicą.

## X

Dzień wstał zimny i ponury. Aurelio Zen przebudził się i obserwował, jak świt niepostrzeżenie obejmuje wschodnią połąć nieba. Za popołudniową drzemkę przyszło mu zapłacić w nocy przerywanym, płytkim snem, po którym wczesne przebudzenie niemal przyniosło ulgę. Nie wiedział, jak długo spał. Mogło to być równie dobrze kilka minut jak kilka godzin, po nocy pozostało jedynie wspomnienie ciągłego przewracania się z boku na bok, które odzwierciedlało niepokój w jego umyśle.

Wieczorna wizyta u Andrei Dolfina umocniła tylko wrażenie, że wszystko rozpada się na drobne kawałki. Słowa starego mężczyzny wypowiedziane na pożegnanie potwierdziły jedynie wniosek, do którego Zen doszedł wcześniej sam: że los Rosetty Zulian, podobnie jak los Ivana Durridge'a, a także ojca Zena, nigdy nie zostanie ostatecznie wyjaśniony. Kilka faktów, które udało mu się ustalić, wyglądało teraz jak samotne przedmioty w mrocznym pokoju, oświetlane promieniem światła, które podkreślało tylko nieprzeniknioną ciemność wokół.

Chcąc jak najszybciej pozbyć się paraliżującego uczucia bezsilności, Zen ubrał się pospiesznie i ruszył pieszo do *Questura*, nawet nie otworzywszy paczki kawy kupionej poprzedniego dnia. Dzień zaczął się już na dobre, światło wciąż jednak było słabe. Gołębie, które unosiły się nad ulicą jak rozrzucone przez eksplozję odłamki, z trudem opierały się ostremu wiatrowi, który rozpędził resztki mgły.

Kiedy Zen dotarł do swego biura, zatrzymawszy się po drodze w barze, aby podnieść poziom kofeiny we krwi, przekonał się, że urząd rejestracji jednostek pływających przesłał już faksem zamówione dane. Lista nie była szczególnie długa. Łódź Ivana Durridge'a została zarejestrowana jako *topa*, model dawniej często widywany na wodach laguny, a obecnie w znacznej części zastąpiony przez jednostki bardziej praktyczne. Od pierwszego listopada poprzedniego roku zarejestrowano tylko trzy podobne łodzie. Z tych zaś od razu można było wykreślić *topa* wyposażoną jedynie w żagiel. Pozostałe dwie napędzane były silnikiem wysokoprężnym, jedna Volvo, druga - Fiata.

Zen spojrzął na zegarek. Było już po siódmej, a Marco Paulon musiał tego dnia wcześniej wyruszyć do pracy, by zdążyć przed odpływem. Zen odszukał jego numer telefonu i zadzwonił. Odebrała *signora* Paulon, która poinformowała krótko, że do męża można dodzwonić się na telefon komórkowy. Zen podziękował i wykręcił podany numer. Krótka seria elektronicznych pisków zastąpiona została przez głośny krzyk. Marco Paulon starał się przekrzyknąć silnik łodzi.

- Czego?
  - Dzień dobry, Marco.
  - Aurelio?
  - Gdzie jesteś?
  - Płynę na San Lazzaro z ładunkiem papieru dla ormiańskiej drukarni. W czym ci mogę pomóc?
  - Słyszałem, że utopił się rybak z Burano, o którym mi opowiadałeś.
  - Biedny skurwysyn. Po tym, co mu się przydarzyło na Sant'Ariano, coś musiało mu się popsuć w mózgu. Chroń nas, Panie, przed podobnym losem.
  - Potrzebuję rady, Marco. Jak znaleźć numery silnika zaginionej łodzi?
- Przez chwilę w słuchawce rozlegał się jedynie głuchy warkot silnika.
- Prawdopodobnie najprostszym sposobem będzie odnalezienie stoczni, która ją sprzedała albo naprawiała - odpowiedział w końcu Marco. - Muszą mieć w dokumentach wszystkie szczegóły.

- Oczywiście. Dzięki, Marco.
- Do usług. Hej, może wpadłbyś do nas na obiad? Fabia nie jest najuprzejmniejsza przez telefon, a i kucharka z niej marna. Choć z drugiej z drugiej strony patrząc, nie potrzeba chyba zbyt wielkiego talentu, by ugotować rybę?
- Wystarczy kupić świeżą i nie bawić się z nią zbyt długo.
- Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz wolny. Co powiesz na niedzielę?
- Pasuje w zupełności.
- Będziemy na ciebie czekać.

Zen odnalazł książkę telefoniczną przedsiębiorstw Wenecji i wyszukał stocznię. Później zaczął telefonować. Rozmowa za każdym razem brzmiała tak samo: - Dzień dobry, tu *Questura* miasta Wenecja. Czy może pan poinformować mnie, czy sprzedaliście lub naprawialiście przerobioną *topa* należącą do Ivana Durridge'a, D-U-R-R-I-D-G-E? Jest pan pewien? Dziękuję, do widzenia.

W mieście było w sumie trzydzieści pięć stoczní, Zen powtórzył swoją formułkę około dwudziestu razy, zanim odnalazł właściwy numer. Okazało się, że raz do roku łódź Durridge'a trafiała do przeglądu do niewielkiej rodzinnej firmy na Giudecche, gdzie została kupiona. Właściciel miał o Durridge'u jak najlepsze wspomnienia.

- Ależ oczywiście, Amerykanin. Bardzo miły! Bardzo przyjazny! Z każdego wyjazdu zawsze przywoził prezent dla mojego malca. Byliśmy przerażeni tym, co się stało. Cóż za potworna tragedia! Czy są jakieś wiadomości?

Zen powiedział dostatecznie dużo, by wywołać u rozmówcy poczucie ogromnej ważności poszukiwanej informacji, i zadał w końcu swoje pytanie.

- Numer silnika? Tak, oczywiście, mam go gdzieś w księgach. Pamiętam, że to był Volvo. Proszę chwileczkę poczekać.

Zabrało to w sumie około pięciu minut. W tym czasie Zen zajrzał ponownie do listy. *Topa* z silnikiem Volvo została zarejestrowana przez Sergia Scusata. Podobnie jak wszystkie adresy w mieście, ten również składał się z numeru i nazwy *sestiere*, w tym wypadku San Polo. Zen poszukał w szufladach biurka spisu, który pozwalał zamienić kod pocztowy na nazwę ulicy. Kiedy w leżącej na biurku słuchawce rozległy się skrzeknięcia, Zen podniósł ją i zanotował numer silnika zamontowanego na *topa* Ivana Durridge'a. Identyczny.

Dziękował właśnie za informację, kiedy do pokoju wszedł z głośnym ziewnięciem Aldo Valentini.

- Już tu jesteś? - krzyknął. - Myślałem, że wy, rzymianie, nie wstajecie przed południem.

Zen rzucił słuchawkę na widełki.

- Gdzie, u diabła, jest spis ulic? - zapytał.

- Jedyne egzemplarz, o którego istnieniu wiem - odpowiedział Valentini po następnym, jeszcze szerszym ziewnięciu - jest zazdrośnie strzeżony przez Bonifacia z działu administracyjnego. Może pozwoli ci do niego zajrzeć, jak zrobisz mu loda. Z drugiej jednak strony, może bardziej odpowiadałaby ci przechadzka do baru po drugiej stronie ulicy, dokąd poszliśmy wczoraj. Mają spis pod kontuarem. Po chwili zastanowienia dochodzę do wniosku, że mógłbym ci towarzyszyć.

Przed budynkiem zatrzymała się właśnie błyszcząca drewniana motorówka, silnik na jałowym biegu pyrkotał cicho. Na brzeg wysiadł przystojny, pewny siebie mężczyzna w tweedowym garniturze i kaszmirowym szaliku. Przechodząc obok, lekko skinął głową do Aida Valentiniego.

- Szef - wyszeptał ferrarczyk do Zena. - Francesco Bruno, syn nauczyciela z Kalabrii.

Ostatnio większość czasu zajmuje mu wystawianie tyłka przez okno, żeby ustalić, skąd wieje wiatr. Ty i ja możemy mieć nasze małe problemy, choćby próbując związać koniec z końcem z policyjnej pensji, ale na samej górze jest teraz naprawdę nielekkko. Skąd mają wiedzieć, czyje polecenia ignorować?

Mewa o czarnej główce śmignęła w dół, jak gdyby chciała zaatakować swoje odbicie. Z głośnym pluskiem pochwyciła kawałek mokrego chleba i odleciała, pozostawiając za sobą krople spadające do wody.

Bar „Dei Greci” był prawie pusty. Na jednym stoliku siedziało dziecko i wymachując nogami, czytało komiks. Barman zastąpiony został przez niską kobietę w kwiecistym fartuszk. Zen poprosił o spis i znalazł adres Sergia Scusa-ta, podczas gdy Valentini przeglądał lokalną gazetę. Nagłówek na pierwszej stronie brzmiał: POLICJA PRZESŁUCHUJE BRATA TOPIELCA.

- Enzo spieszył sprawę - zauważył Valentini, popijając kawę. - Zgodnie z nowym kodeksem ma czas do dzisiaj do szóstej wieczorem, by wycisnąć coś z Filippa Sfrisa i usprawiedliwić to, że w ogóle go zatrzymał, a wnosząc ze wszystkiego, nic takiego nie będzie miał.

Zen przyjrzał się zdjęciom braci Sfriso: zamazane fotografie były najpewniej powiększeniami rodzinnego portretu albo zdjęć paszportowych.

- Co piszą? - zapytał uprzejmie, choć tak naprawdę nie chciał tego wiedzieć.  
- Moim skromnym zdaniem to kontaminacja absurdów -oznajmił Valentini z teatralnym gestem. - Umilkł, a po chwili powtórzył z widocznym zadowoleniem. - Kontaminacja absurdów! Spędziłem kilka godzin na przesłuchiowaniu tej rodziny, zanim Gavagnin przejął ode mnie sprawę. Matka powtarzała w kółko, że żaden z jej synów nigdy nie odebrałby sobie życia, nie potrafiła jednak wskazać nikogo, kto mógł za to odpowiadać. Sfriso był zwyczajnym rybakiem. Dlaczego ktoś miałby go zabijać?

- To dlaczego Gavagnin tak długo przesłuchuje jego brata?

Valentini wzruszył ramionami.

- Bo od tego mu staje. Nie sądzę jednak, by akurat Filippo Sfriso szczególnie się dla niego nadawał. A co się tyczy kwestii związanych z narkotykami, o których mówił Enzo, Sfriso powiedział mi, że jego brat związał się z dziewczyną z Mestre, która brała środki halucynogenne. Giacomo musiał strzelić sobie działkę, która nie podzialała jak należy, i zobaczył żywe trupy. Nie tu więcej nie ma do gadania. Nie wiem, co próbuje uzyskać Enzo - wpakować do paki jakichś żalonych ćpunów, którzy choć w ten sposób chcą uciec od żalosego życia w Mestre? Jez, gdybym musiał tam mieszkać, pewnie sam sięgnąłbym po jakieś prochy.

Kiedy wracali nabrzeżem kanału, Aldo Valentini odwzajemnił się za zainteresowanie Zena, pytając o sprawę *con-tessa* Zulian.

- Aż za dobrze! - powiedział Zen. - Sytuacja rozwija się tak, że mam wymówkę, by zostać tu jeszcze przez parę dni.

- Nie tęsknisz jeszcze za *dolce vita* na Południu?

Na ustach Zena pojawił się przelotny uśmiezek.

- Może spróbuję jeszcze pomocować się ze sprawą braci Sfriso? - wyszeptał.

Aldo Valentini przez chwilę wpatrywał się w niego pustym wzrokiem, po czym wybuchnął śmiechem.

- To twoje rzymskie poczucie humoru! - krzyknął. - Prawie ci uwierzyłem!

Kiedy znaleźli się z powrotem w *Questura*, wymienili uściski dłoni i każdy poszedł w swoją stronę. Valentini musiał zająć się sprawą porwania barki z dwoma ciężarówkami z firmy przewozowej, na które zapakowano wszystko, co posiadał pewien holenderski milioner. Zen

poszedł załatwić motorówkę policyjną, zamierzał bowiem złożyć wizytę Sergiowi Scusatowi.

Jak gdyby specjalnie po to, by zadać kłam temu, co Zen powiedział dwa dni wcześniej Marcowi Paulonowi, sternik okazał się znakomitym i doświadczonego marynarzem. Mino Martufó pochodził z Palermo i większą część życia spędził na przeróżnych łodziach. Sterował motorówką z nonszalancją, która sprawiała, że kiedy łódź dokonywała gwałtownych zwrotów, przemykając przez zakręty i pod mostami z wyciem syreny i błyskaniem koguta, nastrój Zena zmieniał się gwałtownie z uniesienia w przerażenie. Martufó nie zwracał najmniejszej uwagi na ograniczenia prędkości. Nic to jednak nie dało, Sergia Scusata nie było w domu. Jego siostra, która opiekowała się dziećmi, powiedziała Zenowi, że brata można znaleźć na budowie na Sacca San Biagio, jednej z trzech niewielkich wysepek u zachodniego cypla Giudecci.

Motorówka przemknęła z rykiem silnika przez wąskie kanały Dorsoduro, w ostatniej chwili unikając zderzenia z taksówką pełną tłuszciochów z kamerami wideo i chudych kobiet w futrach, minęła piękne maleńkie pałacyki i obszerne opuszczone kościoły, przeleciała pod mostkami tak niskimi, że musieli się schylać, i przez kanaliki tak wąskie, że nieomal ocierali się o zakotwiczone na nich łodzie. W końcu, z nieoczekiwaną gwałtownością, która Zenowi zaparła dech w piersiach, wypłynęli na kanał Giudecca, najgłębszy i najszerszy w mieście.

Wiatr wydawał się tutaj o wiele silniejszy, podnosił krótkie, mocne fale, które uderzały o burty motorówki. Prom samochodowy do Aleksandrii posuwał się wolno ku wyjściu z kanału. Martufó przemknął niebezpiecznie blisko wysokiego dziobu, motorówka przechyliła się ostro na burtę w gwałtownym zwrocie. Po chwili znaleźli się po drugiej stronie i wpłynęli w wąskie kanały oddzielające Giudeccę od *sacce*.

Te niewielkie wysepki należały do ostatnich w mieście terenów budowlanych, które pozostały nie naruszone aż do lat sześćdziesiątych. Zen pamiętał jeszcze, jak wiosłował tutaj, kiedy wysepki były zielonymi oazami ogródków działkowych i łąk. Teraz Sacca Fisola przecinały ulice i place, wyrosły tam sklepy, szkoły, boiska i sześciopiętrowe bloki. Gdyby nie brać pod uwagę niepokojącej nieobecności ruchu ulicznego, wyspa wyglądała dokładnie tak samo, jak wszystkie przedmieścia powstałe w tym okresie. Tutaj jednak nie było żadnych samochodów, ciężarówek, motocykli czy choćby skuterów. Dzieci bawiły się na ulicy, jak wszystkie dzieci sto lat wcześniej, ta jednak ulica wytyczona była wśród brutalnej architektury kojarzonej zwykle z chaotycznym parkowaniem, ciągłym trąbieniem, warkotem dwusuwów i rykiem samochodowych radioodbiorników. Tutaj słychać było jedynie plusk fal. Wrażenie było jednak niepokojące, jak gdyby wszystko to było tylko swego rodzaju oszustwem.

Budowa, na której pracował Sergio Scusat, mieściła się na niewielkiej wysepce na południe od Sacca Fisola, skąd rozciągał się wspaniały widok na spalarnię śmieci na wschodnim skraju wyspy. Scusat był brygadzystą grupy robotników remontujących blok mieszkalny. Dostęp do budowy zapewniało betonowe moło wychodzące w morze. Przyptyw był nadal wysoki, mogli więc podплыć do samego mola. Zen wyskoczył na brzeg i przeszedł na drugą stronę, gdzie stała zakotwiczona duża łódź o wygiętym dziobie. Wszedł na pokład i otworzył pokrywę silnika.

- Gdzie mam szukać numeru silnika?

Mino Martufó wskoczył za nim i pokazał cyfry wybite na niewielkiej płytce oznaczonej drukowanymi literami: VOLVO.

- Hej! Co wy tam robicie?

Okrzyk dobiegł z rusztowania przy bloku. Dwaj mężczyźni miesza zaprawę, trzeci przyglądał się łodzi.

- Scusat? - krzyknął Zen w odpowiedzi.

- Czego?

- Policja!

Mężczyzna zwinnie jak małpa zsunął się po rusztowaniu i podszedł do Zena.

- O co chodzi? - zapytał.

Sergio Scusat był niskim, żylastym mężczyzną, jego bladą twarz pokrywała jak puder warstwa gipsowego pyłu. Czapka z gazety robiła wrażenie pozostałości po przyjęciu, co klóciło się z ponurym wyrazem twarzy jej posiadacza.

- To pańska łódź?

- A co?

- Skąd ją pan wziął?

Scusat spojrział na Zena i zamrugał oczami.

- Kupiłem.

- Kiedy?

- Tuż przed Bożym Narodzeniem. Odpowiedziałem na ogłoszenie w „Nuova Venezia”.

- Kto ją sprzedał?

- Stocznia, wszystko zgodnie z prawem. Parę lat temu wyciągnięto ją na brzeg, w końcu jednak przeprowadzili naprawę i wstawili wyremontowany silnik. To dobra łódź i cena była niezła. O co w końcu tutaj chodzi?

Zen przyglądał mu się przez chwilę.

- Ma pan jakiś dowód kupna?

- Płaciłem gotówką. Ja dałem pieniądze, a oni przekazali mi łódź. O co chodzi?

- A zatem nie ma pan żadnego dowodu na to, że kupił tę jednostkę w sposób, który pan przed chwilą podał?

- Dlaczego miałbym potrzebować jakichś dowodów?

Zen spojrział na niego groźnie.

- Ta łódź została skradziona.

- Zapłaciłem za nią dużo pieniędzy! - odpalił zaczepnie Sergio Scusat. - Nie mieli dokumentów, bo długo leżała na brzegu. Dlatego musieli sprzedać ją tanio.

Zen przyjrzał mu się sceptycznie.

- A kim są ci „oni”?

- Stocznia, gdzie kupiłem łódź! W Chioggii.

Zen nadal mu się przyglądał.

- A właściciel nie nazywa się przypadkiem Giulio Bon?

- Zgadza się! Dlaczego pan pyta?

- Ach!

Zen przymknął oczy na chwilę, później ponownie spojrział na Scusata.

- Jestem zmuszony poprosić pana, aby poszedł ze mną do *Questura, signor*.

Mężczyzna posłał mu spojrzenie pełne niepokoju.

- Nic złego nie zrobiłem! - krzyknął.

- Nie mam co do tego wątpliwości, ale zanim będę mógł podjąć dalsze kroki, będzie mi potrzebne pisemne zeznanie dotyczące wszystkiego, co mi pan właśnie powiedział. - Zen wskazał na motorówkę, której silnik pykał cicho przy betonowym molo. - Tędy, proszę.

Aurelio Zen szedł powoli przez wschodnią część miasta, labirynt dawnych slumsów wciśniętych pomiędzy kanał Pieta i wysokie mury fortecy Arsenale. Była to tajemnicza, nieprzenikniona dzielnica, która sama w sobie nie budziła szczególnego zainteresowania, a nie znajdowała się na drodze dokądkolwiek. Kiedy Zen był jeszcze dzieckiem, cieszyła się reputacją niebezpiecznej, wręcz groźnej, i rzadko zdarzało mu się tutaj zapuszczać. Pozostała część miasta wyryta była w jego mózgu jak mapa - ten zapomniany zakątek pozostał białą plamą, gdzie nadal mógł się zgubić.

I taki właśnie był jego zamiar: potrzebował poczucia fizycznego zagubienia, które odpowiadałoby jego zagubieniu psychicznemu. Pierwsze uniesienie wywołane przełomem w sprawie Durridge'a było już jedynie gasnącym wspomnieniem - jak pierwsza miłość, która uświadamia sobie jedynie własne piękno. Teraz nadeszła pora, by zabrać się do sprawy poważnie, podjąć decyzję, co robić dalej: osiąść gdzieś i założyć rodzinę czy może zakończyć romans, odejść i spróbować zapomnieć, że cokolwiek się w ogóle wydarzyło.

Całe to niebezpieczne podniecenie było tym groźniejsze, że Zen niczego podobnego się nie spodziewał. Celem poszukiwań łodzi Durridge'a było wyłącznie samo poszukiwanie. W żadnym wypadku nie spodziewał się, że uda mu się znaleźć cokolwiek interesującego, chciał jedynie zaprezentować swoim pracodawcom dowody własnej pracowitości, jak pies, który dyszy potężnie przed swoim właścicielem, gdy nie uda mu się znaleźć patyka. Kiedy minionej nocy zadzwonił do Ellen po powrocie ze zgromadzenia NRV, odniósł wrażenie, że podobny gest w zamian za pieniądze, jakie płaciła mu rodzina Durridge'a - choć żadnych pieniędzy jeszcze nie zobaczył - był pożądanym, o ile nie koniecznym.

Pozornie odnalezienie zaginionej *topa* było właśnie tym, czego Zen potrzebował, aby przekonać rodzinę, że dostają za swoje pieniądze to, czego sobie życzą, zwłaszcza biorąc pod uwagę odkryty związek z Bonem, jednym z trzech mężczyzn, którzy wylądowali na wyspie Durridge'a na miesiąc przed zniknięciem Amerykanina.

To jednak, co mogło być dobrymi wieściami dla rodziny Durridge'a, niekoniecznie musiało być również dobre dla samego Zena. Materiały, do których dostęp uzyskał dzięki Palazzo Sisti, sugerowały wyraźnie, że sprawa Durridge'a została zamknięta ze względów politycznych. Jeśli rzeczywiście tak było, każdy policjant czy sędzia śledczy, który próbowałby ją ponownie otworzyć, narażał się na pewne ryzyko. Kwestią było jedynie to, jak było ono poważne. Czy na tyle, by zrezygnować z pieniędzy Durridge'ów? Warunki, na których Zen zgodził się podjąć swoje prywatne śledztwo, już same w sobie były niezwykle interesujące, a Ellen przekazała mu ostatnio wiadomość, że rodzina zaproponowała dodatkową nagrodę w wysokości stu tysięcy dolarów płatnych w wypadku odnalezienia zaginionego - żywego lub umarłego - i aresztowania odpowiedzialnych osób.

Suma ta ponad dwukrotnie przekraczała roczne dochody Zena, które podobnie jak pensje wszystkich policjantów, dwa lata wcześniej zostały zamrożone w ramach rządowego programu redukcji wydatków budżetowych - w kraju, gdzie każdy noworodek przychodził na świat z długiem wysokości pół miliona lirów. Pomimo to jeszcze rok wcześniej Zen nie miałby żadnych wątpliwości co do tego, jaką decyzję podjąć. Pieniądze były niewątpliwie pożądane, ale nie mogły zastąpić życia, zdrowia i nocy wolnych od koszmarów i poczucia winy.

Sytuacja we Włoszech zmieniała się jednak bardzo szybko. Teraz z koszmarów budzili się na przepoconych prześcieradłach właśnie ci, którzy stali się przyczyną wielu nieprzespanych nocy Zena w czasie sprawy Aldo Moro i przez wiele następnych lat. Teraz to i c h nazwiska wymieniano w związku z tamtą sprawą i wieloma innymi potwornościami powojennej historii Włoch - wypowiadano je nie ukradkowo, w kuluarach, ale na posiedzeniach komitetów Senatu i Izby Deputowanych. W świecie, gdzie sędzia mógł powtarzać, że mafia i rząd Włoch to jedna i ta sama instytucja, nie było już nic świętego.

Jednak w takim świecie nie sposób też było z jakąkolwiek pewnością ustalić stopień ryzyka. Osoba, która zamknęła sprawę Durridge'a, mogła już być w kajdankach, niezdolna nawet do tego, by wpływać na własny los, nie wspominając już o losie innych. Mogła jednak również dobrze nadal dzierżyć ster, tym groźniejsza i bardziej nieprzewidywalna, że w pełni zdawała sobie sprawę z tego, iż jej dni są policzone. Tego jednak nie można było się dowiedzieć.

Zen zatrzymał się na mostku i wychylił przez balustradę. Ściany kanału, odsłonięte przez



odpływ, dzieliły się na pasy przechodzące od ceglastej czerwieni przez zieleń i błękit do brązu, na szarości błota kończąc. Nie miał pojęcia, gdzie jest. Wydawało się, że czas się zatrzymał. Niebo zaciągnięte chmurami było równomiernie szare. W duszne kaniony uliczek nie docierał żaden powiew. Domy wokół były pozamykane, okiennice pozatrzaszkiwane.

Zen spojrział w dół, wbił wzrok w powyżerany czarny metal barierki. Francuzi dodali te ozdoby do mostów, kiedy położyli kres tysiącletniej niepodległości Republiki. Do owego czasu mosty były jedynie kamiennymi łukami, po których mieszkańcy przechodzili w swoich sprawach, pozornie równie lekkie i nierzeczywiste, jak odbicia w wodzie. Balustrady czy poręcze nie tylko były niepotrzebne ludziom, którzy połowę swego życia spędzali na statkach, ale stanowiły, jak określił to kiedyś Silvio Morosini, „obrazę dla wody”.

Zen puścił balustradę i wyprostował się. Przeszedł przez most i skręcił w prawo, potem w lewo, potem znów w prawo, krocząc z coraz większą determinacją. Wiedział teraz, gdzie jest, dokąd idzie i co robi, kiedy dotrze na miejsce.

- Z kiedy?
- Tysiąc dziewięćset czterdziesty piąty lub szósty.
- Jeśli nadal istnieją, powinny być w Archiwach Centralnych.
- A gdzie to jest?

- Na Tronchetto. Musi pan wysłać pisemne zapotrzebowanie. Powinny przyjść następnego dnia, ale specjalnie bym na to nie liczył. Niektóre sekcje zaginęły albo są niedostępne. Najlepiej jeśli wyśle pan zapotrzebowanie faksem i zaznaczy jako „bardzo pilne”, a potem będzie wysyłał ponaglenie co godzinę, aż do skutku. Numer jest w książce telefonicznej.

- Dzięki.

Zen odłożył słuchawkę. Wyjął z szuflady kartkę papieru i napisał: *Denunzia fornita alia PG. dalia parte di Zulian, Ada in re Dolfin, Andrea*, szerokim, okrągłym pismem, którego nauczył się w małej szkole naprzeciwko getta zaraz po wojnie. Przypomniawszy sobie, że wtedy uważał getto za część historii miasta, jak dożów i Radę Dziesięciu, i galery, wyspę więzienia, na którą zsyłano wszystkich Żydów w odległych czasach, kiedy dochodziło do prześladowań. To, że w Wenecji nie było już prawie wcale Żydów, zdawało się potwierdzać anachroniczność getta.

Skończył pisać zapotrzebowanie na archiwalne dokumenty w sprawie doniesienia, jakie Ada Zulian złożyła na Andree Dolfina w owych czasach, które teraz również stały się częścią historii, i podnosił się właśnie, by zejść na dół, gdzie mieściły się faksy, kiedy zadzwonił telefon.

- Słucham?
- Czy mogę rozmawiać z Aureliem Zenem?
- Cristiana! Miło, że dzwonicz.
- Skąd wiedziałeś, że to ja?

Zen usiadł wygodniej i położył nogi na biurku.

- Masz bardzo charakterystyczny głos - powiedział.
- Jesteś chyba jedynym, który tak uważa.
- Wszyscy muszą więc być głupi.

W słuchawce rozległ się stłumiony śmiech.

- To pewnie dlatego, że wiele o tobie myślałem - dodał Zen.

Zapadła cisza, oboje czekali teraz, jaki będzie następny ruch i kto go wykona.

- Wczoraj wieczorem poszedłem posłuchać twojego męża - zauważył Zen.
- Czy i dla ciebie ziemia zadrżała?

Zen wybuchnął śmiechem.

- Nie, musiałem się trochę wysilić. Ale on naprawdę potrafi urobić tłum.
- Powinieneś zobaczyć, jak radzi sobie z kobietami.

Zen miał właśnie dorzucić następny żart, kiedy szyby w oknach zabrzęczały od ryku silnika motorówki.

- Poczekaj chwileczkę - powiedział do Cristiany.

Podniósł się i podszedł do okna. Przy nabrzeżu zatrzymała się właśnie policyjna motorówka. W kokpicie obok umundurowanego policjanta stał muskularny mężczyzna w poplamionym olejem kombinezonie roboczym. Zen podniósł słuchawkę.

- Muszę już iść, Cristiana. Coś mi nagle wypadło. Zadzwoń do ciebie później.
- Nie dzwoń, zobaczymy się wieczorem.
- Nie wiem, kiedy dokładnie uda mi się wrócić do domu.
- Będę na ciebie czekać - powiedziała Cristiana i rozłączyła się.

Zen odłożył powoli słuchawkę. Warkot silnika ucichł, zastąpiony przez stłumione głosy. Zen ponownie podszedł do okna. Motorówka już przycumowała. Mężczyzna w kombinezonie stał na nabrzeżu obok swojego konwojenta, z którym rozmawiał właśnie jakiś trzeci mężczyzna. Policjant wzruszył kilka razy ramionami i wskazał na budynek *Qu-estura*. Drugi mężczyzna odwrócił się, patrząc dokładnie w kierunku okna, w którym stał Zen. Był to Enzo Gavagnin.

Zen podbiegł do drzwi, otworzył je szarpnięciem i popędził korytarzem, a potem w dół po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Trójka mężczyzn dotarła właśnie do hallu. Enzo Gavagnin ruszył prosto w stronę Zena.

- Co tu się, u diabła, dzieje?

Zen stracił dech i nie mógł odpowiedzieć mu od razu.

- Todesco powiedział mi właśnie, że wydałeś polecenie doprowadzenia tego człowieka - dorzucił agresywnie Gavagnin.

- Masz coś przeciwko temu? - zapytał ostro Zen.

- Giulio jest moim przyjacielem. Nie zamierzam dopuścić do tego, by czepiał się go jakiś dupek z Rzymu, który myśli, że może przyjechać tutaj i robić wszystko, co mu się tylko spodoba!

Zen odwrócił się do policjanta, niezdarne, wyłupiasto-okiego indywiduum, którego twarz wyglądała jak balon.

- Czy coś dzisiejszej nocy wydarzyło się w Palazzo Zulian, Todesco?
- Nie, panie komisarzu.
- Żadnych incydentów?
- Nie, panie komisarzu.
- Bardzo dobrze. Zaprowadź *signor* Bona do mojego biura.
- Tak jest, panie komisarzu.

Enzo Gavagnin stanął tuż przed Zenem i wpatrywał się w niego ze słabo skrywaną wściekłością.

- Chcę zobaczyć nakaz aresztowania!

Zen spojrział na niego przelotnie.

- *Signor* Bon nie jest aresztowany.  
- W takim razie co tu robi, do jasnej cholery?  
- Muszę zadać mu kilka pytań.  
- W jakiej sprawie? - rzucił Gavagnin.  
- W sprawie, nad którą właśnie pracuję.  
- Valentini powiedział, że pracujesz nad sprawą Ady Zulian. Czy mógłbyś być tak miły, by, do kurwy nędzy, powiedzieć mi, co ma z tym wspólnego Giulio?

Zen wzruszył ramionami.

- W końcu wszystko się łączy, Enzo - zauważył wyniośle. - Wszyscy jesteśmy tylko

elementami wielkiej struktury życia.

Gavagnin rzucił mu groźne spojrzenie.

- A co robiłeś wczoraj wieczorem na zebraniu partii? -zapytał. - Czy ono również miało jakiś związek ze sprawą, nad którą właśnie pracujesz?

- A ty co tam robiłeś? - odpalił Zen.

- Zbiegiem okoliczności jestem jednym z członków założycieli ruchu, podobnie jak Giulio - odparł z godnością Gavagnin. - W odróżnieniu od ciebie jesteśmy prawdziwymi weneccjanami i jesteśmy z tego dumni!

Zen skinął z powagą głową.

- A ja słyszałem, że twoja babka puszczała się z Albańczykami - wyszeptał w dialekcie.

**-Co!?**

Nie zwracając uwagi na Gavagnina, Zen odwrócił się i ruszył na górę śladem Bettina Todesca.

## XI

Zen usiadł za biurkiem, a Bon naprzeciwko niego. Umundurowana policjantka stała obok z magnetofonem na metalowym stojaku, mocując na szpuli żółtą taśmę. Za oknem niebo zniżalo się, ciemne i płaskie, nad czerwonymi dachówkami i wysokimi kwadratowymi kominami domów na drugim brzegu kanału.

Policjantka wyprostowała się. Gotowe, powiedziała, a Zen odpowiedział skinieniem głowy. Szpule magnetofonu zaczęły się obracać. Zen podał datę, godzinę i miejsce przesłuchania.

- Obecni są *vicequestore* Aurelio Zen i *sottotenente*...

Spojrzał pytająco na policjantkę, smukłą, poważną brunetkę, która starała się nosić mundur w taki sposób, jak gdyby ozdobiony był metką jednego z bardziej znanych projektantów.

- Nunziata, Pia - odpowiedziała, zatrzymawszy na chwilę taśmę.

- ...i *sottotenente* Pia Nunziata - mówił dalej Zen. - A także *signor* Giulio Bon, zamieszkały przy Via della Traversa numer czterdzieści trzy, Chioggia, prowincja Wenecja. - Odchrząknął i spojrzał na przesłuchiwanego. - Jaki jest pański zawód, panie Bon?

Giulio Bon wbił wzrok w podłogę. Poruszył się niepewnie, przesuając czubkiem prawego buta po sztucznym marmurze i wyszeptał coś niezrozumiałego.

- Proszę mówić głośniej! - powiedział Zen.

- Jestem inżynierem.

Głos był chrapliwy, dzielił słowa z charakterystycznym płynnym akcentem z Chioggii.

- To znaczy? - zapytał Zen.

- Ukończyłem studia z budowy okrętów.

- Nic mnie to nie obchodzi, nawet gdyby miał pan doktorat z filozofii klasycznej - rzucił Zen. - Pytałem o pański zawód, nie wykształcenie.

Giulio Bon przez chwilę wpatrywał się bez słowa w podłogę.

- Kieruję stocznia.

- Jest pan jedynym właścicielem?

- Mój szwagier ma udział w stoczni, ale robotą zajmuję się ja.

- Sam?

- Zatrudniam dwóch ludzi na pełen etat, mam jeszcze dwóch, których mogę wezwać, gdy są potrzebni.

- Nazwiska?

Bon wymamrotał kilka nazwisk, które Zen zapisał w notesie.

- Czym konkretnie zajmuje się pańska stocznia? - zapytał.

- Naprawy, obsługa, remonty.

- Sprzedajecie też łodzie?

Bon znieruchomiał. Tylko stopa przesuwała się po śliskiej posadzce.

- Od czasu do czasu - powiedział.

- Ile sprzedajecie rocznie?

- Różnie.

- A tak mniej więcej?

Bon wzruszył ramionami.

- Może z pół tuzina.

Zen skinął głową i wziął do ręki kartkę papieru.

- Podaję *signor* Bonowi wyciąg z rejestru jednostek pływających dostarczony przez władze prowincji, numer dziewięć pięć dziewięć kreska sześć łamane przez d d kreska cztery.

Bon pospiesznie przebiegł wzrokiem podaną kartkę. Wyraz jego twarzy prawie się nie zmienił, wyjąwszy przelotny skurecz kącików ust.

- Czy rozpoznaje pan którąkolwiek z wymienionych tutaj łodzi? - zapytał Zen.
- Nie.

- Chodzi mi konkretnie o jednostkę wymienioną pod numerem VZ sześć trzy dziewięć dwa trzy.

- Nie może się pan chyba spodziewać, że będę pamiętał numer rejestracyjny każdej łodzi, która przechodzi przez stocznię.

- To nie była każda łódź. *Topa*, wspaniała jednostka, ostatnio coraz trudniej na taką trafić. Wymierają, tak jak wiele naszych tradycji.

Bon nie odpowiedział.

- Jest jeszcze jeden powód, dla którego powinien pan pamiętać tę właśnie łódź - podjął Zen, kiedy brak odpowiedzi Bona stał się jednoznaczny. - Była to jedna z niewielu, które zdarza się panu sprzedać w ciągu roku. W dodatku sprzedał ją pan niecałe dwa miesiące temu.

Dokładnie piętnastego grudnia.

Bon siedział nieruchomo i milczał. Zen odczekał chwilę.

- Już pan sobie przypomniał? - zapytał.

Głos zabrzmiał ostro jak strzał z bicia. Bon zadrżał, jak gdyby został trafiony.

- To możliwe - wymamrotał.

- Możliwe? Niemożliwe, żeby pan nie pamiętał. Mamy tu nagrane pana stwierdzenie, że sprzedaż łodzi nie jest pana głównym źródłem dochodu. Jest to jedynie coś, co robi pan od czasu do czasu, sprzedaje pan nie więcej niż pół tuzina rocznie. Jak to możliwe, że zapomniał pan o sprzedaży tak rzadkiej jednostki jak *topa*, i to tuż przed Bożym Narodzeniem?

- W porządku, zgoda! Może ją sprzedałem! - krzyknął Bon, nagle tracąc panowanie nad sobą. - I co z tego?

- Skąd ją pan wziął?

Bon zamknął oczy i odetchnął głęboko.

- Muszę sprawdzić swoje papiery.

Zen zapalił papierosa. Rozsiadł się wygodniej, wpatrując się zimno w Bona.

- Zgodnie z zeznaniem złożonym pod przysięgą w tym biurze dzisiejszego ranka, poinformował pan nabywcę, że jednostka ta została podniesiona z wody i złożona na terenie stoczni na wiele lat przed podjęciem remontu i wyposażeniem jej w używany silnik. Świadek, Sergio Scusat, poinformował również, że cena jednostki została znacznie obniżona ze względu na to, iż łódź nie miała żadnych dokumentów. Stwierdził, że oświadczył pan, iż stało się tak dlatego, że łódź nie była używana przez tak wiele lat, że nie był pan w stanie odnaleźć poprzedniego właściciela i konieczna będzie ponowna rejestracja. Czy to prawda?

Giulio Bon poruszył się na krześle, ale nie odezwał się ani słowem.

- Dlaczego nic pan nie mówi? - wyszeptał Zen łagodnie.
- Nic podobnego! Po prostu nie pamiętam! Czy to niezgodne z prawem?

Zen odczekał chwilę, zanim ponownie podjął przesłuchanie.

- „Nuova Venezia” potwierdziła, że złożył pan u nich ogłoszenie, które miało pojawiać się przez drugi tydzień grudnia, że ma pan na sprzedaż *topa* z silnikiem wysokoprężnym. Sergio Scusat zeznał, że kupił od pana tę łódź piętnastego grudnia. Proszę pana jedynie o potwierdzenie lub zaprzeczenie prawdziwości informacji dotyczących pochodzenia jednostki, które mu pan podał.

Bon spojrział na swoje kolana, potem na ścianę, a w końcu na sufit.

- Proszę chwileczkę poczekać - powiedział. - Chyba coś sobie zaczynam przypominać.

Zen wydmuchnął kółko dymu. Unosiło się w powietrzu jak aureola.

- Oczywiście! - podjął Bon. - To był stary kadłub, który znaleźliśmy za szopą, kiedy zmienialiśmy nawierzchnię podwórza. Bóg jeden wie, ile lat tam leżał. Ale sam kadłub był jeszcze w niezłym stanie. Dawniej budowano porządniej niż teraz. Musieliśmy tylko wymienić tu i tam kilka desek poszycia.

- I zamontować silnik - dorzucił Zen, zwracając się pozornie do jarzeniówki pod sufitem.

Odpowiedzi nie było. Zen opuścił wzrok i spojrzał Bonowi prosto w oczy.

- Skąd wziął pan silnik?

Bon machnął ręką w wymijającym geście.

- Mamy wielu dostawców, wszystko zależy od...

- Powiedział pan Scusatowi, że silnik był remontowany. Niewielu jest pewnie w okolicy dostawców remontowanych silników Volvo.

- Wyremontowany to mało konkretne określenie. Prawdopodobnie był to silnik, który leżał gdzieś w stoczni, a który sami rozebraliśmy i doprowadziliśmy do porządku.

- Nadal jednak powinien mieć jakiś numer seryjny-zauważył spokojnie Zen. - Sprzedaż łodzi bez dokumentów to jedna sprawa, na pewno jednak nikt nie tknie silnika z przebitymi numerami. A tak przy okazji, prawdopodobnie wie pan, że obecnie dysponujemy technikami, które pozwalają odkryć ślady niedostrzegalne gołym okiem.

Ktoś zapukał do drzwi. Zen machnął ręką w stronę policjantki, która zatrzymała magnetofon. Drzwi otworzyły się i do środka wkroczył tęgi mężczyzna z krzaczastą brodą i burzą jasnych falistych włosów. W szarym tweedowym garniturze i czarnej czapce wyglądał jak niedźwiedź przygotowujący się do występów w cyrku.

- Carlo Berengo Gorin - przedstawił się, wyciągając przed siebie potężną dłoń. - Reprezentuję pana, hm...

Niecierpliwym gestem wskazał na Giulia Bona, a potem odwrócił się do Zena.

- Pan Valentini czy Gatti?

- Aurelio Zen.

Brwi *avvocato* podskoczyły do góry.

- Zen? Nie chodziliśmy przypadkiem razem do szkoły? Ależ tak, oczywiście! As koszykówki! Wzrost, wdzięk, ruchy, które oczarowywały przeciwników tak, że stali jak posągi, podczas gdy ty tańczyłeś pomiędzy nimi, aby zdobywać kolejne punkty!

Zen tępo wpatrywał się w adwokata. Pomimo wysokiego wzrostu nigdy w życiu nie grał w koszykówkę. Gorin uśmiechnął się do swoich wspomnień.

- Wspaniałe czasy! - westchnął. - A teraz, czy mógłbyś mnie uprzejmie poinformować o statusie mego klienta?

Zen poczuł ucisk w żołądku. Poprawiony kodeks postępowania cywilnego, który wszedł w życie w roku 1988, zmienił się pod wieloma względami w porównaniu z wcześniejszym, zwłaszcza w punktach odnoszących się do praw świadków i podejrzanych i możliwości policji. Był to w znacznym stopniu krok we właściwym kierunku, kładący kres praktykom, które w przeszłości prowadziły do licznych nadużyć usprawiedliwianych koniecznością odniesienia zwycięstwa z terrorystami, na przykład z Czerwonych Brygad. Nowe podejście nie odpowiadało jednak ani nawykowi, ani temperamentowi Zena.

To prawdopodobnie tłumaczyło, dlaczego nigdy nie zdołał opanować nowych norm i procedur, które zawierał poprawiony kodeks. Podobnie jak wszyscy wyżsi oficerowie, musiał odbyć szkolenie dotyczące zmienionego systemu, ale jego pozycja w elitarnych oddziałach Criminalpol oznaczała, że w praktyce nie musiał dokonywać żadnych zmian w swoim sposobie

postępowania. Oficerowie Criminalpol interweniowali wyłącznie w najważniejszych sprawach i sędziowie śledczy dawali im zwykle stosunkowo dużą swobodę.

Ta sytuacja była jednak zupełnie inna. Zen nie tylko nie działał pod egidą Ministerstwa Spraw Wewnętrznych - w ogóle nie powinien zajmować się sprawą Durridge'a. Działał na własną rękę, więc wszystkie podjęte przez niego decyzje musiały pozostawać w zgodzie z literą nowego prawa, jeśli miały zostać zaakceptowane przez urząd prokuratora. Wiedział o tym od samego początku, liczył jednak na to, że właściciel niewielkiej stoczni remontowej prawdopodobnie nie zna zbyt dobrze swoich praw, a na pewno już nie będzie miał dostępu do prawnika, który potrafiłby je odpowiednio wykorzystać.

Zen spojrzał na intruza, który oczekiwał odpowiedzi. Dziwne było, że Bon gotów był zapłacić kwotę, jakiej z pewnością zażądał Gorin. Jeszcze dziwniejsze było to, że adwokat najwyraźniej nie znał w ogóle nazwiska swego klienta.

- Mam pewne powody, by przypuszczać, że ten człowiek posiada informacje odnoszące się do sprawy, w której prowadzę właśnie śledztwo - powiedział ostrożnie. - Kazałem więc przyprzewodzić go tutaj, by odpowiedział na kilka moich pytań.

- Co to za sprawa? - zapytał Gorin.

- Chodzi o sprzedaż łodzi.

Gorin zmarszczył czoło.

- W grę wchodzi złamanie którego artykułu kodeksu karnego?

- To się dopiero zobaczy - stwierdził flegmatycznie Zen.

- Czy poinformował pan o tym prokuratora okręgowego?

- Jeszcze nie.

Gorin zwrócił się do Bona.

- *Signor*, hm...

- Bon, *dottó*. Giulio Bon.

- Czy odpowiedział pan na jakieś pytania tego funkcjonariusza?

- Tak.

- Ponieważ nie był przy tym obecny pański przedstawiciel prawny, żadne odpowiedzi, których pan udzielił, nie mogą zostać wykorzystane jako dowody. Czy życzy pan sobie odpowiedzieć na te pytania ponownie, już w mojej obecności?

Bon spojrzał na niego z niepokojem.

- Muszę?

Gorin zwrócił się do Zena.

- Czy zamierza pan zatrzymać lub aresztować *signor* Bona?

Tu krył się problem. Zen miał przeciwko Bonowi dowody wystarczające, by zatrzymać go do wyjaśnienia, ale zgodnie z nowym kodeksem musiał poinformować o tym fakcie sędziego śledczego. Oznaczałoby to oficjalne ujawnienie jego zainteresowania sprawą Durridge'a, a jego pozycja była wciąż zbyt delikatna, by mógł to zaryzykować.

- Obecnie nie - odpowiedział.

Gorin ponownie zwrócił się do Bona.

- Nie istnieje zatem żadna konieczność, by odpowiadał pan na jakiegokolwiek pytania, a także by pan pozostał tu, chyba że wyrazi pan takie życzenie.

Bon podniósł się szybko z krzesła.

- Ja już powiedziałem mu wszystko, co wiem! - wypalił. - Muszę pracować! Dlaczego miałbym tracić tutaj czas, skoro nie muszę?

- Właśnie, dlaczego? - powtórzył Gorin.

Bon przeniósł wzrok z Gorina na Zena i z powrotem na Gorina. Pociągnął nosem,

przepchnął się obok policjantki i wyszedł z biura. Gorin wskazał owłosionym palcem magnetofon.

- A co to takiego? - zapytał.

- O co panu chodzi?

- Jako że przesłuchanie, które nagrano, zostało przeprowadzone niezgodnie z przepisami, istnienie tej taśmy jest pogwałceniem praw obywatelskich mojego klienta. Zgodnie z artykułami pięćset dziewięćdziesiątym szóstym i siedemset dwudziestym czwartym kodeksu postępowania cywilnego nagrywanie wypowiedzi i rozmów bez pisemnej zgody zainteresowanych jest przestępstwem. Czy mój klient udzielił takiej zgody?

Zen potrząsnął przecząco głową.

- W takim razie muszę prosić o oddanie taśmy.

Zen zmarszczył brwi.

- Kwestią nie jest tutaj istnienie samej taśmy, ale nagrania.

- Znakomite rozróżnienie, *dottore*. - Gorin uśmiechnął się. - Jednak jako że nagranie istnieje poprzez medium, to jest taśmę, z praktycznego punktu widzenia stanowią one jedność. Muszę zatem raz jeszcze poprosić pana o przekazanie mi rzeczonyj taśmy.

Zen pokiwał przecząco palcem.

- To prawda, że nagranie nie może istnieć bez taśmy, *awocato*, ale możliwa jest sytuacja odwrotna.

Odwrócił się do *sottotenente* Pii Nunziaty, która przysłuchiwała się tej rozmowie z otwartymi ustami.

- Proszę przewinąć taśmę i skasować nagranie.

- Tak jest.

Gorin zrobił krok w jej stronę, machając dłonią ze zniecierpliwieniem.

- Nie, nie. Nie spodziewa się pan chyba, że będę czekał w nieskończoność na skasowanie tego nielegalnego nagrania.

Policjantka posłała mu lodowate spojrzenie.

- Nasz sprzęt wyposażony jest w funkcję przyspieszonego nagrywania, która umożliwia skasowanie takiej taśmy w kilka minut.

Aby udowodnić prawdziwość swoich słów, nacisnęła jakiś guzik i szpule zaczęły się szybko obracać. Gorin przyglądał się jej przez chwilę, po czym cofnął się o krok i machnął ręką.

- W takim wypadku nie będę dłużej zajmował pańskiego czasu. Życzę miłego dnia!

Uklonił się dwornie i opuścił biuro z jowialnym uśmiechem. Kiedy tylko jego kroki ucichły za drzwiami, Pia Nunziata wyłączyła magnetofon.

- Czy mam przygotować kopię, *dottore*? - zapytała Zena.

- Przecież taśma została skasowana. - Zen zmarszczył czoło.

- Wymyśliłam to wszystko. Nie ma takiej funkcji. Po prostu przewinęłam taśmę.

Zen uśmiechnął się powoli.

- *Brava!* Teraz jednak proszę skasować to nagranie.

Policjantka raz jeszcze przewinęła taśmę, odłączyła mikrofon i nacisnęła czerwony guzik. Zen założył płaszcz i kapelusz i wyszedł z biura. Istnienie jakiegokolwiek dowodu przesłuchania było teraz dla Zena niebezpieczne, ponieważ zadane pytania zawierały wiele informacji dotyczących prawdziwego powodu jego przyjazdu do miasta. Dlatego właśnie zrobił wszystko, by taśma nie wpadła w ręce Carla Berenga Gorina, zwłaszcza na wypadek, gdyby przypuszczenia Zena dotyczące sposobu, w jaki adwokat został wezwany do *Questura*, miały się potwierdzić. W takiej sytuacji czekała go wyjątkowo nieczysta walka.

Zszedł pospiesznie na parter, gdzie zatrzymał się, by przeczytać wypisane na maszynie



ogłoszenia przypięte do specjalnej tablicy. Większość dotyczyła drobnych zmian w podziale dyżurów i nawet dla zatrudnionych na stałe nie była szczególnie interesująca, jednak Zen najwyraźniej tak się zaczytał, że nawet się nie obejrzał, kiedy drzwi położone nieco w głębi korytarza otworzyły się niespodziewanie.

- ...jeszcze raz, Carlo.
- Nie ma sprawy.
- Do zobaczenia w sobotę.
- *Ciao*, Enzo.
- *Ciao*.

Na marmurowej podłodze rozległy się kroki. Zen odwrócił głowę w kierunku notatki przypiętej pinezką na krawędzi tablicy ogłoszeń. Rzucił pospiesznie okiem w stronę korytarza, a potem odwrócił się plecami do obydwu mężczyzn, zamykając oczy, aby zastanowić się nad tym, co zobaczył: Carlo Berengo Gorin szedł w jego kierunku, patrząc na zegarek, podczas gdy Enzo Gavagnin podwinął rękawy koszuli i skierował się do swego biura.

Kiedy prawnik znalazł się na schodach, nucąc coś pod nosem, Zen podszedł do drzwi, zza których dobiegł go charakterystyczny głos Gavagnina.

- ...jeszcze raz, *Filippino mio*, chciałbym upewnić się, że się rozumiemy. Nie podejrzewam, byś potrafił znaleźć bez mapy dziurę we własnym tyłku, a nie chcę, żeby w tej sprawie doszło do jakiegokolwiek pomyłki, zrozumiałeś?

Zen odwrócił się, na jego ustach pojawił się gorzki uśmiech.

Na zewnątrz słabe światło pospiesznie oddawało ducha, wydawało się, że robi się jeszcze zimniej. Zen skręcił w lewo i minął siedzibę *Squadra Mobile*. Gołąb machający z wysiłkiem skrzydłami skierował się prosto na niego, jak gdyby zamierzał roztrzaskać się na jego twarzy, w ostatniej chwili skręcił i przysiadł na murze ozdobionym okruciami potłuczonego zielonego szkła. Zen przeszedł na drugi brzeg kanału, minął aleję platanów, których kora łuszczyła się jak stara farba, i wszedł do odrapanego baru na rogu.

Zamówił kawę, broniąc się przed pokusą, by poprosić o kieliszek grappy, usiadł przy czerwonym plastikowym stoliku przy oknie, skąd rozciągał się widok na wejście do *Questura*, i przyglądał się swemu odbiciu w ciemniejącej szybie. Ani śladu szalejącej w środku furii. Nie było dobrze, że prawnik ceniący swe usługi na sto tysięcy lirów za godzinę wtyka nos w sprawę, która właśnie zaczynała się dobrze zapowiadać. Gorsze jeszcze było to, że prawnik nie znał nawet nazwiska swego klienta, musiał zatem zostać wezwany przez kogoś trzeciego. Najgorsza jednak była świadomość, że tym kimś był policjant.

To, co się właśnie wydarzyło, było dla Zena doskonale oczywiste. Kiedy Giulio Bon został doprowadzony do *Questura*, Enzo Gavagnin był obecny - albo przez przypadek, albo dlatego, że Bon zdążył go o tym poinformować. W gwałtowny sposób próbował przeciwstawić się zatrzymaniu Bona, a kiedy próba zmuszenia Zena do wycofania się zawiodła, wezwał na pomoc Carla Berenga Gorina. Zen zdecydowanie nie zamierzał się z tym pogodzić. Na każdym kroku napotykał kłody rzucane mu pod nogi przez polityków, sędziów, dziennikarzy i mafiosów, taka była jego praca, jednak czuł, że kiedy przeszkadza mu jeden z kolegów, należy się zemścić. Zen nie wiedział jeszcze, jak dotkliwa będzie jego zemsta, ale wiedział przynajmniej, od czego zacząć. Spojrzał na zegarek. Miał przed sobą jeszcze godzinę czekania.

Zanim z ostrego blasku reflektorów umieszczonych nad wejściem do *Questura* wynurzyła się samotna postać, Zen zdążył wypić trzy filiżanki kawy, wypalić pięć papierosów i przeczytać od deski do deski „Il Gazzettino” z poprzedniego dnia. Mężczyzna ubrany był w brązową kurtkę z podpinką, dzinsy i skórzane buty robocze. Zen rozpoznał twarz z fotografii, którą rano zobaczył w lokalnej gazecie. Kiedy wyszedł na nabrzeże, mężczyzna zniknął już w mroku, ale Zen puścił

się biegiem wzdłuż kanału i zdążył go dogonić, zanim tamten dotarł do pełnych ludzi ulic wokół Campo San Zaccaria.

Później poszło już łatwo. Mężczyzna szedł pewnym krokiem, nie zatrzymywał się i nie oglądał za siebie. Kiedy wyszedł z plątaniny uliczek na szeroką promenadę Riva degli Schiavoni, podszedł do jednego z kiosków ACTV i kupił bilet na prom. Zen wszedł za nim na przystanek, gdzie stał tłumek pasażerów z pełnymi zakupów siatkami i z dziećmi. Niektórzy pochłonięci byli lekturą gazet. Zen ustawił się dokładnie naprzeciwko mężczyzny, którego śledził, nie próbując ukryć swojej obecności. Tamten przekroczył właśnie trzydziestkę, był dość niski, drobny, miał gęste siwiejące włosy, odstające uszy i wyraz ciągłego zaskoczenia na twarzy. Poruszał się płynnymi, małpimi ruchami marynarza, jak gdyby obawiał się, że ziemia pod jego stopami może w każdej chwili zacząć się nagle kołysać.

Tramwaj wodny kierujący się do stacji kolejowej zatrzymał się przy nabrzeżu, ale mężczyzna ani drgnął. On i Zen należeli do ostatniej piątki pasażerów, którzy pozostali na przystanku, kiedy numer 8 wyruszył w stronę odległych świateł San Giorgio, wymijając nadpływający numer 5, do którego obydwaj wsiedli. Mężczyzna usiadł w części dziobowej, Zen na ławce po drugiej stronie. Mężczyzna przyjrzał mu się bez zainteresowania. *Vaporetto* ruszył trasą okrężną, zatrzymując się przy Arsenale, gazowni na Celestii i szpitalu. Następny przystanek znajdował się na Fon-damenta Nuove, gdzie mężczyzna wysiadł.

Nabrzeże pełne było ludzi wracających z pracy. Zen trzymał się blisko mężczyzny, kiedy ten przeciskał się przez tłum w stronę świateł baru. Tutaj zjadł kanapkę z szynką i wypił szklanekę piwa. Zen zamówił następną kawę i wypalił jeszcze jednego papierosa. Ich oczy spotkały się ponownie, tym razem mężczyzna przez krótką chwilę wpatrywał się w Zena. W telewizorze za barem widać było kłęby dymu nad niewielkim miasteczkiem w zalesionym, górzystym krajobrazie.

- ...do pięćdziesięciu pięciu wzrosła liczba zabitych w czasie ostatnich walk w mużułmańskiej enklawie - oznajmił dziennikarz. - Rzecznik prasowy Serbów bośniackich stanowczo odrzucił oskarżenia o rozpoczęcie nowej kampanii czystek etnicznych...

Z zewnątrz dobiegł głos syreny okrętowej. Mężczyzna dopił piwo i skierował się do drzwi. Przeszedł się przez tłum do stanowiska oznaczonego numerem 12 i wszedł na biały stateczek. Przeszedł na dziób, usiadł i patrzył prosto przed siebie, kiedy jednostka przeciskała się przez płytki kanał w kierunku Murano. Kiedy przepływali obok latarni morskiej, podniósł się i wyszedł na pokład.

W dali pociąg przesuwiał się powoli na stały ląd po niewidocznym moście, jak gigantyczny robaczek świętojański. Mężczyzna wyjął z kieszeni paczkę papierosów, wyciągnął jednego i włożył do ust. Klepał się po kieszeniach w poszukiwaniu zapalek, kiedy niespodziewanie przed jego nosem pojawił się płomień. Poderwał głowę z przerażeniem.

- Kim jesteś? Czego chcesz?  
Aurelio Zen zgasił zapalniczkę, znowu zapadła ciemność.
- Co im powiedziałaś, *Filippino mio*? - wyszeptał.
- Nic! Nic im nie powiedziałem! - Mężczyzna prawie wypluł te słowa. Zen ponownie zapalił zapalniczkę i przyjrzał się twarzy mężczyzny.
- Tak, tylko czy oni ci uwierzyli?  
Filippo Sfriso wybuchnął gorzkim śmiechem.
- Gliny mają głęboko w dupie to, co stało się z Giacomem!  
Zen przypalił mu papierosa.
- W takim razie dlaczego cię zabrali, Filippo? Dlaczego trzymali cię tak długo?  
Sfriso zaciągnął się głęboko.

- Aby upewnić się, że do mnie dotarło.
- Co dotarło?

Tym razem śmiech Sfrisa zabrzmiał jeszcze bardziej szyderczo.

- Sam powinieneś wiedzieć!

Zen zapalił swojego papierosa. Obydwaj obserwowali się przez chwilę w świetle zapalniczki.

- Nie próbuj ze mną żadnych sztuczek, Filippo - wyszeptał Zen groźnie.

- Sztuczek? Przecież to ty tu jesteś od sztuczek! Udajesz, że o niczym nie wiesz, choć tak naprawdę sam pociągasz za wszystkie sznurki! - Przerwał, próbując złapać oddech. - Dostyc tego, rozumiesz? - mówił dalej. - Udało ci się. Myślisz, że nie oddałbym wszystkiego, gdybym wiedział, gdzie to jest? Nie wiem, jak to sprzedać ani ile żądać. Jak myślisz, ile powinienem zażądać? Ile warte jest życie mojego brata? Jaki jest dzisiejszy kurs? - Podniósł głos, który drżał teraz od bólu i nienawiści. - Skurwysyny! Nie uwierzyliście mu, co? Myśleliście, że to tylko następna sztuczka. Sukinsyny! Giacomo był moim bratem. Wiedziałem, kiedy kłamał, a wtedy mówił prawdę! Widział przed sobą trupa, tak jak ty teraz mnie widzisz, szczury wyjadały mu ciało, a w oczodołach miał pełno robaków. Stracił panowanie nad sobą. Ja czy ty zrobilibyśmy to samo, gdybyśmy zobaczyli coś podobnego, w takim miejscu i o takiej porze. Rzucił wszystko i uciekł, i ani ja, ani on nie byliśmy w stanie znaleźć tej paczki. To prawda! - Zamilkł ponownie, bliski łez. Kiedy znowu się odezwał, z jego ust wydobył się chrapliwy szept. - Ale wyście mu nie wierzyli. Torturowaliście go, trzymaliście mu głowę pod wodą, aż w końcu przesadziliście, a on się utopił. A wtedy wysłaliście swojego kupionego policjanta, żeby przekonać się, że potwierdzę waszą wersję o śmierci w wypadku. Odpierdol się, słyszysz? Zabijcie mnie, jeśli chcecie, ale póki żyję, pozwólcie mi opłakiwać go w spokoju.

Rzucił papieros za burtę i wszedł z powrotem do kabiny, pozostawiając Zena w zapadającym mroku oznaczonym słabymi, zwodniczymi światłami.

## XII

Kiedy Zen wrócił do miasta, było już późno. Ruszył prosto do domu, czując zmęczenie, chłód i przygnębienie. Pomimo jego wysiłków wszystko wciąż szło nie tak, jak należy. Spotkanie z Filippem Sfrisem utwierdziło w nim jedynie poczucie, że znalazł się na zupełnie obcym terenie. Zamierzał potrząsnąć Sfrisem w nadziei, że ten powie mu coś, co można by wykorzystać w rozgrywce z Enzem Gavagninem. Efekt był jednak taki, że to Zen został dogłębnie wstrząśnięty tym, co powiedział mu Sfriso, który w dodatku najwyraźniej był przekonany, że Zen wszystko to już wie.

Zen miał w najlepszym razie nadzieję, że zdoła zdobyć informacje, które ośmieszą lub odsłonią niekompetencję Gavagnina w oczach przełożonych z *Questura*. Valentini sugerował, że Gavagninowi powinna się noga właśnie w tej sprawie, i Zen zamierzał podpiłować gałąź, na której siedział Enzo. Gavagnin był już odpowiedzialny za odebranie sprawy koledze, a następnie zatrzymanie brata topielca na dwa dni bez żadnych dowodów złamania prawa. Wszystko to należało tylko uzupełnić kilkoma pikantnymi szczegółami, jakich powinien dostarczyć - a Zen zakładał, że rybak będzie miał po temu aż nadto powodów - właśnie Filippo Sfriso.

Jednak Sfriso, uznając, że Zen należy do tych, którzy pociągają za sznurki, wywrócił do góry nogami oficjalną wersję wydarzeń. Giacomo Sfriso został zamordowany, a Enzo Gavagnin najwyraźniej pracował dla morderców. Nie tego życzył sobie Zen. Zamierzał ośmieszyć Gavagnina, a nie doprowadzić do postępowania karnego, które powinno zakończyć się piętnastoletnim wyrokiem. A poza tym, nie był w stanie niczego udowodnić. Nawet gdyby możliwe było przekonanie Filippa Sfrisa do złożenia zeznań, byłyby to tylko słowa zwykłego rybaka przeciwko słowom wysokiego rangą oficera policji.

Zen wszedł na niewielki plac, na którym studnia zastąpiona została przez ręczną pompę. Parszywy kot, który chleptał wodę kapiącą z kranu do czerwonego plastikowego wiaderka, uciekł, kiedy Zen się zbliżył. Skrył się w cieniu i obserwował przechodzącego człowieka. Zegar na wieży kościelnej zaczął niespodziewanie wybijać godzinę, dziewięć dzwięcnych uderzeń, które skierowały myśli Zena ku czekającemu go wieczorowi.

Nie były to myśli szczególnie pocieszające. Randka z Cristianą była już najpewniej nieaktualna. Ostrzegał ją wprawdzie, że może się spóźnić, ale sam nie miał wtedy pojęcia, jak bardzo. W domu nie było nic do jedzenia czy picia, a wszystkie sklepy już zamknięto. Nawet restauracje powinny już kończyć pracę, z wyjątkiem przeznaczonych dla młodszej klienteli pizzerii podobnych do tej, którą poprzedniego wieczoru odwiedził wraz z Cristianą, jednak wizja, że mógłby tam pójść bez niej, była zbyt ponura, by w ogóle brać ją pod uwagę.

Nieświadomie zwalniał kroku, im bardziej zbliżał się do domu, jak gdyby próbując odsunąć od siebie nieuniknione. W końcu jednak, o wiele szybciej niż mógł sobie tego życzyć, stanął przed swymi drzwiami. Bez powodzenia spróbował pomyśleć o jakimś innym rozwiązaniu, wydobył z kieszeni klucz i wszedł do środka. W korytarzu ciągnęło wilgotnym chłodem przebijającym przez kamienną podłogę z przesiąkniętej wodą ziemi. Zen zajrzał do metalowej skrzynki na listy, w której znalazł reklamę i uschnięty liść, a później ze zmęczeniem ruszył na górę. Od chwili przyjazdu nie czuł się jeszcze tak przygnębiony.

Otworzył drzwi pokoju i zamierzał właśnie zapalić światło, kiedy zauważył, że ciemność nie jest wcale tak całkowita. Kobieta siedząca na kanapie odłożyła czytaną właśnie książkę i podniosła się z uśmiechem.

- Cristiana! - krzyknął. Uśmiechnął się z radością i zaskoczeniem.
- Naprawdę się spóźniłeś - stwierdziła, ale w jej głosie nie było wymówki.

- Nie miałem pojęcia, że tu jesteś, zadzwoniłbym - powiedział, zdejmując płaszcz - ale byłem pewien, że dawno już poszłaś do domu.

- Tak naprawdę nie mam domu.
- Miałem na myśli dom twojej matki.

Cristiana wzruszyła ramionami i podeszła do niego.

- *Mamma* jest cudowna, ale przy niej czuję się jak małe dziecko.
- Nie jesteś już dzieckiem.

Skinęła głową, nie spuszczać z niego wzroku.

- Bycie dorosłym ma wprawdzie swoje wady, ma również tę wielką zaletę, że można robić, co się chce.

- W granicach rozsądku.
- Nawet poza nimi, przynajmniej od czasu do czasu.

Zen stał i wpatrywał się w nią z idiotycznym uśmiechem.

- Cudownie znowu cię widzieć, Cristiano!

Sądząc po żakiecie o skromnym kroju i jedwabnej bluzce, przyszła tutaj prosto z pracy.

- Jadłaś już kolację? - zapytał.

Potrząsnęła przecząco głową.

- A ty?
- Nie, a w domu nie ma niczego do jedzenia.
- Przyniosłam co nieco. Nic specjalnego, ale przynajmniej nie umrzemy z głodu.

Zawstydzony swoimi uczuciami, Zen podszedł do kanapy i podniósł książkę, którą czytała Cristiana. Gruby tom nosił tytuł *Historia Republiki Weneckiej 727-1797*. Na stronie tytułowej umieszczona była dedykacja: „Mojej ukochanej żonie ofiarowuję ten dowód naszego chwalebego dziedzictwa. Nando”.

Zen spojrzał na Cristianę.

- Trzyma w napięciu? - zapytał ironicznie.

- Nie jest wcale takie złe. Twoja rodzina pojawia się tutaj całkiem często. Jeden z twoich przodków był reformatorem szukającym poparcia u motłochu, a drugi sławnym admirałem.

- I, jeśli dobrze sobie przypominam, obydwaj z reguły wygrywali wszystkie bitwy, by w końcu przegrać wojnę. To pewnie rodzinna tradycja. Żywy dowód „chwalebego dziedzictwa”, o którym tyle mówi twój mąż.

Cristiana uniosła lekko brwi.

- Naprawdę nie lubisz Nanda, prawda?

Zen wzruszył ramionami.

- W ogóle nie lubię polityków.
- Ale jest jeszcze coś więcej.

Skinął głową.

- Tak, jesteś jeszcze ty.

Uśmiechnęła się i odwróciła. W jej sylwetce było coś, co nie pasowało do eleganckiego stroju - odrobina intymności, rysa na pancerzu.

- Umieram z głodu - powiedziała. - Wstawię wodę na makaron.

Zen poszedł za nią do kuchni. Na stole stała litrowa butelka czerwonego wina, paczka spaghetti, duży ząbek czosnku o czerwonej skórce, niewielki słoik oliwy, która miała kolor zielonego szkła startego przez fale, i zawinięte w papier trzy pomarszczone papryki barwy zaschniętej krwi.

- *Aglio, olio e peperoncino* - powiedział.

- Mówiłam przecież, że to nic specjalnego.

Kiedy postawiła ciężki garnek na ogniu i wsypała do wody kilka szczypt grubej soli, Zen nagle pojął, co tak bardzo nie pasuje do jej wyglądu. Piersi Cristiana poruszały się leniwie pod jedwabiem, klóćąc się z formalnością stroju jak uwodzicielski szept.

- Zakładam, że twoje nadgodziny oznaczają, że praca idzie dobrze - zauważyła mimochodem. - A może po prostu próbujesz nabić trochę wypłatę na ten miesiąc?

- Wydawało mi się już, że coś osiągnąłem, kiedy ktoś wkroczył i wszystko rozwalił.

Lokalna polityka.

- Polityka?

- Mam na myśli interesy, alianse - powiedział, sięgając do szuflady po nóż o szerokim ostrzu. - Wzajemna ochrona.

- Nando twierdzi, że to wszystko to właśnie polityka.

- On chyba powinien wiedzieć to najlepiej.

- Chcę przez to powiedzieć, że on uważa, iż tak właśnie powinno być. Twierdzi, że reszta to tylko dogmaty i staromodna ideologia.

Zen położył nóż ostrzem na ząbku czosnku i uderzył go mocno kantem dłoni.

- Gdzie się tego nauczyłeś? - zapytała Cristiana z podziwem.

Zen podniósł cieniutką skórkę i zabrał się do krojenia czosnku.

- Od matki.

- Nando nie potrafi nawet zaparzyć kawy. „Ja latam samolotami, ty zajmujesz się domem”, zawsze to powtarza. „Gdybyś miała się kiedyś ochotę zamienić, daj mi tylko znać”.

- Jest pilotem?

- Służył w lotnictwie wojskowym jako pilot śmigłowca szturmowego. Często powtarza, że był to najwspanialszy okres w jego życiu. Myślę, że właśnie dlatego zabrał się do polityki, szuka nowych wrażeń. Próbował swoich sił w biznesie, ale to dla niego za łagodne.

- Co robił?

- Został współnikiem firmy *Aeroservizi Veneti*. Przewożą bogatych ludzi, którzy chcą, by ktoś woził ich tam i siam, biznesmenów chcących wyczarterować mały odrzutowiec do Budapesztu, tego typu usługi. - Wybuchnęła śmiechem. - Pamiętam, że kiedy mi się oświadczył, zabrał mnie helikopterem na wycieczkę nad lagunę, leciał wtedy bardzo nisko. Kiedy zawiśliśmy nad wodą, gdzieś, nie wiadomo gdzie, nagle podniósł się z fotela, przechylił ku mnie, pocałował i poprosił o rękę. Później powiedział mi, że włączył automatycznego pilota, ale wtedy o tym nie wiedziałam. Byłam przerażona. Oczywiście, powiedziałam „tak”, żeby tylko ponownie złapał drążek sterowniczy!

Zen wlał oliwę do niewielkiego garnuszka, postawił go na małym ogniu i wsypał pokrojony czosnek.

- Swoją cholę, co?

- Och, tak. I to dla wszystkich dziewcząt.

Pokrywka na garnku z wodą na makaron zaczęła podskakiwać. Cristiana rozerwała opakowanie makaronu drobnymi białymi zębami. Wysunęła połowę złotych prętów i włożyła je do wrzątku, gdzie stopniowo straciły sztywność i zaczęły poruszać się leniwie jak wodorosty w płynącej wodzie. Podniosła wzrok na Zena, który obserwował falowanie jej piersi. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, a później on odwrócił się do stołu i zabrał do krojenia papryki.

- Czy są bardzo ostre? - zapytał.

- Nie mam pojęcia. Te najmniejsze są często najgorsze.

- Ile mam wrzucić? Trzy? Cztery?

- Jeśli ty wytrzymasz, to ja też.

Gęsta od glutenu woda z makaronem bulgotała jak gorące błota. Zen dodał poszatkowane papryczki do czosnku, który w ciepłej oliwie przybrał złoty kolor. Cristiana nakryła do stołu, ustawiła dużą miskę, dwa talerze, kieliszki, widelce i łyżki i odkorkowała wino. Wyciągnęła z wody makaron i spróbowała, po czym podała Zenowi.

- Jak myślisz?
- Trochę twardy.
- Taki będzie dobry. Dojdzie w oliwie.

Odcodziła spaghetti i wrzuciła je do miski, a Zen zalał całość gorącą oliwą.

- Gotowe!

Usiedli naprzeciwko siebie przy stole, pośrodku stała parująca miska z makaronem. Kiedy Cristiana nałożyła na talerze, Zen nalał wino.

- Cóż zatem lokalna polityka ma wspólnego z duchami Ady Zulian? - zapytała Cristiana, nawijając na widelec nitkę makaronu.

- Z Adą? Nic! - Zmarszczył brwi, zdając sobie sprawę z tego, że popełnił błąd. - Nie, to znaczy... Mówiłem o innej sprawie.

- Zajmujesz się czymś innym?
- W pewnym sensie.
- I faks był właśnie w tej sprawie?

Skinął głową.

- Prawdę powiedziawszy, sprawa jest tajna.
- Potrafię dochować tajemnicy.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się, przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

- Chodzi o Amerykanina, który kilka miesięcy temu zniknął z wyspy na lagunie.

Cristiana wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Połknęłam kawałek papryki - wyjaśniła.  
- Przez jakiś czas pisali o tym we wszystkich gazetach. Wszyscy zakładali, że został porwany, ale nikt nigdy nie zażądał okupu.

- Wydaje mi się, że coś sobie przypominam. Pojawiło się coś nowego?
- Tak i nie.

Posłała mu szybkie spojrzenie.

- To znaczy, że mi nie ufasz.
- Nie, nie o to chodzi - powiedział szybko. Zbyt szybko.

Cristiana skrzywiła się, co miało zastąpić wzruszenie ramion, i zabrała się do jedzenia.

- Łódź tego Amerykanina zniknęła razem z nim - powiedział Zen po chwili wahania. - Wydaje mi się, że udało nam się ją znaleźć.

Cristiana otworzyła szeroko oczy.

- Gdzie?  
- Tutaj, w mieście. Człowiek, który ją zabrał i miał prawdopodobnie zatopić, okazał się zbyt chciwy. Sprzedał ją.

Pociągnął łyk wina, by przepić aromatyczną oliwę, która spływała z każdej nitki spaghetti.

- A co ma z tym wszystkim wspólnego polityka? - zapytała Cristiana.  
- Ten człowiek ma przyjaciół.  
- Kim oni są?  
- Nie wiem, ale w ciągu dziesięciu minut od rozpoczęcia przesłuchania zdążyli przysłać adwokata. I to jednego z tych, z którymi normalnie trzeba umawiać się na rok naprzód.

Nazywa się Gorin.

- Carlo?
- Znasz go?
- My... Wydaje mi się, że Nando go zna.

Uniosła do ust widelec makaronu. Kropelka oliwy spłynęła bladą zielenią po jej podbródku. Zen wyciągnął dłoń, otarł palcami tłusty ślad i wylizał je do czysta.

- Cudowne - powiedział, odsuwając talerz. - Od lat tak. dobrze nie jadłem. Takie proste, a takie smaczne.

Cristiana uśmiechnęła się i dołała wina do obydwu kieliszków. Zen sięgnął po paczkę papierosów.

- Nie będę ci przeszkadzać?
- Sama zapalę, od czasu do czasu zdarza mi się zapalić
- Znam to uczucie. Od czasu do czasu zdarza mi się nie zapalić.

Przez chwilę palili w milczeniu.

- Tęsknisz za swoim mężem - powiedział niespodziewanie Zen.

Nie zabrzmiało to jak pytanie.

- W pewnym sensie tak - odparła Cristiana. - Samotnej kobiecie nie jest tutaj łatwo.

Czuję się, jak gdybym znowu była dzieckiem. Wszystko, co robię, staje się przedmiotem kontroli i komentarzy.

- Czy twoja matka wie, że tu jesteś?

Cristiana wzruszyła ramionami.

- Myślę, że tak. Zawsze jest ktoś, kto pilnuje.

W drugim pokoju ostro rozdzwonił się telefon.

- Niech to diabli - powiedział Zen, podnosząc się. - Nie odchodź.

Cristiana uśmiechnęła się smutno.

- Dokąd miałabym iść?

W chwili, gdy Zen podniósł słuchawkę, zdał sobie sprawę z tego, że odbieranie telefonu było błędem.

Aurelio? Gdzie, do diabła, byłeś? Dlaczego się z nami nie kontaktujesz?

Witaj, Taniu.

- Próbowałam cię złapać przez cały dzień! Obydwie próbowałyśmy.
- Obydwie?
- Twoja matka i ja.
- Stara firma.

Co?

- Jak tam sprawy? Rzym wciąż tam jest? Przypuszczam, że tak, w końcu to wieczne miasto i tak dalej.

- Jesteś pijany?

Jestem szczęśliwy.

- Szczęśliwy? Czemu?
- Czemu jestem szczęśliwy?

Z kuchni dobiegł wybuch śmiechu.

- Kto to? - zapytała Tania. - Ktoś tam z tobą jest, Aurelio?

- Oczywiście, że nie. To ktoś na ulicy, mam otwarte okna.

- Rozumiem. No cóż, może ty jesteś szczęśliwy, ale ja na pewno nie, podobnie jak twoja matka, chyba powinieneś o tym pomyśleć.

- Chyba powinienem.

- Wygląda na to, że dbasz tylko o siebie. Co z oczu, to z myśli, przynajmniej jeśli



chodzi o ciebie. Rozmawiałam o tobie z twoją matką, Aurelio, i muszę powiedzieć, że bardzo mnie zaniepokoiło to, co miała mi do powiedzenia. Potwierdziło się wiele z tego, co przypuszczałam już wcześniej.

- Jak co na przykład?  
- Jak to, że jesteś wyjątkowym egoistą. Że nic cię nie obchodzą inni ludzie. Traktujesz ich wyłącznie instrumentalnie.

- Czy to właśnie powiedziała ci moja matka?  
- Nie użyła może dokładnie tych słów, ale z tego, co opowiadała, wynika, że już jako dziecko byłeś bezwzględny egoistą i manipulowałeś ludźmi.

- Nie przyszło ci do głowy, że może mieć w tym jakiś cel, Taniu?

Był już zły i słycać to było w jego głosie.

- Co masz na myśli?  
- To, że może być zazdrosna o kobietę, która mogłaby zagrozić jej czułym stosunkom z ukochanym synem i która wyrabia z nim w łóżku różne obrzydliwe rzeczy. Robi więc wszystko, co w jej mocy, by cię przestraszyć, bo wtedy będzie mnie miała wyłącznie dla siebie.

Na krótką chwilę zapadła cisza.

- Nigdy w życiu nie słyszałam jeszcze, by ktoś powiedział coś równie potwornego o swojej matce. Na miłość boską, Aurelio! Jesteś potworem! Czy naprawdę sugerujesz, że twoja matka jest o mnie seksualnie zazdrosna? To przecież szaleństwo! To najobrzydliwsza rzecz, jaką kiedykolwiek...

Zen cicho położył słuchawkę na widełki i wrócił do kuchni. Cristiana podniosła wzrok.

- O co w tym wszystkim chodziło?

Potrząsnął głową ze zmęczeniem.

- Nie pytaj.

Opadł na krzesło. Zapalał właśnie następnego papierosa, kiedy telefon rozdzwonił się ponownie. Zen siedział z zaciśniętymi ustami i wzrokiem wbitym w stół. Telefon zadzwonił jednaście razy.

- Wytrwała - stwierdziła Cristiana, kiedy dzwonek w końcu ucichł.

Kiedy dopowiedziała to słowo, telefon zadzwonił ponownie. Tym razem piętnaście razy.

- Można wręcz powiedzieć: uparta - dodała Cristiana.

Po krótkiej chwili ostry dzwonek rozległ się ponownie. Cristiana podniosła się od stołu.

- Mogę?

Zen westchnął przeciągle. Machnął ręką w stronę otwartych drzwi. Cristiana weszła do pokoju i podniosła słuchawkę.

- Tak? Kto? Nikogo takiego tu nie ma.

Rzuciła słuchawkę na widełki i wyciągnęła wtyczkę kontaktu. Kiedy się podniosła, Zen stał tuż za nią. Objął jej ramiona, obrócił twarzą ku sobie i pocałował w usta. Przez krótką chwilę świadomości mierzyli się wzrokiem, a potem wpadli w siebie ślepo.

### XIII

Obudziło go dziwne uczucie, obecność drugiego ciała w łóżku, w którym zawsze sypiał sam i w którym nie było dość miejsca dla dwojga. Zamknął oczy i wyciągnął się na poduszce, uśmiechając do wspomnienia minionej nocy. Prześcieradło było wciąż wilgotne od potu, a całe łóżko przesycone zapachem namiętności.

Cristiana poruszyła się przez sen, jak gdyby wspomnienia, które nie pozwalały spać Zenowi, pojawiły się również w jej snach. Rzeczywiście, mógł to przecież być jedynie sen, tak nieprawdopodobny wydawał się w chłodnym mroku godziny... czy naprawdę jest dopiero za dziesięć szósta? Odłożył zegarek na stolik obok łóżka i przekręcił się na bok, próbując znaleźć pozycję, w której będzie mógł ponownie zanurzyć się w niespokojny sen.

Jakkolwiek jednak próbował się układać, obraz Cristiana-ny przemykał przez jego myśli jak srebrzysta ryba. Wszystkie inne kobiety w jego życiu sprawiały, że czuł, iż niezależnie od tego, jak dobrze bawią się z nim w łóżku, tak naprawdę jedynie wyświadczają mu przysługę. Tym razem już od pierwszego pocałunku było absolutnie jasne, że wszystko, co robi Cristiana, ma na celu tak jego, jak i jej przyjemność. Cristiana była głodna najróżniejszych pieszczot, jej zmysłowość doprowadziła do kilku kolejnych orgazmów, które wprawiły Zena w stan uniesienia, jakiego nigdy jeszcze nie doświadczył.

Uciekając przed wspomnieniami tego, co zrobił i powiedział minionego wieczoru, usiadł na łóżku. Sen zdecydowanie nie wchodził już w grę. Przez chwilę walczył z pokusą, by chwycić pulchne białe ramię Cristiany, przewrócić ją ku sobie i pieścić jej piersi i brzuch. Zmusił się jednak do tego, by odsunąć kołdrę i wstać. Co się stało, stało się, ale byłoby po prostu śmieszne, gdyby o tej porze dnia i w tym wieku zaczął się zachowywać jak rozpalony nastolatek.

Przeszedł szybko do łazienki po lodowatych płytkach podłogi. Nawet jednak pod letnią wodą prysznic nie dawało mu spokoju wspomnienie wspaniałego, delikatnego ciała Cristiany. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że może robi z siebie kompletnego idiotę. Dopiero ta wizja zdołała ugasić niepokój w lędźwiach. Nie miał pojęcia, jakie dokładnie poníženie może go oczekiwać, pozostało jedynie niepokojące wrażenie, że wystawił się na cios.

Ubrał się i zszedł na dół, aby zaparzyć kawę. W ostrym świetle nagiej żarówki w kuchni słodkie sny o miłości jeszcze bardziej zbladły. Co oni zrobili? Co zamierzali zrobić teraz? A przede wszystkim, co sobie teraz powiedzą? Wizja powitania Cristiany, konieczności tego, by usiąść wraz z nią i rozmawiać o niczym, napełniła go nieskończonym obrzydzeniem. Rozmowa ich ciał minionej nocy była tak naturalna i oczywista jak miękkie zetknięcie fali z brzegiem, ale jej zamiana na twardą walutę języka i codziennego życia była wizją zniechęcającą.

Kawa zaczęła bulgotać i syczeć. Nalał sobie filiżankę i napisał karteczkę do Cristiany z wyjaśnieniem, że musi iść wcześniej do pracy i zadzwoni do niej jeszcze tego ranka. Uznawszy, że list robi chłodne i biurokratyczne wrażenie, podarł kartkę i napisał następny, starając się wyrazić w nim emocje szalejące w jego sercu. Ten list również wylądował w koszu na śmieci. Kartka, którą ostatecznie zostawił na stole, bliższa była w tonie raczej pierwszej niż drugiej, zawierała jednak kilka aluzji do jego odczuć dotyczących tego, co wydarzyło się minionej nocy.

Na zewnątrz nie było jeszcze oznak świtu. Było o wiele zimniej niż poprzedniego dnia i prawie bezwietrznie. Zen słyszał tylko chłupot wody i krzyki mew w górze. Ruszył przed siebie szybkim krokiem, starając się spalić wypełniającą go energię. Kiedy myślał o swojej młodości, co ostatnio zdarzało mu się bardzo często, wydawała mu się filmem z podkładem wspaniałej, imponującej muzyki, która sprawiała, że każda banalna scena wypełniała się uczuciem, stając się niezwykłą i jedyną w swoim rodzaju. Bycie starszym, pomyślał, oznacza życie w tym samym filmie, tylko bez muzyki.

Teraz jednak podkład pojawił się ponownie. Czuł się silny i pełen życia, niewyciężony i

potężny Wątpliwości i trudności, które niepokoiły go wcześniej, teraz wydawały się trywialne. Kobieta oddała mu siebie, a on dał rozkosz i jej, i sobie. Co teraz mogło go dotknąć? Maszerował szybkim krokiem aż do Santa Maria Formosa, oddech wykwitał przed jego ustami gęstym kłębem pary. Minął zamiatacza ulic, który naprawiał właśnie miotłę, zbiorowisko zdziczałych kotów, rozstawiającego stoliki barmana somnambulika, osiemnastolatka, który zwijał płótno ze stojącej na kotwicy łodzi. Wydawało się, że wszyscy obserwują go z podziwem i zazdrością, machają do niego, życząc mu wszystkiego najlepszego.

O tej porze samotny *palazzo* nad kanałem San Lorenzo, siedziba *Questura di Venezia*, wydawał się równie pusty jak całe miasto. Zen wszedł na pierwsze piętro i zatrzymał się przed drzwiami opatrzonymi napisem GAVAGNIN-RUZZA- CASTELLARO. W pomieszczeniu brzęczała samotna mucha, bezskutecznie próbując przebić się przez szybę, na której pojawiły się już pierwsze oznaki nadchodzącego świtu. Terytorium Enza Gavagnina łatwo było rozpoznać po rozmiarach szkód, jakie na nim poczynił. Kosz na śmieci był wgięty, z pełnej popielniczki wysypywały się niedopałki, zadrapania i wypalone ślady po papierosach najliczniejsze, śmietnik memorandumów, notatek i akt największy ze wszystkich i najbardziej nieprzenikniony.

Zen obejrzał po kolei wszystkie papiery. Przejrzał raporty o handlarzach narkotyków, dostawcach, narkomanach i donosicielach. Przeszukał szuflady biurka i szafkę w kącie pokoju, wszystko to jednak nie dowodziło niczego prócz tego, czego domyślił się już wcześniej: Enzo Gavagnin był szanowanym oficerem obciążonym licznymi obowiązkami, człowiekiem o szerokich kontaktach zarówno w policji, jak i w miejscowym półświatku. Wszystkiego tego należało się spodziewać. Przez pół godziny Zen nie znalazł nic, co mogłoby usprawiedliwić jego podejrzenia, nie mówiąc już o możliwości wzbudzenia podejrzeń cynicznego przełożonego.

W innej sytuacji mogłoby to zniechęcić go skutecznie, jednak tego ranka nie poddawał się żadnym przeciwnościom. Zapalając pierwszego tego dnia papierosa, zastanowił się nad wszystkim raz jeszcze. Był pewien, że w śmietniku na biurku niczego nie znajdzie. Bałagan był nazbyt duży, a przy tym z łatwością mógł paść ofiarą nazbyt pracowitego sprzętacza. Człowiek sprytniejszy od Gavagnina, biorąc pod uwagę te właśnie przesłanki, mógłby wybrać go jako doskonałe miejsce na ukrycie ważnego dokumentu. Gavagnin nie był jednak sprytny, przynajmniej nie w ten sposób. Gdyby miał coś do ukrycia, ukryłby to, a nie zostawiał na widoku.

Co mógłby ukrywać? To właśnie był główny problem. Gdyby Zen wiedział, czego szuka, wiedziałby też, gdzie patrzeć. Jeśli oskarżenia Filippa Sfrisa były prawdziwe, Gavagnin potrzebował jakiegoś sposobu na przekazywanie wiadomości, by wydawać i otrzymywać polecenia. Musiał to więc być numer telefonu, może nawet więcej niż jeden. Gdzie ktoś taki mógłby je trzymać?

Zen przymknął oczy, próbując wywołać obraz Enza Gavagnina. Portret obracał się wolno w jego podświadomości, podczas gdy Zen poszukiwał odpowiedzi na swoje pytanie. Kim jest Gavagnin? Nadętym łajdakiem bez skrupułów, energicznym i pomysłowym, ale całkowicie niemoralnym. Kimś, kto nie jest w stanie wyobrazić sobie, że coś, co robi, może być złe, choć zdaje sobie sprawę z tego, że może być nielegalne. Kimś, komu ta sprzeczność nie sprawia żadnych kłopotów. Kto we własnych oczach jest człowiekiem poza wszelkimi podejrzeniami.

Krótko mówiąc, ukochany synek mamusi. Zen uważał, że matki zakochują się w swoich synach, kiedy mężowie okazują się niewierni. Wyjaśniało to jego własny los, poszukiwanie u kobiet potwierdzenia swojej wartości i przesadną reakcję - jak minionej nocy - kiedy udawało mu się to osiągnąć. *Signora* Zen nigdy nie miała okazji rozczarować się swoim mężem, który zniknął w Rosji, nieśmiertelnym bohaterem, którego syn nie miał nigdy szansy zastąpić. Gavagnin, skąpany w rzece macierzyńskiej miłości, uważał, że kłopoty dnia codziennego nie mogą go

dotknąć. Mógł się jednak mylić, jak Achilles.

Zen już w czasie pierwszego przeszukiwania biurka Gavagnina zauważył w najniższej szufladzie książkę telefoniczną. Było to wydanie sprzed dwóch lat, książka nie miała okładki, zaczynała się w połowie litery C. Zen sięgnął po nią teraz i zaczął przerzucać brudne kartki. Wiele było na nich notatek na marginesach i podkreśleń, ale on szukał czegoś prostszego, czegoś wyraźnego i oczywistego, czegoś zaplanowanego. I znalazł to prawie w środku książki, na barwnej stronie reklamowej wydrukowanej na sztywnym, błyszczącym papierze, łatwej do znalezienia. Pod fotografią przedstawiającą skórzany fotel, nierównym pismem, które z dokumentów Zen zapamiętał już jako należące do Gavagnina, zanotowano trzy numery.

Same w sobie nie miały sensu, co tylko potwierdziło podejrzenia Zena, że znalazł to, czego szukał. Każdy składał się z dziewięciu cyfr, pierwsze cztery napisane były oddzielnie, przez co wyglądały na kierunkowe. Zen sięgnął po telefon i wykręcił pierwszy, głos w słuchawce poinformował go, że nie ma takiego numeru. Spróbował wykręcić dwa pozostałe, z podobnym skutkiem.

Sięgnąwszy do szuflady po czystą kartkę papieru, Zen przepisał numery i wpatrywał się w nie przez chwilę. Później ponownie wziął słuchawkę i spróbował je wykręcić bez początkowego zera. To również nic nie dało, podobnie jak wykręcanie ostatnich pięciu cyfr po opuszczeniu kierunku wego. Zapalił następnego papierosa i zastanowił się raz jeszcze. Po pewnym czasie sięgnął znowu po słuchawkę i tym razem dodał ostatnią cyfrę kierunkowego do następujących po nim pięciu cyfr. Uzyskał połączenie.

Nikt nie odbierał. Zen nacisnął na widełki i spróbował z następnym. Tym razem połączył się z automatyczną sekretarką.

- Proszę zostawić wiadomość po sygnale - wyrecytował męski głos z silnym weneckim akcentem.

Zen rozłączył się i spróbował wykręcić ostatni numer. Odpowiedź była natychmiastowa.

- Słucham? - zapytał skory do gniewu męski głos.

Zen zamierzał powiedzieć, że to pomyłka, ale nagle poczuł przypływ natchnienia.

- Tu Enzo - powiedział, próbując naśladować głos Gavagnina.

- Do kurwy nędzy, czemu dzwonisz o tej porze?

Każdego innego dnia Zen odłożyłby po tym słuchawkę.

Zdobył już potwierdzenie, jakiego potrzebował, robienie czegokolwiek więcej mogło pokrzyżować szyki, jeśli mężczyzna zrozumie, że nie ma do czynienia z Gavagninem. Czuł się jednak zbyt dobrze, by teraz przerywać. A poza tym, co mogło mu się nie powieść w taki poranek? Szczęście się go trzymało.

- Filippo zgodził się współpracować - wyszeptał.

Przez długą chwilę panowała cisza.

- Wczoraj mówiłeś coś innego — odpowiedział mężczyzna zmienionym głosem.

- To się stało zeszłej nocy. Powiedziałem, że jego matka może mieć wypadek jako następna.

Tym razem cisza zdawała się trwać całą wieczność.

- Przekroczyłeś swoje uprawnienia - powiedział głos. - Powinieneś się z nami skonsultować.

Zen milczał.

- Masz towar? - zapytał mężczyzna.

- Wiem, gdzie jest - odpowiedział Zen i odłożył słuchawkę.

Złożył kartkę z numerami i wsunął ją do kieszeni, później schował książkę telefoniczną do szuflady. To powinno dać Gavagninowi do myślenia, pomyślał, wchodząc na drugie piętro ze

złośliwym uśmiechem na ustach.

Jego własne biuro wyglądało tak samo, jak zostawił je poprzedniego dnia, z tym jedynie wyjątkiem, że na drucianej tacce leżała ekspertyza z laboratorium kryminalistycznego z wynikami badania odcisków palców na nożu, którym zaatakowano Adę Zulian. Tak jak się tego spodziewał, jedyne odciski na nożu - wyjąwszy fragment odcisku kciuka Zena na podstawie rękojęści - były identyczne z tymi, które pobrał od samej *contessa*.

Zen wrzucił ekspertyzę do teczki, którą założył w tej sprawie. Choć nie powiedziało mu to niczego, czego nie wiedział już sam, w porę przypomniało mu, że powinien poświęcić trochę czasu na ukrycie śladów, najlepiej poświęcając wiele czasu i energii na śledztwo, które usprawiedliwiałoby jego obecność w mieście. Zaczął krążyć po biurze, starając się wymyślić jakiś sposób.

Nagły hałas zwabił go do okna. Na barce zacumowanej przy drugim brzegu kanału jakiś mężczyzna obrabiał piłą łańcuchową pień drzewa. Zaostrzył koniec, ustawił pień za pomocą liny i zaczął wbijać go w błoto kafarem zamocowanym na dziobie barki. Po kilku minutach pał tkwił już na swoim miejscu. Całe miasto wznosi się na podwodnym lesie takich właśnie pali, przypomniał sobie Zen, wbitych przed setkami lat w celu ustabilizowania błot na lagunie i umożliwienia zamieszkania na nich.

Z niezrozumiałych powodów myśl ta wywołała falę paniki, nieznośne uczucie zamknięcia, duszności i lęku. Poranne uniesienie zniknęło tak nagle, jak gdyby nigdy nie istniało. Chwilę wcześniej myślał o przechadzce do baru „*Dei Greci*” na zasłużone śniadanie, podniesiony na duchu świadomością dobrze wykonanej roboty i odegrania się na rywalu. Teraz jednak wszystko to zostało zastąpione potężnym uczuciem, że musi natychmiast się stąd wydostać, uciekać z tej jałowej krainy z wody i kamienia, by ponownie poczuć pod stopami stały ląd. Podobne ataki klaustrofobii mogły zapewne stać się przyczyną, dla której wcześniejsze pokolenia weneccjan skolonizowały znaczącą część wybrzeża Morza Śródziemnego. Sposób Aurelia Zena nie był może tak efektowny, ale równie skuteczny.

Na początku lat sześćdziesiątych krewniak Silvia Moro-siniego, który pracował w hucie szkła na Murano, został wysłany na dwa tygodnie do Nowego Jorku wraz z grupą włoskich rzemieślników, którzy mieli prezentować swoje tradycyjne wyroby na wystawie światowej. Po powrocie słynnego człowieka urządzono na jego cześć wystawne przyjęcie. Wszyscy chcieli usłyszeć z jego ust, jak naprawdę wygląda sławne miasto milionerów i drapaczy chmur. Po odpowiednio wytrzymanej pauzie późny potomek Marca Pola wypowiedział się w końcu. „Nowy Jork”, powiedział z lekceważącym wzruszeniem ramion, „to Mestre”.

Mestre z pewnością nie było Nowym Jorkiem, ale do celów terapeutycznych w zupełności mogło wystarczyć. Zen zszedł na dół i zażądał motorówki, która „w sprawie nie cierpiącej zwłoki” zawiozła go na betonowo-asfaltowe przestrzenie Piazzale Roma, skąd taksówka uniosła go pospiesznie na stały ląd przez jakże odpowiednio nazwany Ponte della Liberta. Kiedy napędzany silnikiem wysokoprężnym fiat mijał autostrady i wiadukty Marghery, gdzie zanieczyszczenie powietrza było tak duże, że samochodów prywatnych wolno było używać wyłącznie w dni parzyste lub nieparzyste, w zależności od ostatniej cyfry numeru rejestracyjnego, Zen poczuł, że kryzys stopniowo mija. Kiedy zapłacił taksówkarzowi, wysiadł na ulicy zablokowanej przez trąbiące i dymiące samochody i przeszedł na drugą stronę piazza wypełnionego rzędami wozów zaparkowanych tak ciasno, że łatwiej chyba byłoby przedostać się po ich dachach, niż przeciskać się pomiędzy nimi, nie pamiętał już, po co właściwie tu przyjechał. Porzucić ciche uliczki i czyste powietrze dla czegoś takiego? Pomysł ten wydawał się teraz czystym szaleństwem.

Poszedł pieszo do bufetu na dworcu, gdzie zjadł niesmaczne i drogie śniadanie, a później

złapał pociąg z powrotem do miasta. Kiedy obserwował pozostające w tyle slumsy i bałagan stałego ładu, zauważył elektroniczną tablicę umieszczoną na przypominającym wieżę budynku miejscowego banku. W odróżnieniu od innych podobnych tablic oprócz dnia i godziny podawała również stan przyływu. Proste obliczenie powiedziało mu, że tego wieczoru przyływ przypada na dziewiątą wieczorem. Znakomicie mu to pasowało.

Kiedy znalazł się z powrotem w mieście, ruszył pieszo do Palazzo Zulian. Słońce przebłyskiwało przez mgiełkę - biały dysk tchnący przejmującym zimnem. Tuż przed zakrętem Zen wdepnął w posypane trocinami psie gówienko. Oczyszczył but, na ile potrafił, wycierając go o ścianę i chodnik, ale zdecydowanie w nie najlepszym humorze zbliżał się do Palazzo Zulian. Ostry okrzyk, który rozległ się gdzieś w górze, w najmniejszym stopniu nie poprawił mu humoru.

- Wynoś się! Wynoś się stąd!

Podniósł wzrok. Nie zobaczył wprawdzie Ady, ale głos niewątpliwie należał do niej.

- Uciekaj, słyszysz?!

- Nie pójdę sobie, dopóki z panią nie porozmawiam, confessa! - odparł Zen.

Z okna na pierwszym piętrze wychyliła się siwa głowa.

- A, dzień dobry, Aurelio Battista! Wreszcie zdecydowałeś się pokazać w tej okolicy.

W samą porę!

Zen spojrział na nią zaskoczony.

- Dziękuję za miłe powitanie - odpowiedział sarkastycznie.

- Nie mówiłam do ciebie! Nie wiedziałam nawet, że tu jesteś. Krzyczałam na tego kocura, który siedzi na murze. Popełniłam błąd, rzucając mu w zeszłym tygodniu trochę resztek, a teraz siedzi tam przez cały dzień, gapiąc się na mnie jak żebrak. Poczekaj chwilę, wyślę na dół twojego człowieka, by otworzył drzwi. Zamierzam poważnie z tobą porozmawiać!

Ada zniknęła i zamknęła okno. Zen obejrzał się i z zadowoleniem stwierdził, że wspomniany kot rzeczywiście istnieje. Dostrzegając jego spojrzenie, zwierzak wydał z siebie żalosne miauknięcie.

- Odpieprz się - powiedział Zen.

Kot mrugnął i odwrócił się z pogardą. Ze środka dobiegł odgłos kroków i w otwartych drzwiach stanął Bettino Tode-sco ze służbowym rewolwerem w zaciśniętej dłoni.

- Ach, to pan, szefie - powiedział, chowając broń do pochwy.

- A kogo się, u diabła, spodziewałeś? - rzucił Zen, wchodząc do środka.

- No, ona powiedziała, że to pan, ale nie zwracam już na nią specjalnej uwagi. -

Pochylił się. - Jeśli będę musiał spędzić tutaj jeszcze jedną noc, sam ocipieję. - Wyszeptał Zenowi do ucha.

Zen zmarszczył brwi.

- A to dlaczego? Coś się stało?

Todesco potrząsnął ponuro głową.

- Chciałbym, żeby stało się cokolwiek. Wszystko byłoby lepsze od wysłuchiwania gadania tej kobiety. Jeśli akurat nie przeklina na to, jęczy na tamto albo mówi do kogoś, kogo w ogóle nie ma. Dostaję od tego gęsiej skórki.

Zen skinął głową.

- Dobrze, Todesco, idź do domu i prześpij się. Ale zamelduj się w *Questura* dzisiaj o szóstej wieczorem. Będiesz mi potrzebny do pewnej operacji.

- Dobrze, szefie.

Zen ruszył na górę do korytarza przecinającego cały budynek. Drobna postać Ady Zulian odcinała się ciemną plamą na tle okna.

- A zatem odesłałeś swojego szpiega - zauważyła kwaśno - przypuszczam jednak, że

jeszcze tu wróci. Wiele pożytku mam z dzwonienia na policję! Skarzyłam się na intruzów we własnym domu, a oni tylko dołożyli mi jeszcze jednego.

Wciągnęła podejrzliwie powietrze. Zen niepewnie przestąpił z nogi na nogę. Otaczał go silny odór psiego gówien-ka. Musiało utknąć pomiędzy podeszwą a obcasem.

- Powinnam słuchać Daniele Trevisana - dodała Ada Zulian. - Radził, bym nie wciągała w to policji.

- W takim razie powinna się pani cieszyć z tego, że zamierzamy dać pani spokój - rzucił Zen.

Ada przechyliła głowę na bok i wbiła w niego wzrok. Jej twarz wydawała się niewyraźnie stara, palimpsest wszystkich twarzy, którymi kiedyś była: niemowlęcia, dziecka, nastolatki i kobiety. Teraz było na niej wszystko, nałożone na siebie jak warstwy farby.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała łagodnie.

- Chcę przez to powiedzieć, że wygrała pani, *contessa*. Pani chce pozbyć się policji, a ja chcę już pozbyć się pani i pani kłopotów. Umowa stoi?

Ada Zulian wpatrywała się w niego.

- Dobrze się czujesz, Aurelio Battista? Wejdz do salonu, a ja zaparzę herbaty rumiankowej, żeby cię uspokoić.

- Uspokoję się dopiero wtedy, kiedy zadzwoni pani do wszystkich swoich krewnych i przyjaciół!

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Och, proszę dać wreszcie spokój, *contessa*! Powiedziała pani wszystkim o policjancie, który pilnuje pani domu...

- Wspominałam o tym rodzinie...

- ...która powiedziała o tym swoim potężnym znajomym, a ci napomknęli o tym moim przełożonym w *Questura*, którzy nie dają mi od tej pory żyć. Wystarczy! Staralem się tylko panią ochraniać, ponieważ jest pani starą przyjaciółką rodziny, a oto w jaki sposób mi pani za to dziękuje! - Podszedł do niej i dla podkreślenia wagi swoich słów zaczął wyliczać na palcach. - Policjant, który właśnie wyszedł z tego domu, już tu nie wróci, *contessa*. Rozumie pani? Nie pojawi się też tutaj żaden z jego kolegów. Ja też nie. Nikt nie będzie pani niepokoił. W zamian proszę tylko, by skontaktowała się pani z wszystkimi ludźmi, którym zdążyła się pani na mnie poskarżyć, i proszę poinformować ich bardzo uprzejmie, by się ode mnie odpieprzyli!

Ada patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Nie ma żadnego powodu, by posługiwać się tutaj takimi słowami.

- Nic mnie nie obchodzi, jakimi słowami się pani posłuży, *contessa*, jeśli tylko wiadomość dotrze do adresata.

Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę schodów.

- A jeśli ci intruzi wrócą? - zawołała za nim Ada płacząco. - Co się wtedy ze mną stanie?

Zen odwrócił się i wbił w nią nieruchomy wzrok.

- Ale oni nie wrócą, prawda? Przede wszystkim nigdy ich tutaj nie było. Oni nie istnieli poza pani snami. A ja i bez prób kontrolowania ludzkich snów mam dostatecznie dużo pracy. - Skinął głową na pożegnanie. - Życzę miłego dnia, *contessa*. Żegnam.

## XIV

Zen zapłacił za nie przespaną noc i wczesną pobudkę zmęczeniem, które sprawiło, że pozostałą część dnia spędził jak we mgle. Wynurzały się z niej jedynie oderwane od siebie wydarzenia, które szczególnie wyraźnie wryły się w jego świadomość, jak chwila, gdy Enzo Gavagnin publicznie oskarżył go o to, że jest tajnym agentem ministerstwa z Rzymu.

Doszło do tego w barze „Dei Greci”, dokąd Zen udał się, próbując rozpędzić mgłę w myślach za pomocą mocnej *espresso doppio ristretto*. Kiedy pojawił się obok niego Gavagnin, Zen czytał właśnie w gazecie artykuł o ostatnim wystąpieniu Umberta Bossiego, który domagał się wyborów powszechnych, aby „odbudować wiarygodność rządu, zanim żądania lokalnych demagogów wzywających do autonomii regionalnej doprowadzą do rozpadu Włoch”. Artykuł redakcyjny komentował, że teraz, kiedy Bossi dostrzegł szansę przejęcia władzy na poziomie krajowym, próbuje zdystansować się od takich jak Ferdinando Dal Maschio, nadal głoszących separatystyczne idee, od których zaczynał sam Bossi.

- Co, do cholery, robiłeś dzisiaj rano w moim biurze? -zapytał agresywnie Gavagnin.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - odpowiedział Zen.

Zważywszy mglisty stan własnego umysłu, Zen powiedział prawdę. Przez chwilę zapomniał, że kiedykolwiek wchodził do biura Gavagnina, a już na pewno nie pamiętał, po co to zrobił, bez trudu zatem przyszło mu przybrać minę skrzywdzonej niewinności. Jednak furia Gavagnina nie osłabła.

- Nie próbuj zaprzeczać! - rzucił. - Kiedy przyszedłem rano do pracy, nie mogłem oddychać od smrodu tych gównianych nazionalistów. Jesteś jedynym człowiekiem w całym budynku, który je pali.

Zen wzruszył tylko ramionami i wrócił do lektury gazety, ale Gavagnin wyrwał mu ją z rąk.

- Przyznaj się, jesteś szpiegiem! - krzyknął. - Przysłali cię tu na przeszpiesi z ministerstwa. Cała ta bzdura o tym, że wysłano cię, żebyś zajął się opowieściami jakiejś wariatki, która twierdzi, że jej przedmioty ożywają w nocy! Co za kupa bzdur! Twoje śledztwo dotyczy przecież tak naprawdę właśnie nas, prawda? Sprawdzasz nas dla swoich panów w Rzymie. Dlatego właśnie przyszedłeś rano do mojego biura. Grzebałeś w moich papierach i próbowałeś znaleźć coś przeciwko mnie. A dlaczego? Bo jestem członkiem *Nuova Repubblica Veneta*, a stary reżim ze strachu przed nami posłał się w portki!

Przemawiał w tym stylu przez pewien czas, a Zen tylko wpatrywał się w niego bez słowa. Z każdą chwilą głos Gavagnina stawał się raczej niepewny niż prowokujący, bardziej błagający niż groźny. W końcu Enzo odwrócił się na pięcie i odszedł.

Następnym z wydarzeń, które wynurzały się z mgły, było przybycie dokumentów dotyczących doniesienia, które Ada Zulian złożyła na swego ówczesnego sąsiada, Andree Dolfina. Zostały dostarczone - w tempie, które podawało w wątpliwość otrzymane ostrzeżenia - przez umundurowanego posłańca z Centralnych Archiwów Wenecji, przeniesionych ostatnio do betonowego bunkra pod parkingiem samochodowym na sztucznej wysepce Tronchetto.

Przeprowadzka z dawnej siedziby Archiwów w *palazzo* przy Rialto doprowadziła do poważnych kłopotów i jak głosiła plotka, utraty kilku tysięcy dokumentów. Nadal pozostało ich jednak kilka milionów, które trzeba było ustawić na półkach i sklasyfikować, ale dzięki odrobinie szczęścia dokumenty potrzebne Zenowi znalazły się widocznie w części uporządkowanej już i dostępnej. Zapalił jednego ze zniechędzonych papierosów krajowej produkcji i usiadł, by



przejrzeć kartki sztywnego, przypominającego pergamin papieru zapisanego na maszynie. Dokument pochodzący z maja 1946 roku składał się z *denunzia*, złożonej władzom przez *contessa* Adę Zulian zamieszkałą w pałacu o takiej samej nazwie, a dotyczył poczynań Andrei Dolfina, zamieszkałego przy Calle del Forno. Dołączono do niego raport z działań podjętych przez *commissario di polizia*.

Tekst zeznania Ady obejmował prawie piętnaście stron maszynopisu. Czytając je, Zen nie mógł opanować uśmiechu, bawiła go narastająca irytacja policjanta, który prowadził przesłuchanie, oczywista nawet mimo zastosowanego w tekście biurowego języka. „Świadek został poproszony o skupienie się na przedmiocie przesłuchania...” „Pewna liczba oskarżeń dotyczących innych mieszkańców dzielnicy Cannaregio została pominięta...” „Świadek został ponownie poproszony o wyrażanie się w sposób bardziej zwięzły i konkretny...”

Jednak to, co *contessa* miała do powiedzenia, w najmniejszym stopniu nie było zabawne. Po opuszczeniu charakterystycznych dygresji i omówień, jej oskarżenie sprowadzało się do tego, że wspomniany wyżej Andrea Dolfin trzy lata wcześniej uprowadził i zamordował Rosę Coin, córkę Daniele Coina, dawnego mieszkańca Campo di Ghetto Nuovo.

Choć oskarżenia Ady nie zostały poparte żadnymi dowodami, były dostatecznie poważne, by stać się dla policji powodem do podjęcia śledztwa. Wnioski załączonego raportu opierały się na dwóch dokumentach. Pierwszym była fotokopia wyciągu z niemieckich raportów zawierających listę weneckich Żydów deportowanych w 1943 roku. Umieszczono na nim nazwiska wszystkich siedmiu członków rodziny Coinów, jednak nazwisko Rosy Coin zostało wykreślone i opatrzone dopiskiem na marginesie: „poniosła śmierć przez powieszenie”.

W pierwszej chwili wydawało się, że jest dowód potwierdzający oskarżenia Ady. Andrea Dolfin był przez pewien czas znaczącym przedstawicielem faszystowskiej administracji Wenecji i choć stracił swoją pozycję, kiedy Mussolini został obalony, pozostał zaufaną osobą mającą dobre stosunki z Niemcami. Biorąc pod uwagę to ostatnie i brak jakichkolwiek informacji dotyczących tego, w jaki sposób Rosa Coin zakończyła życie, Andrea Dolfin uznany został za podejrzanego i poddany kilkakrotnym przesłuchaniom, bez żadnego jednak skutku.

Śledztwo w dramatyczny sposób zamknął list od samej niedoszłej ofiary. Okazało się, że Rosa Coin nie tylko nie zginęła w roku 1943, ale żyje w Palestynie, jako jedyna z całej rodziny osoba, która przeżyła. Napisał do niej dawny sąsiad z getta, informując o oskarżeniach rzucanych przez Adę, które Rosa kolejno obalała. Jej list nie pozostawiał wątpliwości co do tego, że nie tylko żyje, ale zawdzięcza to nie komu innemu jak właśnie Andrei Dolfinowi, który wykorzystał swoją uprzywilejowaną pozycję, by ochraniać ją przez ostatnie miesiące wojny. Kiedy tożsamość Rosy została potwierdzona przez władze brytyjskie w Palestynie, śledztwo bezzwłocznie zamknięto.

Zen czytał ostatnie linijki raportu, gdzie napisano, że *contessa* Ada Zulian została poddana badaniom, w wyniku których stwierdzono, że od czasu zaginięcia w nie wyjaśnionych okolicznościach jej córki cierpi na „histerię i melancholię”. Zadzwoił telefon.

- Słucham! - warknął ostro.

- Cześć, cukiereczku.

Na twarzy Zena pojawił się uśmiech.

- Halo, halo - wyszeptał.

Przez chwilę milczeli.

- Jak tam sprawy? - zapytała w końcu Cristiana.

- Wspaniale. Fantastycznie. Nigdy nie było lepiej.

- To dobrze.

- A u ciebie?

- Też nie mam się na co skarżyć.

Ponownie na długą chwilę zapadła znacząca cisza.

- Kiedy możemy...? - zaczął Zen, ale Cristiana odezwała się w tej samej chwili.

- ...niestety, nie dziś wieczorem.

- Och.

- Nie myśl, że nie chcę, ale muszę pojawić się z sam wiesz kim na spędzie dla prasy u

Daniele.

Tym razem cisza była całkiem odmienna niż poprzednio.

- Myślałem, że jesteście w separacji - powiedział wreszcie Zen.

- Nie oficjalnie. Możesz sobie wyobrazić, co media zrobiłyby z taką historią, zwłaszcza tuż przed wyborami? Nando ma mnóstwo wrogów, którzy wprost marzą o tym, by wpaść im w ręce jakiś soczysty skandal.

- A co to obchodzi ciebie?

- Po pierwsze, nie życzę sobie, by poniewierano moje nazwisko. A po drugie, wolę nie psuć sobie stosunków z Nandem.

- Rozumiem - stwierdził lodowato Zen.

- Nie, nic nie rozumiesz. Nie musisz. Ja jednak muszę myśleć realistycznie. Nando już teraz jest bardzo potężnym człowiekiem, a sytuacja wygląda tak, że ma spore szanse na odniesienie sukcesu w wyborach na burmistrza w przyszłym miesiącu. Z tego, że zrobię sobie wroga na takim stanowisku nie mogłoby dla mnie wyniknąć nic dobrego. Mogą narobić mi aż nazbyt wiele kłopotów. Zgadzam się na występowanie publicznie u jego boku i dzięki temu udaje mi się zachować pewną swobodę. - Roześmiała się, próbując poprawić jego nastrój. - Nie chcę skończyć jak twoi przodkowie, rozumiesz?

- Przepraszam?

- Renier Zen i... jak miał na imię ten drugi? Powiedziałeś wczoraj wieczorem, że miał zwyczaj wygrywania bitew i przegrywania wojen.

- Och. Tak. Ale posłuchaj...

- Chwileczkę!

W tle rozległ się jakiś hałas i Cristiana powitała kogoś, kto wszedł do biura.

- Szefowa - wyjaśniła szeptem Zenowi.

- Mam zadzwonić do ciebie później?

- Nie, wszystko w porządku. Pytał pan o wolne miejsca siedzące na weekend, zgadza się?

Zen uśmiechnął się szeroko, uraza poszła już w niepamięć.

- Nie chodzi mi chyba tak bardzo o miejsca siedzące...

- Och, tak to określamy przy rezerwacji - odpowiedziała lakonicznie Cristiana. -

Oczywiście, może pan liczyć na automatyczne przeniesienie do wyższej klasy przy odprawie.

- Może być. Kiedy będziesz wolna?

- Zajrzę tylko do komputera... Wygląda na to, że najwcześniejszy wolny termin to jutrzejsze popołudnie.

- O której?

- Samolot odlatuje o... Możemy dać już sobie spokój. *La signora* poszła przypudrować sobie tyłek. Na czym skończyliśmy?

- O której masz jutro wolne?

- Obiecałam mamie, że pójde z nią rano na zakupy, a na obiedzie będziemy miały gości.

Co powiesz na między drugą a trzecią?

Zen westchnął.

- To bardzo późno.

- To wszystko, co mogę zrobić.

Zen zebrał się w sobie.

- Oczywiście. Nie mogę się już doczekać, kiedy znowu cię zobaczę.

- Do jutra.

Rozłączyła się. Zen powoli opuścił słuchawkę na widelki.

Następnym wydarzeniem, z którego zdał sobie sprawę, było wejście Alda Valentiniego, który wkroczył z cygarem w zębach i z wyrazem nieskończonego samozadowolenia na uśmiechniętej twarzy

- Ach, rozkosze stołu! - oznajmił z entuzjazmem. - Czymże jest seks w porównaniu z dobrym obiadem? Jak bardzo się cieszę, że Gavagnin odebrał mi sprawę Sfrisa! A tak przy okazji, co tam u Enza? Minąłem go na schodach, spojrzał na mnie, jak gdyby zobaczył ducha.

- Dobrze odżywnionego ducha - zauważył Zen, który zjadł dzisiaj zaledwie kilka ciastek w czasie swojej wyprawy na stały ląd.

- Nie masz wprost pojęcia, Aurelio! Ci chłopacy od Grittiego naprawdę znają się na swojej robocie.

- Gritti Palace? Wygrałeś w totolotka?

Valentini uśmiechnął się.

- W pewnym sensie. - Opadł na krzesło i oparł nogi o biurko Zena. - Widziałem właśnie nowe, czyste, uczciwe, dynamiczne Włochy lat dziewięćdziesiątych. Aurelio, to działa! Prawdę powiedziawszy, działa równie dobrze jak poprzednio.

Przez chwilę palił cygaro.

- Jedyna różnica polega na tym, że teraz płaci się w naturze. Sytuacja jest taka, że nikt nie może sobie pozwolić na to, by pozostawić za sobą jakiekolwiek dokumenty. Kiedy banki zaczęły współpracować z sędziami, nawet gotówka robi się zbyt niebezpieczna. Nie można wyciągnąć tysiąca lirów z własnego konta, by po kilku godzinach nie trafiło to do bazy danych, podczas gdy posiłek, który właśnie skończyłem, za kilka godzin będzie jedynie rozkosznym wspomnieniem i następną porcją nieczystości w jakimś *pozzo nero*.

- Rozumiem. Kto cię zaprosił?

- Miejscowy obywatel, który zainteresowany jest wynikami, a raczej ich brakiem, sprawy, nad którą właśnie pracuję.

Zen zmarszczył brwi.

- Ktoś mógł zobaczyć was razem.

- I co z tego? Celem bardziej szczegółowego wyjaśnienia przyczyn swojego zainteresowania rzeczony obywatel zaproponował spotkanie przy obiedzie. Nie ma w tym nic złego, nieprawdaż? Kierownictwo wciąż kładzie nacisk na konieczność nawiązywania bliższych kontaktów ze społeczeństwem i promowania w ten sposób obrazu policji łagodniejszej, bardziej troskliwej.

Zen ziewnął.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeśli pójde do domu i trochę się prześpię. Dzisiaj wieczorem czeka mnie jeszcze praca.

- A jak tam sprawa Zulian? - zapytał Valentini, kierując się w stronę swojego biurka.

- No cóż, jak na razie nikt nie zaprosił mnie jeszcze na obiad.

Valentini wybuchnął śmiechem.

- Z drugiej jednak strony - dodał Zen, ruszając do wyjścia - mam wrażenie, że właśnie może mi się kroić coś bardzo interesującego.

- Trzy dziesiątki.

- Król i dama biją dziesiątki.

- A as wygrywa.

- Kurwa.

Czterech ludzi siedziało przygarbionych wokół niskiego stolika. Płomyk świecy migotał w krzyżujących się oddechach, które tworzyły w zimnym powietrzu białe kłęby. Słysząc było wyłącznie szmer tasowanych i rozdawanych kart i ciche uderzenia fali o kadłub. Gracze pochylili się ponownie, próbując ustalić, jakie karty dostali w rozdaniu.

- Szefie?

- Dobieram dwie.

- Pas.

- Pas.

- O kurwa!

- Pamiętaj, że jest wśród nas dama, Martufo.

- I co gorsza, ciągle wygrywa.

Przez kilka minut słysząc było wyłącznie szelest kart rzuconych na stół.

- Pasuję - odezwał się męski głos.

- *Dottore?*

- Ja też.

- Nunziata?

- Trójka waletów.

- Znowu?!

- Zawsze powtarzam, że dopuszczenie kobiet do służby w policji było błędem - zauważył mężczyzna o silnym południowym akcencie i ziewnął głośno.

- Chryste, jak zimno! - odezwał się jeden z graczy.

- Siedźcie cicho - wyszeptał najwyższy z obecnych, odchylając zasłonkę w okienku kajuty i wyglądając na zewnątrz.

- Która jest, tak w ogóle, godzina? - zapytał mężczyzna siedzący po jego lewej stronie.

- Przed chwilą minęła dziesiąta - odpowiedziała kobieta.

W kącie kajuty zapaliło się pulsujące pomarańczowe światło. Wysoki mężczyzna nacisnął przełącznik.

- Tak?

- Mamy kontakt - odezwał się cichy głos.

- Ilu?

- Dwóch.

- Nie pozwólcie, by was zobaczyli.

Mężczyzna wyłączył radio i zgasił świecę.

- To oni, szefie? - zapytał mężczyzna po lewej.

- A skąd, kurwa, mam wiedzieć? - odpalił wysoki. - Od teraz kompletna cisza. Jeśli ktoś coś spieprzy, od przyszłego tygodnia będzie robił za krawężnika w Palermo.

- Da pan słowo? - wyszeptał mężczyzna z południowym akcentem.

- Morda w kubel!

Cała czwórka siedziała w ciemnościach w absolutnej ciszy, nasłuchując plusku fali. Po pewnym czasie pojawił się nowy dźwięk - odmienny, celowy rytm. Włączył się w łagodnie ostinato, do którego zdążyli już przywyknąć tak bardzo, że prawie nie zdawali sobie z niego sprawy. Źródło tego dźwięku zbliżyło się do nich powoli, po czym ominęło ich łódź. Chwilę później ucichło zupełnie. Rozległ się brzęk, kilka łupnięć, stęknienie. Później zapadła cisza.

- Ruszamy!

W ciemnościach wykonano kilka gwałtownych ruchów. Ktoś się pośliznął i motorówka

zaczęła się kołysać. Po chwili łódź ruszyła, w ciszy posuwając się po mrocznej wodzie w kierunku wieży wznoszącej się nad nimi jak klif. Odległa latarnia uliczna, niewidoczna z miejsca, w którym zacumowali, rzucała blade światło na miejsce akcji. Dzięki temu mogli dostrzec Mina Martufa kuczającego na dziobie i ciągnącego wilgotną linę, którą trzy godziny wcześniej przywiązał do pala cumowniczego na drugim brzegu.

Kiedy nie oznakowana motorówka dotarła do brzegu, jej dziób natrafił na dmuchany ponton stojący przy rozpadających się schodach pokrytych warstwą wodorostów i mułu. Sycylińczyk wyskoczył na brzeg i przywiązał motorówkę do zardzewiałego kółka w ścianie. Podciągnął łódź do schodków, a Zen i Pia wysiedli na brzeg. Bettino Todesco wyciągnął służbowy rewolwer i osłaniał Zena, kiedy ten wchodził po schodach i otwierał masywne drzwi.

- Poczekajcie tutaj - wyszeptał Zen.

W środku panowały całkowite ciemności. Słaba poświata wpadająca przez uchylone drzwi została pochłonięta przez rozbrzmiewający echami obszar mroku. Zen ostrożnie dał krok naprzód, koniuszkami palców przesuwając po ścianie, aż dotarł do schodów. Obejrzał się na Todesca i Nunziatę, widocznych w otwartych drzwiach. Pokonując silny wewnętrzny opór, odwrócił się i ruszył na górę po kamiennych schodach.

W domu panowała cisza. Kiedy Zen dotarł do klatki schodowej przecinającej pierwsze piętro, zatrzymał się niepewnie. Tutaj światło było silniejsze, uliczna latarnia rzucała słaby blask. Skręcił w lewo i ruszył po schodach na drugie piętro. Kiedy odwiedzał ten dom jako dziecko, było to dla niego zakazane terytorium. Pomiędzy obszernymi pomieszczeniami *piano nobile* a prywatnymi pokojami piętro wyżej przebiegała nieprzekraczalna granica. Mały Aurelio miał pełen dostęp do pierwszego, ale drugie piętro pozostawało dla niego zamknięte. Nawet teraz, kiedy wspinał się po schodach, ogarnął go niepokój. Klatka schodowa przypominała tę prowadzącą na parter, była jednak mniejsza, bardziej przytulna.

Dotarł do połowy schodów, kiedy z ciemności na górze dobiegł go dźwięk, który kazał mu się zatrzymać. Były to raczej dźwięki, nakładające się na siebie warstwy płaczu przechodzącego w ostre chrzęszczące piski. Zen poczuł, jak jeżą mu się włosy na głowie. Po plecach przebiegł mu lodowaty dreszcz. Nagle długi ostry wrzask przeciął noc jak błyskawica.

Intensywność strachu podziałała jak zapalnik, wybijając Zena z bezruchu i kazać mu biec na górę po niskich stopniach, łapać barierkę, by nie stracić równowagi. Potknął się na podeście, kiedy schody nagle się skończyły. Kakofonia była tutaj wyraźniejsza, składające się na nią dźwięki bardziej wyraziste: ciągłe jęki i łkanie przerywane głuchymi uderzeniami i panicznymi okrzykami przerażenia. Kierując się w kierunku źródła tych dźwięków, Zen kopnął w coś dużego i pustego, co zabręczało głucho.

Hałas w środku ucichł, a po chwili zamilkł zupełnie, zamierając w stęknieniach i ciężkim dyszeniu. W mroku otworzył się prostokąt migocący i błyszczący upiornym blaskiem. Zen skoczył w jego kierunku i wpadł na postać, która pojawiła się w drzwiach. Wydała z siebie zduszony okrzyk i próbowała się przepchnąć, ale Zen nie puścił i oboje upadli na podłogę.

Kobięcy głos zaczął wzywać pomocy. Ze słabo oświetlonego pokoju wyskoczyła druga postać. Rzuciła się na Zena i zadała mu mocny cios w głowę. Zen osunął się na bok, nie puszczając jednak pierwszego napastnika, dzięki czemu kopniak, który mu wymierzono, trafił w ciało jego przeciwnika. Zen spojrzał na stojącą nad nimi postać i zapało mu dech w piersiach. Zobaczył szkielet. Czaszka uśmiechała się upiornie, kości lśniły białą w mroku.

Widok ten sparaliżował go na chwilę. Zanim odzyskał panowanie nad sobą, postać, którą trzymał, wyswobodziła się i poderwała na nogi. Przed Zenem stał delikatny pierrot w luźnym kostiumie, o okrągłej, gładkiej jak alabaster twarzy. Zen zaczął się czołgać do tyłu, próbując się podnieść, podczas gdy kościotrup i klaun zbliżali się do niego.

Gdzieś na dole padł strzał, niewiarygodnie głośny, wyraźny i autorytatywny. W odpowiedzi rozległ się wrzask i seria okrzyków, potem jeszcze dwa wystrzały. Kościotrup przeskoczył lekko nad Zenem i zniknął mu z oczu. Zen obrócił się akurat w samą porę, by zobaczyć, że błazen usiłuje go kopnąć. Cios trafił prosto w pierś. Zen chwycił tamtego za nogę, próbując ją wykręcić, ale stopa oderwała się i została mu w dłoniach. Spojrzał na nią z bliska i zobaczył, że trzyma sportowy but Nike.

Klaun ruszył, kulejąc, ku drzwiom. Zen z wysiłkiem podniósł się na nogi i poszedł za nim, nie zwracając uwagi na krzyki rozbrzmiewające echem na klatce schodowej. Drzwi zatrzasnęły się tuż przed jego nosem, ale pchnął je barkiem i wpadł do pokoju. Rzucił okiem na starą kobietę w łóżku, której twarz wyrażała bezgraniczne przerażenie, i na postać biegnącą ku otwartemu oknu.

- Policja! - krzyknął. - Nie ruszać się!

Klaun odbił się od stolika i wyskoczył przez okno. Chwilę później rozległ się głośny plusk, głosy i rozbłysło niewiarygodnie silne światło. Zen podbiegł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Reflektor umieszczony na dziobie motorówki skierowany był na wody kanału, w jego blasku widać było biały kostium unoszący się na wodzie jak płama. Płynący próbował się oddalić, ale oślepiony przez reflektor złapał w końcu koło ratunkowe rzucone przez Mina Martufa z dziobu motorówki.

Zen zamknął okno i odwrócił się. Ada Zulian siedziała na łóżku, opatulona kołdrą, wpatrując się w niego oskarży-cielskim wzrokiem, jak gdyby to on był intruzem.

- Wszystko w porządku, *contessa* - powiedział Zen. - Jest już pani bezpieczna, złapaliśmy łobuzów.

Podbiegł do drzwi i ruszył na dół, zapalając po drodze światło. Kiedy dotarł do *portego*, omal nie potknął się o kogoś leżącego na marmurowej posadzce. Zatrzymał się, wpatrując się z przerażeniem w niebieski mundur policyjny, długie włosy i kałużę krwi. Pia Nunziata otworzyła oczy i spróbowała się uśmiechnąć.

- Nie jest wcale tak źle - wyszeptała.

Zen klęknął obok niej.

- Nie miałem pojęcia, że są uzbrojeni.

- Nie są.

- Ale...

- To Bettino.

- CO?!

Policjantka próbowała wzruszyć ramionami, ale skrzywiła się tylko i jęknęła.

- To był wypadek. Nie wiedział, że idę za nim. Usłyszeliśmy hałas na górze i rzuciliśmy się biegiem. Wpadłam na niego, a on pomyślał pewnie, że....

Zen z rezygnacją pokiwał głową.

- Gdzie oberwałaś?

- W ramię. Bark, ale w mięsień. To tylko powierzchowna rana. Myślę, że nic mi nie grozi.

Spojrzała na palce swojej lewej dłoni zaciśnięte na rękawie kurtki mundurowej.

- Ale zaczyna boleć.

Zen wyprostował się.

- Zaraz odwieziemy cię do szpitala.

- Najgorsze jest to, że ten skurwiel uciekł.

- Todesco?

- Ten mężczyzna w kostiumie kościotrupa. Bettino tak się mną przejął, że nawet nie

próbował go zatrzymać. Martufo pilnował brzegu, ale tamten otworzył drzwi od ulicy i uciekł.

Zen skinął głową.

- Wszystko w porządku, już się tym zajmę. Możesz się podnieść, czy mam sprowadzić nosze?

Krzywiąc się z bólu, Pia Nunziata podniosła się na nogi. Zen złapał ją za ramię, aby jej pomóc.

- Kurwa, nie za to ramię! - krzyknęła.

Spojrzała na niego.

- Proszę pana.

Na dole drzwi na obu końcach *androne* były otwarte, łagodny prąd powietrza płynął w rozbrzmiewającej echami przestrzeni, wypierając woń stęchlizny i zgnilizny. Kiedy Zen i Pia Nunziata schodzili powoli po schodach, dwóch policjantów w mundurach weszło do środka od strony ulicy, prowadząc w kajdankach szczupłego człowieka, ubranego w przylegający do ciała czarny kostium z wymalowanym fosforyzującą farbą kościotrupem.

- Skurwysyny! - ryknął ze złością młody człowiek. - To rozbój!

- Zapakujcie go do motorówki - powiedział Zen do policjantów.

- Nie popełniliśmy żadnego przestępstwa! - zaprotestował kościotrup. - Jesteśmy członkami rodziny!

- Czekajcie! - krzyknął Zen. - Rzućcie go na razie w tamten kąt. Musimy najpierw zawieźć koleżankę na pogotowie, a nie możemy czekać na ambulans.

Wskazał na potężny żelazny hak wystający ze ściany.

- Gdyby sprawiał jakieś kłopoty powieście go na tym za kajdanki na parę minut.

- Jeszcze tego pożałujesz, ty kupo gnoju! - pisnął kościotrup.

Nie zwracając najmniejszej uwagi na ten wybuch, Aurelio Zen wyprowadził ranną policjantkę po startych marmurowych płytach na schody przed Palazzo Zulian.

## XV

Płatki mokrego śniegu przecinały powietrze ukośnymi liniami, zmieniając się chwilami w lodowaty deszcz, który bębnił o parasole, uderzał w twarze, zimniejszy i twardszy od gradu. Ludzie w wąskich uliczkach manewrowali jak łodzie w wąkim kanale, unosząc lub przechylając parasole, by uniknąć zderzenia. Jak gdyby już samo to nie było dostatecznie nieprzyjemne, złośliwy wiatr bawił się z każdym, kogo udało mu się dopaść, rozchyłał okrycia, wsuwał się w rękawy, sprawiając, że ubranie wydawało się wilgotniejsze w środku niż na zewnątrz.

Pomimo panującej pogody - by nie wspomnieć tutaj o nocy, która była dla niego o wiele krótsza i bardziej stresująca od tej spędzonej z Cristianą - Aurelio Zen wszedł do *Que-stura* triumfalnie jak bohater zdobywca. Nie tylko zademonstrował wbrew publicznemu i profesjonalnemu sceptycyzmowi, że sprawa, nad którą pracował, istniała poza wyobraźnią Ady Zulian - udało mu się ją rozwiązać, co więcej złapać winnych na miejscu przestępstwa. Był to sukces, o którym marzy każdy policjant, niewątpliwe zwycięstwo. Nie mogły mu zagrozić żadne nieprzychylnie posunięcia sędziów i prawników, którzy starali się psuć krew policji, pozbawiając jej zasłużonych triumfów.

Euforia ta trwała około dwóch minut, tyle bowiem zajęło Zenowi dotarcie do biura, gdzie powitała go znajoma twarz z jowialnym uśmiechem.

- Dzień dobry, *dottore*. Nie miałem już nadziei, że zobaczę pana tak szybko. Boże, jak zimno! Jeśli chce pan poznać moje zdanie, czeka nas śnieg.

Zen patrzył na Carla Berenga Gorina z jawną wrogością.

- Co pan tu robi?

- To samo, co wczoraj! Chciałbym być bardziej oryginalny, ale jestem tylko chłopcem na posyłki, wzywa się mnie wtedy, kiedy wszystko jest już załatwione.

Zen patrzył na prawnika zaczepnie. Później odwrócił się i zatrzasnął za sobą drzwi.

- Następna wizyta? Enzo Gavagnin musi płacić za to wszystko potworne pieniądze.

Gorin zmarszczył brwi.

- Wydaje mi się, że musiał pan...

- Ile bierze pan za taką sprawę, *avvocato*? - zapytał Zen, wieszając w kąciku przemoczony płaszcz. - Ilekolwiek by to było, Giulio Bon na pewno nie ma tyle pieniędzy do wyrzucenia. Wolałby jakoś przeczekać, a potem powiedzieć mi, żebym się odpieprzył. Zna zasady. Szybciej zamówiłby limuzynę, żeby odwiozła go do domu z lotniska, niż adwokata, by wyciągnął go z rutynowego przesłuchania. A gdyby przez przypadek postanowił inaczej, poszukałby raczej tego, kto żąda najmniej.

Uśmiechnął się szyderczo do Gorina, siadając za swoim biurkiem. Sukces w sprawie Ady Zulian dodał mu pewności siebie.

- Tyle przynajmniej zdołałem ustalić - powiedział, sięgając po pierwszego tego dnia papierosa. - A kiedy zobaczyłem, że wychodzi pan z gabinetu Gavagnina i przypomniałem sobie, jak zachowywał się Gavagnin, kiedy Bon przybył do tego budynku, wiedziałem, że to on musiał pana wezwać. Miły gest dla starego przyjaciela, pomyślałem. Skurwielstwo wobec kolegi, ale co tam.

- Wybacz pan, ale...

- Wtedy zrozumiałem, że na to, na co stać Gavagnina, stać i Bona. Jeśli wezwał adwokata, dlaczego nie najdroższego w mieście? W końcu to rutynowa sprawa.

Zen wbił wzrok w Gorina.

- A może nie. A może ma pan specjalne stawki dla niektórych... przyjaciół.



Prawnik pogładził brodę, w której błyszczały jasne kropelki wody.

- Obawiam się, że nie do końca się rozumiemy, *dotto-re* - powiedział z zakłopotanym uśmiechem. - Kiedy powiedziałem, że cel mojej dzisiejszej wizyty jest taki sam, jak wizyty wczorajszej, mówiłem dosyć ogólnie.

Zen strząsnął słupek popiołu do metalowego kosza.

- Być może będzie pan w takim razie tak dobry i przejdzie do sprawy, *avvocato*. Mam przed sobą wiele pracy.

- Być może nie aż tak wiele, jak pan sądzi, *dottore*.

- Co pan przez to rozumie, *avvocato*?

Gorin wzruszył ramionami i westchnął przeciągle.

- Będzie ich pan musiał wypuścić, wie pan?

Zen skinął lekko głową, jak gdyby było to coś, co przewidział i co jest absolutnie słuszne.

- Wypuścić ich - powtórzył.

- Obawiam się, że tak.

Ponownie zapadła cisza.

- O kim my właściwie mówimy? - zapytał Zen uprzejmie.

Carlo Berengo Gorin wydawał się przez chwilę zaskoczony.

- Jak to, o moich klientach aresztowanych zeszłej nocy! Braciach Ardit!

Zen poczuł, że brakuje mu tchu. Zaciągnął się mocno papierosem.

- To kpiny!

- Co jest niby kpina?

Czując potrzebę zebrania sił, Zen podniósł się i podszedł do okna. W dole na fali zbliżającego się przyływu kołysała się czerwona parasolka. Zen obrócił się w stronę Gorina.

- Wspomniani przez pana ludzie zostali wczoraj wieczorem aresztowani w Palazzo Zulian, do którego wtargnęli nielegalnie, dokonując napadu na właścicielkę. Przeprowadzona na czas interwencja, kierowana osobiście przeze mnie, uniemożliwiła realizację ich przestępczych planów, obydwu zaś aresztowano *in flagranti delicto*. Cała sprawa została już przekazana urzędowi prokuratora, który w tej chwili otwiera przeciwko nim sprawę. Przeszła ona tym samym w ręce sądu i nie potrafię zrozumieć, w jaki sposób mógłbym być panu pomocny.

- Kto prowadzi sprawę?

Zen zajrzał do swego notatnika.

- *Dottore* Marcello Mamoli.

Gorin pokiwał głową ze smutkiem.

- W takim wypadku wątpię, bym mógł cokolwiek dla pana zrobić. Marcello studiował ze mną prawo. Zawsze bardzo ściśle stosował się do procedury.

Zen jęknął.

- Nie potrzebuję, by cokolwiek pan dla mnie robił! Niech pan zostawi swoją pomoc dla swoich klientów, *avvocato*. To oni jej potrzebują.

- Wprost przeciwnie, *dottore*. Jak pan sądzi, w jakim celu w ogóle tutaj przyszedłem? Chciałem dać panu możliwość uniknięcia wpadnięcia w bagno. Jest pan w końcu jednym z nas.

- Co chce pan powiedzieć przez to „jednym z nas”? -zapytał Zen.

Gorin spojrzał na niego, ale nie odpowiedział.

- I co właściwie znaczy to wpadnięcie w bagno? - krzyknął rozzłoszczony Zen. - To pańscy klienci tkwią w nim po szyję!

- Jakie jest oskarżenie? - wyszeptał Gorin.

Zen wyliczył na palcach.

- Włamanie. Opór przy aresztowaniu, skutkiem którego doszło do zranienia

funkcjonariusza policji. Zastraszenie. Próba wymuszenia.

- Włamanie? Mieli klucz.
- Ukradli go.
- Dostali go od swojej ciotki, *contessa*.
- Klucz do drzwi od ulicy, tak. Ale nie do drzwi od kanału, którą wchodzili i

wychodzili.

Gorin wzruszył ramionami.

- Jeśli daje pan komuś klucz od swojego domu, daje pan mu tym samym prawo wstępu. Fakt, iż moi klienci woleli podróżować wodą, a nie łodem, z punktu widzenia prawa nie ma żadnego znaczenia. - Uśmiechnął się złośliwie. - Co zaś tyczy się zranienia pańskiej policjantki, muszę stwierdzić, że uważam, iż podnoszenie tej kwestii byłoby nierozsądne, ponieważ z tego, czego zdołałem się dowiedzieć, winnym postrzału jest jeden z kolegów rannej. Z całą pewnością żaden z moich klientów nie może ponosić za to odpowiedzialności, ponieważ nie byli oni uzbrojeni. I dlaczego niby mieliby być? Składali wizytę swojej ciotce!

- Nie składali jej wizyty! - eksplodował Zen. - Terroryzowali ją! Próbowali doprowadzić ją do szaleństwa, a raczej próbowali sprawić, by wszyscy uwierzyli, że jest szalona!

Carlo Berengo Gorin wydawał się dotknięty.

- Nie ma żadnych dowodów, które mogłyby potwierdzać tak szaleńcze oskarżenia.  
- Żadnych dowodów! To trwało od kilku tygodni, *avvocato*! Co musieliby jej zrobić, pańskim zdaniem, by uznał pan to za niezbity dowód? Zabić ją?

Gorin pokiwał palcem.

- Nie ma absolutnie żadnych dowodów, że moi klienci są odpowiedzialni za wcześniejsze wtargnięcia - a nawet, czy takowe w ogóle miały miejsce.

- Takie jednak trzeba przyjąć założenie.

Gorin obracał dłońią w powietrzu, jak gdyby przekręcał niewidzialną klamkę.

- Być może gdyby sama *contessa* nie złożyła w tej sprawie zeznań - wyszeptał. - To jednak drastycznie zmienia sytuację.

- Jakie zeznania?

Carlo Berengo Gorin pokiwał głową i westchnął.

- Naprawdę nie powinienem wprowadzać pana w kwestie przyjętej linii obrony, ale jak weneccjanin z weneccjaninem... Kiedy *contessa* zostanie wezwana przez sędziego Mamolego, powie, że wydarzenia ostatniej nocy nie tylko nie były kolejnymi, ale wręcz bardzo odmiennymi od tego, czego doświadczyła wcześniej. Występy jej siostrzeńców, jak się wydaje, były tak prymitywne, że natychmiast odgadła, że to oni. Brakowało im płynności i niesamowitości, by użyć tu jej własnych słów, jakie cechowały wcześniejsze zjawiska.

Zen gwałtownym ruchem posłał do kosza niedopałek papierosa, który wypalił się do filtra.

- To absurd! Kostiumy karnawałowe, które oskarżeni mieli na sobie, odpowiadały dokładnie podanemu przez *contessa* opisowi prześladowających ją postaci. Nikt nie uwierzy, że to był czysty przypadek.

- Oczywiście, że nie. Nie był pan jednak jedyną osobą, której mówiła o swoich upiornych gościach. Starsza pani całymi tygodniami opowiadała o nich swoim siostrzeńcom, a ci minionej nocy odegrali dla niej małe przedstawienie, przebierając się w stroje karnawałowe i odgrywając jej fantazje. - Gorin wzruszył ramionami. - Wielu ludzi może uznać podobne zachowanie za dowód, by ująć rzecz całą delikatnie, wyjątkowo złego smaku. Nie ma w tym jednak nic, co bodaj ocierałoby się o nielegalność. - Pokiwał żałośnie głową. - Obawiam się, że musi ich pan wypuścić, *dottore*.

Zen spojrział na zegarek, a potem na deszcz zacinający za oknem.

- Nie wspomniałem jeszcze o jednym oskarżeniu - powiedział z powagą do Gorina. - Jeden z braci nazwał moich ludzi „skurwysynami”, podczas gdy drugi nazwał mnie „kupą gnoju”.

Gorin roześmiał się niezbyt pewnie.

- Och, niech pan da spokój, Zen! Codziennie słyszy pan podobne rzeczy w barze.

- To coś innego. Jeśli zostałem obrażony w czasie wolnym, jest to sprawa prywatna.

Mogę zignorować obrazę bądź zażądać zadośćuczynienia. Jednak minionej nocy zostałem obrażony w czasie wykonywania obowiązków funkcjonariusza państwowego. Obrażony zostałem zatem nie tylko ja, ale i urząd, który pełnię. Gdybym pozwolił, by podobne przestępstwo pozostało nie ukarane, podkopałbym w ten sposób autorytet policji, a w rzeczy samej podstawy demokratycznego państwa prawa.

Gorin złożył ręce w modlitewnym geście, jak gdyby błagając o okazanie zdrowego rozsądku.

- Niech pan będzie rozsądny, *dottore!* Jeśli wdziera się pan w środku nocy do domów porządnymi obywateli, strzelając z rewolwerów we wszystkich kierunkach, nie może pan spodziewać się zbyt ciepłego powitania!

- Pańscy klienci pogwałcili paragraf 341 kodeksu karnego, który karze obrazę urzędnika państwowego mającą miejsce w jego obecności i w czasie pełnienia obowiązków służbowych. Ich zwolnienie w najbliższym czasie nie wchodzi w grę.

Gorin posłał mu długie spojrzenie.

- W porządku - skinął głową - jeśli chce pan to rozegrać w taki sposób. Nie będzie to jednak wyglądać najciekawiej, jeśli będzie się pan kurczowo trzymać paragrafu 341, ponieważ zasadnicze oskarżenia rozwiły się jak dym. Po raz drugi w ciągu dwudziestu czterech godzin spieszył pan sprawę. Jeśli zamierza pan nadal postępować w taki sposób, napomknę sędziemu Mamolem o bezprawnym zatrzymaniu *signor* Bona. Nie wydaje mi się, by zrobiło to na nim szczególnie dobre wrażenie. Nie podejrzewam również, by ta mściwa i pogardy godna próba niepokojenia moich klientów w sprawie czysto technicznej szczególnie go ujęła. Może w Rzymie podobne zachowanie uchodzi panu na sucho, tutaj jednak, w Wenecji, mamy inne standardy.

Odwrócił się i ruszył do drzwi. Zen stał, wpatrując się nieruchomym wzrokiem w miejsce, które właśnie opuścił prawnik. Nadal był jak w transie, kiedy do biura wszedł Aldo Valentini.

- Nasz przyjaciel Enzo siedzi po uszy w gównie! - oznajmił ferrarczyk radośnie. - Po powrocie z obwążowania polityków nasz boss wezwał szefów wszystkich wydziałów do swego biura na ploty. Gavagnin nie tylko się nie pojawił, ale nawet nie zadzwonił, by się usprawiedliwić. A Francesco Bruno nie przyjmuje łatwo podobnych zniewag.

Zen skinął z roztargnieniem głową. Valentini przyjrzał mu się uważnie.

- Coś nie tak?

Zen westchnął.

- Co jest największym błędem, jaki można popełnić w tej robocie?

Valentini wzruszył ramionami.

- Wybór jest dość spory. Przyjąć zbyt małą łapówkę? Próbować poderwać żonę Bruna? Nie podrywać żony Bruna? - Uderzył się w udo. - Mam! Wziąć Bettina Todesca na akcję i nie rozładować wcześniej jego pistoletu.

Zen posłał mu skrzywdzone spojrzenie.

- Miło z twojej strony.

- Jak ona się czuje? - zapytał Valentini z uśmiechem oznaczającym, że nie miał złych

zamiarów.

- Jest w domu, dochodzi do siebie. Posiedzi kilka dni na zwolnieniu i będzie zdrowa jak rydz. Miała sporo szczęścia. Ten głupek Todesco mógł ją zabić, strzelając na ślepo.

- Co się z nim teraz stanie?

- Oficjalna nagana, utrata uzyskanych punktów promocyjnych i obowiązkowy udział w kursie strzeleckim. To jednak nic w porównaniu z tym, jak wszyscy go traktują. Robota policjanta jest dostatecznie ciężka, by nikt nie życzył sobie, żeby strzelali do niego jeszcze koledzy.

Zen zdjął z wieszaka płaszcz i kapelusz i ruszył do drzwi.

- Do zobaczenia, Aldo.

- Chwileczkę! - krzyknął za nim Valentini. - Nie powiedziałaś mi jeszcze, co jest największym błędem, jaki można popełnić w tej robocie.

Zen odwrócił się w otwartych drzwiach. Zamknął oczy i ścisnął palcami nos.

- Podejść do niej poważnie - wyszeptał. - Pomyśleć, że możesz tutaj cokolwiek osiągnąć. Wyobrażać sobie, że ktokolwiek ci w tym pomoże.

Bulwar koło *Questura* lśnił od deszczu. Mino Martufo opatulony peleryną cumował właśnie motorówkę.

- Robisz coś teraz? - zapytał Zen.

- Dokąd jedziemy, *dotto*?

- Do Palazzo Zulian.

Wskoczył na pokład motorówki. Martufo zwolnił cumę i odepchnął się nogą od nabrzeża. Uruchomił silnik, obrócił motorówkę i zwiększył obroty. Zen stał z zamkniętymi oczami twarzą ku dziobowi. Krople deszczu spływały po jego twarzy jak łzy. Mino Martufo spojrzał na swego przełożonego z troską.

- Załatwiliśmy tych skurwysynów, prawda?

Zen nie odpowiedział. Kiedy wypłynęli na zatłoczone wody Bacino di San Marco, Sycylijczyk położył motorówkę w ostry zakręt, w ostatniej chwili omijając nadpływający prom i barkę pełną skrzynek z karczochami.

- Spokojnie - powiedział Zen martwym głosem. - To nowe Włochy. Musimy dbać o stosunki ze społeczeństwem. W każdej chwili możemy zostać sprywatyzowani.

Martufo dwa razy spojrzał na Zena, zanim uznał, że może wybuchnąć śmiechem.

- Po wszystkich tych gadkach o spieprzonych sprawach świetnie było wziąć udział w operacji, która od początku do końca była sukcesem - stwierdził z entuzjazmem. - W porządku, głupio się stało z Nunziatą, ale powiedziałem przecież, kiedy graliśmy w karty, że dopuszczenie kobiet do służby w policji było błędem.

- Myślisz, że twoje męzne ciało lepiej zniosłoby kulę?

Więcej już nie powiedzieli. Motorówka zatrzymała się wreszcie przed Palazzo Zulian. Krople deszczu znaczyły powierzchnię kanału. Ponieważ poziom wody był zbyt niski, by można było zacumować przy schodach, Zen wysiadł przy mostku i poszedł do drzwi od ulicy.

Otarła je sama *contessa* Ada Zulian. Przyjrzała się Zenowi podejrzliwie.

- Gdzie oni są? - zapytała ostro.

- Gdzie jest kto?

- Moi biedni siostrzeńcy! Poinformowano mnie, że powinni już zostać wypuszczeni, ale dzwoniłam już kilka razy do ich domu bez...

Zen wszedł do wilgotnego wnętrza.

- Ależ wejdź do środka - skomentowała Ada z ironią. - Czuj się jak u siebie w domu. Może napiłbyś się czegoś, a może być coś zjadł. Czy mogę ci coś zaproponować?

- Wyjaśnienie, *contessa*.

Ada przechyliła głowę i spojrzała na niego bezosobowym spojrzeniem mewy.

- Ależ tu nie ma nic do wyjaśniania.

Zen podszedł do niej i spojrzał jej prosto w oczy.

- Przyjechałem aż z Rzymu, aby zająć się pani sprawą - sprawą, w którą nikt nie wierzył - tylko i wyłącznie z dobroci serca, ponieważ jest pani starą znajomą mojej matki. Moi koledzy z *Questura* kpili ze mnie, ponieważ upierałem się, by potraktować pani skargi poważnie, podczas gdy wszyscy poza mną uważali, że pani ześwirowała.

- Nie widzę potrzeby...

- Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, by pani pomóc, podałem pani nawet mój domowy numer telefonu, by mogła mnie pani wezwać o każdej porze dnia i nocy. Może dlatego, że stałem się człowiekiem z zewnątrz, dla którego wszystko wydaje się jednocześnie znajome i obce, zdołałem dostrzec sprawy, na które nikt inny - w tym i pani, *contessa* - nie zwrócił uwagi, i zorganizowałem pułapkę, w którą wpadło dwóch od dawna panią prześladowających ludzi. I jaka spotyka mnie za to wdzięczność? Powiedziała pani Gorinowi, że jest gotowa kłamać, by doprowadzić do ich zwolnienia i zrobić ze mnie największego idiotę na świecie!

Ada wzruszyła lekko ramionami. Odwróciła się i ruszyła na górę.

- Ale to moi siostrzeńcy.

- Nic mnie to nie obchodzi, nawet gdyby byli kochankami naszego patriarchy! - krzyknął Zen, ruszając za *contessa*. - Czy pani nie rozumie, co oni chcieli zrobić? Nie rozumie pani, do czego doszłoby wcześniej czy później, gdybym nie interweniował?

Ada Zulian wchodziła na górę bez słowa. Kiedy dotarła do oświetlonej galerii, odwróciła się twarzą ku Zenowi.

- Zawsze bierzesz wszystko tak bardzo dosłownie, Aurelio Battista. Ale zawsze taki byłeś. Pamiętam, jak raz Giustiniana zostawiła cię tutaj, a ty...

Zen zatrzymał się na ostatnim stopniu, tak by patrzeć jej prosto w oczy.

- Oni by panią zabili - powiedział cicho.

Ada zaśmiała się krótko.

- O czym ty mówisz? To był tylko głupi żart! Nanni zawsze miał skłonność do płatania figłów, a Vincenzo zrobi wszystko, co zaproponuje jego starszy brat.

Zen wziął ją za ramię, wprowadził do salonu i posadził na niskiej kanapie. Sam usiadł obok i pochylił się, zniżając głos do szeptu.

- Na początku zamierzali doprowadzić do uznania panią za chorą umysłowo. Byli bardzo bliscy sukcesu. Wszyscy, z którymi rozmawiałem po przyjeździe, byli przekonani, że opowieści o niesamowitych intruzach stanowią tylko dowód, że pani w końcu zwariowała. Biorąc pod uwagę poprzednie doświadczenia, siostrzeńcy mogli bez trudu wysłać panią do domu wariatów. Mogliby wtedy zwrócić się o sądowe przekazanie kontroli nad rodzinnymi interesami, stwierdzając, że nie jest pani w stanie kierować nimi osobiście.

Ada Zulian uśmiechnęła się ckliwie. Jej jasne oczy przeskakiwały z przedmiotu na przedmiot. Wyraźnie nie chciała przyjąć tego wszystkiego do wiadomości.

- Po upływie odpowiedniego czasu - podjął Zen - rozpoczęliby negocjacje z zainteresowanymi osobami na temat sprzedaży terenów dawnej fabryki na Sant'Alvise. Taki teren musi być wart miliardy, a Nanni i Vincenzo nie chcieliby chyba, by takie pieniądze trafiły w ręce ich starej, szalonej ciotki. Nie mogliby też pewnie wyciągać zbyt dużych sum z pani konta, nie zwracając na siebie uwagi, prawdopodobnie ubiliby więc z kupcem lewy interes. Suma wymieniona w kontrakcie i wypłacona pani byłaby zaledwie ułamkiem rzeczywistej ceny. Różnica zostałaby przelana na konto, z którego Nanni i Vincenzo mogliby czerpać, gdyby

potrzebowali trochę na drobne wydatki, następne Porsche czy nowe ciuchy.

Na twarzy Ady, jak przyklejony, nadal tkwił uśmiech.

- Cóż za pomysł! - wyszeptwała.

- Jednak mój przyjazd zmusił ich do przyspieszenia tempa. Liczyli na to, że nikt nie potraktuje pani skarg poważnie i nie podejmie śledztwa. Policja rozejrzała się tylko po domu i postawiła człowieka pod drzwiami. Nie sprawiło to pani siostrzeńcom żadnego kłopotu, ponieważ wchodzili od strony kanału. Biorąc jednak pod uwagę jego stan, mogli docierać na miejsce wyłącznie podczas przyływu, mając na wszystko zaledwie około godziny. Dawało im to czas, by dotrzeć i wydostać się z domu nie zauważonymi - choć w noc mojego przyjazdu dostrzegłem ich, kiedy tu wiosłowali. Gdy jednak przejąłem sprawę, Nanni i Vincenzo zdali sobie sprawę z tego, że muszą zmienić taktykę, i wtedy po raz pierwszy zaatakowali, kalecząc pani nadgarstki nożem kuchennym. Dlatego właśnie zostawiłem swojego człowieka wewnątrz domu. Gdybym tego nie zrobił, wróciliby następnego wieczoru i ponowili atak, tylko że tym razem skaleczenia byłyby głębsze. Mogliby wykorzystać pani pokaleczone nadgarstki jako dowód, że znowu obudziły się w pani skłonności samobójcze, mogliby też posunąć się dalej i tym razem pani „próba samobójcza” skończyłaby się sukcesem.

Odpychając od siebie Zena, Ada poderwała się na nogi.

- To obrzydliwy i obraźliwy nonsens! Jeśli nie przestaniesz znieważać moich krewnych, będę zmuszona poprosić, byś natychmiast opuścił ten dom.

- Jak może pani udawać, że wcześniejsze epizody nie miały nic wspólnego z Nannim i Vincenzem? Przecież pani wie, że to byli oni. Żadne inne wyjaśnienie nie ma sensu.

Ada Zulian posłała mu wyniosłe spojrzenie.

- Moja córka wyszła z tego domu przed pięćdziesięciu laty i nikt nigdy więcej jej nie widział. Czy to ma sens?

Zen uderzył się w czoło.

- Na miłość boską! Jeśli wyobrażała sobie pani te wizyty, jak wyjaśni pani to, że każda miała miejsce w czasie, kiedy można pływać po kanale prowadzącym do domu?

Ada wzruszyła niecierpliwie ramionami.

- Być może ma to coś wspólnego z księżycem. Przecież to księżyc powoduje przyływy, nieprawdaż? Zawsze czułam się dość dziwnie w czasie pełni.

- W takim razie dlaczego te halucynacje nie pojawiały się w okresie, kiedy pani siostrzeńcy wiedzieli o obecności policjanta w domu?

Ada zrobiła znudzoną minę.

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi, Aurelio Battista. A teraz - jeśli już skończyłeś - wiele spraw w domu wymaga teraz mojej uwagi.

- Proszę mnie nie traktować w ten sposób, *contessa* - syknął Zen. - Moja matka myła tutaj podłogi i odkurzała meble, ale nie znaczy to, że jestem pani popychadłem czy totumfackim i że może mnie pani odesłać, kiedy nie jestem już przydatny.

Z zadowoleniem dostrzegł w jej oczach strach, ale *contessa* nic już nie powiedziała. W ostatnim wysiłku złożył ręce, błagając o jej zrozumienie.

- Jeśli mi pani teraz nie pomoże, będę musiał wypuścić pani siostrzeńców.

Ada parsknęła.

- Spodziewasz się, że złożę fałszywe zeznania, by pomóc ci w karierze?

- Myślę o pani, *contessa*, nie o sobie! Kiedy pani siostrzeńcy znajdą się na wolności, będzie pani w takim samym niebezpieczeństwie jak poprzednio. Czy tego pani chce? Chce pani żyć w strachu przed tym, co mogą teraz zrobić?

Na wąskich wargach Ady powoli pojawił się uśmiech.

- Och, nie sędę, bym miała żyć w strachu - odpowiedziała spokojnie. - Nie masz się czego lękać, Aurelio Battista. Wprost przeciwnie, mam powody, by przypuszczać, że moi siostrzeńcy będą teraz dla mnie w dającej się przewidzieć przyszłości bardzo mili. Bardzo!

## XVI

Zen wrócił do *Questura*. Zrobiło się jeszcze zimniej i zamarzający deszcz pokrywał wszystko cienką warstwą lodu, która błyszczała przez krótką chwilę na ubraniach. Zen opuścił rondo kapelusza i ruszył przed siebie, pogrążając się w rozmyślaniach nad ruiną swoich planów i nadziei. Przewidywał różne możliwe zakończenia sprawy Ady Zulian, nigdy jednak nie spodziewał się, że da się wykołować staruszcze, która zgodnie z powszechnie panującą opinią, była na wpół wariatką. Sam chciałbym być takim wariatem, pomyślał ponuro.

Wykorzystała go w mistrzowski sposób. Nawet jeśli *contessa* nie domyśliła się wcześniej, że jej siostrzeńcy maczali palce w całej sprawie - co wymagałoby nadludzkiej inteligencji i odwagi - bez wątplenia nie miała teraz wątpliwości co do ich udziału. Tyle przynajmniej wynikało ze sposobu, w jaki potraktowała Zena i jego obawy o jej bezpieczeństwo.

Oczywiście, że nic jej nie grozi ze strony Nanniego i Vincenza! Aż nazbyt dobrze wiedzą, że w tej chwili chroni ich jedynie oświadczenie Ady, że ich „głupi żart” był wyłącznie nieudolnym naśladownictwem najść, na które uskarżała się wcześniej. Gdyby w przyszłości postanowiła wycofać swoje zeznania, czekałoby ich natychmiastowe śledztwo.

Dla wszystkich zainteresowanych było to doskonałe rozwiązanie. Ada trzymała siostrzeńców w szachu, a jej rodzina nie została publicznie zniesławiona. Nanni i Vincenzo wiedzieli zaś, że to, iż muszą być „bardzo mili” dla swojej ciotki, jest bardzo niewielką ceną za uniknięcie konsekwencji ich czynów. *Contessa* była zadowolona, podobnie jak jej siostrzeńcy. Jedynym przegranym był Zen, który został przechytzony przez wszystkich. I absolutnie nic nie mógł na to poradzić.

Już sama ta świadomość trudna była do zniesienia, poważniejszym jednak ciosem było to, że wraz z zamknięciem sprawy Zulian przestał istnieć oficjalny powód jego pobytu w Wenecji. To z kolei oznaczało kres nadziei, że zdoła rozwiązać sprawę Durridge’a, co jednak miało teraz jedynie drugorzędne znaczenie. Jedynym powodem, dla którego w ogóle zainteresował się losami Ivana Durridge’a, było to, że mógł w ten sposób zarobić pieniądze, które umożliwiłyby mu wynajęcie większego mieszkania w Rzymie - dostatecznie dużego, by wystarczyło również dla jego matki i Tani - teraz zaś urok oczekiwanej zmiany niespodziewanie zgasł. Nie, prawdziwym problemem, jaki dla Zena wiązał się z opuszczeniem Wenecji, było to, że wyjazd oznaczałby pożegnanie nie tylko ze sprawą Durridge’a, ale również z Cristianą Morosini, którą, o czym przekonał się dopiero teraz, kocha.

Zen wyszedł na niewielkie *campo* i zatrzymał się, by się zorientować, gdzie jest. Przyklejone na ścianie plakaty przedstawiały młodą elegancką parę wybierającą się na wieczór do miasta. Dwa sznurki od bielizny obciążone kolekcją szarych, powyciąganych kałesonów i majtek zwieszały się pomiędzy dwoma balkonami, dając ogłęd mniej szykownej strony życia. Zen ruszył w dalszą drogę, starannie unikając kropelek wody kapiących na chodnik z rozwieszzonego prania.

Wizja spotkania z Cristianą budziła w nim teraz panikę. A przecież jeszcze kilka dni temu wszystko wydawało się takie łatwe. Jego pożądanie było czyste i proste, nie skażone komplikacjami trwałego związku, nie zagrażające istniejącym zobowiązaniom i obowiązkom. Wtedy jeszcze panował nad wszystkim, był klientem wybierającym dla siebie rozkosze, turystą starannie układającym plan wycieczki.

Teraz jednak wszystko się zmieniło. Dziecinny erotyzm, posłuszny i łatwy do zaspokojenia, zmienił się w kapryśnego, zmiennego nastolatka, który stawia żądania, określa się, niepewny własnej tożsamości, a pełen pogardy dla innych. To, co wydarzy się pomiędzy nim i



Cristianą tego popołudnia, nie będzie już miało przypadkowego charakteru ich pierwszego wieczoru. Od tej pory wszystko, co się stanie, będzie miało jakieś znaczenie, wszystko zostanie zmierzone, zważone i ktoś będzie musiał wziąć na siebie odpowiedzialność. Westchnął głęboko. Autorytety medyczne mają rację, coś takiego jak bezpieczny seks nie istnieje.

Jutro będzie niedziela, niezależnie zatem od tego, co go czeka, miał cały dzień na przekonanie się o uczuciach Cristiany. Powiedziała, że będzie wolna między drugą a trzecią. Dawało mu to dość czasu na zameldowanie się w *Qu-estura* i zjedzenie obiadu w mieście, zanim wróci do domu, by na nią czekać.

Minął zakład stolarza, pełen kawałków drewna, porozrzucanych wszędzie i przysypanych warstwą trocin przypominającą świeżo spadły śnieg. Fryzjer golił właśnie ośmioletniego chłopca o bardzo nieszczęśliwym wyrazie twarzy, czemu z ustawionych pod ścianą krzeseł przyglądała się cała rodzina. Zen tak bardzo skupił się na tych drobnych scenkach, że omal nie potknął się o metalową rurę leżącą na chodniku, w ostatniej chwili zwolnił kroku i przeskoczył ją.

Szedł dalej, przyglądając się zakotwiczonej przy moście czerwonej barce oznaczonej napisem POZZI NERI i flotylli zacumowanych obok niej mniejszych jednostek, które blokowały kanał. Motorówki reprezentowały pełen zestaw służb miejskich: karabinierów, policję miejską, strażaków i pogotowie ratunkowe. Z motorówki oznaczonej VIGILI URBANI wysiadł mężczyzna w mundurze, przeszedł po pokładach na nabrzeże i ruszył biegiem w zaułek, w którym zniknął koniec rury.

Zen zastanowił się i po chwili wahania skręcił w tę samą uliczkę. Rura była o wiele dłuższa, niż się tego spodziewał, poprowadziła go przez labirynt wąskich uliczek i pod niskimi portykami. Nigdzie ani śladu człowieka. W końcu wyszedł na obszerne podwórze otoczone przez wysokie czynszowe kamienice, z których okien gapili się ludzie. Około tuzina mężczyzn w mundurach zgromadziło się wokół okrągłego otworu na środku podwórza. Spalinowa wyciągarka zamontowana na trójnogu stała obok ciemnego otworu, w którym zniknął koniec naprężonego kabla.

Zen zdał sobie sprawę z tego, że kabel się porusza, dopiero wtedy, gdy z otworu wynurzyła się głowa i ramiona. Dwóch mężczyzn w pomarańczowych kombinezonach pomogło trzeciemu wydostać się na wyłożony ceglami w jodełkę dziedziniec. Mężczyzna miał na sobie czarny kombinezon do nurkowania i butlę tlenową. Od stóp do głów pokryty był brunatnym szlamem. Odwiązał od paska końcówkę białej nylonowej linki i podał ją drugiemu. Ten szybko przymocował ją do kabla, na którym stał. Później ponownie uruchomiono wyciągarke.

Zen podszedł do mężczyzny w mundurze karabinierów i zapytał, co się dzieje.

- Mamy ciało w kloace - odpowiedział oficer, rzucając na Zena przelotne spojrzenie. - Już czwarty raz próbują je wyciągnąć, ciągle wyslizguje się z linki.

Wyjaśniało to wyraz napięcia malującego się na twarzach mężczyzn obsługujących wyciągarke. Nie mieli ochoty na to, by ponownie posyłać kolegę do podziemnej cysterny, do której spływały nieczystości ze wszystkich okolicznych domów, a już na pewno nie chcieli zastąpić go przy tej robocie. Delikatnie, cał po calu, nawijali na bęben kabel, przytrzymując go dłońmi w rękawicach, by osłabić wszelkie możliwe napięcia i szarpnięcia, które mogłyby posłać ładunek z powrotem w cuchnące głębiny.

- Znaleźli go dzisiaj ludzie z kanalizacji, kiedy przyszli oczyścić zbiornik - wymamrotał pod nosem karabinier. - Zdjęli pokrywę i ustawiali właśnie rurę, kiedy jeden z nich zauważył twarz patrzącą na niego z powierzchni gówna. Biedny skurwysyn o mało co sam tam nie wleciał. A pan kim jest?

Zen nie musiał jednak odpowiadać, ponieważ w tej samej chwili pozostali widzowie zaczęli głośno wdychać i krzyżeć. W dziurze na środku podwórka pojawiło się coś gładkiego,

bezsztalnego i lepkiego jak kawałek rozmięklej czekolady. Trzej mężczyźni zebrani wokół wyciągarki z widocznym wysiłkiem zaczęli ciągnąć dalej. Przedmiot jednak nie chciał wynurzyć się na światło dzienne. Wciąż blokował się w otworze. Mężczyźni wykrzykiwali ostrzeżenia i rady, robiąc wszystko, byle tylko nie uciekł im ponownie.

W końcu udało im się przemieścić jego środek ciężkości poza krawędź otworu *pozzo nero* i sześć dłoni wywlokło go z dziury. Upuścili go na bruk, na który padł z cichym plaśnięciem. Warkot wyciągarki ucichł. Pod grubą warstwą nieczystości z trudem można było rozpoznać ludzkie ciało. Mężczyźni zdjęli pętle z jego nóg. Oficer karabinierów przepchnął się przez krąg gapiów.

- Możecie go trochę oczyścić, chłopaki? - zapytał jednego z mężczyzn.
- Gino poszedł właśnie po wodę.

Trup leżał na brzuchu z dłońmi założonymi na plecach. Z bliska odór fermentujących ekskrementów był wprost nie do zniesienia. Wszyscy stali w milczeniu i zakłopotaniu. Po pewnym czasie odgłos kroków oznajmił o przybyciu Gina, który ugiął się pod ciężarem dwóch wiader pełnych wody. Stając jak najdalej od trupa, wylał zawartość jednego z wiader na jego plecy. Od razu stało się jasne, że dłonie nie są złożone, ale związane, kciuki okręcono miedzianym drutem. Jasne było również, że ofiara ze wszystkich sił starała się uwolnić - jeden z kciuków był prawie wyrwany.

- Spieprzyli sprawę - powiedział major karabinierów tonem pełnym zawodowej dezaprobaty. - I tak by się utopił, a gdyby wrócili i odkryli właz, kiedy już nie żył, mogłoby to ująć za wypadek.

- A może nie chcieli, by ktoś uznał to za wypadek? - wyszeptał Zen.
- Co chce pan przez to powiedzieć?
- Może chcieli w ten sposób wysłać jakąś wiadomość. Aby przywołać innych do

porządku.

- Jakich innych?

Zen wzruszył ramionami. Jeden z mężczyzn w rękawicach przewrócił nieruchome ciało na plecy. Lepkie brązowe łajno lepiło się do trupa jak błoto, wygładzając rysy i wypływając z otwartych ust. Ktoś zaczął wymiotować. Gino z wyraźnym oporem podniósł drugie wiadro i bezceremonialnie oblał wodą twarz i tors trupa.

- Jezu! - wyszeptał Zen.

Oficer karabinierów spojrzał na niego ostro.

- Zna go pan?

Zen pokiwał powoli głową.

- Więc kto to? A kim właściwie pan jest? Wie pan, kto go zabił?

Zen uniósł głowę i wbił wzrok w pustą ścianę.

- Ja - powiedział.

Odwrócił się i ruszył pospiesznie przed siebie, po chwili puścił się biegiem. Głosy za jego plecami krzyczały, by stał, ale on nie mógł się zatrzymać. Zbyt wiele musiał teraz zrobić i odrobić, zbyt wiele pamiętać, za dużo zapomnieć.

Biegł prawie całą drogę do Campo San Bartolomeo, odpychając bezwzględnie każdego, kto stanął mu na drodze, aż do stromych schodków Ponte Rialto. Zatrzymawszy się na chwilę dla złapania oddechu, zbiegł na drewnianą przystań, przy której cumowały trzy taksówki wodne. W kabinie pierwszej z nich siedziało pięciu mężczyzn z plastikowymi kubkami kawy w dłoniach, pogrążonych w przyjacielskiej rozmowie. Zen zajrzał do środka i zażądał, by zawieziono go na nabrzeże San Toma. Jeden z mężczyzn posłał Zenowi spojrzenie pełne pogardy pomieszanej z litością.

- San Toma? Przecież to zaledwie kilkaset metrów dalej brzegiem kanału. Dwa przystanki *vaporetto*.

- Spiesz mi się!

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Taka jazda niewarta mojego czasu.

Zen wskoczył do kabiny i podsunął mu pod nos swoją legitymację.

- Jeśli w ciągu dziesięciu sekund nie uruchomisz tej balii, postaram się, by odebrano ci uprawnienia, i resztę życia spędzisz, wożąc po mieście mrożone ryby i przeciery pomidorowe w puszkach.

Zaszokowany podobną gwałtownością, wyraźnie nie zdając sobie sprawy, że Zen wściekły był bardziej na samego siebie niż na niego, taksówkarz skoczył do pracy i po chwili dziób motorówki ciął już burzliwe fale kanału, kierując się w stronę *uolta del canal*, gdzie centralna droga wodna miasta robi pętlę, kierując się ku wschodowi, ku otwartym wodom laguny.

Z nabrzeża San Toma do siedziby *Procura* było zaledwie parę kroków. Wejście do budynku tego organu państwa włoskiego było odpowiednim symbolem całej instytucji: do środka prowadziło sześcioro szerokich drzwi, z których jedno tylko było otwarte. Zen dołączył do tłumu wchodzących i wychodzących i skierował się na górę do biura zastępcy prokuratora okręgowego.

Marcello Mamoli był właśnie „na zebraniu”, jak poinformowała Zena w sekretariacie kobieta pochylona nad maszyną do pisania. Przynajmniej tym razem eufemizm ten okazał się prawdą, co Zen odkrył, otwierając drzwi w głębi korytarza. Jak gdyby w celowym kontraście z pozbawioną okien klitką, w której spędzała życie sekretarka, pomieszczenie to wydawało się bezsensownie obszerne. Sześciu mężczyzn siedziało wokół stołu, którego blat lśnił jak lodowisko i był od niego zaledwie odrobinę mniejszy. Cała szóstka obejrzała się, kiedy drzwi się otwarły. Jeden z mężczyzn wstał i spojrzał na Zena z wściekłością.

- Co ma oznaczać to wtargnięcie?

Zen podszedł do stołu.

- Muszę rozmawiać z *dottore* Marcellem Mamolim.

- Musi pan? - zapytał sarkastycznie mężczyzna. - A z kim mamy przyjemność?

- Nazywam się Aurelio Zen. Pracuję w *Criminalpol*, tymczasowo przeniesiony do

*Questura* w Wenecji.

Sędzia uśmiechnął się chłodno.

- Z tego, co słyszałem, to wyjątkowo krótkoterminowe przeniesienie.

Wyprostował się i spojrzał na Zena.

- Jestem Mamoli. W jaki sposób zamierza pan usprawiedliwić swoje wtargnięcie na ważne i poufne posiedzenie?

Marcello Mamoli był bladym mężczyzną około czterdziestki, o ostrych rysach twarzy, częściowo łągodzonych przez duże dwuogniskowe okulary.

- Chciałbym przeprosić pana sędziego i pańskich kolegów za swoje zachowanie - oznajmił Zen z powagą - przybyłem tutaj jednak w sprawie nie cierpiącej zwłoki.

Mamoli przyjrzał mu się z niechęcią.

- Wprost przeciwnie, *dottore*, była to całkowita strata czasu dla wszystkich zainteresowanych! Jestem wstrząśnięty i zaskoczony, że ministerstwo uznało za właściwe wciąganie mnie w podobną farsę. Moi koledzy i ja mieliśmy w przeszłości do czynienia z funkcjonariuszami *Criminalpol*, i co muszę stwierdzić z radością, na ogół pozostawaliśmy pod wrażeniem ich profesjonalizmu. Tym trudniej jest mi pojąć, dlaczego został pan przysłany do sprawy Zulian...

- Nie chodzi mi wcale o Adę Zulian.

Marcello Mamoli był wyraźnie niezadowolony z tego, że mu przerwano.

- W takim razie, o co chodzi? - zapytał lodowatym tonem.

Zen zrobił krok naprzód.

- Jeden z moich kolegów został zamordowany. Wydaje mi się, że wiem, kto to zrobił i kto jeszcze znalazł się w niebezpieczeństwie. Musimy jednak działać natychmiast. Każda sekunda jest cenna. Dlatego właśnie przybyłem bezpośrednio do pana, pomijając zwykłe procedury. Proszę o możliwość rozmowy na osobności. Jeśli jest pan bardzo zajęty, chciałbym móc porozmawiać z jednym z pana kolegów.

Mamoli zamyślił się. Był wyraźnie pod wrażeniem napięcia wyczuwalnego w głosie Zena. Dobrze trafiona była również aluzja, że może stracić ważną sprawę. Z przepaszającym uśmiechem, jak gdyby chciał powiedzieć: „Lepiej uspokoję tego wariata, zanim stanie się niebezpieczny”, wyprowadził Zena na zewnątrz.

- Tędy, proszę.

Kiedy znaleźli się na korytarzu, odwrócił się i posłał Zenowi poważne spojrzenie.

- Mam nadzieję, że pan wie, co robi.

Zen skinął głową.

- Doskonale wiem, co robię.

Mamoli poprowadził go do biura na końcu korytarza i zamknął za sobą drzwi. Nie usiadł, nie zaproponował też, by siadał Zen. Zen podszedł od razu do biurka, podniósł słuchawkę i wykręcił numer *Questura*.

- Mówi Aurelio Zen. Mamy *commissariato* na Burano? Nie? W takim razie połączcie mnie z dyżurnym.

- Proszę posłuchać - krzyknął Mamoli. - Wiele już zdzierzyłem, ale...

- Macie tam Todesca? Poproście go do telefonu.

Odwrócił się do wściekłego Mamolego.

- Proszę, tylko chwilę! To nie może czekać.

Ponownie przysunął słuchawkę do ucha.

- Todesco? Tu Aurelio Zen. Słuchaj uważnie. Weźmiesz motorówkę i popłyniesz natychmiast na Burano. Nie, nie Murano, Burano, B jak Brescia. Pójdiesz do domu Filippa Sfrisa. Adres znajdziesz u Gavagnina w aktach sprawy. Weź ze sobą dwóch albo trzech ludzi. Aresztuj Sfrisa. Nie przejmuj się nakazem. Będzie już czekać, kiedy wrócisz do *Questura*. Nie wolno mu nigdzie dzwonić ani z nikim rozmawiać. Zrozumiano? Jeśli będzie to możliwe, weź też jego matkę, a gdyby się nie zgadzała, zostaw w domu uzbrojonego wartownika.

Na chwilę zapadła cisza.

- Będziesz musiał znaleźć kogoś, kto to ukryje - podjął Zen z groźbą w głosie. - I proszę, postaraj się nikogo tym razem nie postrzelić, wczoraj prawie udało ci się zabić koleżankę, Todesco. Masz teraz szansę trochę nadrobić, zanim usiądę do pisania raportu.

Odłożył słuchawkę i odwrócił się twarzą do Mamolego. Sędzia wręcz gotował się z wściekłości.

- Co pan sobie, u diabła, myśli...

Zen przerwał mu w pół słowa.

- Przepraszam za swoją pozorną niegrzeczność, *signor giudice*, ale mamy bardzo mało czasu. Niecałą godzinę temu ciało inspektora Enza Gavagnina, naczelnika Wydziału do spraw Narkotyków *Questura di Venezia*, zostało wydobyte z kloaki na jednym z podwórek San Canciano. Został zamordowany, zabójca związał mu ręce na plecach i wrzucił go do nieczystości, by się w nich utopił.

Oburzenie Mamolego wyparowało w jednej chwili.

- Proszę mówić dalej.

Zen umilkł, próbując uporządkować myśli, przypomnieć sobie, co może powiedzieć, a co musi ukryć, które fakty może przedstawić bezpośrednio Mamolem, a pochodzenie i znaczenie jakich musi za wszelką cenę zataić.

- Trzy dni temu wyłowiono topielca, Giacomą Sfrisa, rybaka zamieszkałego na Burano. Nie było żadnych dowodów użycia przemocy, ale Enzo Gavagnin nalegał na to, by podjęto śledztwo i doprowadzono na przesłuchanie brata zmarłego.

Przerwał i uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Enzo powiedział mi o tym wszystkim nieoficjalnie. Już od pierwszej chwili się poznaliśmy... Nasi rodzice byli sąsiadami i...

Mamoli machnął niecierpliwie ręką.

- Rozumiem, rozumiem.

- Zapytałem go, dlaczego podszedł do sprawy tak ostro. Powiedział mi wtedy coś, w co, szczerze mówiąc, nie chciało mi się wierzyć. Twierdził, że kartel narkotykowy, z którym walczy od lat, grozi mu śmiercią. Kiedy zapytałem, co ma to wspólnego z braćmi Sfriso, odpowiedział, że wie, iż są oni członkami tej organizacji, choć wciąż nie posiada dostatecznych dowodów, by skierować sprawę do sądu. Twierdził, że Giacomo Sfriso został zamordowany przez gang, i miał nadzieję, że Filippo, wstrząśnięty śmiercią brata, zgodzi się współpracować.

- I zgodził się?

Zen potrząsnął głową.

- Nie do końca, choć jak się wydaje, dostarczył kilka numerów telefonów, które Enzo zamierzał wykorzystać. Zanim jednak zdążył to zrobić, groźby, o których mówił, zostały w brutalny sposób wprowadzone w życie. Chciałbym pana prosić, *signor giudice*, o umożliwienie mi wytopienia morderców mojego przyjaciela!

Podczas gdy to pełne namiętności oświadczenie zawisło w powietrzu, Zen szybko powtórzył sobie wszystkie punkty wymyślonej na poczekaniu historyjki, aby upewnić się, że zawarł w niej wszystko, co istotne. Z zadowoleniem podniósł wzrok na Mamolego, który przyglądał mu się z wyraźnym zainteresowaniem.

- Potrzebuję następujących pełnomocnictw - powiedział szybko Zen. - Po pierwsze, podsłuch wszelkich rozmów z numerów podanych Gavagninowi przez Sfrisa. Po drugie, nadzór nad mieszkaniami, w których znajdują się te telefony. Po trzecie, nakaz aresztowania Filippa Sfrisa pod zarzutem udziału we wspomnianych przeze mnie wcześniej działaniach. Po czwarte, ochrona dla matki Sfrisa, dwadzieścia cztery godziny na dobę, ponieważ w przeciwnym razie ze strony gangu może jej grozić niebezpieczeństwo. I ostatnie, autoryzacji dla podjęcia wszelkich działań, jakie mogą okazać się konieczne dla zbadania tych i mogących z nich wyniknąć spraw.

Marcello Mamoli uniósł w górę brwi.

- Krótko mówiąc, chce pan mieć wolną rękę.

Zen wzruszył ramionami.

- Zgodnie z moim doświadczeniem jest zupełnie normalne, że funkcjonariusze Criminalpol otrzymują stosunkowo dużą swobodę w swych działaniach.

- A pan, oczywiście, porozumie się ze mną przed podjęciem wszelkich, hm, kontrowersyjnych inicjatyw?

- Oczywiście.

Marcello Mamoli podszedł do okna. Znowu zaczęło padać, tłuste krople spływały po szybie jak ślimaki, pozostawiając po sobie wilgotne ślady. Sędzia spojrzał na zegarek.

- Dochodzi teraz czwarta po południu - powiedział, nie oglądając się za siebie. - Ma

pan czterdzieści osiem godzin na dostarczenie konkretnych wyników.  
Dopiero wtedy Zen przypomniał sobie o randce z Cri-stianą.

## XVII

Powrót Filippa Sfrisa do *Questura* diametralnie różnił się od jego pozbawionego ceremonii wyjścia sprzed dwóch dni. Policyjna motorówka, która przywiozła go z Burano, przepłynęła przez Arsenale, omijając krótszą, ale bardziej zatłoczoną trasę przez mniejsze kanały, gdzie musiałaby zwolnić. Chociaż było jeszcze jasno, okienka kabiny zostały zasłonięte. Obok sternika stał policjant w połowym mundurze dzierżący pistolet maszynowy.

Kiedy motorówka wynurzyła się z południowego wejścia do kanału Arsenale, skręciła ostro na sterburtę, mijając z lewej holowany właśnie do naprawy przystanek *vaporetto* i śmignęła pod mostem Selpolcro, nie zwalniając ani odrobinę. Prześliznęła się obok pomarańczowo-zielonej barki-śmieciarki, na której pokładzie stał wózek zamiatacza ulic, i wpłynęła na wody kanału, pozostawiając za sobą falę, która sprawiła, że stojące przy nabrzeżach jednostki zaczęły rzucać się na cumach jak spłoszone konie. Później sternik wrzucił bieg wsteczny i motorówka z wyciem silnika zatrzymała się przy Fondamenta di San Lorenzo.

Kiedy sternik wyskoczył na brzeg, by rzucić cumy, uzbrojony policjant zajął pozycję na nabrzeżu, obserwując uważnie całą okolicę. Drzwiczki do kajuty otworzyły się i pojawiła się w nich potężna postać Bettina Todesca, który rozejrzał się pospiesznie, po czym ponownie zniknął. W chwilę później w drzwiach stanął Bettino, a z nim skutu kajdankami mężczyzna, którego głowę i tors zasłaniał koc. Obydwaj wyszli na brzeg i pospiesznie przeszli do otwartych drzwi *Questura*.

Czterdzieści sekund później Filippo Sfriso siedział już w biurze na drugim piętrze budynku. Okienne były zamknięte, a Todesco stał na straży przy drzwiach. Sfriso wyglądał, jak gdyby był w szoku. Jego ciałem wstrząsały dreszcze, twarz miał bladą i bez wyrazu, wzrok pusty. Obydwaj milczeli. Drzwi otworzyły się i do środka wszedł Aurelio Zen. Filippo Sfriso podniósł się powoli. Wpatrywał się w Zena, a jego oczy były szeroko otwarte z przerażenia.

- Ty!

Zanim Zen zdążył odpowiedzieć, Sfriso podniósł swoje krzesło i rzucił nim w Zena. Policjant zdążył podnieść rękę i osłonić się, ale noga mebla boleśnie skaleczyła go w czoło. W tym czasie Sfriso skoczył do drzwi. Bettino Todesco był kompletnie zaskoczony, zdołał jednak złapać go za nogę. Obydwaj upadli na podłogę korytarza.

Sfriso zaczął kopać swego przeciwnika w głowę wolną nogą, ale Todesco trzymał mocno, póki Zen nie przyszedł mu z pomocą. Wspólnie zdołali pokonać więźnia, ale Todesco był, co zrozumiałe, skłonny ukarać go za nieposłuszeństwo, Zen zaś w zaistniałych okolicznościach - skaleczenie na czole było dość bolesne - nie zamierzał mu w tym przeszkadzać. Kiedy wciągnęli Sfrisa do biura, Zen pomachał przed jego opuchniętą twarzą swoją legitymacją policyjną.

- Nawet jak na ciebie, było to wyjątkowo głupie. Jesteś już aresztowany za *reticenza*. Teraz mogę do tego dodać opór w czasie aresztowania i atak na oficera policji.

- Myślałem, że pan jest... - zaczął Sfriso.

- Wiem, co sobie myślałeś - przerwał mu pospiesznie Zen, nie chcąc, by w obecności Todesca Sfriso powiedział zbyt wiele o jego nieoficjalnych działaniach. - Myślałeś, że jestem następnym „kupionym policjantem”, jak Enzo Gavagnin.

Wyjął papierosa z pudełka i zapalił.

- Myliłeś się jednak - dodał. - Tamtego wieczoru powiedziałaś więcej niż powinieneś, i to niewłaściwemu człowiekowi. To także było głupie. Ale ty przecież jesteś głupi, prawda, Filippo? Tak samo jak twój brat. W przeciwnym razie nigdy nie dalibyście się wciągnąć w podobną robotę.

Sfriso zwiesił głowę i milczał. Zen przez chwilę palił w milczeniu, przyglądając mu się z góry.

- Ci ludzie to mordercy - odezwał się w końcu. - Zabijają pośrednio, sprzedając narkotyki dzieciakom z Mestre i Marghery. Ale potrafią również zabijać inaczej, sam aż nazbyt dobrze o tym wiesz.

Podszedł do Sfrisa i usiadł obok niego.

- Sam mi powiedziałaś, co zrobili z Giacomem - powiedział. - Wygląda na to, że oni lubią topić ludzi.

Po chwili, która trwała całe wieki, Sfriso powoli podniósł głowę. Wpatrywał się przekrwionymi oczami w Zena, który pokiwał głową.

- Tym razem padło na Enza Gavagnina - wyszeptał Zen. - Związali mu kciuki drutem i wrzucili do kloaki. Tak jak to było z Giacomem, najpierw jeszcze trochę się nim zajęli. Chcesz zobaczyć zdjęcia? Wyraźnie nie wierzyli, kiedy twierdził, że o niczym nie wie, tak jak nie uwierzyli twojemu bratu. - Przysunął się bliżej Sfrisa. - A ty, Filippo? - wyszeptał prosto do jego ucha. - Teraz zostałeś już tylko ty. Myślisz, że tobie uwierzą? - Przechylił głowę na bok. - Osobiście nie oceniałbym twoich szans szczególnie wysoko. Nie uwierzyli Giacomowi. Nie uwierzyli Gavagninowi. Dlaczego mieliby wierzyć akurat tobie?

Przydepnął niedopałek papierosa.

- Nie, wydaje mi się, że mogę ze sporą dozą prawdopodobieństwa założyć, że ty też próbujesz ich wykiwać. Zastanawiam się tylko, co zrobią z tobą. Zostawią, byś utopił się powoli w zbiorniku z gównem jak Gavagnin? A może wymyślą coś jeszcze bardziej oryginalnego? Jak myślisz, co dla ciebie wykombinują? No i kiedy? Jak długo potrwa, zanim twoja matka straci drugiego syna?

Sfriso wykrzywił się i zaczął łkać.

- Niech pan przestanie się nade mną znęcać!

Zen roześmiał się ostro.

- Nie ma sprawy, Filippo! Zostawię to dla nich. Chyba że zgodzisz się z nami współpracować.

- Czego chcecie?

- Wszystkiego. Nazwiska, daty, miejsca, ludzie. Cała historia, od samego początku, włącznie ze śmiercią twojego brata i przesłuchaniem prowadzonym przez Gavagnina.

W oczach Sfrisa pojawił się błysk.

- A w zamian wyjdę na wolność?

Tym razem w śmiechu Zena zabrzmiała otwarta pogarda.

- Oczywiście! Dostaniesz jeszcze państwową emeryturę i willę na Capri. Nie, Filippino, teraz mogę już tylko próbować ocalić twoją skórę. Kiedy staniesz przed sądem, twoja współpraca będzie się oczywiście liczyć jako okoliczność łagodząca, ale obawiam się, że i tak będziesz musiał spędzić kilka lat za kratkami. Wiem, że nie jest to szczególnie atrakcyjna propozycja, ale posiada pewną przewagę nad przenosinami na stałe na San Michele.

Na twarzy Filippa Sfrisa odbijały się sprzeczne uczucia.

- Próbuje mnie pan zmusić do zeznań - wypalił.

Zen machnął niedbale ręką.

- Czy widzisz tutaj kogoś, kto stenografuje albo nagrywa to, co mówisz? Po prostu rozmawiamy, Filippo. Jeśli przyjmiesz moją propozycję, wezwę prawnika, jakiego sobie wybierzesz, przed rozpoczęciem przesłuchania, które zostanie przeprowadzone w jego obecności, zgodnie z obowiązującymi przepisami.

Przerwał i spojrzał na Sfrisa.



- Jakiego prawnika zechciałbyś wezwać, jeśli można spytać?

Sfriso wybuchnął urywanym śmiechem.

- Czy wyglądam na takiego, który ma na zawołanie prawnika? Jestem tylko biednym rybakiem.

- Niespecjalnie biednym i nie tylko rybakiem, w przeciwnym razie nie byłby ci potrzebny prawnik. - Zen podniósł wzrok ku sufitowi. - Może podrzucę ci kilka nazwisk.

Co byś powiedział na przykład na Carla Berenga Gorina? Ludzie mówią, że jest bardzo dobry.

Wypowiadając nazwisko Gorina, Zen spojrzał na Sfrisa uważnie. Rybakowi wyraźnie nic ono jednak nie mówiło.

- Kogo pan sobie życzy - wyszeptał Sfriso. - Mnie tam wszystko jedno.

Zen uśmiechnął się i skinął głową.

- Brawo. Oto właściwa odpowiedź. - Poczęstował Sfrisa papierosem.

- Myślę, że uda się nam ubić interes - powiedział spokojnie. - Jesteś zainteresowany?

Filippo Sfriso przez długą chwilę wpatrywał się w paczkę nazionali. Wreszcie wyciągnął jednego papierosa i włożył go w usta, kiwając powoli głową.

O dziewiątej wieczorem Aurelio Zen zadzwonił do domu Marcella Mamolego położonego w modnej części Zattere, obok kościoła Santo Spirito. Wcześniej ponownie spróbował dodzwonić się do Cristiana, ale bez rezultatu. Mamoli odebrał od razu.

- Słucham?

- Tu mówi Aurelio Zen z *Questura, signor giudice*. Mam zeznania Filippa Sfrisa.

W oddali słyszał odgłosy kolacji, z której wywołała Mamolego *donna di servizio*.

- Czy naprawdę jest to tak pilne, że musi pan przeszkadzać mi w posiłku? - zapytał Mamoli.

- Nie robiłbym tego, gdyby było inaczej - odpowiedział Zen, który sam nie miał jeszcze okazji zjeść czegokolwiek tego dnia. - Kopia całości zeznania znajdzie się jutro w pańskim biurze, *signor giudice*, ale przedstawię teraz najważniejsze punkty i nakreślę działania, jakie zamierzam podjąć.

- Proszę się streszczać, czekają na mnie goście.

Zen wyszeptał w słuchawkę niesłyszalne przekleństwo.

- Bracia Sfriso zajmowali się przemytem narkotyków dla syndykatu z siedzibą w Mestre - powiedział głośno. - Otrzymywali nazwę, opis i czas przybycia statku, zazwyczaj tankowca albo frachtowca, który wchodził do Marghery. W ustalonym punkcie wyrzucano ze statku paczkę z boją, którą wyławiali bracia Sfriso. Po pewnym czasie - czasami mijały dni, czasami tygodnie - otrzymywali telefon z instrukcjami, w jaki sposób mają przekazać paczkę.

Mamoli chrząknął.

- Bracia Sfriso działali dla gangu jako pośrednicy. Dzięki nim nie było bezpośredniego połączenia pomiędzy przemytem a dystrybucją, w ten sposób ograniczono niebezpieczeństwo w wypadku aresztowania. Statek był czysty, kiedy przeszukiwano go w porcie, a narkotyki przekazywano dopiero wtedy, kiedy szły do sprzedaży. Oczywiście, wszystko opierało się na tym, że syndykat mógł powierzać braciom Sfriso duże ilości heroiny, ale to nie stanowiło kłopotu, dopóki...

- I dokąd nas to prowadzi? - wtrącił się Mamoli.

Zen wziął głęboki wdech.

- Na Sant' Ariano.

- Gdzie?

- Wyspę cmentarzysko w północnej części laguny, gdzie przewieziono ciała ze

wszystkich zlikwidowanych cmentarzy przykościelnych w mieście, ponieważ ziemia była potrzebna...

- Znam całkiem nieźle historię naszego miasta - przerwał mu lodowatym tonem Mamoli. - Nie potrafię jednak dostrzec związku pomiędzy Sant'Ariano a sprawą, którą omawialiśmy.

- Na Sant'Ariano bracia Sfriso przechowywali przesyłki z heroiną pomiędzy dostawą a odbiorem. Miejsce to cieszy się tak ponurą reputacją, że prawie nikt nigdy tam nie chodzi. Wykopali sobie schowek gdzieś na wyspie i zachodzili tam, kiedy towar był potrzebny. W zeszłym miesiącu Giacomo popłynął po trzy kilogramy pozostałe z ostatniego transportu. Kiedy wrócił, bełkotał coś o chodzącym trupie, nie przywiózł jednak paczki. Od tamtej pory Filippo wielokrotnie przeszukiwał Sant'Ariano. Bez większych kłopotów odnalazł kryjówkę, ale była pusta. Wyspę porastają gęste krzaki, a Giacomo najpewniej zgubił się i porzucił gdzieś heroinę.

- Chwileczkę - powiedział Mamoli. Odkładając słuchawkę, krzyknął do kogoś w domu: - Zaczynajcie beze mnie, zaraz do was przyjdę.

- Halo? - odezwał się Zen.

- Jestem - rzucił Mamoli. - Proszę przejść do sprawy.

- Sprawy? - odpowiedział poważnie Zen. - Najkrócej mówiąc, gdzieś na Sant'Ariano znajduje się trzykilogramowy płócienny worek z heroiną. Jeśli uda się nam go odnaleźć, możemy zorganizować spotkanie, zwabić gang w pułapkę i doprowadzić do jego likwidacji. Sfriso zgodził się z nami współpracować.

Mamoli chrząknął.

- Dlaczego nie możemy podłożyć jakiejś innej paczki?

- Każda przesyłka jest zabezpieczona i zaopatrzona w kod kreskowy, żeby uniemożliwić jakiejkolwiek manipulacje. Kontakt od razu zauważyłby fałszywą paczkę. Moglibyśmy go aresztować, ale pozostali uciekliby i...

- Co więc pan proponuje?

- Chciałbym zorganizować natychmiastowe przeszukanie Sant'Ariano.

- Proszę więc to zrobić, *dottore*.

- Mam pańską zgodę?

- Oczywiście, a teraz muszę...

- I prawo do zastosowania wszelkich środków, jakie uznam za stosowne?

- Oczywiście. A teraz naprawdę muszę już wracać do swoich gości. Dobranoc, *dottore*.

Ostatecznie Zen postanowił osobiście zanieść kopię zeznania Filipa Sfrisa do *Procura*. Oznaczało to znaczne wydłużenie drogi, ale nie miał w końcu nic lepszego do roboty. Prawdę powiedziawszy, potrzebował tego spaceru, żeby przemyśleć stojące przed nim problemy, rozważyć otwierające się możliwości i może podjąć pewne decyzje. Noc znakomicie nadawała się na przechadzkę. Ostry lodowaty wiatr osuszył i wypolerował miasto, kamienie błyszcząły, metalowe części lśniły, sprawiając, że powietrze niemal świeciło własnym światłem. Był właśnie przyływ, a woda w kanałach falowała łagodnie.

Mamoli dał mu wprawdzie wolną rękę, ale Zen wiedział, że sam będzie musiał ponieść pełną odpowiedzialność, jeśli coś pójdzie nie tak, jak należy. A ta możliwość wydawała się aż nazbyt prawdopodobna. Musiał nie tylko odnaleźć niewielką paczkę na wyspie o powierzchni kilku tysięcy metrów kwadratowych, porośniętej gęstymi zaroślami i krzakami, ale jeszcze zrobić to w taki sposób, by gang o niczym się nie dowiedział. Zarówno Giacomo, jak i Filippo wielokrotnie informowali gang o okolicznościach, w jakich zaginęła, trzeba było zatem brać pod uwagę, że ktoś już próbował ją znaleźć. Gdyby gangsterzy dowiedzieli się, że policja przeprowadziła przeszukanie Sant'Ariano, z pewnością nie odpowiedzialiby, gdyby po kilku

dniach zadzwonił do nich Filippo Sfriso i powiedział, że śmierć Enza Gavagnina sprawiła, iż przemyślał sobie pewne sprawy i znalazł towar, pozostaje tylko kwestia, gdzie i kiedy mogliby po niego wpaść.

Kiedy Zen maszerował przez labirynt zaułków pomiędzy Santa Maria Formosa a operą Fenice, uświadomił sobie, że unika myśli o tym, co stało się z Gavagninem. Raport patologa został przesłany faksem ze szpitala i niełatwo było Zenowi zapomnieć szczegóły obrażeń, jakie Gavagnin odniósł przed śmiercią, podobnie jak sformułowania: „obecność znacznych ilości ekskrementów w płucach i żołądka”, umieszczonego w punkcie: „Przyczyna zgonu”.

Była to prawda w takim samym stopniu, jak stwierdzenie, że łódzie toną na skutek obecności znacznej ilości wody wewnątrz kadłuba. W rzeczywistości Gavagnin został zamordowany z powodu tego, co poprzedniego ranka Zen sformułował w rozmowie telefonicznej. Tak bardzo chciał dobrać się Gavagninowi do skóry, że w przypływie fantazji powiedział, co mu ślina na język przyniosła, nie zastanawiając się nad możliwymi konsekwencjami. Okazał się równie nieodpowiedzialny jak Todesco. Strzelił na ślepo, z równie fatalnym skutkiem.

Popychany przez ostre poddmuchy wiatru, przeszedł przez Campo San Stefano i wysoki drewniany most nad *canalaz-zo* i znalazł się w osłoniętych uliczkach i zaułkach na drugim brzegu. W siedzibie *Procura* patrzył przez chwilę, jak nocny stróż umieszcza zabezpieczoną kopertę zawierającą zeznania Filippa Sfrisa w przegródce oznaczonej MAMOLI, po czym wrócił na ulicę. Kiedy mijali ogromne cielsko Frari, podmuch wiatru przyniósł zapach przygotowywanej kolacji. Zen zdał sobie nagle sprawę z tego, że od rana nic nie jadł. Do tej pory podtrzymywało go napięcie, teraz jednak, kiedy ustąpiło, poczuł, że jest głodny jak wilk. Była już prawie dziesiąta, więc otwarte były jedynie miejsca przeznaczone dla miejscowego, szczątkowego młodego pokolenia.

Przeszedł przez Ponte di Rialto i skierował się ku Campo San Luca, gdzie wieczorami zbierała się coraz bardziej kurcząca się grupa weneckiej młodzieży. Główny tłum już się rozpieczęstował, ale pewna liczba lokali nadal obsługiwała najbardziej wytrwałych. Zen wybrał bar, który, jak się wydawało, w najmniejszym stopniu uległ wszechobecnej modzie na amerykańską pizzę i kufel piwa z beczki. Oczekując na potrawę, zapalił papierosa, aby uspokoić żołądek, i ignorując pozostałych gości, próbował skoncentrować się na swoich problemach.

Zdawał sobie sprawę ze swojej odpowiedzialności za śmierć Gavagnina, nie odczuwał jednak specjalnych wyrzutów sumienia. Nie miało to w końcu żadnego sensu. Teraz mógł tylko zrobić wszystko, by doprowadzić do ukarania morderców. Zabili Gavagnina, ponieważ uwierzyli, że ten wie, gdzie jest ukryta heroina. Dowodziło to, że sami nie zdołali jej odnaleźć. Gdyby Zenowi udało się odnieść sukces tam, gdzie im się nie powiodło, mógłby wsadzić cały gang do *pozso nero* systemu więziennego i - przynajmniej we własnych oczach - wyrównać rachunki. Jak jednak miał odnaleźć zagubioną przez Giacomę paczkę z heroiną?

Zakładając, że miało się do dyspozycji ludzi, podobne przeszukania były sprawą stosunkowo mało skomplikowaną: trzeba było ustawić policjantów w szeregu i polecić im przejść przez cały teren. W tym jednak wypadku podobne rozwiązanie nie wchodziło w ogóle w grę. Zen był na Sant’Ariano raz w życiu, przed czterdziestu laty, kiedy założył się z Tommasem. Wzięli mały skif należący do rodziny Sa-onerów i powiosłowali za Burano i Torcello, mijając po drodze porzucone gospodarstwa i domki myśliwskie i kierując się w stronę krańców *laguna morta*. Nigdy nie zapomniał ciszy bagiennego pustkowia, poczucia osamotnienia i pustki.

W ostatnich miesiącach wojny Niemcy wzniesli na wysepce baterię przeciwlotniczą, Sant’Ariano nie była więc tak nietknięta, jak pięć lat wcześniej lub jak pewnie wygląda teraz,

kiedy roślinność ponownie pochłonęła polanę i wy-karczowaną drogę dojazdową. Nawet jednak wtedy i on, i Tommaso poddali się atmosferze tego miejsca. Nie chodziło tylko o myśl o nieznanym, niezliczonych zmarłych, których szczątki zostały zwalone jak śmieci, o dziesiątki tysięcy kości i czaszek, których górę podtrzymywała ceglana ściana. Równie niepokojące jak dowody śmiertelności były ślady życia: sękate, poskręcane i powykrzywiane gałęzie krzaków i drzew, które wyrosły na tej bezpłodnej pustyni, a przede wszystkim hordy gryzoni i gadów, które gnieździły się i kryły wśród ludzkich kości.

Pojawienie się kelnera zmusiło Zena do porzucenia tych wspomnień. Kiedy pochłonął pizzę, był już pewien, że konwencjonalne przeszukiwanie Sant'Ariano nie wchodzi w grę. Można było je jedynie przeprowadzić, wręczając każdemu policjantowi maczetę i piłę spalinową, aby ścięli każde drzewo i krzew na wyspie. Mogli w ten sposób znaleźć heroinę, ale nie udałoby im się schwycić gangu. Potrzebne było jakieś zupełnie inne rozwiązanie, coś szybkiego, skutecznego i nie zwracającego uwagi. Niestety, powoli ogarniało go niepokojące przeczucie, że takie rozwiązanie nie istnieje.

Choć potrawa okazała się jedynie żalosną imitacją pizzy, zdołała wypełnić żołądek. Zapalał właśnie drugiego papierosa, chcąc jeszcze dociąć piwo, kiedy do lokalu weszła Cristiana Morosini. Była w towarzystwie trzech innych kobiet i w pierwszej chwili nie zauważyła Zena, który siedział przy stoliku w kącie. Zaciągnął się głęboko, starając się ustalić, co powinien teraz zrobić. Prędzej czy później Cristiana musi go zauważyć, a jeśli wcześniej sam się do niej nie odezwie, będzie na niego jeszcze bardziej zła. Ten Zen to dopiero wie, jak obchodzić się z kobietami: najpierw wystawia je do wiatru, a potem traktuje jak powietrze.

Jak się okazało, dylemat ten został niemal natychmiast rozwiązany. Cristiana i jedna z jej towarzyszek podniosły się i ruszyły w stronę Zena, kierując się do toalety. Kiedy Cristiana go zauważyła, zawahała się przez chwilę, a potem uśmiechnęła chłodno.

- *Ciao, Aurelio.*

Odwróciła się do drugiej kobiety.

- Zaraz do ciebie przyjdę, Wanda.

Zen podniósł się z niepewnym gestem.

- Przez całe popołudnie próbowałem się do ciebie dodzwonić.

- Nie było mnie w domu.

- Strasznie przepraszam, że nie zjawiłem się na czas. Wydarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego, gwałtowny zwrot w sprawie, nad którą pracuję.

Cristiana uniosła brwi, trudno jednak było stwierdzić, czy miał to być wyraz zainteresowania, czy sceptycyzmu.

- Nic się nie stało - odparła. - Tak wyszło, że ja też byłam zajęta. Nando zażądał, bym poleciała z nim do Pellestriny na następną sesję zdjęciową. Jest pewien zwycięstwa w mieście, skupia się teraz na kampanii na wyspach.

Spojrzała na niego z namysłem.

- Czy ten gwałtowny zwrot ma coś wspólnego ze sprawą Durridge'a?

Zen wzruszył ramionami.

- Naprawdę, nie mogę o tym rozmawiać w restauracji.

Cristiana przez chwilę patrzyła mu prosto w oczy.

- Nie mogę tak po prostu zostawić swoich przyjaciółek.

- Oczywiście, że nie. Ale i tak nie zamierzam kłaść się dzisiaj wcześniej. Muszę jeszcze przemyśleć sobie kilka spraw. Gdybyś zechciała zająć później na szklaneczkę czegoś mocniejszego przed snem...

W tej właśnie chwili kobieta, którą Cristiana nazwała Wandą i która, co Zen pojął dopiero

teraz, była zapewne jej szwagierką, wyszła z toalety. Cristiana skinęła lekko głową i rzuciła:  
- Zobaczymy.

Zen poszedł wolnym krokiem do domu, zastanawiając się nad tym, co oznacza trwająca między Cristianą i rodziną Dal Maschio zażyłość. Być może była w separacji, nadal jednak wychodziła wieczorami z jego siostrą, a i mężowi wystarczyło pstryknąć palcami, by do niego przybiegła. Zen poczuł ukłucie bólu w żołądku, spowodowane zazdrością i tym, że zjadł zbyt szybko. Jak na porzuconą żonę, Cristiana w zastanawiającym stopniu ulegała swemu mężowi. Zen nie mógł winić jej za to, że stara się utrzymywać dobre stosunki z tak potężnym człowiekiem, zastanawiał się jednak, gdzie leżą granice tych stosunków.

Nie mógł, oczywiście, mieć nic przeciwko wyprawie do Pellestriny, dziwacznej miejscowości o długości trzech kilometrów, a szerokiej na rzut kamieniem, założonej na piaszczystej łasze w cieniu *murazzi*, potężnych wałów wzniesionych przed trzema stuleciami przez Republikę. Zen uśmiechnął się, wyobrażając sobie, jak Dal Maschio mógł włączyć ten fakt do swego przemówienia. „Tym, czym przez trzy stulecia były te mury, jest dzisiaj *Nuova Repubblica Veneta* - przedmurzem chroniącym naszą kulturę, naszą gospodarke, nasze domy przed zmyciem przez burze zmian i zgnilizny!”

Aby fotografia była odpowiednio dramatyczna, Dal Maschio zapewne osobiście pilotował śmigłowiec, którym poleciał wraz z żoną do Pellestriny, należący do firmy, której był udziałowcem. Jako były as lotnictwa wojskowego, wylądował zapewne w widowiskowy sposób na jakimś skrawku trawy czy piasku, który wydawał się zbyt mały...

I właśnie wtedy zrozumiał, że znalazł rozwiązanie problemu, który gnębił go przez cały wieczór! Aby odnaleźć zaginione trzy kilogramy heroiny, należało szukać ich z góry, nie przedzierając się przez krzaki, ale spoglądając na nie z powietrza! Był tak zadowolony z siebie, że ominąby pewnie drzwi własnego domu, gdyby nie wpadł tuż przed nimi na kogoś idącego w przeciwnym kierunku.

- Chryste!

Zen przyjrzał się obdarłej postaci w wojskowym płaszczu, spod którego wyglądało coś, co bardzo przypominało spodnie od piżamy. Mężczyzna trzymał w ręku sznurek, na którym prowadził psa, niezwykle podobnego do ożywionej wycieraczki do butów.

- Co się, u diabła, dzieje? - zapytał Zen.

Mężczyzna potrząsnął głową zaskoczony. Jego oczy nadal były rozszerzone z przerażenia.

- Myślałem, że to... - wyszeptał ochryple.

- Myślałeś, że to kto?

Daniele Trevisan przełknął głośno ślinę.

- Ktoś inny.

Zen podszedł do niego.

- Masz na myśli mojego ojca? - zapytał bezbarwnym głosem.

Daniele Trevisan przygryzł wargę i nie odezwał się. Jak gdyby chcąc okazać mu swoje współczucie, pies uniósł tylną nogę i wysikał się na ścianę.

- Wziąłeś mnie za niego pierwszego dnia, kiedy tu przyjechałem - przypomniał staruszkowi Zen.

Trevisan przybrał żaloszny wyraz twarzy.

- Starzeję się - jęknął. - Wszystko mi się myli.

Podmuch lodowatego wiatru przemknął przez *campo*, sypiąc im w twarze drobnym śniegiem.

- Posłuchaj, Daniele - powiedział Zen z powagą. - Mój ojciec nie żyje. Rozumiesz?

Ku jego zaskoczeniu starszek wybuchnął kpiącym śmiechem.

- Czy rozumiem? - krzyknął. - Och, tak! Wszystko rozumiem!

Zen spojrzał na niego groźnie. Rozbawienie Daniele Trevisana zgasło równie nagle jak się pojawiło.

- Oczywiście - powiedział uspokajającym tonem. - Nie żyje. Na pewno.

Odszedł bez słowa, ciągnąc za sobą psa.

## XVIII

Z początku wydawało się, że chmury od tygodnia zasłaniające słońce opadły na ziemię jak ogromny spadochron, pokrywając wszystko białym płaszczem. Zmagając się z okiennicami i drżąc przy oknie sypialni, Zen pomyślał przez chwilę o *acqua alta*. Dopiero kiedy poczuł intensywne zimno wlewające się przez szparę pomiędzy oknem a framugą, pojął, że to śnieg. Z szarego nieba opadały grube płatki. Wszystko nagle się zmieniło: dachy i ogrody, bruki i mosty. Jedynie woda, z natury swojej nie poddająca się podobnym wpływom, pozostała nie tknięta.

Spojrzał w stronę pustego łóżka i porozrzucanej pościeli. Czekał wprawdzie do północy, ale Cristiana się nie pojawiła. Próbował przekonywać samego siebie, że na dłuższą metę to najlepsze możliwe rozwiązanie. Wystawiając go do wiatru, wyrównała rachunki i dała do zrozumienia, że nie jest kimś, kogo można lekceważyć. Następnym razem spotkają się jako równi sobie, nie będą musieli sobie niczego udowadniać. Oczywiście, jeśli w ogóle będzie jakiś następny raz.

Ubrał się pospiesznie, rezygnując z prysznic, i zbiegł na dół, zeszywniały z zimna. Prymitywny system centralnego ogrzewania obejmował jedynie pierwsze piętro, a w dodatku nie miał włącznika czasowego, trzeba więc go było nastawiać ręcznie każdego ranka. Gdyby Zen wiedział o nadejściu mrozu, mógłby zaryzykować gniew skąpych bożków domowego obejścia i zostawić ogrzewanie na noc. Teraz jednak mógł tylko założyć płaszcz i włożyć dłonie pod gorącą wodę, by rozgrzać mięśnie.

Nastawił maszynkę do kawy, wrócił do salonu i sięgnął po telefon. Pomimo wczesnej pory i niedzieli, a może właśnie dlatego, *Questura* odpowiedziała natychmiast. Zen przedstawił się i poprosił o połączenie z najbliższą jednostką powietrzną. Jak się okazało, mieściła się na międzynarodowym lotnisku Tessera, położonym na brzegu laguny pod Mestre. Zen, czekając na połączenie, skulił się żałośnie na kanapie. Nigdy w życiu nie było mu tak zimno. Przypomniawszy sobie pierwsze płatki śniegu, które dostrzegł w czasie rozmowy z Daniele Trevisanem, i dziwne zachowanie staruszka, który wziął Zena za jego ojca, później pomyślał o ojcu, który zaginał wśród lodowych pustkowi Rosji tak wiele lat temu...

Minęło kilka minut, zanim oficer dyżurny na Tesserze podniósł słuchawkę, później jeszcze kilka, nim Zen zdołał przekonać go o ważności i pilności zadania, które czekało pilotów. Cały dom wypełnił się w tym czasie upiornym smrodem płonącej kawy i topiącego się plastyku. Zen rzucił słuchawkę na widelki i pobiegł do kuchni, gdzie przekonał się, że *caffettiera* jest rozpalona do czerwoności i wydobywają się z niej kłęby przyparwiającego o mdłości dymu. Ogrzał wprawdzie dłonie w ciepłej wodzie, ale najwyraźniej zapomniał nalać choć odrobinę do maszynki.

Otworzył szeroko okna, by wywietrzyć dom. Płatki śniegu topiły się na jego twarzy i wargach jak lodowata kpina z pieszczot, których odmówiono mu minionej nocy. Przepłukał maszynkę zimną wodą, ale plastikowe części całkiem się stopiły i sprzęt z całą pewnością nie nadawał się już do naprawy. Z westchnieniem obrzydzenia wrzucił go do kanału za domem. Wrócił do salonu, skąd zadzwonił do Marca Paulona i przeprosił, że nie będzie mógł zjawić się na obiedzie. Później ponownie zadzwonił do *Questura* i zlecił, by policyjna motorówka odebrała go z Ponte Guglie za pół godziny.

Z pewnością było to złudzenie, ale wydawało się, że na zewnątrz jest cieplej niż w środku. Samotny szereg schludnych, położonych blisko siebie śladów był jedyną skazą na błyszczącej powierzchni *campo*. Prowadziły do drzwi domu obok Morosinich. *Signora Vivian*, pomyślał Zen, potężna kobieta, która jadła jak koń, chodziła jak ptaszek i nie opuściła żadnej

niedzielnej mszy od swojej pierwszej komunii.

Zen ruszył w stronę Cannaregio, przy każdym kroku podnosząc obłoczki śniegu. Miasto było ciche i martwe. Ustało nawet ostinato wody, stały rytm weneckiego życia. Zen dotarł do Ponte Guglie, gdzie znalazł otwartą kawiarnię. Zamówił kawę espresso i z racji chłodu, kieliszek grappy, później przejrzał nagłówki „La Stampa”. Wybitny przemysłowiec wołał popełnić samobójstwo niż odpowiadać na pytania dotyczące jego domniemych przestępstw skarbowych. Pewien sędzia stwierdził, że „bezbożne przymierze” mafii i tajnej służby ponosi odpowiedzialność za ostatnie ataki bombowe we Florencji, Rzymie i Mediolanie. Czworo dzieci zostało zabitych, a jedenaścioro poważnie rannych podczas ataku mózdzierzowego na szkołę w Bośni. Neonaziści skopali na śmierć czarnego nastolatka na przystanku autobusowym w Londynie. Milan był faworytem w zbliżających się derby Mediolanu.

Kiedy Zen wyszedł z baru, śnieg sypał mocniej. Motorówka policyjna zacumowała już przy moście, załoga tupąła i zabijała ramiona, na próżno próbując się rozgrzać. Niespecjalnie podobało im się to, że muszą stawić się w niedzielę, zwłaszcza taką, kiedy pogoda bardzo wyraźnie przypominała, jak blisko jest z laguny do lodowych szczytów Austrii i mroźnych równin Węgier. Personel bazy lotniczej również nie będzie szczególnie zachwycony, ale Zena niewiele to teraz obchodziło. Liczył się tylko czas. Aby plan zadziałał i by syndykat narkotykowy uwierzył, że zamordowanie Gavagnina tak bardzo wstrząsnęło Filippem Sfrisem, iż zmienił zdanie i postanowił dłużej ich nie oszukiwać, konieczny był pośpiech. Oczywiście, będą chcieli w to uwierzyć, co ułatwiało całą sprawę, aby jednak scenariusz ten wydawał się bardziej prawdopodobny, Sfriso powinien móc dostarczyć towar, kiedy tylko gang skontaktuje się z nim po zwolnieniu, czyli nazajutrz.

Motorówka przecięła szare wody Cannaregio, mijając prawie pusty *vaporetto* płynący w przeciwnym kierunku. Kiedy wyszli z kanału, sternik dał całą naprzód i łódź skoczyła do przodu, opływając północny skraj miasta. Później skierowali się ku Murano, do kanału prowadzącego do lotniska. Niebo wprawdzie zaciągnęło się chmurami, ale powietrze było dostatecznie czyste, by dało się dostrzec pokryte śniegiem szczyty Dolomitów ponad sto kilometrów dalej na północ. Chłodny wiatr sprawiał, że trudno było wytrzymać na pokładzie, ale Zen dla zasady został z członkami załogi. Zanim zatrzymali się przy nabrzeżu lotniska, miał wrażenie, że jego twarz zmieniła się w kamień.

Siedziba oddziału policji mieściła się w bloku stanowiącym część dawnego lotniska wojskowego Tessera, które zostało przebudowane na potrzeby międzynarodowego ruchu turystycznego. Jako jeden z oddziałów specjalnych policji, które proponowały swoim funkcjonariuszom ciekawszą pracę i wyższy żołd, oddział lotniczy przyciągał ludzi innych od przeciętnej i Zen odniósł bardzo pozytywne wrażenie, kiedy dowódca Leonardo Castrucci przedstawiał mu swoich podwładnych. W odróżnieniu od policyjnych kierowców, którzy zasłużenie cieszyli się jak najgorszą reputacją, piloci sprawiali wrażenie kompetentnych i godnych zaufania.

Zdając sobie sprawę z tego, że powodzenie przedsięwzięcia zależy w znacznym stopniu od poświęcenia biorących w nim udział ludzi, Zen zrobił wszystko, co było w jego mocy, by mieć ich po swojej stronie. Przywitał się z każdym, pytając, skąd pochodzi i jak się czuje, odbywając służbę w tej części kraju. Po pięciu minutach dość naturalna niechęć, jaką odczuli, kiedy wyciągnięto ich z łóżek w lodowaty niedzielny poranek, została zapomniana i zastąpiona przez dumę z powodu udziału w ważnym wydarzeniu.

- W porządku, chłopaki - powiedział Zen, robiąc krok do tyłu, by zwrócić się w końcu do całej grupy. - Wszyscy aż nazbyt dobrze wiemy, jaka jest praca policji w naszym kraju. Obławy na płatki, które nie wiedzą nawet, do czego wykorzystali ich przywódcy gangów pozostający na



wolności. Śledztwa nigdy nie zamknięte, ponieważ ktoś uznał, że nie mamy dostatecznych dowodów, by rozpocząć postępowanie, albo dlatego, że wyniki mogłyby być niewygodne dla przybranego syna teściowej ciotki czyjeś kuzynki.

Na twarzach pojawiły się uśmiechy. Zen skinął poważnie głową.

- Dzisiaj jednak mamy szansę na osiągnięcie czegoś konkretnego, rzeczywistego i niepodważalnego.

Wskazał na laminowaną mapę *Provincia di Venezia* zajmującą większą część ściany po jego lewej stronie.

- Na tym terenie operuje gang handlarzy narkotyków, którzy rozprowadzają heroinę na ulicach naszych miast. Mamy teraz okazję, by wsadzić członków tego gangu za kratki na następne dwadzieścia lat.

Podszedł do mapy i wskazał nieregularny biały skrawek w północnej części laguny.

- Tutaj, zaledwie kilka kilometrów na wschód stąd, znajduje się wyspa Sant'Ariano.

Nie dostrzegł żadnej reakcji. Zen upewnił się już, że żaden z pilotów nie pochodzi z Wenecji, żaden więc nie wie o ponurej sławie Sant'Ariano, a on nie miał najmniejszego zamiaru ich o niej informować.

- Gdzieś na tej wyspie leży płócienna torba zawierająca trzy kilogramy czystej heroiny o szacunkowej wartości pół miliarda lirów. Jej wartość dla nas jest o wiele większa. Znamy kuriera gangu, który zgodził się dostarczyć narkotyki pod naszym nadzorem. Możemy wciągnąć gang w pułapkę, znaleźć jego bazę i raz na zawsze go zmiażdżyć. - Podniósł palec do góry. - Najważniejszy jest jednak czas! Musimy odnaleźć narkotyki najpóźniej do dzisiejszego wieczoru. Wyspa porośnięta jest gęstą roślinnością, a nie mamy pojęcia, gdzie może znajdować się ta torba. Poza tym, co jeszcze pogarsza sytuację, wyspa jest teraz prawdopodobnie pokryta śniegiem. - Zen przyjrzał się czterem mężczyznom, patrząc im kolejno w oczy. Wzruszył niedbale ramionami. - Krótko mówiąc, proszę was o wykonanie roboty, która w normalnych warunkach kilku setkom ludzi zajęłaby tydzień, trzeba ją przy tym wykonać w kilka godzin, w całkowitej tajemnicy i przy gęstym śniegu.

Początkowy niepokój na twarzach pilotów zmienił się w uśmiechy. Zen podniósł dłoń do góry.

- Nie jestem pilotem! - oznajmił. - Nie mam po prostu pojęcia, co jest możliwe, a co nie. Wiem tylko, że jedynym sposobem na odnalezienie paczki w czasie, jakim dysponujemy, i biorąc pod uwagę warunki terenowe, jest operowanie z powietrza. Jeśli nie możecie tego zrobić, po prostu to powiedzcie. Nie będę próbował się z wami spierać. Przepraszę was tylko za to, że zepsułem wam niedzielę. Wrócę do miasta i powiem moim szefom, że nic nie da się zrobić. Wy sami musicie podjąć decyzję. Los tego śledztwa leży w waszych rękach.

Usiadł i zapalił papierosa, pozornie ignorując obecnych. Po chwili cisy piloci zaczęli spoglądać niepewnie po sobie.

- Będą nam potrzebne dwie maszyny - odezwał się w końcu jeden z nich.

- Musielibyśmy przelecieć nisko, żeby zdmuchnąć śnieg - dorzucił drugi.

- Zasadniczy kłopot będziemy mieli z roślinnością.

- Jeden facet na linie, musi tylko mieć coś do odsuwania gałęzi...

- A może czujnik metalu? W takiej torbie musi być jakiś metalowy element, spinacz czy coś.

Zapadła cisza.

- To będzie cholernie trudne - stwierdził któryś z pilotów.

- Ale możemy to zrobić - oznajmił pewnym głosem Leonardo Castrucci. - A pan musi uczynić mi ten honor i polecieć ze mną w pierwszej maszynie, *dottore*.

Zen otworzył usta z przerażenia, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Siedział, wpijając palce w metalową ramę siedzenia, jak gdyby zależało od tego jego życie. Gdyby tylko było tak naprawdę! Zen nigdy w życiu nie bał się tak bardzo, nawet w tych rzadkich chwilach, kiedy stawał twarzą w twarz z uzbrojonymi kryminalistami. Jednak nawet w najgorszych sytuacjach strach ten był czymś absolutnie normalnym. To jednak było coś całkowicie odmiennego - dojmujące, wszechobecne przerażenie, gigantycznie irracjonalne. Na próżno przypominał sobie statystyki dowodzące, że ludzie, którzy siadali codziennie za sterami samolotów, w większym niebezpieczeństwie byli, dojeżdżając do pracy na lotnisko, niż wtedy, kiedy znaleźli się już w powietrzu.

Jedynym pozytywnym elementem było to, że gwałtowne wstrząsy helikoptera skutecznie ukrywały drżenie Zena, a ryk silnika zagłuszał krzyki i jęki, których nie potrafił opanować. Spojrzał ponad przygarbionym Leonardem Castruccim na ciemny kształt drugiego helikoptera, który zawisł w powietrzu w odległości stu metrów na południe. Snieżyca się nasiliła i krajobraz wyglądał jak płótno pointylisty, co sprawiało, że operacja stała się jeszcze trudniejsza i bardziej niebezpieczna, ale zapewniało przynajmniej, że przeszukanie zostanie przeprowadzone w całkowitej tajemnicy. Potencjalni informatorzy mieszkający na kilku zamieszkałych wyspach w tej części laguny mogli usłyszeć z oddali silniki helikopterów, ale przy widoczności ograniczonej do stu metrów nie było najmniejszej szansy, by je zobaczyli.

Dla pilotów był to tylko jeszcze jeden z czynników zmniejszających szanse na powodzenie ich misji. Potężne reflektory umieszczone na dziobach obu maszyn skierowane były pionowo w dół, tworząc stożki światła, w których płatki śniegu przepływały jak mikroby pod mikroskopem. Ponad otwartym włazem stał drugi pilot gotów w każdej chwili podciągnąć lub opuścić linę, na której w specjalnej uprzęży wisiał trzeci członek załogi i metalowym drągiem rozchyłał gałęzie.

- Naprzód! - odezwał się głos w słuchawkach Zena.

Castrucci posunął śmigłowiec naprzód.

- Stop! - odezwał się głos.

I ponownie zawisli w powietrzu, pod wirującym rotorem, uwięzieni wśród hałasu i drgań, podczas gdy wiszący na linie człowiek przeszukiwał następny kawałek terenu. Zen spojrzał nerwowo na siedzącego obok mężczyznę. Znaczącą częścią tortur, które teraz przeżywał, była świadomość, że Leonardo Castrucci nie bierze już zwykle udziału w podobnych akcjach, ale tym razem chciał zrobić wrażenie na gościu. Zen zorientował się o tym z mrugnięć i uśmiechów, nie wypowiedzianych słów i spojrzeń wymienianych przez młodszych pilotów. Trzeba mieć sporo szczęścia, by zginąć w wypadku spowodowanym przez wiekowego asa, który próbuje się popisować. Cristiana również może zginąć w podobny sposób, kiedy Dal Maschio przesadzi ze swoim próbami wzbudzania podziwu tłumu na jakimś zlocie. Myśl ta wydała się Zenowi w dziwny sposób pocieszająca.

- Naprzód! Stop!

Duża mapa wyspy została skserowana i podzielona na biegnące z północy na południe pasy, które teraz przeczesywali. Castrucci obliczył, że przeszukanie zajmie około pięciu godzin, ale stawało się coraz bardziej jasne, że potrzeba będzie o wiele więcej czasu i że nie uda im się zakończyć operacji przed zapadnięciem zmroku.

- Naprzód! Stop!

Dla Aurelia Zena każda minuta rozciągała się w godzinę, każda godzina była jak wieczność w piekle. Zawsze obawiał się latania, paraliżowała go świadomość pustki, którą ma pod sobą. Jak dotychczas udawało mu się z powodzeniem unikać zawodowych podróży drogą powietrzną, tego ranka jednak zbyt późno zorientował się, że wpadł w pułapkę. Członkowie

zespołu lotniczego przyjęli za pewnik, że życzy sobie osobiście brać udział w poszukiwaniach, które zorganizował, a sam Zen nie ośmielił się zaryzykować utraty atmosfery, którą stworzył z takim wysiłkiem. Kiedy prowadzono go na spotkanie jego losu, modlił się, by latanie helikopterem było inne od tego, czego dotychczas doświadczył.

- Naprzód! Stop!

Rzeczywiście, okazało się inne. O wiele, wiele gorsze, niż kiedykolwiek to sobie wyobrażał. Skoki i wstrząsy, które w zwykłych samolotach przyprawiały go o ataki paniki, tajemnicze i niepokojące dźwięki, nad których znaczeniem zastanawiał się bez końca, były tutaj po stokroć silniejsze i nie słabły nawet na chwilę.

- Naprzód! Stop!

Wyjrzał przez okno, na próżno starając się odnaleźć wzrokiem drugi śmigłowiec. Do tej pory obydwie maszyny poruszały się w mniej więcej tym samym tempie nad swoimi pasami terenu, jednak teraz błękitno-biały kadłub z napisem POLIZIA i numerem identyfikacyjnym BN409 zniknął. Miał właśnie zapytać o to Leonarda Castrucci, kiedy interkom niespodziewanie ożył. Tym razem usłyszał inny głos.

- Znaleźliśmy coś.

Castrucci z wściekłością uderzył pięścią w tablicę kontrolną, przez co maszyna przechyliła się gwałtownie na prawo. Drugi pilot chwycił linę, by nie wypaść przez otwarty właz, mężczyzna na linie krzyknął ostrym głosem, a Zen odkrył, że sam szepcze pod nosem modlitwę do Maryi Dziewicy. Wyrównawszy maszynę, Castrucci wyładował swoją irytację na podwładnym.

- Na miłość boską, Satriani! Ile razy mam ci powtarzać, żebyś posługiwał się przepisową procedurą! Nie dzwonisz do swojej dziewczyny!

Po lodowatej ciszy głos w interkome odezwał się ponownie.

- Bologna Napoli cztery zero dziewięć do Cagliari Perugia pięć siedem siedem. Odbiór.

- Słyszę cię, Bologna Napoli cztery zero dziewięć.

- Znaleźliśmy coś.

Zen włączył swój mikrofon.

- Czy to torba? - zapytał z niecierpliwością.

Na krótką chwilę zapadła przerywana trzaskami cisza.

- Nie, to nie torba.

- Więc co? - zapytał z groźbą Castrucci.

- Człowiek z dołu donosi...

- Streszczaj się! - rzucił ostro Castrucci.

- Mówi, że znalazł szkielet.

Napięcie Zena opadło w jednej chwili.

- Ta wyspa była wykorzystywana jako wysypisko dla trupów ze wszystkich weneckich cmentarzy - powiedział pilotowi. - Wszędzie tutaj pełno jest szkieletów.

- Ale ten ma na sobie garnitur.

Zen wpatrzył się nieruchomo w szare zimowe niebo.

- Garnitur? - wyszeptał do mikrofonu.

- I stoi.

Do odnalezienia heroiny doszło zupełnie przypadkowo. Zwłoki zostały usunięte, najpierw oczywiście obfotografowano je pod każdym możliwym kątem. Z początku usiłowano umieścić je w całości na noszach, ale kiedy ktoś spróbował je poruszyć, kości się rozsypały. Później trzeba było je pozbierać, na niektórych pozostały jeszcze kawałki ciała, czaszka była prawie nietknięta. Udało się też zebrać znaczną część ubrania. Złożyli to wszystko w plastikową torbę i wsadzili do

jednego z helikopterów, który natychmiast poleciał do miasta.

Aurelio Zen zgodził się polecieć tym właśnie śmigłowcem, przez co ominęła go chwila, kiedy kryminolog dokonujący rutynowego przeszukania terenu potknął się o płócienną torbę leżącą kilka metrów od krzaka, przy którym znaleziono zwłoki. Zanim informacja o tym dotarła do *Questura*, jej znaczenie do tego stopnia utonęło w powodzi różnych innych wydarzeń, że pierwszą reakcją Zena była irytacja. Następna komplikacja, bez której świetnie by sobie poradził!

Po kilku minutach rozmyślań zadzwonił do centrali i poprosił, by połączono go z Aldem Valentinim. Ferrarczyka nie było w domu, ale kobieta, która odebrała telefon, pośpiesznie poinformowała Zena, że Valentini wraz żoną jest na obiedzie u swoich teściów. Zen wykręcił podany numer i z pewnym niepokojem oczekiwał reakcji Valentiniego.

- Aurelio! *Ciao!* Co się dzieje?

- Obawiam się, że mamy tutaj mały kryzys. Nie chciałbym ci psuć obiadu, ale sprawa jest pilna.

Valentini ściszył głos do szeptu.

- Chcesz przez to powiedzieć, że będę mógł się stąd zmyć?

Zen roześmiał się ze szczerą ulgą.

- Już myślałem, że będziesz próbował odgryźć mi głowę za to, że popsulem ci niedzielę!

- Moja niedziela jest już dostatecznie popsuta dzięki wysiłkom mojego szwagra. Jeśli dasz mi wiarygodną wymówkę, która pozwoli mi stąd zniknąć, zyskasz przyjaciela na całe życie.

- Gdzie teraz jesteś?

- W Rovigo. Tutaj właśnie mieszka wspomniany krewniak.

- Za pół godziny przyleci po ciebie helikopter.

- Helikopter?

- Mówiłem przecież, że to pilne. Zaraz zadzwonię i przekażę ci wszelkie szczegóły.

Rozłączył się i natychmiast wykręcił następny numer. Połączenie trwało dłuższą chwilę, później telefon długo dzwonił, zanim ktoś podniósł słuchawkę, a kiedy się ów ktoś odezwał, Zen nie zrozumiał nic z odpowiedzi.

- To ty, Ellen? - zapytał z niepokojem.

Odpowiedzią był kolejny niezrozumiały słowotok. Zen miał się już rozłączyć, kiedy usłyszał znajomy głos, mówiący łamanym włoskim.

- Aurelio? Co tam się dzieje? Wiesz, która jest teraz godzina?

- To nie może czekać, Ellen.

- Piąta, kurwa, rano! Niedziela rano!

- Wydaje mi się, że go znaleźliśmy.

Tak jak w czasie ich poprzednich rozmów, każda przerwa wydawała się niepokojąca z powodu akustycznej ciszy spowodowanej przez sprzęt satelitarny, który tak ustawiał łącza, by były jak najpełniej wykorzystane. Wydawało się, że połączenie zostało zerwane, ale w chwili, gdy Zen się odezwał, włączyło się od nowa. Cisza nie miała widocznie dla elektroniki żadnej wartości.

- Będą mi potrzebne jego dane stomatologiczne i medyczne oraz wszystko, co wpadnie wam w ręce, a co mogłoby pomóc w identyfikacji szczątków - powiedział Zen. - Idealnie byłoby, gdybyście przesłali zapis jego DNA, jeśli istnieje. Powiedz, żeby zajął się tym jego prawnik. Jak on ma na imię? Bill?

- Właśnie z nim rozmawiałeś.

- W takim razie gratuluję wyboru - stwierdził Zen złośliwym tonem. - Zrobił na mnie znakomite wrażenie. - Zniżył głos. - Posłuchaj teraz, *cara*. Powiedz mu, żeby zatrzymał tę

wiadomość dla siebie aż do odwołania, zgoda? Wygląda na to, że w grze biorą udział jacyś potężni gracze, a moja sytuacja już teraz jest wyjątkowo niepewna.

Ellen odezwała się po angielsku. Odpowiedział jej zmęczony, ale ostry męski głos. Zen nie zrozumiał ani słowa z tego, co powiedział mężczyzna, ale od razu poczuł do niego niechęć.

- Masz numer faksu? - zapytała Ellen po włosku.

Zen zajrzał do spisu numerów *Questura* i podyktował jej numer.

- Bill chce zadać ci kilka pytań.

Krótką wymianę zdań po angielsku i Ellen ponownie odezwała się do słuchawki.

- Czy on nie żyje?

Zen spróbował przypomnieć sobie, jak Ellen wyglądała w łóżku. Wyobraził sobie jednak tylko jej sutki, duże i ciemne, zaskakująco mało wrażliwe, sądząc z tego, że lubiła, gdy silnie je ścisnął.

- Człowiek, którego znaleźliśmy, nie żyje. Nie żyje bardzo.

Kiedy Ellen tłumaczyła te słowa Billowi, w słuchawce ponownie rozległ się szum.

- Gdzie znaleziono ciało? - zapytała w końcu po włosku.

- Na wyspie na lagunie.

Znowu rozległ się szept.

- Czy wiesz, co się stało i kto jest za to odpowiedzialny?

Zen spojrzął w okno. Śnieg przestał padać, ale ciężkie niebo w każdej chwili groziło nową lawiną białych płatków.

- W tej chwili nie wiem nic, co warte byłoby wspomnienia. Jeśli sprawa się rozwiąże, stanie się to w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Do tego czasu muszę mieć wolną rękę. To znaczy żadnych wiadomości dla prasy i żadnego wtrącania się rodziny.

Ellen przetłumaczyła to pospiesznie. Na chwilę zapadła cisza, a potem mężczyzna udzielił krótkiej odpowiedzi.

- Bill się zgadza - powiedziała Ellen.

- Brawo dla Billa. - Uśmiechnął się złośliwie. - A czy poza tym Bill wart jest uwagi?

- Co to ma znaczyć, Aurelio?

- Jeśli jeszcze tego nie wiesz, to już chyba nigdy się nie dowiesz.

- Nigdy nie jest za późno - odparła Ellen.

Zen wybuchnął śmiechem.

- Ja też to ostatnio odkryłem.

- Tak się właśnie domyślałam - zauważyła Ellen. - Tania, nie mylę się? Czy ona warta jest uwagi?

Uśmiech Zena zniknął nagle.

- Wszystkiego najlepszego, Ellen - powiedział, kończąc rozmowę.

- Tobie też, Aurelio. - Wydała z siebie długie transatlantyckie westchnienie. -

Chciałabym, abyś był szczęśliwy, ale jakoś...

- Co jakoś?

Tym razem syntetyczna cisza trwała tak długo, że zaczął już myśleć, iż tym razem połączenie naprawdę zostało przerwane.

- Jakoś nie potrafię sobie tego wyobrazić - powiedziała w końcu Ellen.

Zen instynktownie dotknął genitaliów w geście, który tradycyjnie miał chronić przed nieszczęściem.

- Dopilnuj tylko, żeby wszystkie materiały dotarły tutaj na czas - powiedział chłodno i odłożył słuchawkę.

## XIX

Aldo Valentini przybył na miejsce kilka minut po trzeciej, wyrwany z objęć teściów przez helikopter, który wysadził go na lądowisku w kompleksie szpitalnym położonym w pobliżu budynku *Questura*. Pomimo podobnych rozrywek ferrarczyk wyglądał niezwykle elegancko w garniturze prosto od dobrego krawca, z pewnością o wiele droższego niż kupione w sklepie marynarki, jakie zakładał do pracy, by nie wyglądać lepiej od swego szefa Francesca Bruna, który dumny był ze swego znakomitego gustu. Aurelio Zen już czekał, podeszwy jego butów przemokły od topniejącego śniegu, płaszcz i krawat unosiły się w podmuchach miniaturowego huraganu spowodowanego przez rotor śmigłowca.

- Wszystko w porządku? - zapytał, kiedy Valentini wysiadł z maszyny, pochylając się niepotrzebnie, by uniknąć śmigła.

- Chciałbym tylko, by coś podobnego przydarzało mi się za każdym razem, kiedy muszę tam jechać! To zaledwie trzy, najwyżej cztery razy w roku, ale sama myśl o takiej wizycie napędza mnie niepokojem już kilka tygodni wcześniej, a wspomnienia pozostają na długie miesiące.

- A cóż w tym takiego strasznego?

Nic to oczywiście Zena nie obchodziło - jako jedynak, bez bliskich krewnych, uważał zawsze życie rodzinne za uprawomocnioną formę kazirodztwa - ale musiał mieć Valentini po swojej stronie.

- Chodzi o Virgilia - wyjaśnił Valentini, kiedy szli przez Calle Cappello do *Questura*. - Jest bibliotekarzem i zazdrości mi wspaniałego i ekscytującego życia, jakie jego zdaniem wiodę. Jeśli opowiem jakąś policyjną anegdotkę, oskarża mnie o to, że nic mnie nie obchodzi jego praca, jednak kiedy zacznę go wypytywać, wścieka się, bo uważa, że się wywyższam. Nie da się tego nijak rozwiązać.

Zen przyznał Valentiniemu rację, że teściowie zawsze są problemem, a w myślach pogratulował sobie, że jego problem ten nie dotyczy.

- W każdym razie podróż helikopterem w cudowny sposób podniosła mój prestiż - mówił dalej Valentini. - Wręcz błagali, bym powiedział im, o co chodzi, ale dałem jasno do zrozumienia, że nie puszcę pary z ust. - Spojrzał na Zena. - A tak naprawdę, o co w tym wszystkim chodzi?

Zen kopnął kupkę śniegu i pokrótce nakreślił Valentiniemu postępy w sprawie Sfrisa. Wiatr osłabł, przechodząc w słabe sirocco, które wiało z wystarczającą siłą, by rozpędzić deszczowe chmury. Skutkiem tego miasto pełne było śnieżnych zasp przypominających teraz gnijące śmieci.

- To prawdziwy przełom! - krzyknął Valentini i gwizdnął cicho. - Gratulacje, Aurelio. Tylko jaka ma być w tym wszystkim moja rola?

- Chcę, byś przejął tę sprawę.

Aldo Valentini zatrzymał się gwałtownie i wbił wzrok w twarz Zena.

- Dlaczego chciałbyś mi oddać coś takiego?

Zen poklepał go po ramieniu.

- Ponieważ, mimo iż wyglądam na cynika, tak naprawdę jestem świętym! - Uśmiechnął się, widząc wyraz twarzy Valentiego. - Nie, nie wierzyłem wcale, że to kupisz. Prawda jest o wiele prostsza. I tak wkrótce odbiorą mi to śledztwo. Moje przeniesienie obejmuje wyłącznie sprawę Zulian. Nie pozwolą, bym przywłaszczył sobie taki sukces, a skoro musi go dostać ktoś inny, czemu nie miałbyś to być właśnie ty? W końcu to ty zacząłeś to dochodzenie.

Valentini westchnął.

- Dzięki, Aurelio. Naprawdę to doceniam, ale nic z tego nie wyjdzie.

- Czemu nie?

- W grę wchodzi narkotyki, śledztwo dostanie Ruzza albo Castellaro. W końcu to jest zakres ich kompetencji.

Zen zdecydowanie pokiwał głową.

- Masz na myśli zakres ich niekompetencji. Ich szef współpracował po cichu z gangiem. Gavagnin został podkupiony, a czy wiadomo, kto jeszcze? Nie można stwierdzić, jak daleko sięgnęła zaraza, a wystarczy przecież mały przeciek, by cała operacja legła w gruzach. Bruno przekaże to śledztwo komuś spoza Wydziału do spraw Narkotyków, czy tego chce, czy nie, choćby dlatego, by ochronić własny tyłek.

Valentini uśmiechnął się powoli, kiedy uświadomił sobie prawdziwość tego stwierdzenia. Szanse na odniesienie sukcesu w sprawie Sfrisa nie mogłyby chyba być większe. Co nawet ważniejsze od rozbicia gangu handlarzy narkotyków, była to okazja do utarcia nosa karabinierom, którzy zwinęli policji sprawę zamordowania Gavagnina. Śmierć kolegi stała się przedmiotem śledztwa prowadzonego przez ich rywali i zaprzysiężonych wrogów!

Jedną z dobrze przyjętych zmian wprowadzonych przez nowy kodeks karny było zwiększenie współpracy pomiędzy różnymi organami władzy - pięcioma, jeśli wliczyć w to również Straż Graniczną, Straż Leśną oraz *Guardia di Finaliza*, zbrojne ramię Ministerstwa Finansów - jednak efektem były jedynie piękne słowa, które nie miały żadnego wpływu na sytuację. Dopóki rywalizujące siły na poziomie ministerstw utrzymywały oddzielne agendy, agendy te nadal rywalizowały pomiędzy sobą. W tym wypadku *Polizia* rozpoczęła śledztwo dotyczące śmierci Gavagnina, ale wojskowi posiadali wszystkie potrzebne informacje i trzymali teraz karty zakryte, posługując się wszystkimi ujętymi w kodeksie możliwościami opóźniania współpracy. Rezultatem stały się rozgrywki, w których stawką było ego i status graczy. Każdy oficer policji, który zdołałby pokonać Lotne Płomienie, miałby nie tylko gwarantowany awans, ale zyskałby legendarną sławę na resztę kariery.

Zrzuciwszy sprawę Sfrisa na barki zachwyconego Valentiniego, Zen zadzwonił do Marcella Mamolego. Sędzia o wiele mniej niż Valentini był zadowolony z tego, że niepokoi się go w domu w niedzielę.

- Ten trwający zamach na moją prywatność staje się już niemożliwy do zniesienia, Zen! Po prostu nie jestem gotów pogodzić się z tym, że bez przerwy mnie pan prześladowuje!

Zen przybrał maksymalnie ugodowy ton.

- Proszę przyjąć moje najgorętsze przeprosiny, *signor giudice*. Nie ośmieliłbym się niepokoić pana o tej porze, gdyby rozwój śledztwa nie postępował w sposób, który całkowicie zmienia jego zakres i kierunek...

- Niech pan już mówi!

- Przeszukanie Sant'Ariano, które podjąłem za pańską bezcenną poradą, okazało się ogromnym sukcesem. Odnależliśmy nie tylko heroinę, ale i zwłoki.

Mamoli zamilkł na chwilę.

- Czy ofiara została już zidentyfikowana?

- Jeszcze nie, *signor giudice*. Znajdowała się jednak w niewielkiej odległości od worka z heroiną, musimy więc zakładać, że są to właśnie te zwłoki, które zobaczył w świetle latarki Giacomo Sfriso, co przekonało go, że widzi żywego trupa.

- Ale dlaczego na Sant'Ariano! - krzyknął Mamoli. - Dlaczego ktoś został zabity właśnie tam? A właściwie, co ktokolwiek mógłby tam robić?

- Mam nadzieję wkrótce znaleźć odpowiedzi na te właśnie pytania, *signor giudice*.

Filippo Sfriso podał mi nazwiska trzech ludzi, którzy jego zdaniem maczali ręce w zamordowaniu jego brata. Są to Giulio Bon z Chioggii oraz Massimo Bugno i Domenico Zuin, obydwa z Wenecji. Chciałbym otrzymać nakaz aresztowania całej trójki, aby przesłuchać ich oddzielnie we wspomnianej wcześniej sprawie i związanymi z nią kwestiami.

Wyrecytował to kłamstwo z absolutną pewnością siebie, teraz jednak wstrzymał oddech. Wszystko zależało od reakcji Mamolego. Po chwili sędzia westchnął.

- Dobrze, Zen. Ponieważ mamy niedzielę, pozwolę ci na razie robić, co chcesz. Ale jutro chcę dostać kompletny raport o podjętych działaniach, i niech cię Bóg broni, jeśli nie będzie się to trzymało kupy.

Prawie godzinę zabrało Zenowi zorganizowanie papierkowej roboty i szczegółów następnego etapu operacji. Była to ta część pracy, której najbardziej nie lubił, zwłaszcza w obcym mieście, gdzie policjanci byli dla niego tylko nazwiskami na liście - nie wiedział nic o ich charakterach i umiejętnościach. W końcu podzielił zadanie między trzy zespoły, każdy wyposażony w motorówkę. Sam stanął na czele pierwszego, a na szefów dwóch pozostałych wyznaczył dwa przypadkowe nazwiska z listy dyżurów.

Trzy motorówki wypłynęły kilka minut po wpół do piątej. Aresztowania zostały zsynchronizowane, aby uniemożliwić poinformowanie pozostałych, podczas gdy powrót do *Questura* został ustalony w taki sposób, by jedni nie dowiedzieli się o tym, że jeszcze inni zostali zatrzymani do wyjaśnienia. Giulio Bon i Domenico Zuin siedzieli w domu, oglądając w telewizji mecz Juventusu z Milanem, a Massimo Bugno został zatrzymany w pobliskim barze, dokąd wybrał się na partyjkę kart.

W *Questura* cała trójka została wsadzona do oddzielnych pomieszczeń. Zen wybrał pokoje położone na różnych piętrach i odwiedzał je kolejno w ciągu popołudnia. Zuin i Bugno wydawali się przerażeni. Kiedy Zen zaproponował im usługi adwokata z urzędu, Zuin wzruszył ramionami, jak gdyby cała sprawa nie miała z nim nic wspólnego, podczas gdy Bugno zaprotestował gwałtownie, twierdząc, że wszystko to jakaś pomyłka.

- Święta, kurwa, racja, synu - powiedział Zen w dialekcie. - I to ty ją popełniłeś.

Z Giuliem Bonem poszło trudniej. Odezwał się tylko po to, by zażądać obecności swojego adwokata. Zen pokiwał życzliwie głową.

- A jak on się nazywa?

Bon zmarszczył brwi.

- Tego samego, co poprzednio! - nalegał. - Tego tłustego z brodą.

- Ani razu w życiu nie zdarzyło mi się spotkać niedożywionego adwokata, a ostatnio tak wielu spośród nich nosi brodę, zwłaszcza wtedy, kiedy rzedną im włosy na głowie. Jeśli nie przypomni pan sobie nazwiska swojego adwokata, *signor* Bon, będę zmuszony przydzielić panu obrońcę z urzędu.

Bon jęknął, ale nie odezwał się już więcej ani słowem. Pozostawiwszy go z uzbrojonym strażnikiem, Zen wrócił do swego biura. Nie spieszyło mu się. Im dłużej trójka aresztowanych czekała na swój los, w narastającym poczuciu niepokoju, izolacji i bezsilności, tym większe było prawdopodobieństwo, że któryś z nich pęknie, kiedy nadejdzie jego pora. A zeznanie jednego mogło stanowić dźwignię, za pomocą której Zen na nowo otworzy sprawę Durridge'a.

Usiadł i zapalił papierosa. Mamoli postawił sprawę jasno: stan zawieszenia, z którego korzystał obecnie Zen, miał trwać wyłącznie do początku nowego tygodnia. Następnym etapem powinno być przekazanie aresztantów Mamolem na oficjalne przesłuchanie, wcześniej jednak konieczne było albo ich przyznanie się do winy, albo wiarygodne dowody. Zen nie miał pewności, co uda mu się osiągnąć - zwłaszcza teraz, kiedy jego oficjalna sytuacja była dość niejasna, po tym, jak śledztwo w sprawie Ady Zulian zostało zamknięte. Nie tylko nie miał



pełnomocnictw z ministerstwa, by prowadzić śledztwo w sprawie Durridge'a - z oficjalnego punktu widzenia śledztwo takie w ogóle nie istniało. Był fantomem ścigającym chimery.

Krótko mówiąc, czekała go stresująca i wyczerpująca doba, pierwszą zaś rzeczą, jaką powinien zrobić, było upewnienie się, że jego emocjonalna flanką jest dobrze kryta.

Sięgnął po telefon i wykręcił numer Morosinich. Odebrała Rosalba i zanim Zen zdołał wypowiedzieć choćby słowo, musiał wysłuchać kilkunastominutowej reprimendy za to, że nie przyszedł na niedzielny obiad. Próbował zaprotestować, że nikt go nie zapraszał, ale to pogorszyło tylko sprawę.

- A spodziewałeś się może, że prześlemy ci stolnicę ze złotymi literami? Myślałeś, że zgodzę się na to, by stary przyjaciel rodziny jadł niedzielny obiad w jakiejś żaloznej *trattoria*? Za kogo ty nas uważasz?

Próbując zmienić temat, Zen wyjaśnił, że musiał też odrzucić zaproszenie do Paulonów.

- Fabia Paulon?- krzyknęła z oburzeniem Rosalba. -Ależ ta próżniaczka nie potrafi ugotować jajka bez...

- W każdym razie siedziałem przez cały dzień w pracy.

- W niedzielę? - krzyknęła Rosalba, która prawie nie przerwała swojej przemowy. — O czym oni myślą? Niech pogonią do roboty młodszych. Nie ma żadnego powodu, by wyciągać starego człowieka, jak ty, z domu w jego dzień...

- Czy Cristiana jest w domu? - wtrącił się Zen.

- Zawołam ją. I słuchaj, Aurelio, masz przyjść do nas jutro na obiad.

- Jeśli będę wolny.

- Wolny? A co to jest - więzienie? Uwolnij się.

Zen uśmiechnął się lekko.

- Właśnie nad tym pracuję.

- Słucham?

- Zawołaj córkę, proszę.

- A o co chodzi? - zapytała Rosalba w nagłym przypiływie podejrzliwości.

- Muszę zamienić z nią parę słów w sprawie jej męża.

Rosalba jęknęła i odłożyła słuchawkę. Zen wyciągnął papierosa i wyjrzał za okno.

Zimowy zmierzch narastał jak wrogi tłum. Na odległej podłodze zabrzmiały kroki i w słuchawce zabrzmiał drogi mu głos.

- Aurelio.

- Witaj, kochanie.

- Przepraszam, że nie dotarłam do ciebie wczorajszego wieczoru, ale nie mogłam pozbyć się znajomych.

- A co powiesz na dzisiejszy wieczór?

Na chwilę zapadła cisza.

- *Mamma* powiedziała, że chciałeś rozmawiać ze mną o Nandzie.

- Musiałem po prostu wymyślić jakiś pretekst. Nie chcę cię stawiać w niewygodnej sytuacji.

- Albo siebie - dorzuciła Cristiana złośliwie.

- To też. A zatem co powiesz?

- Może być o siódmej? Czy raczej wcześniej?

Serce Zena zadrżało.

- Wcześniej, wcześniej! Teraz!

Cristiana wybuchnęła śmiechem.

- Teraz jestem w biurze - powiedział. - Ale wrócę prosto do domu. Będziesz tam

czekać?

- Czy ma to coś wspólnego z dramatycznym przełomem, o którym mówiłeś wczoraj?
- Jak najbardziej. Opowiem ci o wszystkim, kiedy się zobaczymy. Będziesz na mnie

czekać?

Krótką chwilą ciszy.

- Tak.

Zen uśmiechnął się tajemniczo.

- Tak - powtórzył.

Jakąż przyjemnością może być popołudniowy spacer, kiedy siostrzeńcy trzymają ją pod pachy, by przypadkiem nie pośliznęła się na ośnieżonym chodniku! Teraz ma ich na każde zawołanie. Kochany Nanni i słodki mały Vincenzo. Wystarczy, że wspomni, jak miło byłoby przejść się nieco i może zajrzeć do Daniele Trevisana na pogawędkę i filiżankę czegoś ciepłego i zanim się zorientuje, już dzwonią do jej drzwi, gotowi na każde skinienie.

Ada wciąż pamięta czasy, nie tak znowu odległe, kiedy sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Zdarzało się, że nie widywała swoich siostrzeńców tygodniami. A co jeszcze gorsze, prześladowały ją widma, które pożyczły sobie do swoich okrutnych celów wysoki głos Nanniego i powolny sposób mówienia Vincenza. Przez pewien czas widma te zabawiały się z nią wesoło, ale w końcu sytuacja się odwróciła -dokonała zemsty!

Teraz nic nie jest dla Nanniego i Vincenza zbyt kłopotliwe. Zaglądają do niej codziennie, załatwiają wszelkie sprawy, przynoszą prezenty i otaczają ją czułą opieką. A gdyby przez przypadek o czymś zapomnieli, wystarczy by wspomniała Aurelia Battistę, syna jej starej przyjaciółki *signora* Giustiniany, której pomagała, dając jej pracę przy porządkach, kiedy mąż Giustiniany odjechał i zaginął w Rosji. „Rozproszeni”, tak pisały gazety, ale Ada dobrze wiedziała, co to znaczy. W owych czasach ludzie po prostu znikali. Było to prawie normalne. Tu dziecko, tu mężczyzna, tam cała rodzina...

Dla Ady Aurelio Battista jest wciąż tym samym długowłosym chłopczykiem o dziewczęcej urodzie, którego przebierała w sukienki Rosetty, kiedy jego matka pracowała w sąsiedztwie, próbując związać koniec z końcem. Widocznie jednak dla innych, wliczając w to Vincenza i Nanniego, jest on - Ada chichocze na samą myśl - Bardzo Potężnym i Ważnym Urzędnikiem. Ada, która podcierała chłopcu pupę, kiedy zdarzył mu się mały wypadek, nie potrafi przejść się jego obecnym autorytetem, ale wydaje się, że Nanni i Vincenzo traktują go najzupełniej poważnie. Miłym tego efektem jest, że kiedy przychodzi jej ochota na przypomnienie siostrzeńcom o ich obowiązkach, wystarczy tylko rzucić przelotną uwagę dotyczącą syna jej przyjaciółki - wystarczy na przykład, że powie: *Dottore* Zen znowu zaszedł do mnie wczoraj, ale udałam, że nie ma mnie w domu” - i w tej samej chwili, jak gdyby za dotknięciem magicznej różdżki, chłopcy stają się zupełnie znośni! Jest to broń tym bardziej skuteczna, że Ada musi się do niej odwoływać nadzwyczaj rzadko.

Tak właśnie było tego wieczoru. Vincenzo i Nanni byli rozpieszczani w dzieciństwie - Ada wciąż ostrzegała swoją siostrę, że od centralnego ogrzewania psuje się morale, ale kto by tam jej słuchał? - i nieskłonni są wychodzić na zewnątrz, kiedy ich zdaniem jest zimno. Gdyby mogli zobaczyć zimę roku 1947, kiedy kanały zamarły i można było chodzić na piechotę na Giudecçe! Jednak wystarczyło, by Ada jak zwykle wspomniała mimochodem, że jej przyjaciel policjant zaszedł do niej ponownie i próbował skłonić ją do złożenia zeznań obciążających siostrzeńców, tak by mógł ich aresztować i wtrącić do więzienia, gdzie oczekiwaliby na proces, a po chwili zaczęła zastanawiać się na głos, czy nie byłoby przypadkiem lepiej zrobić tego, o co on prosi, i zakończyć to prześladowanie, które nieomal gorsze jest od poprzedniego...

O wilku mowa! Przecież to sam Aurelio Battista idzie w ich kierunku zasypaną śniegiem

uliczką. Ada poznaje po dłoniach zaciskających się na jej rękawach, że Nanni i Vincenzo również go zauważyli. Ada czuje niepokój, ma nadzieję, że nie dojdzie do żadnej sceny. Do tej pory wszystko szło tak znakomicie.

Wysoki mężczyzna kroczący w ich kierunku podnosi oczy, zauważa całą trójkę. Przygląda im się przez krótką chwilę, jego wzrok zatrzymuje się na chwilę na Adzie. Później mężczyzna mija ich, nie okazując w żaden sposób, że ich rozpoznał. Vincenzo spogląda na Nanniego, który puszcza ramię ciotki. Kuca, bierze w dłonie dużą garść śniegu, ubija go w twardą jak lód kulę i zanim Ada zdąży zaprotestować, rzuca nią przed siebie. Ada patrzy zaskoczona, jak śnieżka szybuje wśród zapadających ciemności, później Vincenzo obraca ją i prowadzi w kierunku domu Daniele.

Ciszę za ich plecami przerywa okrzyk bólu. Ada wrywa się z objęć siostrzeńców i ogląda za siebie. Aurelio Battista stoi, trąc kark, i gapi się w jej stronę. Jego kapelusz leży na śniegu. Ada zastanawia się, co mogło się stać. Może to atak migreny? Biedny chłopiec. Sama cierpiała na nią od czasu do czasu, zanim miejsce migreny zajęły inne, poważniejsze cierpienia. Przypomina sobie niejasno, że ataki wywoływała właśnie zimna i wilgotna pogoda. Coś z pewnością sprawiło, że syn Giustiniany zrobił się poirytowany i zły. Podrywa kapelusz i rusza szybkim krokiem w jej stronę.

- Chodźmy, ciociu - prosi cicho Vincenzo.

Prawie dotarli do celu. Kochany Daniele! Jak ucieszy się na ich widok! Kiedyś był dla niej taki dobry, wręcz oszalał na jej punkcie. W innych okolicznościach mogłaby ulec pokusie, ponieważ Daniele Trevisan był jednym z najprzystojniejszych chłopaków w sąsiedztwie, obdarzonym przy tym, biorąc pod uwagę jego pochodzenie, ujmującymi manierami. Jednak dla panny Zulian małżeństwo z mężczyzną, którego ojciec zajmował się handlem, nie wchodziło oczywiście w grę.

Są na miejscu. Nanni naciska dzwonek, a Vincenzo strzepuje z rękawa ciotki płatek śniegu. Jacy to kochani, troskliwi chłopcy!

Ale cóż to się dzieje? Aurelio Battista wciska się między nich niegrzecznie, wbija w nią wzrok, wymachuje palcem przed jej nosem.

- Oddaj mi ich, Ado! - wyrzuca z siebie. - Oddaj mi ich, a powiem ci, co naprawdę stało się z Rosetą.

Przynajmniej wydaje się jej, że to właśnie powiedział, ale oczywiście nie mógł wypowiedzieć tych słów, a nawet czegokolwiek, co mogłoby je przypominać.

- Nie chcesz po tylu latach poznać prawdy, Ado? Oddaj mi swoich siostrzeńców, a wszystko ci powiem!

Dopiero teraz pojmuję, że postać, która przed nią stoi, nie jest wcale Aureliem Battistą, ale demonem, który przybrał jego kształty. Tak dzieje się zawsze w takich sytuacjach, świadomość, że nie ma do czynienia z czymś rzeczywistym, jest jednocześnie niepokojąca i pocieszająca. Postanawia jednak zachować inicjatywę. Jeśli chodzi o radzenie sobie w podobnych sytuacjach, ma już spore doświadczenie.

- A co niby ty wiesz o tej sprawie? - pyta z kpiną w głosie.

Postać przed nią przybliżyła się odrobinę.

- Wiem o Rosie Coin.

Robi krok w tył, kiwa głową, później odwraca się i odchodzi, niemal natychmiast znikając w mroku.

- Chodźmy, ciociu - nalega Nanni.

W otwartych drzwiach staje Daniele Trevisan i spogląda na nią z takim samym uśmiechem, jak tyle lat temu, kiedy godzinami wystawał pod jej oknem, czekając, aż pojawi się

w nim jej twarz.

- Przeziębisz się na śmierć, jeśli będziesz tak stała na mrozie - mówi do niej uprzejmie.

Ale ona już nie stoi. Osuwa się, pada na bruk, gdzie zaczyna się rzucać jak wyciągnięta z wody ryba, próbując złapać powietrze, gryząc się w język w daremnej próbie uciszenia krzyku, jaki rozlega się w jej głowie.

Kiedy Zen dotarł do domu, zdołał już jakoś opanować drżenie, ale nadał miał przyspieszony oddech, a serce waliło mu jak oszalałe. Dopiero kiedy zobaczył światło w oknach, przypomniał sobie, że czeka na niego Cristiana.

Jej obecność, której tak bardzo pożądał jeszcze kilka chwil temu, wydawała się teraz kłopotem, bez którego czułby się o wiele lepiej. Po tym, co się właśnie wydarzyło, potrzebował czasu, aby się uspokoić, rozsupłać wewnętrzny węzeł i na powrót stać się sobą. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz chciał, były wyszukane i skomplikowane zaloty do córki starej przyjaciółki rodziny.

Cristiana zapewne usłyszała otwieranie drzwi, ponieważ czekała już na niego na podeście. Obcisły czerwony sweter i dzinsy podkreślały jej figurę. Kiedy Zen dotarł do podestu, podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu. Pochyliła się, jak gdyby chciała go pocałować, gdy nagle dostrzegła wyraz jego twarzy.

- Co się stało?

Zen potrząsnął głową.

- Nic.

Wprowadził ją do pokoju i zamknął za sobą drzwi, odcinając się od całego świata.

- Wpadłem na Adę Zulian, która wybrała się na spacer ze swoimi siostrzeńcami - powiedział, zdejmując płaszcz i kapelusz. - Jeden z nich rzucił we mnie śnieżką. Może zabrzmi to dziecinnie, ale bardzo zabolalo. Trafił mnie w ucho, a ubił ją tak, że była twarda jak lód.

- Co zrobiłeś?

Zen wzruszył niepewnie ramionami.

- Tak naprawdę mogłem zrobić tylko jedno - nie zwracać na to żadnej uwagi.

- Mogłeś rzucić w niego śnieżką.

- To już naprawdę byłoby głupie. A poza tym na pewno bym spudłował. Jestem beznadziejnym strzelcem.

Cristiana zniknęła w kuchni.

- Czy nie ma prawa karzącego za napaść na oficera policji?

- Oczywiście, że jest, ale nie mogę go zastosować. Wszyscy wiedzą, że bez powodzenia próbowałem wsadzić ich do pudła. Gdybym oskarżył ich o zaatakowanie mnie śnieżką, wystawiłbym się tylko na pośmiewisko. A dokładnie o to chodzi tym mały skurwysynom.

Cristiana wróciła z butelką *spumante* i dwoma kieliszkami. Zen zmusił się do uśmiechu.

- Z jakiej to okazji?

- Za moją wolność.

Kiedy zdejmowała drut obejmujący szyjkę musującego wina, przed oczami Zena pojawiły się sine, okaleczone kciuki Enza Gavagnina.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Cristiana wyciągnęła korek i napełniła kieliszki.

- Najpierw opowiedz mi o Adzie Zulian. Więc co w końcu zrobiłeś?

- Och, postąpiłem wręcz cudownie! Ominąłem siostrzeńców i zaatakowałem samą Adę.

Podawała mu kieliszek.

- *Cincin!*

Stuknęli się kieliszkami.

- Co to znaczy, że ją zaatakowałeś? - zapytała Cristiana.  
Zen westchnął głęboko.

- Miałem ostatnio kilka bardzo stresujących dni. Ta śnieżka była kroplą, która przepełniła czarę. Wydaje mi się, że zupełnie mi odbiło.

- Co zrobiłeś?

- Ja... - Urwał, przygryzł wargę. - Chryste, to niewybaczalne!  
Cristiana chwyciła jego dłoń i posadziła go na kanapie.

- Ja ci wybaczę.  
Siedział, wbijając wzrok w wytarty fragment dywanu.

- Powiedziałem jej, że wiem, co się stało z jej córką, tą, która zaginęła.  
Odwrócił się, by spojrzeć Cristianie w oczy, po czym pospiesznie odwrócił głowę.

- Powiedziałem, że dowie się, jeśli zgodzi się złożyć zeznania przeciwko swoim siostrzeńcom.  
Cristiana skinęła pospiesznie głową, jak gdyby wszystko, co usłyszała, było absolutnie normalne.

- A co ona powiedziała?  
Zen roześmiał się ochryple i jednym haustem wychylił kieliszek.

- Nic nie powiedziała. Miała atak. Upadła w śnieg, zaczęła się rzucać, toczyć pianę z ust, krzyczeć na całe gardło.

- Wielki Boże!

- Stało się to przed drzwiami Daniele Trevisana. On i jej siostrzeńcy zabrali ją do środka. - Spojrzał na Cristianę. - Chciałbym się dowiedzieć, jak się czuje. Nie sądzę, by chcieli ze mną rozmawiać, ale...

- Oczywiście.  
Podniosła słuchawkę i wykręciła numer.

- *Mamma?* Jestem u Wandy. Ona twierdzi, że Lisa Ro-steghin słyszała od Gabrielli, że Ada Zulian miała jakiś atak na ulicy przed domem Trevisana. Słyszałaś już coś o tym? Nie? Dobrze, posłuchaj, czy mogłabyś zadzwonić do Daniele i dowiedzieć się, co się stało? Nie, nie możemy, on chciałby wiedzieć, skąd o tym usłyszeliśmy, a wtedy mogłoby wyjść na jaw, że Gabriella kręci z Beppem Raffinem, tym chłopakiem, który mieszka po drugiej stronie ulicy, a ty mogłaś przecież dowiedzieć się o wszystkim od *signora Vian*...

Urwała, wpatrując się w przestrzeń.

- Nie, nie dzwoń do nas. My... nie, nie jesteśmy już u Wandy. Wyszliśmy. Zadzwonię za kilka minut. Dobrze? *Ciao*.  
Odwróciła się do Zena i pociągnęła łyk wina.

- A twoja wolność? - zapytał.  
Wybuchnęła śmiechem.

- To tylko wymówka, by móc napić się trochę bąbelków. Wiesz, co zrobił ten skurwysyn, mój mąż? Poleciał do Rzymu z tą dziwką Populin! Oczywiście, ma alibi - jakaś debata telewizyjna na temat rozpadu Włoch - ale w rzeczywistości urwał się na weekend.  
Dotknęła dłoni Zena.

- Masz papierosa?

Wyciągnął pogniecioną paczkę nazionali.

- Dokładnie jednego - stwierdził, wytrząsając ostatniego papierosa.

- Och, nie będę ci zabierać, jeśli to ostatni.

Wysunął papierosa z paczki i przyłożył go do jej warg.

- Podzielimy się - powiedział.

- Nie byłoby tak źle, gdybym nie musiała udawać przed prasą kochającej żony - stwierdziła Cristiana, zaciągając się głęboko.

Zen ścisnął jej dłoń ze współczuciem.

- A tak nie przy okazji - wyszeptał. - Nie byłby to chyba szczególnie głupi pomysł, gdybyś trzymała się na pewien dystans od Dal Maschia.

Cristiana podała mu papierosa.

- Chcesz powiedzieć, że ma kłopoty?

Wsunął w usta wilgotny od jej śliny filtr.

- A byłoby ci z tego powodu przykro?

Spojrzała na zegarek.

- Lepiej będzie, jeśli zadzwonię do Mamma i dowiem się, co się stało, zanim się zniecierpliwi, zadzwoni do Wandy i usłyszy, że Wanda nie widziała mnie od wczoraj.

Rosalba Morosini wyraźnie dowiedziała się bardzo dużo i przekazała córce długi raport, który Cristiana powtórzyła Zenowi w mocno skróconej wersji.

- Z Adą wszystko w porządku. Mieli właśnie wzywać lekarza, kiedy przyszła do siebie. Siostrzeńcy próbowali nakłonić ją, by złożyła na ciebie skargę, ale Daniele stwierdził, że nie będzie świadczył na ich korzyść.

- Miło z jego strony.

Cristiana wbiła w niego wzrok.

- Naprawdę wiesz, co się stało z tą dziewczynką?

Zen oddał jej papierosa.

- Nie wiem o niej nic, podobnie jak o swoim ojcu.

Cristiana zgasiała papierosa i dołała wina do obu kieliszków.

- A Nando?

Zen spróbował zbagatelizować całą sprawę.

- Och, myślę, że jestem o niego po prostu zazdrosny.

Spojrzała na niego z uwagą.

- To chyba nie wszystko.

Odwrócił wzrok.

- Być może nie.

Wzięła jego dłoń w swoje dłonie i położyła ją na swojej piersi. Spojrzeli na siebie.

- Oczywiście sprawa jest ściśle tajna... - odezwał się Zen.

- Oczywiście.

Gdzieś w oddali długą, żalobną nutą zabrzmiała syrena przepływającego statku.

- Nie ma dowodów przeciwko samemu Dal Maschiowi - wyszeptał cicho Zen, pieszcząc ją delikatnie. - Ale jak się wydaje, niektórzy z jego współpracowników mogą być zamieszani w kilka spraw, w których toczą się właśnie śledztwa... - Zamilkł. - Mówię jak policjant - zauważył.

- Przecież jesteś policjantem.

- Nie chcę nim być. Nie teraz.

- Masz jeszcze papierosy?

- Na górze.

Cristiana powoli pokiwała głową.

- Na górze - powtórzyła.

## XX

Obudził go okrzyk pod oknem.

- *Spazzino PRONTI!!!*

Zen leżał na łóżku, nasłuchując, jak sąsiedzi znoszą worki z odpadkami, aby dorzucić je do wózka zamiatacza śmieci. Czuł się wypoczęty, odprężony i pełen sił. Nie miał teraz żadnych wątpliwości: towarzystwo Cristiany dobrze mu robi.

Tym razem nie mogła zostać na noc. Czekala na nią Rosalba, która zadzwoniłaby do Wandy Dal Maschio, gdyby córka nie pojawiła się w domu. Cudownie byłoby, gdyby Cristiana została - ciepła, miła - dowód na to, że wszystko, co wydarzyło się minionej nocy, stało się naprawdę. Inaczej niż poprzednim razem Zen nie lękał się już spotkania z Cristianą w chłodnym świetle poranka. Wprost przeciwnie, już teraz za nią tęsknił. Rozmawiali do późna i nie było ani chwili niepewności czy napięcia. Wszystko wydawało się doskonale normalne i proste, jak gdyby znali się od urodzenia.

W domu nie było tak zimno jak poprzedniego ranka, kiedy zaś otworzył okno na całą szerokość, przekonał się, że nadeszła odwilż. Pozostały jedynie największe zasy, reszta zniknęła, pozostawiając po sobie warstewkę wody, od której lśniły kocie łby. Słońce przydawało wiosennej lekkości czystemu, świetlistemu powietrzu. Był to znakomity dzień na randki i wycieczki, dobry na to, by porzucić wszystkie poczynione wcześniej plany i robić to, na co ma się właśnie ochotę, najlepiej w towarzystwie przyjaciela lub kochanki.

Kiedy Zen wyruszył na poszukiwanie porannej kawy, poczuł zniechęcenie na myśl o tym, co go czeka. Wydawało się absurdem, że musi spędzić cały dzień w ciasnych pokoikach oświetlonych jarzeniówkami, wysłuchując kłamstw Giulia Bona i jemu podobnych. Nic go już nie obchodziła sprawa Durridge'a. Nie było jednak innego wyjścia. W tej chwili zarzucenie śledztwa byłoby równie - a może nawet bardziej - niebezpieczne, jak jego kontynuacja. Jedyнным sposobem na usprawiedliwienie podjętych działań było doprowadzenie całej sprawy do końca.

W *Questura* zastanowił się nad otwierającymi się przed nim możliwościami, próbując ustalić, co powinien teraz zrobić. Biorąc pod uwagę to, w jaki sposób aresztowani zareagowali minionego dnia, Bugno wydawał się najsłabszym ogniwem łańcucha. Zen postanowił więc zacząć od niego. Czekając na aresztanta, przeglądał jego dokumenty. Urodzony w 1946 roku, żonaty, trójka dzieci, pracownik miejskiej firmy komunikacyjnej ACTV, nie karany. W aktach zaznaczono tylko, że nie brał udziału w ostatnich wyborach powszechnych oraz dołączono skargę złożoną przez Ivana Durridge'a.

Massimo Bugno miał wielką łysą głowę, złamany nos, cofnięty podbródek, co próbował nadrobić, zapuszczając sumiaste wąsy, i sprawiał wrażenie kogoś, kto bez przerwy obawia się, że zapomni zakręcić kurek w łazience. Sen w pozbawionej okien przybudówce za *Questura* wyraźnie nie dał mu wypocząć. Zen poprosił, by Bugno usiadł, a potem spojrzał na zegarek.

- Na której zmianie pracujesz w tym tygodniu, Massimo? Twoi koledzy zaczną się wkrótce niepokoić, co się z tobą stało.

- Dlaczego mnie pan tutaj trzyma? - jęknął Bugno. - Co takiego zrobiłem?

Zen sięgnął po akta leżące na biurku.

- Dwudziestego siódmego września zeszłego roku ty i dwóch innych mężczyzn weszliście na teren prywatnego *ottagono* w pobliżu Malamocco. Właściciel wezwał policję i zostaliście zatrzymani przez motorówkę patrolową.

Bugno zmarszczył brwi.

- Ale ta sprawa jest już zamknięta! - zaprotestował. - Nigdy nie wniesiono oskarżenia.

Przecież to była tylko burza w szklance wody. My... - Zawahał się. - Popłynęliśmy na ryby. Silnik się zatarał. Zniosło nas na tę wyspę. Odplynęliśmy tak szybko, jak tylko się dało.

Zen uniósł brwi.

- Na ryby? Poprzednim razem powiedziałeś nam coś zupełnie innego.

Bugno pospiesznie zwilżył wargi językiem.

- No, coś takiego. Nie pamiętam już dokładnie.

Zen skinął głową.

- Sprawdźmy zatem, czy lepiej przypominasz sobie swoją drugą wizytę na wyspie.

- Pan się myli. Nigdy więcej tam nie byłem.

Zen był równie zaskoczony, co przerażony. Po raz pierwszy Massimo Bugno odezwał się ze spokojem człowieka całkowicie pewnego swych racji. W Zenie pojawiło się nagle potworne przecucie, że cała jego teoria dotycząca porwania Durridge'a pozbawiona jest jakiegokolwiek sensu. Postanowił jednak atakować dalej.

- Nadal gramy wielkiego i dzielnego, co? - rzucił z pogardą. - Twoja żona uważa inaczej. Dzwoni tu co pięć minut, żeby dowiedzieć się, co się dzieje i kiedy może spodziewać się ciebie w domu. Ona się martwi, dzieci są przerażone, sąsiedzi plotkują, a co ja mam jej powiedzieć? Wszystko zależy od ciebie, Massimo.

Bugno złożył błagalnie dłonie.

- Czego pan ode mnie chce? Co mam panu powiedzieć?

- Prawdę! - krzyknął Zen.

- Ale ja już powiedziałem prawdę!

Zen zamachnął się, jak gdyby do ciosu, ale w ostatniej chwili z głośnym plaśnięciem uderzył zaciśniętą pięścią w dłoń.

- Przestań mnie nabierać, Bugno!

Bugno spojrział żałośnie.

- Przepraszam, *dottore*! Naprawdę przepraszam! Ja po prostu nie wiem, czego pan ode mnie oczekuje!

- Co robiłeś jedenastego listopada zeszłego roku?

Massimo Bugno zmarszczył brwi.

- Listopada?

- Tak, listopada! Ogłuchłeś? Odpowiedz na moje pytanie!

Twarc Bugna rozjaśniła się niespodziewanie.

- Jedenastego? Ach, na tamten weekend wyjechałem z miasta.

Zen roześmiał się pogardliwie.

- Załatwiłeś sobie alibi, prawda? Teraz wiem już na pewno, że jesteś winien, Bugno, i niech mnie Pan Bóg strzeże, wyciągnę z ciebie zeznania, choćby i biciem.

- To prawda! Byłem pod Belluno, na farmie mojego teścia. Mogę to udowodnić!

- Och, jestem pewien, że bez trudu znajdziesz kilku krewniaków, którzy gotowi są posunąć się do krzywoprzysięstwa na twoją korzyść.

- To urodziny mojego teścia!

- Jedenastego?

- Ósmego.

- A co ma z tym wszystkim wspólnego ósmy? Nie próbuj kręcić!

- Pan nie rozumie. Urodziny wypadają ósmego, ale wtedy dzieciaki musiały iść do szkoły, a Lucia i ja do pracy. Pojechaliśmy tam na weekend i zostaliśmy do niedzieli wieczór. Jedenastego nie było mnie w mieście!

Bugno wbił wzrok w Zena, jak gdyby próbował go zahipnotyzować i sprawić, by



uwierzył. Nie było to jednak wcale potrzebne. Zen nie miał żadnych wątpliwości, że Bugno mówi prawdę. Z drugiej jednak strony nie mógł pozwolić sobie na wypuszczenie go na wolność, zanim nie przesłucha pozostałej dwójki.

- Jak tam sobie chcesz! - rzucił i wezwał strażnika, by ten odprowadził Bugna z powrotem do celi.

Zanim zajął się przesłuchaniem Domenica Zuina, zadzwonił do pobliskiego baru, by przyniesiono mu cappuccino i kawałek ciasta. Kilka minut później do środka wpadł Aldo Valentini, a nieomal tuż za nim weszła Pia Nunziata z prawą ręką na temblaku. W lewej dłoni trzymała beżową kopertę.

- Co tutaj robisz? - zapytał podejrzliwie Zen. - Powinnaś dostać tydzień urlopu.

Policjantka skinęła głową.

- Zamierzałam wziąć urlop, ale wszyscy moi krewni, przyjaciele i sąsiedzi zaglądali bez przerwy albo dzwonili co pięć minut, żeby dowiedzieć się, jak się czuję. W końcu zdecydowałam, że wolę już iść do pracy.

Wręczyła mu kopertę i wyszła, w drzwiach prawie zderzając się z kelnerem, który przyniósł śniadanie Zena. Zen dał napiwek obliczony tak, by zapewnić sobie równie szybką obsługę następnym razem, a później rozerwał kopertę i przejrzał znajdujące się w środku cztery kartki śliskiego papieru opatrzone nagłówkiem: „Heyman, Croft, Keinwort and Biggs, Kancelaria Adwokacka”. Za przepierzeniem Aldo Valentini stukał pospiesznie w klawisze maszyny do pisania.

- Jak leci, Aldo? - zawołał Zen.

- Nadal czekamy na telefon od gangu. Sfriso siedzi w domu przy telefonie na podsłuchu, próbuję teraz zorganizować odpowiedź na każdy możliwy rozwój sytuacji. Dzisiejszej nocy nawet nie zmrużyłem oka.

Zen zanurzył ostatni kawałek ciasta w kawie, później podniósł się i założył płaszcz i kapelusz. Domenico Zuin będzie musiał poczekać.

Na zewnątrz było spokojnie i sennie. Zen skręcił w lewo, kierując się na północ, w stronę kompleksu budynków szpitalnych położonego za kościołem poświęconym hybrydowemu świętemu Zanipolo. Przez plac pędził chłopiec na małym rowerku, nie zwracając najmniejszej uwagi na matkę, która pokrzykiwała: „Chodź tutaj!”, równocześnie plotkując z przyjaciółką na mostku. Zen przeszedł nabrzeżem wzdłuż pomalowanych w biało-błękitne pasy pali i wkroczył na imponujący dziedziniec szpitalny.

Oddział patologii mieścił się w odległym budynku po drugiej stronie pozakonnego kompleksu. Zen przeszedł pomiędzy grupami pacjentów w szlafrokach i odwiedzających, którzy ściskali w dłoniach kwiaty i owoce, po czym wysadzaną drzewami aleją skierował się w stronę zielonych drzwi opatrzonych napisem HISTOPATOLOGIA. Odrapany korytarz prowadził do sali pełnej sprzętów laboratoryjnych. Młoda kobieta w białym fartuchu skierowała Zena do małego pokoiku po drugiej stronie laboratorium, gdzie założył fartuch i gumowe buty. W powietrzu unosiła się nieprzyjemna woń formaldehydu.

W prosektorium stało sześć metalowych stołów, z których trzy były zajęte. Asystent zaszywał właśnie ciało kobiety, w której brzuchu pozostały gumowe rękawice, zakrwawiona gaza i egzemplarz „Corriere dello Sport”. Przy drugim stole asystent ściągał skórę z głowy mężczyzny i zabierał się do odpilowania pokrywy czaszki. Zen zapytał, gdzie może znaleźć patologa. Mężczyzna machnął metalową piłką w kierunku oddzielonego szklanym przepierzeniem biura na końcu sali, gdzie rumiany mężczyzna w białej plastikowej czapeczce i gumowych butach rozmawiał głośno przez telefon.

- ...no i w końcu zjawili się Anna i Patrizio, i co mieliśmy robić, musieliśmy obejrzeć całe

to gówny jeszcze raz od samego początku! Możesz w to uwierzyć? A kiedy Claudio spróbował delikatnie wytłumaczyć mu, że to już wystarczy, wściekł się kompletnie i zaczął nam wyrzucać, że nie jesteśmy jego przyjaciółmi.... To absurd! Kupił ją sobie zaledwie miesiąc temu, a już myśli, że jest Viscontim. - Mężczyzna spojrzął na Zena. - Dobrze, Marco. Muszę już lecieć. Co? Zgadza się, trupy zaczynają się niecierpliwić, he, he. Zadzwoń do ciebie później. - Odłożył słuchawkę. - Czym mogę panu służyć?

Zen przedstawił się i zapytał o wyniki sekcji zwłok numer 40763, które zostały znalezione na wyspie Sant'Ariano.

- Załatwione, skończone, zamknięte - rzucił niedbale patolog. - Staram się załatwiać takie cuchnące kawałki tak szybko, jak tylko można.

Zen podał mu faks przesłany przez firmę reprezentującą rodzinę Durridge'a.

- Jak sądzę, to dane medyczne tej osoby - powiedział. - To po angielsku, ale...

- Podobnie jak połowa literatury - odrzekł patolog. - Chce pan wiedzieć, czy to ten człowiek?

Spojrzął na podane materiały, podszedł do drzwi, gestem zapraszając Zena, by ten poszedł za nim. Poprowadził go do końca sali, gdzie na oddzielnym stole leżała długa plastikowa torba zapięta na zamek błyskawiczny. Kiedy ją otworzył, ze środka buchnęła fala odoru silniejszego od wszechobecnej woni formaldehydu. Wewnątrz leżał częściowo skompletowany szkielet i kupka luźnych kości. Na niektórych były jeszcze resztki ciała i skóry. Patolog wydobył żuchwę i porównał zęby z rysunkiem na faksie, później pochylił się nad czaszką i obejrzał górną szczękę.

- Wygląda na to, że pasują - wyszeptał. - Kilku zębów brakuje, ale prawdopodobnie wypadły na skutek upadku.

Wskazał na szereg słoików stojących na końcu stołu, gdzie w różowym płynie unosiły się organy wewnętrzne.

- Serce to potężny organ, wytrzymuje nawet tak dalece posunięty proces rozkładu. Nasz pacjent cierpiał na chorobę wieńcową. Zgadzałoby się to z danymi tego Amerykanina.

- A więc to ten sam człowiek? - zapytał Zen.

Patolog rozłożył ręce.

- Nie mogę wydać oficjalnego oświadczenia bez przeprowadzenia testów porównawczych.

- Ale nieoficjalnie.... - nalegał Zen.

- Nieoficjalnie powiedziałbym, że mam bardzo niewiele wątpliwości.

Zen westchnął przeciągle.

- Przypuszczam, że ustalenie przyczyny zgonu jest przy takim stanie zwłok niemożliwe.

- W większości przypadków rzeczywiście byłoby to bardzo trudne - odpowiedział patolog. - Tutaj jednak przyczyna zgonu jest absolutnie oczywista. - Wskazał na podstawę czaszki. - Proszę spojrzeć na to pęknięcie. Kręgi szyjne zostały wbite prosto w czaszkę. I jeszcze tutaj, złamanie z przemieszczeniem kości biodrowych i liczne pęknięcia miednicy. - Spojrzął na Zena. - Dowody mówią same za siebie.

- A co mówią? - zapytał sucho Zen.

- Ten człowiek zabił się, spadając z dużej wysokości.

Zen wbił w patologa zaskoczony wzrok.

- Spadając?!

- Och, tak. I to z naprawdę dużej wysokości. Co najmniej z czwartego piętra, może większej.

Zen wybuchnął śmiechem.

- To niemożliwe!
- Przepraszam? - powiedział zdziwiony patolog.
- W miejscu, gdzie znaleziono tego człowieka, nie ma żadnych budynków! Nie ma tam w ogóle nic, prócz drzew i krzaków.

Patolog zapiął torbę.

- Może zginął gdzie indziej, a ciało zostało później przeniesione w miejsce, gdzie je znaleźliście. Tego nie można stwierdzić, kiedy ciało uległo rozkładowi. Mogę jednak pana zapewnić, że podobne obrażenia mogły powstać wyłącznie w sposób, jaki przed chwilą opisałem.

Zen pokiwał głową.

- Oczywiście, *dottore*. Nie chciałem....
- W zależności od typu upadku istnieją drobne różnice. Przypominam sobie wypadek sprzed kilku lat, poborowego z sił powietrznych, któremu nie otworzył się spadochron.

Wylądował na głowie, z takim skutkiem, że czaszka została nadziana na kręgosłup. Tu są bardzo podobne obrażenia, nie doszło jednak do zmiążdżenia czaszki, należy więc zakładać, że człowiek ten upadł na nogi. Oczywiście, jest to wyłącznie kwestia przypadku. - Zdjął gumowe rękawice i uściśnął dłoń Zena. - Proszę zostawić te dane, a prześlę panu raport.

Po wyjściu ze szpitala Zen tak głęboko zatopił się w myślach, że nie zauważył pogrzebu. Został brutalnie odepchnięty, kiedy próbował przejść przez dziedziniec, i dopiero wtedy usłyszał żałobne bicie dzwonów i dostrzegł błękitną motorówkę zasypaną kwiatami i wieńcami z lilii i liści palmowych związanymi fioletowymi wstążkami. Zdjął kapelusz z szacunkiem, kiedy karawan, za którym popłynął sznur taksówek z żałobnikami, ruszył w krótką podróż na San Michele.

Kiedy tłum się rozpierzchł, Zen powoli skierował się w stronę *Questura*. Choć szedł równym i spokojnym krokiem, w jego głowie szalała burza. Sprawa Durridge'a weszła w niezwykle delikatny etap i Zen wiedział, że musi teraz zdecydować, co robić, a czego nie robić przed podjęciem następnego kroku. Błąd na tym etapie mógł nie tylko zniweczyć nadzieje na zamknięcie śledztwa, ale wystawić samego Zena na niebezpieczeństwo zawodowe, o ile nie osobiste.

Miał teraz przed sobą wszystkie elementy. Problemem było jedynie złożenie ich w całość w odpowiedni sposób, tak by można je było zrozumieć. Kluczem do całej sprawy, tego był pewien, była odpowiedź na pytanie, jak zginął Ivan Durridge. Jak można zginąć na skutek upadku z dużej wysokości w miejscu, gdzie nie ma z czego spaść? Pomysł patologa, że ciało zostało przetransportowane po śmierci, był niemożliwy do przyjęcia ze względu na warunki terenu. Można przewieźć trupa łodzią na Sant'Ariano, zakładając, że ktoś bardzo dobrze zna lagunę. Nikt jednak nie byłby w stanie przenieść ciała przez wyspę. Trzeba by ustawić je na miejscu za pomocą dźwigu albo...

Kiedy wszedł do budynku *Questura*, zawołał go policjant stojący za szybą z pancernego szkła.

- *Questore* życzy sobie widzieć pana natychmiast w swoim gabinecie, *dottore*.

Najwyższe piętro, pierwsze drzwi na prawo.

Francesco Bruno siedział za biurkiem i podpisywał dokumenty. Znakomicie ubrany, elegancko ostrzyżony i mówiący cichym, spokojnym głosem, nie wyglądał na policjanta. Mógłby równie dobrze być wyższym urzędnikiem międzynarodowej firmy albo popularnym politykiem.

- Ach, nareszcie - wyszeptał, widząc Zena. - Myślałem już, że zdążył pan wrócić do

Rzymu.

- Przepraszam, musiałem wyjść na chwilę, by zająć się kilkoma sprawami...

Bruno machnął niecierpliwie ręką.

- Nie mam nic przeciwko temu, by moi oficerowie wychodzili od czasu do czasu na kawę. Niestety, sprawa, o której muszę z panem porozmawiać, jest o wiele poważniejsza.

Podniósł leżącą na biurku gazetę, złożył ją starannie i podał Zenowi. Artykuł zatytułowany był WIEKOWA WENECKA

ARYSTOKRATKA NAPASTOWANA PRZEZ POLICJANTA W CYWILU. Umieszczony poniżej artykuł opisywał, jak *contessa* Ada Zulian została napadnięta na ulicy przez urzędnika pracującego w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, który próbował zmusić ją szantażem, by zmieniła swoje zeznania, co umożliwiłoby podjęcie śledztwa przeciwko jej siostrzeńcom. Kiedy *contessa* odmówiła, urzędnik - „którego nazwisko znane jest redakcji gazety” - posunął się do okrutnych uwag dotyczących tragedii, jaka w przeszłości dotknęła rodzinę Zulian. *Contessa*, której zdrowie jest ostatnio bardzo poważnie osłabione, zemdląła i konieczne było przeniesienie jej do sąsiedniego domu, gdzie po pewnym czasie wróciła do siebie. Artykuł potępiał ten „typowy przykład arogancji i brutalności Rzymu” i zachęcał czytelników, by jednoznacznie dali wyraz swojej pogardzie, głosując na *Nuova Repubblica Veneta* w nadchodzących wyborach municypalnych.

Zen spojrział na nagłówek.

- To gazeta partyjna - zauważył, rzucając ją na biurko. - Po prostu bawią się w politykę.  
- Grają do zwycięstwa! - odpalił Francesco Bruno. - Jeśli badania opinii publicznej się nie mylą, po najbliższych wyborach będą największą partią w radzie miejskiej. Ferdi-nando Dal Maschio stanie się osobą o ogromnej władzy i wpływach w stolicy prowincji, w której policją dowodzę właśnie ja. - Bruno patrzył Zenowi prosto w oczy, ale w jego wzroku była jakaś dziwna pustka, jak gdyby tak naprawdę nie widział wcale tego, na co patrzy. - Czasy się zmieniają, *dottore!* Oficerowie i policjanci nie mogą już zachowywać się jak sfora dzikich brytanów. Wszyscy musimy zdać sobie sprawę z tego, że jesteśmy sługami społeczeństwa, a nie jego panami. Odpowiedzialność. Oto hasło naszych czasów. - Podniósł się zza biurka, westchnął głośno i podszedł do okna. - Proszę, oto próbujemy zbudować nowe Włochy, ale mamy do dyspozycji wyłącznie stary materiał! Rozumiem, że osobie w pańskim wieku niełatwo jest od razu dostosować się do zmian, ale ten incydent dotyczący *contessa* Zulian jest absolutnie niewytłumaczalny. Po prostu nie można tego wybaczyć. - Odwrócił się twarzą do Zena. - Nie zamierzam dopuścić do tego, by podobne wybryki niszczyły starannie budowane stosunki ze społeczeństwem, które ja i moi pracownicy tworzymy z tak wielkim wysiłkiem. Wy, funkcjonariusze Criminalpol, przyjeżdżacie tutaj i wyjeżdżacie, my jednak musimy tutaj mieszkać i pracować. A to wymaga zdobycia i utrzymania zaufania i szacunku miejscowej ludności i co szczególnie ważne, jej wybieralnych przedstawicieli. - Francesco Bruno usiadł i ponownie zabrał się do podpisywania dokumentów. - Wydałem komunikat dla prasy, w którym stwierdziłem, że pańskie przeniesienie wygasa dzisiaj o północy - powiedział, nie podnosząc głowy znad papierów.

Zen nawet nie drgnął. Po pewnym czasie *questore* uniósł głowę.

- To wszystko - powiedział.

## XXI

Wracając do swojego biura, Zen spotkał Pię Nunziatę i zaprosił ją na kawę.

- Ty powinnaś być na zwolnieniu lekarskim, a ja właśnie dowiedziałem się, że mam zabrać z biurka swoje rzeczy - stwierdził, kiedy spojrzała na niego z powątpiewaniem. - Z technicznego punktu widzenia nie powinno nas tu w ogóle być.

Bar „*Dei Greci*” był pusty, jeśli nie liczyć dwóch starszych mężczyzn, którzy mamrotali coś do siebie nad kieliszkami wina. Pia Nunziata poprosiła o wodę mineralną, Zen zamówił dla siebie kawę i kieliszek grappy. Uważał, że zasłużył na niego.

- Dlaczego chcą pana wyrzucić? - zapytała policjantka, kiedy usiedli przy stoliku.  
- Zostałem wysłany, aby przeprowadzić śledztwo w sprawie Zulian, a sprawy Zulian już nie ma.

- Ale złapaliśmy ich na gorącym uczynku!

Zen posłał jej zaciekawione spojrzenie, potem pokiwał głową.

- Ach, zapomniałem, że nie było cię w pracy. Wygląda na to, że wywinęli się z tego. *Contessa* odmówiła składania zeznań przeciwko nim, a bez tego nie możemy im nic zrobić. A więc ty zostałeś postrzelony niepotrzebnie, a ja straciłem robotę.

Zapalił papierosa, wydmuchując dym pionowo w górę, tak, że znak „*Prosimy nie palić*” obracał się leniwie dokoła własnej osi.

- Mimo wszystko chciałbym jeszcze przed wyjazdem wyjaśnić pewną drobną kwestię i proszę cię o pomoc. Nie mam czasu, by zająć się tym osobiście, a potrzebuję tych danych bardzo pilnie.

- Z przyjemnością panu pomogę - odpowiedziała po prostu Pia Nunziata.

- Ale nie możesz nikomu powiedzieć, co robisz, rozumiesz? Teraz, kiedy otrzymałem rozkaz wyjazdu, mogłoby to skomplikować moją sytuację.

Policjantka skinęła głową.

- Może pan na mnie polegać.

Zen patrzył jej przez chwilę w oczy.

- Potrzebuję danych technicznych dotyczących ruchu lotniczego. Nie wiem, skąd kontroluje się go na tym terenie, ale prawdopodobnie albo z międzynarodowego lotniska Tessera, albo bazy lotniczej NATO w Treviso. Chcę mieć spis wszystkich przelotów na niskim pułapie nad laguną z jedenastego listopada zeszłego roku.

Pociągnął łyżeczek grappy, podczas gdy Pia Nunziata z wysiłkiem pisała w swoim notatniku.

- Napisać to dla ciebie? - zapytał Zen.

- Nie, dziękuję. Uczę się pisać lewą ręką.

- Zdobądź wszystkie możliwe informacje, w tak kompletnej formie, jak tylko zdołasz, i to jak najszybciej. Jutro cała sprawa będzie już nieaktualna.

- Zrobię, co w mojej mocy, proszę pana.

Policjantka wyszła, by zająć się zbieraniem danych, a Zen dopalił papierosa i dopił grappę, zanim ruszył z powrotem do *Questura*, by przesłuchać Domenica Zuina, o czym myślał z pewną niechęcią. Wyjąwszy Giulia Bona, nie istniały żadne dowody, że któryś z pozostałych mężczyzn również brał udział w porwaniu Ivana Durridge'a. Bon powiązany był z tym wydarzeniem przez sprzedaż łodzi Amerykanina, ale każda próba przesłuchania go wiązała się z wkroczeniem Carla Berenga Gorina. Co zaś tyczy się Massima Bugna, wydawało się teraz prawie pewne, że nie miał z porwaniem nic wspólnego.

Kluczem do całej sprawy był zatem teraz Domenico Zuin. Jeśli udałoby się przekonać go do współpracy, Zen miał szansę na osiągnięcie dostatecznego postępu w sprawie Durridge'a, by zmusić Francesca Bruna do przedłużenia czasu przeniesienia. Sprawa była jednak nad wyraz niepewna. Zuin był o wiele twardszym orzechem do zgryzienia niż Bugno, zaś taktyka, która okazała się skuteczna w jednym przypadku, nie musiała zadziałać w drugim. Bugno był pracownikiem najemnym, przywykł do wykonywania poleceń i posłuszeństwa wobec przełożonych, podczas gdy Zuin pracował dla siebie, był członkiem elity, która zmonopolizowała obsługę taksówek. Niełatwo było go zastraszyć czy za-szantażować, co wyraźnie dał do zrozumienia już w chwili, kiedy wprowadzono go do biura Zena.

- Chcę adwokata.

Domenico Zuin miał szczupłe, muskularne ciało i twarz, która Zenowi przywodziła na myśl Amerykanów: włosy jak szczotka, doskonale wygolony zarost, bardzo białe zęby i lekko wylupiaсте oczy.

- Nic nie powiem bez mojego adwokata - powtórzył.

Zen wzruszył ramionami.

- Nie proszę, by mi pan cokolwiek powiedział. To ja będę mówił. Chcę, by uzupełnił pan brakujące elementy, tak by kiedy poprosimy adwokata i kiedy będzie pan składał oficjalne zeznanie, miał pan jasny obraz tego, jak chce pan rozegrać tę sprawę.

Poczęstował Zuina papierosem, tamten jednak odmówił gwałtownym ruchem głowy. Zen zapalił i wydmuchnął chmurę dymu w przestrzeń przeciętą smugą przyćmionego słonecznego światła.

- Zasadniczo rzecz biorąc, czeka pana co najmniej dwa do czterech latek - podjął lekkim tonem. - Nie sądzę, by udało nam się zejść poniżej, niezależnie od tego, co byśmy zrobili. Z drugiej jednak strony może być więcej. O wiele więcej. - Podniósł akta Zuina i przejrzał ich zawartość. - Spójrzmy, co tu mamy... Dwa oskarżenia o próbę przekupstwa. Jeden napad, oskarżenie wycofane, kiedy świadek odmówił zeznań. Kilka spraw z udziałem niepełnoletnich chłopców do towarzystwa. Nie powinniśmy się tym jednak przejmować. - Rzucił dokumenty na biurko. - Nie widzę żadnych powodów, dla których nie moglibyśmy wsadzić pana na dwa do czterech lat do eleganckiej paki pod Parmą, gdzie siedzą skorumpowani biznesmeni i politycy. Przypuszczam, że nie miałby pan nic przeciwko temu. Mógłby pan nawiązać kilka użytecznych kontaktów. - Spojrzał w stronę Zuina, który wbił wzrok w podłogę, z widocznym wysiłkiem starając się nie odzywać. - Oczywiście mówię to wszystko, zakładając, że właściwie ustaliliśmy pozycję Giulia Bona -mówił dalej Zen. - Idealnie byłoby, gdyby okazało się, że zabraliście ze sobą trzeciego faceta. Tak wyglądałoby o wiele lepiej.

Zuin podniósł na moment głowę i przez chwilę ich oczy się spotkały.

- Chyba domyślam się, dlaczego za drugim razem nie zabraliście ze sobą Bugna - wyszeptał Zen. - To nie jest odpowiedni człowiek do trudnych sytuacji.

Oczy Zuina skakały nerwowo na boki, jak gdyby oślepiało je światło odbite od powierzchni, na których się zatrzymywały.

- Nie wiem, o czym pan mówi - wymamrotał.

Zen posłał mu długie, spokojne spojrzenie.

- Ależ wie pan. Nie wie pan jednak - nikt jeszcze o tym nie wie - że znaleźliśmy ciało. Skóra na policzkach Zuina napięła się.

- A przynajmniej to, co z niego zostało - dodał Zen, gasząc papierosa. - Ale wystarczyło to nam, by ustalić, kim był i jak zginął. A to wszystko zmienia. To znaczy, że mamy do czynienia z morderstwem.

Rozległo się pukanie do drzwi. Zen podniósł się, podszedł i otworzył. Pia Nunziata

podala mu kopertę.

- Naprawdę szybko to poszło - zauważył.
- To było bardzo proste - powiedziała policjantka. - Zadzwoiłam na lotnisko, oni zajrzeli do swoich zapisów z tego dnia i przefaksowali je do nas.

Zen podziękował jej i wrócił za biurko, przeglądając otrzymane papiery. Domenico Zuin wpatrywał się w niego z wyrazem najwyższego niepokoju na twarzy. Zen wpadł nagle na pewien pomysł.

- Wygląda na to, że przeciągnął pan strunę - wyszeptał, kiwając ze smutkiem głową. - Miałem nadzieję, że uda mi się pana z tego wyciągnąć, Zuin. Stwierdzić, że popłynął pan, nie wiedząc, co tak naprawdę się dzieje. Skupiałem się raczej na Bonie. W końcu to on spieprzył całą sprawę, sprzedając łódź Durridge'a. Wydawałoby się, że to na niego powinna spaść odpowiedzialność.

Na twarzy Zuina odmalował się szok.

- Nie wiedział pan o tym? - zapytał Zen. - Bon twierdził pewnie, że ją zatopi, ale w końcu zwyciężyła zachłanność. Dzisiaj można dostać sporo pieniędzy za *topa*, nawet jeśli nie ma się odpowiednich papierów. - Westchnął. - W każdym razie czeka nas wielki przełom w sprawie. - Postukał w kartkę papieru. - Jeden z moich kolegów przesłuchuje właśnie Bona. To brudnopis jego zeznań. Obawiam się, że próbuje cię wsypać. Twierdzi, że popłynął tam wyłącznie po to, by zająć się łodzią, i nie brał żadnego udziału w tym, co stało się później. Naprawdę jednak niebezpieczne jest to, co mówi...

Udał, że zagłębia się w lekturze tekstu.

- O, tutaj. Mój kolega zapytał go, jak opuścił *ottagono*. Bon odpowiedział: „Tak samo jak tam przypląnąłem, łodzią”. Pytanie: „Wraz z Domenikiem Zuinem?” Świadek: „Nie, on został na wyspie”. Pytanie: „A zatem jak się stamtąd wydostał?” Świadek: „Prawdopodobnie w taki sam sposób jak Durridge”.

- On kłamie! - krzyknął Zuin.

Zen wzruszył ramionami.

- On mówi. I tylko to się liczy. - Obszedł biurko i usiadł na jego krawędzi, spoglądając z góry na Zuina. - Wydaje mi się, że pan mnie nie rozumie, Zuin. Mam zwłoki bardzo bogatego człowieka. Potrzebuję kogoś, kogo w ciągu najbliższych paru godzin przekażę sędziom śledczym. Wolalbym, by był to Giulio Bon, a nie pan, ale jeśli pan milczy, a on śpiewa, nic już nie mogę zrobić. Jeśli nawet nie uwierzą wersji Bona, czeka pana minimum dziesięć do piętnastu lat za kratkami, jeśli zaś mu uwierzą - dożywocie. *Er-gastolo*. Dożywocie, czyli całe życie. Czyli śmierć.

Domenico Zuin uderzył pięścią w udo.

- Nie może pan pozwolić, by uszło mu to na sucho!

Zen zmarszczył brwi.

- Jedyne wyjściem, jakie widzę w tej chwili, jest przekonanie trzeciego człowieka, który z wami popłynął, by świadczył na pańską korzyść. Musieliście zabrać jeszcze kogoś, kto zastąpił Bugna. Jeśli on potwierdzi pańską wersję wydarzeń, może się jeszcze panu udać.

Zuin wbił wzrok w podłogę.

- On nie żyje.
- Szkoda. Znałem go może?
- Powinien pan - odpowiedział sucho Zuin. - Pracował tutaj.

Zen wyjrzał za okno.

- Oczywiście - wyszeptał. - Podniósł się, podszedł szybko do biurka i sięgnął po słuchawkę. - Połączcie mnie z sądem - powiedział telefonistce. - Spojrzał na Zuina. - Zamierzam

dać ci szansę - oznajmił. - Jeśli będziemy działać dostatecznie szybko, może uda nam się załatwić Bona. - Ponownie podniósł słuchawkę do ucha. - Halo? Tu *vicequestore* Aurelio Zen, dzwonię z *Questura*. Proszę o bezzwłoczne przysłanie adwokata z urzędu. Mam tutaj świadka, który chciałby złożyć zeznanie.

Dzwony całego miasta były właśnie południe, kiedy Zen wyszedł z *Questura* i przeszedł przez niewielki placyk na drugim brzegu kanału. Uwięziony przez ściany dźwięk odbijał się echem, sprawiając, że rozbrzmiewało nim całe *cam-*

*po*. Upływ czasu, który odmierzały dzwony, był zaledwie jednym - niewątpliwie najważniejszym - z czynników, od których zależał postęp działań Zena.

Od chwili, gdy Francesco Bruno postawił swoje ultimatum, czas stał się równie rzeczywistym uczestnikiem sprawy Durridge'a, jak każda z uwikłanych w nią osób, i Zen wiedział, że jego sukces lub klęska zależą od tego, w jakim stopniu uda mu się opanować zdradzieckie, zmienne prądy czasu. Zegar miał z tym niewiele wspólnego. W ciągu jednego poranka Zen osiągnął więcej, niż udało mu się dokonać przez większą część swego zawodowego życia. Liczyło się tylko poczucie całkowitego oddania sprawie, które go ogarnęło, kiedy stał przed Franceskiem Brunem jak uczeń przed dyrektorem i został odprawiony. Doświadczenie to sprawiło, że Zen wiedział teraz dokładnie, dlaczego pracuje.

Myśl, która nim kierowała, nie miała nic wspólnego z abstrakcyjnymi ideałami, takimi jak Sprawiedliwość czy Prawda. Jego marzenie było osobiste i osiągalne. Osiągnąwszy przełom w sprawie Durridge'a tam, gdzie inni zawiedli, mógł złożyć podanie o stałe przeniesienie i powrócić triumfalnie do rodzinnego miasta. Przywiózłby matkę z wygnania w Rzymie z powrotem między przyjaciół, do życia, które zmuszona była porzucić. Kiedy sprawa Durridge'a trafi do sądu, Cristiana Morosini będzie miała doskonały powód, by wystąpić o rozwód. A w jakiś rok później będzie mogła wyjść za Zena, nie wywołując niczyich specjalnych sprzeciwów. Dom Zenów na powrót stanie się prawdziwym domem, pełnym śmiechu i życia.

Powściągnął euforię. Wiele jeszcze musi zrobić. Następnym etapem powinien być obiad z Tommasem Saonerem.

- Z przyjemnością, Aurelio - odpowiedział uprzejmie Sa-oner, kiedy Zen do niego zadzwonił - niestety, zostałem już zaproszony.

- Odwołaj to.

Zapadła cisza, po czym Saoner wybuchnął śmiechem. Wydawał się zakłopotany apodyktycznym tonem przyjaciela.

- Obawiam się, że nie mogę, Aurelio.

- Obawiam się, że musisz.

Tym razem śmiech Saonera był mniej szczery.

- Nie baw się ze mną w policjanta.

- Staram się być twoim przyjacielem, Tommaso. Ale policjant już czeka, podobnie jak sędziowie i sądy, i reporterzy, i kamery telewizyjne. Będę czekał na ciebie w *El S'ciopón* od wpół do pierwszej.

Kiedy szedł do restauracji przy wąskiej uliczce w pobliżu kościoła San Lio, przystanął nagle. Sceneria przed nim - kombinacja mostu, kanału, uliczki, dziedzińca i ściany - należała do nieskończonego repertuaru wariantów, jakie składały się na miasto. Dopiero po chwili zorientował się, dlaczego właśnie ten widoczek wydał mu się tak bardzo ważny. Przypomniał sobie, że tu właśnie widział motorówki i metalową rurę prowadzącą do szamba, w którym poniósł śmierć Enzo Gavagnin.

Karabinierzy najwyraźniej nadal pracowali nad sprawą, ponieważ przy nabrzeżu wciąż stały dwie motorówki. Kiedy Zen przechodził przez most, z jednej z nich wyszedł



umundurowany oficer. Spojrzał na Zena raz, potem drugi.

- Rodrigo! Piętro!

Dwaj karabinierzy wyskoczyli na pokład z pistoletami maszynowymi gotowymi do strzału. Oficer zdążył już wyskoczyć na brzeg. Zen rozejrzał się dokoła, próbując ustalić, co zwróciło ich uwagę.

- Stój! - ryknął oficer.

- Stój, bo strzelam! - krzyknął młodszy głos.

Zen cofnął się o krok, żeby ich przepuścić i potknął się o przerażonego kota, który próbował przemknąć przez most. Przewrócił się, a kot poderwał się błyskawicznie i uciekł. Stukot butów zatrzymał się obok ucha Zena. Silna dłoń chwyciła go za kołnierz i przewróciła na plecy, tuż przy jego oku znalazła się lufa pistoletu.

- Rusz się tylko i już nie żyjesz - poinformował go mężczyzna z pistoletem.

Zen się nie poruszył. Nie odezwał się, a nawet, na ile zdawał sobie z tego sprawę, nie oddychał. Na kocich łbach zabrzmiały wolniejsze kroki.

- Zgadza się, to on! Morderca powraca na miejsce zbrodni. To spryciarz! Stał obok mnie, kiedy wyciągaliśmy ciało z kloaki. Zapytał mnie nawet, co się stało! A później odwrócił się do mnie i przyznał bezczelnie, że to on go zabił. No tak, mamy drania.

Zen jęknął z bólu, kiedy plastikowe kajdanki zacisnęły się na jego nadgarstkach. Jeden z policjantów trzymał go na muszce, a drugi przeszukiwał.

- Jest czysty, szefie.

- Dobra, idziemy.

Dwaj policjanci podnieśli Zena na nogi.

- Proszę zajrzeć do mojego portfela - wyszeptał Zen do oficera karabinierów.

- Próbujesz mnie przekupić? - krzyknął oficer. - To bardzo poważne przestępstwo!

- W kieszeni marynarki, po lewej stronie.

Major spojrzał ostro na Zena.

- Pilnuj go, Rodrigo! - warknął. - Piętro, przeszukaj go!

Potrafi wydawać polecenia, pomyślał Zen.

- Proszę, panie majorze - powiedział Piętro, wyciągając czarny skórzany portfel Zena.

- Proszę sprawdzić moją legitymację - powiedział Zen.

Karabinier otworzył portfel.

- *Cazzo!* - krzyknął.

- Co tam masz? - zapytał zirytowany major. - Co tam znalazłeś?

Piętro podał portfel swojemu przełożonemu.

- To pieprzony gliniarz!

Przez to opóźnienie, kiedy Zen dotarł na miejsce, restauracja była już prawie pełna. Ani śladu Tommasa, na razie więc Zen poprosił o wino i pogryzał grzanki. Po piętnastu minutach uległ namowom kelnera i zamówił obiad. Restauracja była pełna i kilku klientów musiało odejść z kwitkiem. Zen zamówił zestaw obiadowy - spaghetti z małżami, sardynki z grilla i *radicchio di Treviso al forno* - i zagłębił się w lekturze gazety.

Większość artykułów odnosiła się do najnowszych epizodów w trwającej już od pewnego czasu serii przypadków korupcji na szczytach władzy. Zen pilnie brnął przez artykuł redakcyjny, który sugerował, że podczas gdy z jednej strony bieżące wypadki są politycznym i społecznym trzęsieniem ziemi nie mającym sobie równego w historii ludzkości, kataklizmem, w porównaniu z którym rewolucje francuska i październikowa były zaledwie kosmetycznymi zmianami, dla spostrzegawczego obserwatora było jednoznaczne, że tak naprawdę nic się nie wydarzyło, a cała sprawa była jedynie następnym dowodem na to, że geniusz narodowy dostosowuje się do

okoliczności, niezależnie od wynurzeń zagranicznych komentatorów, którzy jak zwykle niczego nie rozumieją, co przecież nie może nikogo dziwić.

Wewnątrz numeru umieszczono fotoreportaż przedstawiający przywódcę *Nuova Repubblica Veneta* w towarzystwie czarującej i atrakcyjnej żony witanego przez entuzjastycznych zwolenników w Pellestrinie, Burano i Treporti. Zdjęcia przedstawiały Dal Maschia za sterami helikoptera, którym poleciał do każdej z tych miejscowości, Dal Maschia kroczącego pewnie przez ulice miasteczek, witającego mieszkańców i całującego dzieci, Dal Maschia zwracającego się do zgromadzonych tłumów. „Wenecja jest sercem laguny”, stwierdził według autora artykułu, „a NRV wyznacza rytm tego serca. Nie pozwólmy lagunie umrzeć! Niech żyje Wenecja! Głosujcie na Nową Republikę Wenecką!” U jego boku stała uśmiechnięta Cristiana w różowej sukience i narzuconym na ramiona futrze.

Na stole pojawiło się pierwsze danie, Zen złożył gazetę i zaczął jeść. Małże pochodziły z laguny, prawdziwe *vongole veraci*, które gotowano w oliwie z czosnkiem i pietruszką, aż muszle się otworzyły, odsłaniając drobne kawałki delikatnego mięsa. Zen zajmował się nimi po kolei, jadł też długie nitki spaghetti, z których spływał gęsty sos. Nawijał właśnie na widelec ostatnie nitki makaronu, kiedy naprzeciwko usiadł Tommaso.

- Nie mogłem wyrwać się wcześniej. Musiałem zmienić cały plan dnia. O co, do diabła, chodzi, Aurelio?

Przy ich stoliku zatrzymał się kelner. Tommaso zdjął ciężkie okulary, których szkła zasłzy parą, i powiedział, że rezygnuje z *primo*. Poprosił o to, co można było dostać najszybciej.

- Co się dzieje? - zapytał, kiedy kelner się oddalił.

Zen otarł usta chusteczką.

- Potrzebuję pewnych informacji.

Tommaso Saoner założył okulary i spojrzał chłodno na Zena.

- Nie jestem donosicielem, Aurelio.

Zen zapalił papierosa.

- Przekazując policji informacje, nie stajesz się zaraz donosicielem, Tommaso. Wprost przeciwnie, wypełniasz obowiązek dobrego obywatela.

Saoner nalał sobie wina i sięgnął po grzanekę.

- Informacje w jakiej sprawie?

- Ivana Durridge'a.

Saoner obejrzał się gwałtownie, później pospiesznie spojrzał na Zena.

- Kogo?

Zen potrząsnął głową ze szczerym zakłopotaniem. Tommaso Saoner był jego przyjacielem od czasów, kiedy minuta trwała dłużej niż dzisiaj miesiąc. Gdzie byli teraz tamten Tommaso i tamten Aurelio, o wiele bardziej prawdziwi niż bladzi samozwańcy, którzy zajęli ich miejsce?

- Wiesz, kogo - powiedział. - Wszyscy wiedzą. - Wydmuchnął chmurę dymu. - Ale ty wiesz więcej niż inni, Tommaso.

Saoner zmarszczył czoło.

- Kiedy do Ciebie dzwoniłem, domyślałem się, że wiesz - dodał Zen - a teraz jestem już pewien. Nie próbuj mnie okłamywać, Tommaso. Nic z tego nie wyjdzie. Za dobrze Cię znam.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Na wargach Zena pojawił się blady uśmiech.

- Zabawne. Wszyscy, z którymi rozmawiałem o sprawie Durridge'a, mówią dokładnie to samo. Domenico Zuin, Giulio Bon, a teraz ty. Czy uczycie tej formułki nowych członków?

Kelner przyniósł drugie danie, a Saoner wykorzystał okazję, by przez chwilę w milczeniu

zająć się sardynkami.

- Członków czego? - zapytał w końcu.

Zen westchnął z niecierpliwością.

- Daj spokój, Tommaso! Możesz nie uważać mnie już za przyjaciela, ale nie traktuj mnie jak głupca. - Wsunął do ust różowo-fioletowe listki cykorii. - Zuin i Bon są członkami. Podobnie jak Massimo Bugno, który pojechał z nimi na rekonesans, ale się nie sprawdził. Zastąpił go więc Enzo Gavagnin, który nie tylko był członkiem, ale jednym z zastępców Dal Maschia. Tak jak ty. - Wbił wzrok w Saonera, który przestał czyścić rybę z ości. - Gavagnin był może dzielniejszy od Bugna, ale nie był specjalnie inteligentny. To on pierwszy przekonał mnie o istnieniu związku pomiędzy *Nuova Repubblica Veneta* a sprawą Durridge'a. Kiedy wezwałem Bona na przesłuchanie, Gavagnin ujawnił, że on sam i Bon są członkami. A w chwilę później do moich drzwi zastukał drogi adwokat, niejaki Carlo Berengo Gorin. -Zauważył skrzywienie Saonera i skinął głową. - Znasz go, nieprawdaż? A ja dowiedziałem się od... - Urwał. Omal nie wymienił imienia Cristiany! - ...od przyjaciela, że Dal Maschio również go zna. Przypuszczam, że to prawnik partii.

Tommaso Saoner spróbował wzruszyć ramionami z udawanym znudzeniem.

- Co to wszystko ma wspólnego ze mną?

Zen, zanim udzielił odpowiedzi, bez pośpiechu zabrał się do następnej sardynki.

- Domenico Zuin złożył pełne zeznanie w sprawie swojego udziału w porwaniu Ivana Durridge'a. Złożył je z dobrej woli w obecności prawnika. Mam je w tej chwili w swoim biurze, zaraz zostanie dostarczone do urzędu prokuratora okręgowego.

- Powtarzam, co to wszystko ma wspólnego ze mną?

Zen spojrział Tommasowi prosto w oczy.

- Byłeś kiedyś moim najlepszym przyjacielem. Daję ci szansę na wyplątanie się z całej tej sprawy, póki jeszcze jest czas.

Saoner gapił się na niego. Wyraz jego twarzy wahał się pomiędzy niepokojem a gniewem.

- A dlaczego sądzisz, że ktokolwiek uwierzy w stek bzdur wymyślonych przez tego człowieka? - zapytał pogardliwie.

Zen wzruszył ramionami.

- Jestem pewien, że Zuin usunął niektóre szczegóły i poprawił inne, by przedstawić siebie w lepszym świetle. Twierdzi na przykład, że nie schodził z łodzi i że Gava-gnin i Bon zaprowadzili cudzoziemców na brzeg. Może to być kłamstwo. Ale tak naprawdę nic mnie to nie obchodzi. - Usunął ości z ostatniej sardynki i wbił widelec w delikatne mięso.

- Jakich cudzoziemców? - zapytał Saoner z wystudiowaną obojętnością.

- Nie wie, kim byli ani skąd pochodzili. Nie rozpoznał ich języka, ale nie był to włoski. Było ich czterech, młodzi i wyglądali na żołnierzy. Zuin odebrał ich z hotelu koło opery Fenice, a z nimi Bona i Gavagnina. Bon powiedział mu, że ludzie ci chcą dostać się na wyspę na lagunie, którą wcześniej oglądali razem z Bugnem. - Odsunął od siebie talerz i zapalił następnego papierosa. Porcja Saonera leżała nie tknięta.

- Przed południem, kiedy przyływ był jeszcze dostatecznie wysoki, Zuin przewiózł ich na *ottagono*. Twierdzi, że cudzoziemcy zeszli na ląd razem z Gavagninem i Bonem, podczas gdy on sam wrócił do miasta i zabrał się do pracy. Oczywiście, później usłyszał o zniknięciu Amerykanina, podobnie jak wszyscy. Dostał jednak swoje pieniądze i nic więcej go już nie obchodziło.

- To wszystko? - zapytał Tommaso ironicznie.

- To wystarczy.

Saoner roześmiał się pogardliwie. Zen przyjrzał mu się z powagą.

- Zastanów się, Tommaso. Zuin przywiózł na wyspę sześciu ludzi. Wiemy, że Giulio Bon zabrał łódź Durridge'a, żeby utrudnić późniejsze śledztwo, i że był odpływ. Bon musiał więc odpłynąć niewiele później. Wiemy też, że Durridge był wciąż na wyspie kilka minut po pierwszej, bo rozmawiał przez telefon ze swoją krewną. Wtedy było już zbyt późno, by opuścić wyspę drogą wodną. A jednak kiedy Franco Calderan wrócił o piątej z odwiedzin u swojej siostry w Lido, wyspa była pusta.

Pochylił się do przodu.

- A zatem jak Durridge i pozostali opuścili wyspę?

Saoner wzruszył niecierpliwie ramionami.

- Przecież to twoje życie polega na odpowiadaniu na takie pytania, co, Aurelio? Wymyślasz teorie dotyczące tego, co mogło lub nie mogło się zdarzyć, i grasz nimi jak talią wyświechtanych kart! Myślę, że i ja mógłbym przyłączyć się do tej gry, ale za bardzo zajmuje mnie prawdziwe życie.

Zen spojrział na niego i skinął głową.

- Cieszę się, że ty i twoi przyjaciele tak świetnie się bawicie, Tommaso, ale ktoś musi po was posprzątać.

- Zostaw partię w spokoju! - rzucił Saoner. - Nie masz nawet strzępka dowodu, by nas oskarżać. Co z tego, że Zuin i jego wspólnicy zbiegiem okoliczności okazali się naszymi członkami? Do partii należą tysiące prostych, uczciwych, ciężko pracujących weneccjan! Oni są naszą siłą i naszą dumą! Oni gwarantują przyszłość tego miasta, Zen, podczas gdy tacy jak ty potrafia tylko wygrzebywać brudne sprawki z przeszłości. - Wstał od stołu. - Wszystko, co powiedziałeś, to wyłącznie niczym nie poparte oszczerstwa.

Teraz, kiedy zbliża się chwila, gdy weźmiemy w nasze ręce ster władzy, nasi wrogowie próbują poruszyć niebo i ziemię, by rzucać nam kłody pod nogi.

- Myśli Przewodniczącego Dal Maschia strona dziewięćdziesiąta czwarta - odpalił Zen.

Saoner zarumienił się.

- Wiesz, że nie jestem jego papugą.

- Chcesz przez to powiedzieć, że sam wymyśliłeś te tanie retoryczne chwytły? To chyba jeszcze gorsze!

Saoner wpatrywał się w niego zimnym wzrokiem.

- Kiedyś byliśmy przyjaciółmi, Zen, ale nie znaczy to, że muszę wysłuchiwać twoich obelg.

Odwrócił się. Zen rzucił na stół pieniądze, poderwał się pospiesznie i wyszedł za Saonerem z restauracji.

- Poczekaj, Tommaso! Przepraszam, jeśli cię obraziłem. Martwię się po prostu, że za bardzo uległeś takim ludziom. Jestem pewien, że sam nie miałeś nic wspólnego z morderstwem Durridge'a, ale...

Tommaso Saoner odwrócił się gwałtownie.

- Morderstwem?

Para wchodząca właśnie do restauracji spojrzała na nich ostro. Zen wziął przyjaciela za ramię i poprowadził kawałek w głąb uliczki.

- Znaleźliśmy zwłoki na tej wysepce cementarzu, na którą kiedyś razem popłynęliśmy - wyszeptał. - Niewiele z niego zostało, po tym jak zajęły się nimi ptaki i robactwo. Ale one nie jedzą kości, szkielet Durridge'a był strzaskany, miał kręgosłup wbity w czaszkę. - Zacisnął palce na ramieniu Saonera, odwrócił go twarzą do siebie i spojrział prosto w oczy. - Jak porwać człowieka z jednej wyspy i zrzucić go na inną w taki sposób, by połamać mu wszystkie kości? Jak sądzisz, Tommaso? Którą z wyświechtanych kart wybrałbyś z mojej talii?

Patrzyli na siebie przez chwilę. Nagle Saoner odwrócił się gwałtownie.

- Zostaw mnie w spokoju! - krzyknął rozpaczliwie. - Nie prosiłem, byś mi się zwierzał!  
Nie wiem, w co grasz, i nie chcę tego wiedzieć! Zostaw mnie tylko w spokoju! Zostaw mnie w spokoju!

Ruszył pospiesznie uliczką. Zen pobiegł za nim, nagle jednak zatrzymał się i powoli odszedł w przeciwnym kierunku.

## XXII

Dzień, który wcześniej zapowiadał nadejście bliskiej wiosny, wczesnym popołudniem przypomniał sobie, że jest dopiero luty. W chłodnym powietrzu gęstniał mrok. Srebrzył okna w gabinecie Zena, zmieniając je w lustro, w którym odbijały się gasnące nadzieje na przełom w sprawie Dur-ridge'a.

Giulio Bon nie chciał mówić. Przez prawie dwie godziny Zen przesłuchiwał go w obecności Carla Berenga Gorina. Ku wielkiemu zaskoczeniu Zena prawnik wcale nie próbował się wtrącać. Wprost przeciwnie, ostentacyjnie zajął się dodatkiem kulturalnym do „La Repubblica” i wielkim cygarem, które wydobyl z aluminiowej rurki i przez dłuższy czas przycinał, zanim je w końcu z widocznym zadowoleniem zapalił.

Zen przygotowany był na to, że Gorin zrobi wszystko, co w jego mocy, by utrudnić przesłuchanie, ale teraz, kiedy zeznanie Domenica Zuina trafiło już do Marcella Mamolego, pewien był sukcesu. W rzeczy samej liczył na to, że będzie mógł odplacić Gorinowi za wszystko, co musiał ścier-pieć w ciągu minionego tygodnia. Dowody przeciwko Bonowi były nie do odparcia. Niezależnie od tego, jak bardzo Gorin mógłby przeszkadzać w przesłuchaniu, w końcu będzie musiał przyznać się do porażki.

Zen potrzebował zaledwie kilku minut, by zorientować się, że zadowolenie adwokata nie oznacza niczego dobrego. Jeśli Carlo Berengo Gorin nie siedział na krawędzi krzesła, próbując wykorzystać wszelkie nieprawidłowości proceduralne, nie znaczyło to wcale, że ma świadomość porażki, a wprost przeciwnie, że pewien jest swojego zwycięstwa. Zen zbyt późno zdał sobie sprawę z tego, że popełnił fatalny błąd, zdradzając Tommasowi Saonerowi postępy śledztwa.

Saoner z pewnością przekazał wiadomości swoim towarzyszom, którzy skontaktowali się z Gorinem, składając za jego pośrednictwem ofertę Bonowi. Za milczenie mógł dostać określoną kwotę w gotówce, choć bardziej prawdopodobne było, że propozycja obejmowała również obietnicę wywarcia nacisku politycznego na sąd apelacyjny, kiedy *Nuova Repubblica Veneta* „weźmie w swoje ręce ster władzy”. Oferta została przekazana podczas wstępnej rozmowy, do której Bon i Gorin mieli prawo zgodnie z postanowieniami kodeksu postępowania cywilnego.

Z chwilą, gdy umowa została zawarta, interes, na jaki mógł liczyć Zen, stał się nieaktualny. Gdyby istniała choćby najslabsza nadzieja na osiągnięcie przełomu, przesłuchanie trwałoby choćby i po świt, tak długo, jak tylko byłoby konieczne. Teraz jednak, po przedstawieniu Bonowi zeznań Zuina, zgodnie z którymi ten pierwszy ponosił pełną odpowiedzialność za lądowanie na *ottagono*, na co nie otrzymał żadnej odpowiedzi, Zen zrezygnował z dalszego przesłuchania.

Zen miał jeszcze jednego asa w rękawie. Wyciągnął z teczki dane otrzymane przez Pię Nunziatę ze stacji kontroli lotów w Tesserze i podszedł do wiszącej na ścianie mapy prowincji Wenecja. Wyciąg z danych pokazywał wszystkie loty zgłoszone w dniu, kiedy zaginął Ivan Durridge. Zen wykreślił już większość pozycji, które dotyczyły startów i lądowań na międzynarodowym lotnisku. Pewna liczba lotów odbyła się nad samym miastem, głównie w okolicach Wyższej Szkoły Marynarki Wojennej na Sant'Elena i kwatery głównej wojsk obrony wybrzeża na Giudecce.

Po wyeliminowaniu tych pozycji pozostały trzy loty, które mogły przebiegać w pobliżu Sant'Ariano. Jeden z nich, lot ćwiczebny nad Adriatykiem z bazy USAF w Treviso, można było wykreślić. Pozostałe dwa były lotami jednostek cywilnych, w obydwu wypadkach śmigłowców. Pierwszy wystartował o dziesiątej rano z Triestu i przeleciał nad laguną w drodze do Vicenzy. Drugi wystartował na kilka minut przed czternastą z lotniska w San Nicolo, wylądował w

Alberoni, na południowym krańcu Lido, a później poleciał do Gorizii, miasta na północno-wschodnim krańcu Friuli, na granicy z dawną Jugosławią. Śmigłowiec zarejestrowany był jako własność firmy o nazwie *Aeroservizi Veneti*.

Zen przesunął palcem po błyszczącej powierzchni mapy, wyszukując wymienione miejsca. San Nicolo leżało na północnym krańcu Lido, Alberoni położone było kilka kilometrów od *ottagono*, na którym mieszkał Ivan Durrige. Przy tej skali Gorizia leżała gdzieś na suficie, ale wyglądało na to, że trasa przelotu przechodziła mniej więcej bezpośrednio nad Sant' Ariano, zaznaczoną na mapie krzyżykiem, i dalej nad równinami Piave i Tagliamento.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i do środka wpadł Aldo Valentini.

- Zaczęło się! - krzyknął. Przeszukał pospiesznie szuflady biurka, łapiąc dokumenty, mapę miasta, rewolwer i kaburę. - To będzie coś potwornego! Gang wyraźnie jest podejrzliwy. Zamiast zwykłego przekazania towaru kazali Sfri-sowi zabrać heroinę do baru w Mestre i oczekiwać dalszych instrukcji. Prawdopodobnie każą mu czekać kilka godzin, zanim zrobią następny ruch.

Zadzwoił telefon na biurku. Valentini złapał słuchawkę.

- Tak? Tak? Kto? Co?

Położył słuchawkę na biurku.

- Do ciebie.

Zen podszedł i sięgnął po telefon.

- Halo?

- Cześć, Aurelio.

Dzwoniła Cristiana.

- Cześć.

Aldo Valentini rzucił się do drzwi.

- Powodzenia! - krzyknął za nim Zen.

- Dlaczego? - zapytała Cristiana.

- Mówiłem do kolegi. Czeka go bardzo trudna operacja. Nie wiedzieć czemu, połączyli cię z jego numerem.

- Nic nie rozumiem. Kiedy poprosiłam, by połączyli mnie z tobą, powiedzieli, że w budynku nie ma nikogo takiego. Co się dzieje, Aurelio?

Zen uśmiechnął się ponuro. Już stawał się nikim.

- Później ci to wyjaśnię - powiedział. - Kiedy możemy się spotkać?

Wydawało się, że Cristiana jest zakłopotana.

- No, to zależy od tego.... kiedy masz czas.

- Koło ósmej?

- Och, to za późno!

Zen zaniepokoił się przez chwilę.

- Za późno na co?

- To znaczy... nie moglibyśmy spotkać się wcześniej?

- O ile wcześniej?

- Na przykład o szóstej?

Jej głos wydawał się dziwnie zmieniony. Zen jednak uznał to za dobry znak, dowód na to, że ją również dotknęła burza, która odmieniła jego życie uczuciowe, wrywając ich oboje z tego, co znajome, ku nowej, wspólnej przyszłości.

- Zdasz się do domu po powrocie z pracy? - zapytał.

W słuchawce na chwilę zapadła cisza.

- To nie problem - powiedziała w końcu.

Jej głos brzmiał tak dziwnie, że Zen chciał już zapytać, czy dobrze się czuje. Nie były to jednak sprawy, które można było omawiać przez telefon. Za parę godzin mogą porozmawiać o wszystkim twarzą w twarz.

- Do zobaczenia o szóstej - powiedział.

Znowu na chwilę zapadła cisza.

- Żegnaj - powiedziała Cristiana.

Zen odłożył słuchawkę, zastanawiając się, dlaczego Cristiana tak pilnie chce się z nim zobaczyć. Może po tym, co powiedziała jej telefonistka, obawia się, że Zen zamierzają porzucić i wrócić do Rzymu bez ostrzeżenia. Rozumiał, jak bardzo prawdopodobne mogło się to wydawać z jej punktu widzenia. Jego sprawy w mieście zostały zamknięte, zabawił się co nieco, a teraz nadeszła pora wracać do domu. Zen uśmiechnął się do siebie. Za kilka godzin będzie mógł ją uspokoić.

Najpierw jednak czekało go o wiele mniej przyjemne zadanie. Niezależnie od tego, jakie motywy kryły się za burą, którą tego ranka zrobił mu Francesco Bruno, Zen musiał przyznać, że sobie na nią zasłużył. Spojrzał na zegarek. Miał akurat dość czasu, by przed umówionym spotkaniem z Cristianą zajrzeć do Palazzo Zulian i przeprosić za wszystko. Przeprosiny mogły zostać odrzucone, ale powinien przynajmniej spróbować.

A jednak zamiast założyć płaszcz i kapelusz i wyjść, Zen ponownie sięgnął po telefon. Teraz, kiedy napięcie związane ze sprawą DurrIDGE'a opadło, stracił panowanie nad swoim postępowaniem i ulegał przelotnym kaprysom. Myśl o Adzie Zulian przypomniła mu o matce i z gwałtownym poczuciem winy zdał sobie sprawę z tego, że nie dzwonił do niej od wyjazdu z Rzymu. Z pewnym oporem wykręcił znajomy numer.

- Halo? *Mamma*?. Wszystko w porządku? Masz taki dziwny głos.

- To ja, Aurelio.

- Przepraszam?

- Ja, Tania. Pamiętasz?

Przez chwilę zastanawiał się, czy przez pomyłkę nie wykręcił niewłaściwego numeru.

- Tania! - wykrzyknął z przesadnym entuzjazmem. - Jak się czujesz?

- Twoja matka wyszła z domu.

- Wyszła? Dokąd?

Przez chwilę panowała cisza.

- A ty, Aurelio?

- Przepraszam?

estchnienie.

- Gdzie jesteś?

- Oczywiście, nadal w Wenecji. Jak sądzisz, gdzie niby mogę być? Przepraszam, że do was nie dzwoniłem, ale byłem bardzo zajęty.

- Oczywiście.

- Wszystko w porządku?

- Nic nie jest w porządku.

- Przepraszam?

- PRZESTAŃ MNIE W KOŃCU PRZEPRASZAĆ!

- Przepraszam, to znaczy, przykro mi, jeśli...

- Wcale nie jest ci przykro, gównu cię to obchodzi!

Przez chwilę panowała cisza.

- Jesteś skurwysynem bez serca, Aurelio - powiedziała zgaszonym głosem Tania. - Bóg jeden wie, dlaczego się z tobą związałam.



Zen odsunął od siebie słuchawkę, a potem odłożył ją na widelki. Czuł się tak, jak gdyby zderzył się na ulicy i pokłócił z nieuprzejmym cudzoziemcem, którego języka nie znał zbyt dobrze. Po tej rozmowie pozostało jedynie poczucie zakłopotania, agresji i - ponad wszystko - bezsensu. O ile znaczenie dość dziwnego tonu Cristiany można będzie wyjaśnić już w chwili, gdy się spotkają, niezdolność porozumienia się z Tanią, zarówno dosłowna, jak i przenośna, spowodowana była głęboką skazą w ich związku, której nigdy nie uda im się usunąć. Teraz był tego absolutnie pewien.

Zebrał swoje rzeczy i ruszył do drzwi. Naciskał właśnie klamkę, gdy telefon na biurku Valentiniego rozzwonił się ponownie. Zen pomyślał, że może to być jakaś pilna wiadomość w sprawie przemytu narkotyków, i wrócił, by odebrać. W pierwszej chwili wydało mu się, że po drugiej stronie nie ma nikogo. Później dobiegł go odgłos stłumionego łkania.

- Przepraszam, Aurelio. Wybacz, proszę. Czuję się tak bardzo samotna, a to był straszny okres. Właściciel domu nasłał na mnie policję. Wróciłam do domu i zorientowałam się, że w drzwiach wymieniono zamki, a wszystkie moje rzeczy wyrzucono na ulicę. Gdyby nie przypilnował ich ksiądz z sąsiedniego kolegium, wszystko by rozgrabiono. -Zamilkła, ale Zen się nie odezwał. - Wprowadziłam się na kilka dni do hotelu, ale kiedy tylko twoja matka dowiedziała się, co się stało, zaprosiła mnie do siebie. Była dla mnie cudowna, Aurelio. Naprawdę świetnie nam się żyje. -Westchnęła. - Wiem, że nie było to dla ciebie proste, Aurelio, ale musisz spróbować zrozumieć moją sytuację. Wysłałam młodo za męża, a małżeństwo skończyło się katastrofą. Nie chciałam popełnić następnego podobnego błędu, którego mogłabym żałować przez całe życie. Dlatego tak bardzo opierałam się pomysłowi, byśmy zamieszkali razem. Miałeś jednak rację, nalegając. Związki nigdy nie są statyczne. Jeśli ludzie nie zbliżają się do siebie, zaczynają się oddalać. Przez pewien czas mogliśmy być wyłącznie kochankami i prowadzić oddzielne życie, ale tak dłużej być nie może. Ten etap już się skończył. Musimy posunąć się dalej.

Urwała. Zen jednak nadal nic nie mówił.

- Chcę, byśmy zamieszkali razem - podjęła Tania cichym, pewnym głosem. - Chcę, byśmy stali się prawdziwą rodziną, byśmy mieli swój dom i dzieci i byli razem przez cały czas. Twoja matka tego potrzebuje. Potrzebuje towarzystwa, zwłaszcza teraz, kiedy tak często nie ma cię w domu. Dlatego zgadza się opiekować dziećmi twoich znajomych, państwa Nieddus. Tak przy okazji, właśnie do nich poszła.

Zen nadal się nie odzywał.

- Nie musimy rozmawiać o tym przez telefon - powiedziała Tania. - Chciałam tylko powiedzieć ci, co teraz czuję, wiedzieć, że to rozumiesz i że ty też to czujesz. Czułam się tak bardzo samotna, Aurelio, po tej okropnej kłótni w zeszłym tygodniu. Nie wiem już, o co nam wtedy poszło ani które z nas miało rację. Nic mnie to nie obchodzi. Chcę tylko wiedzieć, kiedy wrócisz do domu.

- Tu jest mój dom.

Na długą chwilę zapadła cisza.

- Co powiedziałaś? - zapytała w końcu Tania.

Wpatrywał się pustym wzrokiem w biurko, na którym leżały długopisy.

- Aurelio? Jesteś tam jeszcze?

Zen mocniej zacisnął dłoń na słuchawce.

- Powiedziałem, że mój dom jest tutaj.

- Ale co to znaczy, Aurelio? Co to znaczy?

Siedział nieruchomo, bez słowa. Po pewnym czasie w słuchawce rozległ się trzask, a później bezosobowy mechaniczny szum.

W pewnej chwili podczas długiej bezsennej nocy w głowie Ady pojawia się nagle myśl, że prześladowanie nie skończyło się wcale, przybrało tylko inną formę.

Nigdy nie sypiała dobrze, nawet wtedy, kiedy nie miała jeszcze powodów, by czuwać, wsłuchując się w każde skrzypnięcie podłogi czy zawiasów i odpędzając senność, tak by nie obudzić się nagle, kiedy piześladowcy będą już w jej pokoju. Nie potrafi wręcz przypomnieć sobie, co znaczy dobry sen. To swego rodzaju nieobecność, czyż nie? Spokój laguny w upalną letnią noc. Od czasu do czasu sen wzburzy niewidoczną powierzchnię, a później czuła, bezkresna ciemność zamknie się znowu aż do rana.

Wiele lat minęło od chwili, kiedy po raz ostatni przydarzyło się jej coś podobnego. Teraz nie jest już wcale pewna, kiedy śni, a kiedy czuwa. Być może nie ma to specjalnego znaczenia. Nie było w jej życiu nic bardziej realnego od Rosetty, a jednak córka zniknęła bez śladu czy powodu, jak sen. A może śniła tylko, że miała kiedyś córkę? Myśl ta przyniosłaby jej ulgę i uspokojenie, gdyby tylko zdołała w nią uwierzyć. Nie potrafi jednak. Mimo upływu tak wielu lat wciąż pamięta delikatny puszek na ramionkach dziecka, zapach mleka w oddechu, zabawnie pedantyczny sposób mówienia, czułe spojrzenie orzechowych oczu...

Sny są inne. Czasami pełne są przerażenia i szaleństwa, lęku i bólu, ale nie potrafią doprowadzić jej do łez. Może właśnie dlatego Ada woli ich towarzystwo. W końcu, kiedy tak leży zawieszona pomiędzy jawą a snem, przychodzi jej do głowy tak wiele różnych myśli. Oczywiście, nie są to myśli, które sama by wybrała, gdyby miała taką możliwość. Trudno nawet powiedzieć, że lepsze to niż nic - nic byłoby nieskończenie lepsze - ale tylko to jej pozostało. Ada przywykła już do tego, by cieszyć się tym, co się ma.

Myśl, która przyszła jej do głowy tej nocy, była szczególnie niemiła, tak bardzo, że Ada odepchnęła ją od siebie i próbowała schronić się w nie przynoszącym odpoczynku wysiłku zastępującym jej sen. Dopiero kiedy słyszy dzwonek, podnosi się z łóżka, podchodzi do okna i widzi stojącą na dole postać, przypomina sobie, co to była za myśl. Jej prześladowcy nie poddali się, zmienili jedynie swoje kształty. Z istic diabelskim sprytem, który zawsze ich cechował, wybrali sobie człowieka, który twierdził, że ją przed nim chroni - jej tarczę i obronę, jej dzielnego mściciela.

Ależ to wszystko ma sens! Aurelio Battista, syn Giusti-niany, ten marzyciel - policjantem? Od samego początku wiedziała, że to kompletny absurd. Jej nowa myśl ma sens, ale sens ten sprawia, że przychodzą jej do głowy następne myśli, tak potworne, że Ada potrzebuje kilku minut, by opanować drżenie nóg, kiedy orientuje się w końcu, że mężczyzna stojący pod jej drzwiami jest rzeczywistym Aureliem Zenem w stopniu nie większym, niż jej okrutni dręczyciele, którzy przez tak długi czas zatruwali jej życie, byli Nannim i Vincenzem.

Dzwonek dzwoni długo i uporczywie. Ada odsuwa się pospiesznie od okna, zanim mężczyzna zdoła dostrzec jej odbicie w lustrze. Oczywiście, ukrywanie się nie ma żadnego sensu. Oni wiedzą, że tu jest, dla pozorów jedynie proszą, by pozwoliła im wejść. Jeśli nie zareaguje, upiór przewróci się na swą pozbawioną cienia stronę i wpłynie do domu przez szpary między ceglami, jak zapach wody z kanału. Lepiej będzie odważnie stawić czoło niebezpieczeństwu i spróbować pokonać go jakimś fortem. W końcu potrafi nie najgorzej kłamać.

Wyraz zaskoczenia i podejrzliwości na twarzy gościa, kiedy Ada otwiera drzwi i uprzejmie zaprasza go do środka, dowodzi, że tak właśnie należało postąpić. Wytrąciła swoich przeciwników z równowagi i przez chwilę może teraz przejąć inicjatywę.

- Wejdz na górę - mówi ciepło - dam ci... coś do picia.

Już zamierzała zaproponować mu herbatę, ale w porę zdała sobie sprawę z tego, że oznaczałoby to konieczność wyjścia z pokoju i spuszczenia intruza z oczu. Wie dobrze, że nie

należy tego robić.

- Przyszedłem, by panią przeprosić, *contessa* - mamrocze gość pełnym szacunku tonem, kiedy wchodzi na górę.

Ada przygląda się swemu gościowi spokojnie. Postanawia nazywać go Zeno.

- Przeprosić? Za co?

Spojrzenie, które tamten posyła w odpowiedzi, jest tak pełne konsternacji, że wręcz zabawne.

- Za to, co wydarzyło się wczoraj. Nie powinienem był dać się sprowokować w taki sposób, ale... No cóż, miałem w pracy trudny dzień. Kiedy pani siostrzeńcy zaczęli mnie zaczepiać, była to kropla, która przepełniła czarę.

Ada śmieje się wyniośle, kiedy wchodzi do salonu.

- Przyznaję, że odrobinę zaskoczyły mnie twoje słowa.

Jej gość wydaje się całkowicie upokorzony.

- To było niewybaczalne.

- Widzisz, wydawało mi się, że jestem jedyną osobą, która zna prawdę.

Odważny cios, ale trafia prosto w cel. Zeno gapi się na nią z otwartymi ustami jak idiota.

- O Rosetcie? - szepcze.

Poprawia go z pobłażliwym uśmiechem.

- O Rosie. Rosie Coin.

Gość kiwa głową jak lunatyk. Ada siada na szezlongu i eleganckim gestem wskazuje Zenowi, by zajął miejsce na o wiele mniej wygodnym krześle naprzeciwko.

- Oczywiście, krążyły najróżniejsze dziwaczne plotki - podejmuje spokojnie. - Jak gdyby Niemcy mogli wziąć wenecką arystokratkę za dziecko żydowskiego kupca!

Na próżno starając się wyglądać na osobę spokojną i odprężoną, Zeno zakłada nogę na nogę i obejmuje dłońmi kolano.

- I... wzięli nie to dziecko, czy to chce pani powiedzieć?

- Ależ to oczywisty absurd! - oznajmia wyniośle Ada. - Wiesz jednak, jacy są ludzie. Kiedy coś sobie wbiją do głowy...

Głowa naprzeciwko kiwa potakująco. Nie jest nawet specjalnie podobny, myśli Ada z pogardą. Syn Giustiniانى, gdyby wciąż żył, na pewno by tak nie wyglądał.

- Przez pewien czas podejrzewałam niejakiego Dolfina - mówi dalej Ada pewnym głosem. - Mieszkał w sąsiedztwie i Rosetta od czasu do czasu zaglądała do jego domu.

Przekupywał ją, rozumiesz, ciastkami i słodyczami. Tylko po to tam chodziła. Ja nie miałam dostępu do podobnych luksusów, ale Dolfin miał przyjaciół we władzach i mógł dostać wszystko, co chciał. Oczywiście, wyłącznie dlatego go odwiedzała. Miłość przez żołądek.

Zeno nadal kiwa głową, a Ada zdaje sobie nagle z drzeniem sprawę z tego, że jej przeciwnicy tylko to mogą teraz zrobić. Potakiwać, nic więcej. Przechytrzyła ich całkowicie. Po tylu latach niepokoju i niepewności wreszcie udało się jej zwyciężyć.

- Kiedy więc zniknęła, oczywiście było, że podejrzewałam Dolfina, iż maczał w tym palce. To nienaturalne, by samotnie mieszkający mężczyzna zapraszał do siebie małe dziewczynki. A pamiętaj, że działo się to podczas wojny. Wtedy trup był tylko trupem.

Skinienie, skinienie. Ada również kiwa głową, ale z ironią, z której jej gość wyraźnie nie zdaje sobie sprawy.

- Nagle jednak dostałam list, zupełnie nieoczekiwanie! Tam właśnie mieszka. Jak widać, ukryła się gdzieś do końca wojny, a później uciekła do ziemi obiecanej.

Spogląda tryumfująco na swego gościa.

- Mam nadzieję, że raz na zawsze wyjaśnia to całą sprawę.

Przez długą chwilę panuje cisza. Nagle Zeno podnosi się niepewnie.

- Nie będę więcej do pani przychodził, *contessa*.

Ada marszczy brwi. Nie potrafi uwierzyć własnym uszom. Czyżby jej przeciwnicy przyznali się do porażki? Czy jej zwycięstwo jest już pewne?

Jak gdyby odpowiadając na jej myśli, gość dodaje: - Nic już nie mogę tutaj zrobić.

Adę zalewa fala słodkiej ulgi. Chciałaby zatańczyć i zaśpiewać, ale dobre wychowanie podpowiada jej, że nie należy robić nic podobnego.

- Rozumiem.

Zeno wyciąga rękę.

- A zatem żegnam.

To ostatnia próba, ale Ada jest zbyt sprytna, by dać się wciągnąć w pułapkę. Nie zwracając uwagi na wyciągniętą dłoń, odprowadza go na *portego*. Na podeście zwraca się ku niemu.

- Żegnam - mówi uprzejmie, ale zdecydowanie.

Gość wpatruje się w nią przez chwilę, później wymijają i schodzi po schodach, wychodzi z jej domu, z jej życia. Ada odwraca się, opierając się nacierającej fali. Jej duchy opuszczają ją, spływają po schodach, kierując się w stronę otwartych drzwi.

Już nie nawiedzony dom wydaje się uspokajać, kurczyć. Przez chwilę Adę ogarnia fala paniki. Przywykła do tych potwornych istot, do obszernych nierzeczywistych przestrzeni, jakie się wokół nich tworzyły. Zimne, sprawdzalne fakty wydają się teraz nudne i ograniczone.

Ostro mówi jednak sobie, że musi wziąć się w garść. Ród Zulianów nie przetrwałby tak długo, gdyby jego członkowie zajmowali się popłakiwaniem po kątach nad tym, że życie nie jest doskonałe. Jej szaleństwo ją opuściło, to wszystko. Nie ma po czym płakać. Oczywiście, potrzeba będzie trochę czasu, by przywyknąć do normalności, ale jakoś jej się to uda. W końcu zawsze się jej udawało.

## XXIII

Przeszedł przez plac przed wysokim, niezgrabnym kościołem i ruszył wzdłuż wąskiego kanału, obserwowany przez stado parszywych kotów, które przysiadły na ustawionych specjalnie dla nich skrzynkach. Mrok, który już zapadł, jak gdyby przesączał się do wnętrza jego głowy. Żalose próby Ady Zulian, by jednocześnie potwierdzić i zanegować tragedię, która zburzyła jej życie, walka z niemożliwymi do zniesienia faktami były dla niego głęboko wstrząsającym doświadczeniem. Po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, czy prawda dotycząca tajemnic, które go otaczały, nie była nie tylko nieznaną, ale i niepoznawalną.

Takie właśnie jest to miejsce, zauważył. O ile Rzym jest labiryntem potężnych i zwalczających się wzajemnie klik, z których każda musi chronić swoje sekrety, tu wszystko jest złudzeniem, nieskończenie zmienną grą pozorów bez kształtu i ciężaru. Tutaj wie się tyle, ile się widzi, nic więcej. Los Ivana Durridge'a, podobnie jak los Rosetty Zulian, a zapewne i jego własnego ojca, na zawsze pozostaną tajemnicą, przedmiotem spekulacji, niedopowiedzeń i tematem starczych opowieści. Zen poczuł się jak mucha, która wpadła w sieć zastawioną przez od dawna już martwego pająka.

Gdyby nie wizja bliskiego spotkania z Cristianą, poczucie bezsensu stałoby się prawie niemożliwe do zniesienia. W porównaniu jednak z taką nagrodą wszystkie przegrane wydawały się mało istotne. Cóż znaczyło wszystko inne, kiedy znalazł swoją drugą połowę? Cóż obchodziły go kłopoty w pracy, kiedy jego życie miało właśnie odmienić się całkowicie? Dostrzegął ironię faktu, że nowe wiązało się ze starym, kobieta, z którą chciał dzielić resztę swego życia, była postacią z jego dzieciństwa, mieszkała naprzeciwko domu, w którym dorastał!

Powiała zimna bryza, przenikając miasto jak armia szpiegów. Wchodząc na trójkątne *campo*, Zen z radością dostrzegł światło przesączone przez zamknięte okiennice na pierwszym piętrze. Obawiał się tylko tego, że Cristiana może się spóźnić. Normalnie wracała do domu dopiero o siódmej, musiała jednak coś załatwić, aby móc spotkać się z nim wcześniej. Z przyjemnością zamknął za sobą drzwi i niecierpliwie ruszył na górę.

Na schodach nikt na niego nie czekał. Zen powiesił płaszcz i kapelusz na wieszaku i wszedł do pokoju. Tutaj jednak również nie było Cristiany. Na pewno jest w kuchni, pomyślał z radością, przygotowuje kolację. Dopiero gdy znalazł się na środku pokoju, zauważył mężczyznę siedzącego w fotelu tyłem do drzwi. Tu właśnie siadał zawsze ojciec, a Zen nigdy nie zdobył się na odwagę, by zająć jego miejsce. Zatrzymał się, czując, jak serce wali mu dzikim rytmem, a żołądek ściska skurcz.

- Jak się tutaj dostałeś?

Ferdinando Dal Maschio wstał z uprzejmym uśmiechem.

- Moja żona dała mi klucz. - Stał, czekając, aż Zen do niego podejdzie. - Z tego, co wiem, ostatnio widywaliście się dość często, jednak w zaistniałych okolicznościach skłonny jestem nie przywiązywać do tego wagi. - Spojrzał na zegarek. - Dzisiaj wieczorem mamy ważne zebranie partyjne. Dlatego właśnie poprosiłem Cristianę, by zorganizowała schadzkę wcześniej niż zwykle. Oczywiście, zgodziła się, podobnie jak wtedy, gdy poprosiłem ją, by skserowała dla mnie faks dotyczący sprawy Durridge'a, którzy przysłali twoi sprzedajni patroni z Rzymu. - Oczy Dal Maschia zabłyśły. - Cokolwiek wymyślicie razem z Cristianą, Zen, ta kobieta należy do mnie. Wystarczy, że gwizdnę, a do mnie przybiegnie. To samo tyczy się twojego przyjaciela, Tom-masa Saonera. - Roześmiał się kpiąco. - Tommaso opowiedział mi dokładnie, jak próbowałeś w trakcie obiadu zachwiać jego wiarę w nasz ruch. Traciłeś tylko czas, trzeba było najpierw mnie zapytać. Tommaso jest jednym z moich najbardziej zaufanych kolegów,

zamierzam wysunąć jego kandydaturę na stanowisko mego zastępcy, kiedy zostaną wybrani na burmistrza. A tak przy okazji, nic z tego, co mu powiedziałeś, nie było dla niego niespodzianką, od samego początku brał udział w sprawie!

- Nie wiedział, że Durrige nie żyje - rzucił Zen.

Ferdinando Dal Maschio przyznał mu rację lekkim skinieniem głowy.

- Nie ma to żadnego znaczenia. Tommaso wolałby umrzeć, niż zdradzić ruch. Podobnie jak Cristiana wolała raczej zdradzić ciebie, niż odmówić spełnienia mojego niewielkiego kaprysu, jakim było zaskoczenie cię w twoim własnym domu. Oboje należą do mnie, duszą i ciałem. Takie właśnie uczucia budzę u ludzi, Zen.

Zen wpatrywał się w Dal Maschia zimnym wzrokiem.

- Nie jesteś tutaj mile widzianym gościem - powiedział twardo.

- To ty nie jesteś tutaj mile widzianym gościem, Zen.

- To mój dom.

- To moje miasto.

- Nie bardziej niż moje.

Dal Maschio potrząsnął przecząco głową.

- Rezultaty wyborów municypalnych udowodnią, że nie masz racji. Ostatnie badania opinii publicznej dowodzą, że *Nuova Repubblica Veneta* ma znaczną przewagę nad wszystkimi rywalami.

- Może się to zmienić, kiedy jej przywódca zostanie aresztowany pod zarzutem porwania i morderstwa - odpalił Zen.

Dal Maschio rozłożył szeroko ręce.

- Chcesz porozmawiać ze mną o Durrige'u? Nie ma sprawy. Powiem ci wszystko, co powinieneś wiedzieć. - Obszedł fotel dookoła i oparł się o niego, jak gdyby stał na mównicy. - Chciałbym najpierw stwierdzić, że dzisiaj nie pozwoliłbym się wciągnąć w coś podobnego. Mówi się, że w polityce tydzień to bardzo dużo czasu, ale sprawy, które wydarzyły się w ciągu kilku ostatnich miesięcy, zaskoczyły nawet mnie. Gdybyś powiedział mi w listopadzie, że wkrótce będziemy mieli szansę na zwycięstwo w wyborach municypalnych z bardzo poważną szansą na obecność polityczną na skalę krajową w ciągu roku, uznałbym pewnie, że jesteś wariatem. - Uśmiechnął się z nostalgią. - Niełatwo jest dzisiaj przypomnieć sobie, że wówczas byliśmy bardziej klubem dyskusyjnym niż wiarygodną siłą polityczną. Zamierzaliśmy przekonać ludzi do tego, by ponownie zastanowili się nad wszystkim, co od nazbyt dawna brali za pewnik, roztrzaskać zastane struktury i zaproponować nowe, radykalne rozwiązania dla problemów nękających kochane przez nas wszystkich miasto. Częścią naszej strategii było nawiązanie kontaktów z podobnie myślącymi grupami na stałym lądzie. Podjęliśmy oczywiście rozmowy z regionalnymi *Leghe*, ale również z niemieckojęzycznym ruchem separatystycznym w Górnej Adydze i różnymi grupami Ladino i Friulano. Najbliższe jednak stosunki nawiązaliśmy z odrodzoną właśnie Republiką Chorwacji, nie tylko przez wzgląd na związki historyczne z tym regionem, ale i dlatego, że Chorwaci uzyskali to, o czym my możemy wciąż jedynie marzyć - rozpad rzekomego państwa narodowego i odbudowę regionalnej niepodległości, integralności kulturalnej i autarchii politycznej.

Zen ziewnął głośno i zapalił papierosa.

- Oszczędź mi tych przemów.

Dal Maschio spojrzał na niego z uwagą.

- Dobry jesteś w drwinach.

Odpowiedzi nie było. Dal Maschio skinął głową.

- W porządku, rozumiem. Ja sam się kiedyś tak zachowywałem. W ten sposób można

chronić się przed uczuciem. Gdybyś przyznał przed samym sobą, że jesteś weneccjaninem, urodzonym i wychowanym na tych wyspach, mówiącym tutejszym dialektem i przesiąkniętym miejscową kulturą, nie tylko musiałbyś pogodzić się z dumą i bólem, które takie przyznanie się niesie ze sobą, musiałbyś również zacząć działać, aby zachować i ochronić te wartości. Musiałbyś albo być gotów do walki, albo przyznać się do swego lenistwa i tchórzostwa. O wiele prościej jest drwić ze wszystkiego.

- Powiedziałeś, że opowiesz mi o sprawie Durridge'a. Albo przejdiesz do konkretów, albo wypierdalaj stąd.

Dal Maschio wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Jak już powiedziałem, Chorwaci stali się inspiracją dla wszystkich ruchów separatystycznych, ale ich zwycięska walka miała szczególne znaczenie dla nas, weneccjan. Wybrzeże dalmatyńskie nowej Chorwacji było przecież pierwszym i ostatnim przyczółkiem weneckiego imperium. Piękne i zabytkowe miasta tego wybrzeża zostały wzniesione przez naszych przodków i być może, pewnego dnia ponownie załopoce nad nimi nasza flaga. Niezależnie jednak od tego, co się wydarzy, narody chorwacki i wenecki nie mogą być sobie obojętne. Kiedy więc skontaktowała się ze mną delegacja chorwacka z propozycją, która wydawała się wzajemnie korzystna, skłonny byłem, co oczywiste, przychylić się do ich prośby. - Zrezygnował ze swej pozy, ponownie obszedł hotel i usiadł na nim, zakładając nogę na nogę. - Chcieli Ivana Durridge'a, a raczej Duricia. Nigdy wcześniej o nim nie słyszałem, ale moi chorwaccy znajomi przekazali mi wszelkie niezbędne dane. Durridge był Serbem z Sarajewa, ponosił odpowiedzialność za niektóre z najgorszych zbrodni, jakich dopuszczono się w czasie wojny. Niektóre z nich były zbyt potworne, by tu o nich wspominać. Pokazywano mi fotografie i zeznania ocalonych. Czy możesz wyobrazić sobie, że pewnej kobiecie i jej córce obcięto powieki, wielokrotnie zgwałcono, a później zmuszono, by patrzyły, jak ich synów i braci wbijano na pal? To była najmniejsza ze zbrodni Duricia, a on żył sobie spokojnie na prywatnej wyspie na lagunie! - Skierował oskarżycielsko palec na Zena. - Gdyby to jeszcze nie wystarczyło, w czasie obecnego konfliktu dostarczał również broń bośniackim Serbom. Dlatego właśnie śledztwo w sprawie jego zniknięcia zostało wyciszone przez tajne służby. Pamiętasz może skandal dotyczący organizacji Gladio, która została założona, aby sabotować możliwe przejście po wojnie władzy przez komunistów? Gladio dysponowała schowkami z bronią rozrzuconymi po całych Włoszech, jedynie niewielka ich część została odnaleziona. Ze względu na tempo, w jakim zaczęła się ostatnio zmieniać sytuacja, szefowie tajnych służb chcieli opróżnić je tak szybko, jak to było możliwe, a oczywiście nie mieli nic przeciwko temu, by przy okazji napełnić swoje kieszenie. Ivan Durridge spełnił oba te życzenia. Zabrał od nich broń, a w zamian wpłacał pieniądze na konta w szwajcarskich bankach.

- Ile ci zapłacili Chorwaci? - zapytał Zen.

Dal Maschio pokiwał ze smutkiem głową.

- Może trudno przyjdzie ci w to uwierzyć, Zen, ale nie chodziło wcale o pieniądze. Chodziło o dowód wiarygodności i dobrej woli wobec potencjalnego sojusznika i partnera handlowego w federalnej i regionalnej Europie przyszłości.

- I nie przeszkadzało ci, że te piękne słowa miały kosztować ludzkie życie?

Dal Maschio podniósł się znowu i zrobił krok w stronę Zena, wymachując ramionami, by podkreślić swoje słowa.

- To nie miało nic wspólnego z nami! Plan zakładał przewiezienie Durridge'a do Gorizii, gdzie mieliśmy „przypadkowo” przekroczyć granicę i wylądować w ustalonym miejscu już na terytorium słoweńskim. Chorwaccy komandosi, którzy znaleźli się na wyspie Durridge'a wcześniej, zanim wylądowałem na niej helikopterem, mieli dostarczyć go później do Zagrzebia,

gdzie zostałyby postawiony przed sądem za zbrodnie wojenne. Otrzymałem informację, że sprawa zostanie załatwiona w ten sposób, i wierzę, że tak właśnie miało się stać. - Westchnął. - Niestety, Durridge miał inne plany, być może słusznie. Zanim dotarłem na miejsce, zdążył dość poważnie oberwać. Gavagnin powiedział później, że zabiliby go, gdyby nie telefon od siostry. Trzymali mu pistolet przy jajach, kiedy z nią rozmawiał, ale zdążyli wtedy zdać sobie sprawę z tego, że jest im potrzebny żywy aż do startu, by nie wzbudzić niepotrzebnego niepokoju. Niestety, kiedy wznieśliśmy się w powietrze, popełnili błąd i osłabili czujność. Zorientowałem się dopiero, kiedy Dur-ridge otworzył drzwiczki i wyskoczył z helikoptera. - Dal Maschio wzruszył ramionami. - Jak już powiedziałem, nie zrobiłbym tego po raz drugi. Stawka jest teraz zbyt wysoka, by porywać się na podobne szaleństwo. Z drugiej jednak strony nie wstydę się tego, co zrobiłem. Chorwaci są naszymi ideologicznymi sojusznikami, a Ivan Durridge był zbrodniarzem wojennym.

- Podczas gdy ty jesteś zaledwie zbrodniarzem zwyczajnym - powiedział Zen, wrzucając niedopałek do popielniczki.

- Nigdy nie zostałem oskarżony o popełnienie żadnego przestępstwa, a już na pewno - nie skazany. I nigdy nie zostanę.

- To akurat zobaczymy.

- Puste słowa! - oznajmił z pogardą Dal Maschio. - Gdybyś miał jakieś dowody przeciwko mnie, już byś mnie aresztował, a nie stał tutaj, rzucając puste groźby. Nie masz jednak nic, co wiązałoby mnie albo jakiegokolwiek członka ruchu z porwaniem Durridge'a, poza nie potwierdzonym zeznaniem jakiegoś właściciela taksówki.

- Jak łódź Durridge'a dostała się w ręce Giulia Bona?

- Znalazł ją na wodach laguny.

- Jeden z waszych helikopterów został odnotowany w zapisach kontroli ruchu powietrznego, przelatował z Lido do Gorizii w dniu zniknięcia Durridge'a. Trasa lotu przebiega zarówno nad *ottagono*, jak i Sant'Ariano. Czy to wyłącznie zbieg okoliczności?

- Nie mniejszy i nie większy niż to, że droga do Werony przebiega przez Padwę i Vicencę - odpowiedział natychmiast Dal Maschio. - Leciałem z Lido do Gorizii. A jaką trasę, twoim zdaniem, powinienem wybrać? Przez dolinę Padu?

- A dokąd właściwie leciałeś?

- Transportowałem ładunek ryb do restauracji w Gorizii, której właścicielem jest nasz przyjaciel należący do separatystów friulańskich. Zamówienie było prawdziwe, mogę to potwierdzić listami przewozowymi i fakturami. - Dostrzegłszy wyraz twarzy Zena, Dal Maschio wybuchnął śmiechem. - Nie masz przeciwko mnie nic prócz strzępów wiadomości, które nie wystarczyłyby do skazania recydywisty, a już na pewno nie burmistrza-elekta. A dzięki szybkiej reakcji *qu-estore* na artykuł dotyczący obrzydliwego ataku na *contessa* Zulian, twoje przeniesienie wygaśnie za zaledwie kilka godzin. Francesco Bruno wyraźnie znakomicie potrafi dostosować się do sytuacji politycznej. Spójrz prawdzie w oczy, Zen, zostałeś pokonany. - Nagle zrobił krok naprzód i położył dłonie na ramionach Zena. - Możesz jednak przemienić swoją klęskę w zwycięstwo! Jesteś jednym z nas, Zen! Wiesz, że tak jest! Nasza drużyna wygrywa. Już zwyciężamy, a przyszłość przyniesie kolejne sukcesy. Mamy za sobą prostych ludzi, ponieważ mówimy językiem, który rozumieją. Teraz potrzebujemy profesjonalistów, wykształconej klasy średniej obdarzonej zdolnościami kierowniczymi. Ludzi takich jak ty!

Zen strząsnął jego dłonie.

- Co robisz w Rzymie? - krzyknął Dal Maschio. - Reżim, któremu służysz, zbankrutował moralnie i finansowo. To tak jakbyś pracował dla KGB po upadku Związku Radzieckiego. Centrum już nie istnieje, Zen. Życie przeniosło się na peryferie. W nowej Europie



centrum to peryferie. Pora wrócić do domu. Czas powrócić do korzeni, do tego, co istnieje naprawdę, ma sens i będzie trwać.

Zen odwrócił się do niego plecami.

- Zachowaj te retoryczne chwytaki na swoje zebranie.

- To nie są jedynie retoryczne chwytaki i ty dobrze o tym wiesz! Czy chcesz Europy, która przypominać będzie międzynarodowe lotnisko, gdzie każdym językiem mówi się niepoprawnie, przyjmuje każdą walutę, ale kupić za nią można wyłącznie bezduszne śmieci i niejadalne resztki? Nie chcesz tego! Nie możesz tego chcieć!

- Nie chcę też Europy, gdzie politycy dokonują przestępstw kryminalnych, w których wspierają ich skorumpowani policjanci na żołdzie miejscowej mafii.

Dal Maschio wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie mi nie uwierzysz, ale przysięgam, że nie miałem najmniejszego pojęcia o tym, że Gavagnin brał udział w handlu narkotykami. To była zupełnie inna część jego życia. Nie zwierzał mi się z niej, a ja nie próbowałem naciskać. W każdym razie skoro rynek na narkotyki istnieje, dlaczego to Sycylijczycy mieliby zgarniać wszystkie zyski? Nie, żartowałem tylko...

Zen spojrzał na niego pustym wzrokiem.

- Myślę, że powinieneś już iść.

Dal Maschio spojrzał na zegarek i zaczął zapinać płaszcz.

- Wcześniej czy później będziesz musiał podjąć decyzję, Zen. W nowej Europie nie będzie miejsca dla kosmopolitów, którzy nigdzie nie mają korzeni. Pełna będzie granic, zarówno fizycznych, jak i ideologicznych, które będą rygorystycznie strzeżone. Albo będziesz wtedy mógł pokazać swoje dokumenty, albo poniesiesz konsekwencje. - Pochylił się w stronę Zena i niemal wyszeptał: - Nie ma prawdziwych przyjaciół bez prawdziwych wrogów. Jeśli nie nienawidzimy tego, czym nie jesteśmy, nie potrafimy kochać tego, czym jesteśmy. Po ponad stu latach sentymentalnych bzdur powoli i z bólem odkrywamy teraz te stare prawdy. Ci, którzy je odrzucają, odrzucają swoje rodziny, swoje dziedzictwo, swoją kulturę, swoje prawo, samych siebie! Niełatwo przyjdzie im uzyskać przebaczenie!

Wyszedł z pokoju i zbiegł po schodach. Zen stał nieruchomo, wsłuchując się w napięcie w stukot butów Dal Maschia, jak gdyby kryła się w nim informacja, co dalej robić. Zatrzaśnięcie drzwi frontowych wyrwało go z bezruchu. Przeszedł na podest i sięgnął po kapelusz i płaszcz.

Wiatr stał się jeszcze chłodniejszy. U wylotu ulicy prowadzącej do Cannaregio Zen dostrzegł mężczyznę, który z cienia wszedł w stożek światła rzucanego przez lampę. Zen nacisnął kapelusz głębiej na uszy i z powiewającymi połami płaszcza ruszył w tym samym kierunku.

Dal Maschio maszerował szybkim krokiem, aż dotarł do oświetlonej ulicy pełnej ludzi kierujących się w stronę stacji kolejowej. Tutaj zwolnił nieco kroku, co pozwoliło mu odpowiednio reagować na częste pozdrowienia. Przy nielicznych uprzywilejowanych zatrzymywał się na chwilę dostatecznie długą, by wymienić kilka uwag albo poklepać spotkanego po ramieniu, większość jednak mogła liczyć jedynie na uśmiech i skinienie głową, jednoznacznie sugerującymi, że ma się tu do czynienia z zajęтым i ważnym człowiekiem, po którym nie można się przecież spodziewać, że będzie rozpoznawał wszystkich znających jego.

Zen utrzymywał dystans, przybliżając się, kiedy tłum gęstniał, i oddalając nieco, kiedy zbliżyli się do mostu Scalzi i wkroczyli w stosunkowo puste uliczki. Tutaj Dal Maschio pozdrawiany był rzadziej, ale prawie zawsze zatrzymywał się, by zamienić kilka słów. Santa Croce z brzydkimi kamienicami, upadającymi sklepami i starzejącymi się mieszkańcami stała murem za *Nuova Repubblica Veneta*, a przywódca ruchu nie mógł sobie pozwolić, by

którykolwiek z jej mieszkańców poczuł się obrażony lub zignorowany.

Na skutek tych ciągłych przerw upłynęło kolejne dwadzieścia minut, nim znaleźli się w końcu na obszernym Campo Santa Margherita. Dal Maschio przeszedł przez plac, minął rząd platanów, których gałęziami szarpał zimny wiatr, i samotny domek, na którego ścianie wisiała zabytkowa tablica informacyjna podająca minimalne długości dla wszystkich gatunków sprzedawanych tu ryb. Skręcił w prawo, kierując się w stronę kościoła Karmelitów, i wszedł pod *sottoportego*, na którym umieszczono prawie nieczytelny znak pochodzący jeszcze z czasów wojny, żółtą strzałką umieszczoną pod słowem PLATZKOMMANDANT.

Zen odwrócił się, rozglądając się za jakimś miejscem, w którym mógłby zaczekać. Znalazł tylko jeden otwarty bar, właściwie zapuszczoną winiarnię, gdzie powietrze gęste było od tytoniowego dymu i dźwięku głośnych rozmów w miejscowym dialekcie. W słabym świetle widać było kilka postaci, kobiet i mężczyzn - wszyscy byli posunięci w latach i wyraźnie po kilku kieliszkach. Wszyscy obserwowali Zena, kiedy kierował się w stronę stolika pod oknem. Kiedy badanie się zakończyło, większość gości na powrót podjęła przerwane rozmowy, nie zwracając więcej uwagi na nowo przybyłego, tylko jedna para nadal go obserwowała.

Zen przyjrzał się im przelotnie, kiedy siadał przy stoliku. Rozpoznał mężczyznę, był to Andrea Dolfin, ale kobiety - spokojnej i nieobecnej duchem, nieco już po sześćdziesiątce - nigdy wcześniej nie widział, choć nie wiedzieć czemu, wydawała mu się znajoma. Właściciel, sprawiający wrażenie człowieka, który niejedno w życiu widział i zawsze wszystkiemu stawiał czoło, podszedł do stolika i zapytał Zena, czego sobie życzy, tonem, który sugerował, że chciałby też wiedzieć, co Zen tu, u diabła, robi. Zen zamówił *caffè corretto alla grappa*. Opuścił koronkową zasłonkę i upewnił się, że wejście, w którym zniknął Dal Maschio, jest z tego miejsca dobrze widoczne.

Kiedy ponownie obrócił się w stronę oświetlonej sali, Dolfin i nieznajoma kobieta z ożywieniem rozmawiali przyciszonymi głosami. Starszy pan wskazywał na Zena, nie próbując nawet tego ukryć. Wyszeptał coś do kobiety, na której twarzy pojawił się smutny, nieobecny uśmiech. Zen odwrócił się twarzą do okna, zdając sobie sprawę z tego, że próbuje w ten sposób uniknąć konfrontacji. Przez co najmniej godzinę nikt nie wyjdzie z zebrania. Kiedy odwrócił się ponownie, dwie pary oczu nadal na niego spoglądały.

Po wszystkim, co spotkało Zena w ciągu tego dnia, wyzywające spojrzenia wystarczyły, by miara się przebrała. Jeśli choć połowa z tego, co sugerowała Ada Zulian, była prawdą, Andrea Dolfin powinien unikać pokazywania się publicznie, a nie otwarcie kpić z oficerów policji. Zdradzony przez Cristianę i poniżony przez Ferdinanda Dal Maschia, Zen nie był w nastroju, by pozwolić się obrażać Andrei Dolfinowi. Poderwał się na nogi i przeszedł przez zadymiony bar, stając twarzą w twarz ze swoim prześladowcą.

- Z czego się, do cholery, śmiejecie?

Dolfin uniósł wzrok, lekko marszcząc brwi, jak gdyby dopiero teraz zauważył Zena.

- Z żartu - powiedział.

- Który najwyraźniej dotyczył mnie.

Dolfin wzruszył ramionami.

- Nie wydaje mi się, *dottore*. Z drugiej jednak strony nikt nie jest nietykalny.

Zen usiadł przy ich stoliku i spojrzał w oczy starca.

- Wcale mnie nie dziwi, że wychodzi pan z domu dopiero po zmroku - wysyczał. - Po tym, co Ada Zulian powiedziała mi dzisiaj po południu, zastanawiam się, jak to możliwe, że w ogóle ma pan dość odwagi, by żyć.

- Im więcej dowiaduję się o życiu, tym bardziej się dziwię, że ktokolwiek ma do tego odwagę.

Właściciel przyniósł kawę dla Zena.

- Wszystko w porządku, Andrea? - zapytał, spoglądając podejrzliwie na Zena.
- Jak najlepszym.

Zen opróżnił filiżankę jednym haustem.

- Chce pan, żebym powtórzył, co mi powiedziała?

Dolfin uśmiechnął się szeroko.

- Słyszałem to już wiele razy. Ada nigdy nie trzymała w tajemnicy swoich poglądów.

Wprost przeciwnie.

Spokojny ton starca rozwścieczył Zena. Wskazał na siedzącą obok Dolfina kobietę.

- A pańska przyjaciółka? Ona też o tym wie? A może chce pan, bym opowiedział jej o tym, co Ada ma do powiedzenia o panu i swojej córce?

Andrea Dolfin spojrzał na niego spokojnie.

- Czemu nie?

Pogładził pieszczotliwie wierzchem dłoni pomarszczoną twarz kobiety.

- Tak przy okazji, nie sądzę, byście mogli się znać. To Aurelio Zen, kochanie.

Twierdzi, że jest synem Angela Zena, kolejarza, chociaż zawsze wydawało mi się, że jedyne dziecko Angela urodziło się martwe.

Dolfin spojrzał ponownie na Zena. Drżącą dłonią wskazał na kobietę.

- A to, *dottore*, jest Rosetta Zulian.

## XXIV

Pierwszą reakcją Zena było niedowierzanie, które po chwili przemieniło się w gniew. Za kogo Dolfin go bierze? Nikczemność tego człowieka dawała się porównać jedynie z jego bezczelnością. To, co Ada opowiedziała mu kilka godzin wcześniej, pełne było niejasności i niedopowiedzeń, jak rebus, za pomocą którego wyraża się prawdę zbyt straszną, by można wypowiedzieć ją słowami, ale Zen miał bardzo niewiele wątpliwości, co wydarzyło się w upiornym okresie, jaki nastąpił pół wieku wcześniej, po niemieckiej inwazji.

Rosa Coin jako jedyna z rodziny przetrwała operację „oczyszczenia” Wenecji z Żydów. To z całą pewnością wynikało z raportu policyjnego, który czytał. Jej rodzice i rodzeństwo zostali wywiezieni do obozów koncentracyjnych, ale imię Rosy zostało skreślone z listy, jako że została znaleziona martwa, „śmierć przez powieszenie”. A jednak dwa lata później osoba, która twierdziła, że nazywa się Rosa Coin, pojawiła się cała i zdrowa w Izraelu, twierdząc, że gdyby nie Andrea Dolfin, podzieliłaby los całej rodziny, a także setek przyjaciół i sąsiadów.

Kiedy Ada zasugerowała, kpiąc jedynie z podobnego pomysłu, że Niemcy mogli pomylić się co do martwego dziecka, Zen domyślił się, że *contessa* zamieniła po prostu imię Rosa na Rosetta. Ada Zulian wciąż nie potrafiła pogodzić się z tym, że jej córka nie żyje, dlatego tak właśnie zmieniła tę historię. To Rosetta została porwana i zabita przez Dolfina, który zwabił ją do swego domu słodyczami i ciastkami.

Dzięki swym kontaktom wiedział zapewne, że rodzina Coinów została włączona do następnej grupy deportowanych. Być może sam to zorganizował, by łatwiej urzeczywistnić swój złośliwy plan. To był klucz do całego przedsięwzięcia. Kiedy to załatwił, mógł zrobić, co tylko chciał, z nieszczęsną Rosettą. Kiedy dziewczynka już nie żyła, poszedł zapewne do rodziny Coinów ze swoją potworną propozycją, wiedząc, że muszą ją przyjąć. Oni i ich dzieci skazani byli na śmierć, ale ich córka Rosa mogła przeżyć, jeśli jej imię zostanie skreślone z listy osób do deportacji po odnalezieniu ciała jej przyjaciółki.

Którzy rodzice mogliby odmówić? Pomimo ogarniającego ich przerażenia, gniewu i strachu Coinowie nie mogli nie zgodzić się na tę potworną zamianę. Bez wątpienia Dolfin ułatwił im podjęcie decyzji, sugerując, że Rosetta umarła na skutek choroby albo wypadku. W żadnym razie nie groziło mu, że sprawa wyjdzie na jaw. W okupowanych przez Niemców Włoszech roku 1943 Żydzi byli podludźmi, danymi statystycznymi bez praw i statusu cywilnego, zjawami czekającymi w kolejce na ostateczne usunięcie z rzeczywistego świata. Niemożliwe było, by wnieśli oskarżenie przeciwko komukolwiek, a już na pewno nie przeciw potężnemu i wpływowemu stronnikowi marionetkowego reżimu. Coinowie nie mieli wyboru, musieli przyjąć jego propozycję, a w ten sposób Rosetta Zulian zniknęła z tego świata, nie pozostawiając po sobie nic, co mogłoby być użyte przeciwko człowiekowi, który bezlitośnie zaplanował i dokonał mordu. Ada Zulian mogła domyślać się prawdy, ani jednak ona, ani nikt inny nie mógł niczego udowodnić. Była to zbrodnia doskonała.

Dość już potworne było, że Dolfin uniknął kary. To, iż dzięki świadectwu Rosy Coin uchodził za wzór bezinteresownego heroizmu, było jeszcze potworniejsze. Jednak to, że próbował znieważać pamięć swojej ofiary, nazywając jej imieniem jakąś zapijaczoną dziwkę, było dowodem wprost niewiarygodnej arogancji i pogardy. Zen czuł, jak powoli ogarnia go fala wściekłości. Zdawał sobie przy tym sprawę z tego, że jej przyczyną nie jest właściwie Andrea Dolfin, niezależnie od tego, jak straszne popełnił w przeszłości grzechy, ale Francesco Bruno i Carlo Berengo Gorin, Tommaso Saoner i Giulio Bon, a przede wszystkim Cristiana Dal Maschio i jej mąż. Świadomość ta jednak nic nie znaczyła wobec narastającej żądz, by poderwać się,

uderzyć pięścią w twarz Andrei Dolfina i raz na zawsze strzaskać maskę pełnej powagi obojętności.

Coś jednak, co dostrzegł w twarzy kobiety, kazało mu się opanować, skupiona uwaga, której przyczyny nie potrafił dostrzec, ale która przykuwała go do miejsca. Pojął, kiedy spojrział w jej oczy, dlaczego już w chwili, gdy wszedł do baru, wydała mu się znajoma: kobieta była szokująco podobna do Ady Zulian. Aby to dostrzec, trzeba było spojrzeć dostatecznie uważnie, odrzucić nieistotne szczegóły, różnice stroju i wieku, dotrzeć do wspólnej struktury genetycznej. Dopiero wtedy, jak na zagadce rysunkowej, wszystko składało się w sensowną całość, nieodwołalnie i nieomylnie.

Podobnie jak działo się to często w tym mieście na wodzie, Zen poczuł nagle, że cała sala się porusza, a podłoga faluje łagodnie jak dno łodzi. Wszystko to jednak działo się wyłącznie w jego wnętrzu. W ułamku sekundy wszystkie myśli, które z taką pewnością siebie układał w sensowną całość, wydały mu się równie ulotne jak sen po przebudzeniu. Wszystkie przemyślane teorie nie znaczyły nic wobec niewzruszonej pewności, że kobieta siedząca naprzeciwko niego to naprawdę Rosetta Zulian.

Dostrzegłszy na twarzy Zena konsternację, Andrea Dolfin uśmiechnął się znacząco.

- Zawsze była moją ulubienicą, prawda, kochanie?

Kobieta nadal wpatrywała się w Zena pustym wzrokiem.

- Jej matka sądziła, że jest w tym coś niewłaściwego - podjął Dolfin. - Akurat! Prawda była o wiele bardziej zwyczajna, Rosetta po prostu przedkładała moje towarzystwo nad jej. - Wydał lekceważąco wargi - Trudno powiedzieć, by było to z mojej strony szczególne osiągnięcie. *La contes-sa* do granic absurdu przejmowała się kwestiami pochodzenia i szlachectwa swojej rodziny. Wszyscy śmiało się tylko z jej pretensji, ale biedna Rosetta musiała żyć z nimi na co dzień. Ada określiła rygorystycznie wysoko swoje wymagania w sprawach zachowania i smaku, a jej wizja arystokratycznego ideału nijak nie obejmowała matczynej miłości. Przede wszystkim zaś w żadnym wypadku nie pozwoliłaby swojej córce na kontakty z rówieśnikami z sąsiedztwa, które uważała, oczywiście, za pospólstwo. A jako że Zulia-nowie bardzo rzadko obracali się w kręgach, które Ada mogłaby uznać za dostatecznie wysokie, biednej Rosetce brakowało uczucia i towarzystwa. - Wymienił spojrzenie ze swoją towarzyszką. - Przychodziła więc do mnie, kiedy tylko miała na to ochotę, i znalazła sobie przyjaciółkę w getcie, w świecie, do którego jej matka nie miała dostępu.

Kobieta uśmiechnęła się wymijająco. Jej ciągle milczenie miało w sobie coś niezwykłego, podobnie jak to, że Dolfin opowiadał o niej w taki sposób, jak gdyby w ogóle jej tutaj nie było.

- Nie powinienem chyba o tym wspominać, ale po tym, co bez wątpienia zasugerowała Ada, lepiej będzie, jeśli stwierdzę jednoznacznie, że jakiegokolwiek stosunki cielesne między nami nie wchodziły nigdy w rachubę. Nie ma to tutaj wprawdzie żadnego znaczenia, ale moje skłonności w tym względzie - od wielu już lat przestały sprawiać mi jakiegokolwiek problemy - zbiegiem okoliczności dotyczyły mojej własnej płci. Mój kochanek zginął w czterdziestym pierwszym roku, walcząc z Anglikami pod Benghazii. To przez niego w ogóle zapisałem się do partii. Wraz nim wszystko umarło, wszystkie wielkie idee, wszystkie wielkie nadzieje. Musiałem nauczyć się żyć od nowa, jak ktoś, kto przetrwał katastrofę. Musiałem przemyśleć wiele spraw, które wcześniej uznawałem za oczywiste. I w tym właśnie pomogła mi Rosa. - Spojrzął na kobietę i uśmiechnął się. - Twierdzi, że uratowałem jej życie, ale to ona uratowała moje.

Zen spojrzął na niego ostro.

- Myślałem, że uratował pan życie Rosy Coin.

Kobieta spojrzała na starca i niecierpliwie machnęła dłonią, a następnie odezwała się po raz pierwszy.

- Dostyc tych bzdur, Andrea.

Głos należał do prawdziwej weneckanki, mętny i rozkołyszany, jak woda wzburzona przez przepływającą łódź. Kobieta ponownie odwróciła się ku Zenowi.

- Jestem Rosa Coin.

Zen przez długą chwilę wpatrywał się w jej oczy, nie znalazł w nich jednak ani śladu słabości. Niepewnie pokiwał głową.

- Ale przecież... ona mieszka w Izraelu.

- Mieszkałam tam. Moi kuzynowie, którzy mieszkali w Trieście, wyemigrowali po wojnie, a kiedy osiedlili się już na dobre, zaprosili mnie do siebie. Nie miałam żadnego lepszego pomysłu na życie. Andrea ukrywał mnie w swoim domu, ale kiedy skończyła się wojna, nie mogłam dalej tak żyć. Chciałam zacząć od nowa, rozpocząć nowe życie w nowym kraju.

Zen wyciągnął paczkę papierosów. Po chwili wahania poczęstował kobietę, która sięgnęła po jednego ze wzruszeniem ramion.

- Nie powinnam, ale...

- Na tym etapie, kochanie - wtrącił się Dolfin - naprawdę nie rozumiem, co mogłabyś zyskać, rzucając palenie.

Zen podał jej ogień.

- Mówiła pani o przeprowadzce do Izraela - przypomniał.

Kobieta skinęła głową.

- Mieszkałam tam prawie dziesięć lat. To był wspaniały okres, nie żałuję ani minuty, ale nigdy nie czułam tam, że jestem tak naprawdę w domu. Z początku myślałam, że to minie. Gdzie w końcu Żyd naprawdę powinien czuć się jak u siebie w domu, jeśli nie w Izraelu? Minęło wiele czasu, nim zrozumiałam, że muszę zapomnieć o tym, bym gdziekolwiek mogła się tak czuć. Zawsze będę Włoszką w Izraelu i Żydówką w Europie. A kiedy się z tym pogodziłam, nic już nie powstrzymywało mnie przed powrotem do Wenecji.

Zen przez chwilę palił w milczeniu. Teraz, kiedy opuściła go już furia, czuł się pusty i otumaniony.

- A Rosetta? - wyszeptał.

- Wszystko, co ci o niej powiedziałem, to prawda - powiedział Andrea Dolfin. - Miała wolny wstęp do mojego domu, przychodziła i wychodziła, kiedy chciała. Pewnego popołudnia znalazłem na stole list. Napisała, że przeprasza, iż sprawia mi kłopot, ale wie, że ją zrozumie. - Westchnął. - Zrozumiałem i nie rozumiałem. W końcu nie można zrozumieć czegoś takiego. W każdym razie nie miało to już żadnego znaczenia. Nie żyła od kilku godzin. - Dolfin uderzył pięścią w stół. - Powinna mi powiedzieć! Przynajmniej powinienem dać jej kilka rad. Myślała pewnie, że to szybki i bezbolesny sposób, jak egzekucja. Nie wiedziała, że powieszenie bez ciężaru to powolne uduszenie. Mogłem jej to powiedzieć. Dostatecznie wiele razy widziałem, jak wieszano partyzantów na latarniach czy balkonach. Wiedziałem, jak długo trwa, zanim umrą. Mogła mi powiedzieć! Powinna mi była zaufać!

Umilkł, z wysiłkiem próbując opanować wzruszenie. Kobieta położyła na jego drżących dłoniach swoje długie, szczupłe, wymowne palce, jak pożyteczne owady.

- Zawiodłem Rosettę - podjął cicho Dolfin. - Postanowiłem więc naprawić to, ratując jej przyjaciółkę. Oznaczało to konieczność ukrycia prawdy przed Adą Zulian. Mógłbym twierdzić, że była to trudna decyzja, że podjąłem ją po długich i bolesnych przemyśleniach, ale byłoby to kłamstwo. Jeśli jej córka została doprowadzona do samobójstwa, *con-tessa* częściowo przynajmniej ponosiła za to winę. Jeśli ja Rosettę zawiodłem, to co zrobiła jej matka? Być może nawet lepiej się stało, że nigdy nie poznała prawdy. - Ujął dłoń Rosy. - Najważniejszą przyczyną rozpaczki Rosetty było bez wątpienia to, że rodzina Coinów miała zostać wywieziona wraz z

następnym transportem. Getto odcięto od reszty miasta, jak za dawnych czasów, ale z moją pozycją nie było szczególnie trudno przekonać strażników, by pozwolili mi zabrać na kilka godzin Rosę Coin jako moją znajomą. Powiedziałem im, że jest moją sekretarką i przed jej deportacją potrzebuję pomocy w uporządkowaniu dokumentów. Nie powiedziałem Coinom o Rosetcie, tylko że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by uratować ich córkę.

Kobieta rzuciła na podłogę niedopałek i przydepnęła go. Wytarła rękawem zażawione oczy.

- Kiedy przyszła do mnie policja, nawet przez chwilę nie podawali w wątpliwość, kto zginął. Przebraliśmy ją w sukienkę Rosy z gwiazdą Dawida i przycięliśmy odpowiednio włosy. Powiedziałem, że powiesiła się, kiedy na chwilę wyszedłem z domu. Nie byli nawet specjalnie zaskoczeni, biorąc pod uwagę, co ją czekało. Zabrali ciało i poinformowali Niemców o tym, co się stało. A w tym czasie prawdziwa Rosa ukryła się u mnie na strychu, gdzie spędziła resztę wojny.

- Pamiętam, jak ojciec wezwał mnie do siebie - odezwała się kobieta sennym głosem, jak gdyby mówiła do siebie. - Andrea siedział w najlepszym fotelu, którego używali wyłącznie goście. Wcześniej spotkałam go tylko raz, kiedy poszłam na spacer z Rosettą. Powiedziała mi wtedy, jaki dobry był dla niej po śmierci jej ojca. Papa powiedział, że mam iść z *signor* Dolfinem i zostać u niego przez parę dni, aż sytuacja się wyjaśni. Starał się, by zabrzmiało to naturalnie, ale miał chrypkę, a moja matka płakała i wiedziałam, że dzieje się coś dziwnego i strasznego. - Zaczęła płakać. - Później, kiedy Andrea powiedział mi już prawdę, próbowałam sobie wyobrazić niewyrażalną rozpacz, jaką wtedy czuli, wiedząc, że widzą mnie po raz ostatni, a zmuszeni są udawać, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, by mnie nie przestraszyć.

Zen wpatrzył się w okno. Jego uwagę przyciągnął ruch po drugiej stronie placu. Spod *sottoportego* wynurzyła się grupa mężczyzn, stali teraz w kręgu, rozmawiając głośno i gestykulując. Dźwięk ich głosów docierał nawet do wnętrza baru. Zen podniósł się od stołu.

- Przepraszam za natarczywość i za niegrzeczność. Proszę mi wybaczyć.

Andrea Dolfin wyjrzał przez okno.

- Nie zamierza pan chyba spotykać się z tą bandą chuliganów, *dottorei*

Zen potrząsnął przecząco głową.

- Interesuję się nimi wyłącznie z przyczyn zawodowych.

Dolfin uniósł w górę brwi.

- Proszę mi nie mówić, że ma pan coś na Dal Maschia!

- A zaskoczyłoby to pana?

Dolfin roześmiał się ochryple.

- Zaskoczyłoby mnie, gdyby zdołał pan coś z tym osiągnąć.

Mężczyźni stojący na placu wyraźnie zakończyli dyskusję i rozchodzili się w różnych kierunkach. Zen zapiął płaszcz i rzucił na stół banknot, by zapłacić za kawę.

- Po tym, co mi pan tutaj powiedział, na pewno się o to postaram - oznajmił ponuro.

Dolfin zmarszczył czoło.

- A co ma to wspólnego z Dal Maschiam?

Zen spojrział na Rosę.

- Nic. Wszystko.

Kiedy Zen wyszedł z baru, wymiatane przez poddmuchy wiatru Campo Santa Margherita było już puste. Skręcił w lewo i ruszył przed siebie szybkim krokiem. Noc była jasna, mrok nad jego głową zaróżowiony od gwiazd i wschodzącego właśnie księżyca. W pewnej odległości, na moście nad kanałem, Zen dostrzegł postacie Dal Maschia i jego dwóch towarzyszy. Zwalniając nieco kroku, ruszył ich śladem.

Trzej mężczyźni minęli spokojnie kościół San Barnaba, przeszli mrocznym pasażem pomiędzy domami naprzeciwko, po czym ruszyli wąskimi przejściami wzdłuż kanałów albo kładkami przymocowanymi do ścian domów połączonych drutami telefonicznymi, kablami i sznurami do bielizny z całą kolekcją powieszonych za uszy pluszowych misiów. Do Zena dochodziło echo głosów, wyraźniejsze między domami, cichnące na otwartej przestrzeni, gdzie niekiedy porywał je wiatr.

Mężczyźni przeszli po drewnianym moście przerzuconym nad niespokojną wodą *canalazzo* i obeszlili kościół zamykający dostęp do Campo San Stefano, po czym przystanęli. Skryty w cieniu rzucanym przez kościół, Zen obserwował, jak kończą dyskusję i mówią sobie „dobranoc”. Dal Maschio pożegnał swoje kohorty ostatnim władczym uniesieniem dłoni i skręcił w lewo. Pozbawieni inspirującej obecności przywódcy dwaj mężczyźni ruszyli szybszym krokiem w milczeniu, chcąc już tylko dotrzeć do domu.

Zen śledził ich przez Campo Manin, obok kiczowatej siedziby banku Cassa di Risparmio, w płataninę uliczek. Ostry wiatr zmusił modnisiów do szukania cieplejszego schronienia, pozostawiając puste ulice dla Zena i jego ofiar. Obok kościoła San Bartolomeo mężczyźni zatrzymali się na chwilę, by się pożegnać. Jeden skręcił w ulicę prowadzącą do Rialto, drugi, za którym po chwili ruszył Zen, skierował się prosto ku Cannaregio.

Wydużając krok, Zen zmniejszył stopniowo dzielący ich dystans, a kiedy dotarli do szerokiej Strada Nova, ruszył do akcji. Mężczyzna obejrzał się za siebie, słysząc zbliżające się kroki. Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie i nieufność, kiedy rozpoznał, kto za nim idzie. Później, jak gdyby z wysiłkiem, uśmiechnął się.

- Co za szczęście, że się spotkaliśmy! Właśnie zamierzałem do ciebie zadzwonić. Chciałem przeprosić za swoje zachowanie podczas obiadu.

Po twarzy Zena przemknął cień uśmiechu.

- Dal Maschio kazał ci załatwić tę sprawę, prawda?

Policzek Tommasa Saonera zdrzął.

- Nie próbuj mnie prowokować, Aurelio. Przeprosiłem cię i przynajmniej dla mnie, sprawa jest zamknięta. Żyj sobie swoim życiem, mnie pozwól żyć moim, a dalej będziemy mogli być przyjaciółmi.

Zen zdecydowanie potrząsnął głową.

- To już niemożliwe, Tommaso.

Saoner wpatrywał się w niego przez chwilę. Później wzruszył ramionami.

- Niech więc tak będzie.

Ruszył ponownie przed siebie. Zen szedł kilka kroków za nim. Przeszli przez Campo Santa Fosca i skręcili obok Palazzo Correr. Zaraz po przejściu przez następny most Saoner skręcił w prawo. Kiedy Zen wszedł za nim w wąską uliczkę, Saoner się odwrócił.

- Nie tędy idzie się do twojego domu!

- Wenecja należy do wszystkich jej synów - oznajmił Zen. - Całe miasto jest moim domem.

Tommaso Saoner zawahał się przez chwilę. Później ruszył pospiesznie przed siebie, wybierając drogę przez Ghet-to Nuovo i na drugą stronę kanału San Girolamo, nie przystając i nie oglądając za siebie, aż zatrzymał się przed swoim domem przy Calle del Magazen. Stał, szukając kluczy w kieszeniach płaszczka, kiedy Zen zastąpił mu dostęp do drzwi.

- Tak łatwo mi nie uciekniesz, Tommaso.

Saoner wpatrywał się w niego zaczepnie.

- Co to ma, do cholery, znaczyć?

- Nie spotkaliśmy się dzisiaj przez przypadek. Wiedziałem, że przyjdiesz na to



spotkanie, i śledziłem cię od Campo Santa Margherita. Musimy porozmawiać.

- Nie mam ci nic do powiedzenia.

Saoner spróbował odepchnąć Zena sprzed drzwi. Doszło do krótkiej bójki i Saoner wylądował na bruku.

- Na twoim miejscu nie próbowałbym się ze mną szar-pac, Tommaso - powiedział Zen spokojnie. - Radziłem już sobie z klientami o wiele silniejszymi od ciebie.

Kłękając na ziemi, Saoner przyjrzał się swoim okularom, który spadły mu z nosa w czasie szarpaniny.

- Oskarżę cię o napaść - wyszeptał, podnosząc się na nogi.

- A ja oskarżę cię o udział w porwaniu i zamordowaniu Ivana Durridge'a.

Srebrzysty blask pojawił się na ścianach i bruku, kiedy księżyc po raz pierwszy tej nocy oświetlił domy po drugiej stronie ulicy.

- Oni nie zabili Durridge'a! - oznajmił z pasją Saoner. - On sam wyskoczył!

- Jeśli tak się stało, to tylko dlatego, że wolał szybką śmierć od tego, co przygotowali jeszcze dla niego Chorwaci. Ale ty nie wiedziałeś wcale, że on nie żyje, prawda? Myślałeś, że Durridge jest w Chorwacji i oczekuje na proces za zbrodnie wojenne.

- Ferdinando wyjaśnił mi wszystko dzisiaj wieczorem. Nie powiedział mi wyłącznie dlatego, że nie chciał wciągać mnie w całą sprawę.

Zen zaśmiał mu się prosto w twarz.

- Nie bądź taki naiwny, Tommaso. Nie powiedział ci, bo ci nie ufa. Uważa cię za drugiego Massima Bugna, traktuje jak płaskodenną łódkę, dobrą do pływania po mieście, ale nic niewartą, kiedy zerwie się sztorm.

- To nieprawda!

W głosie Saonera zabrzmiał prawdziwy ból.

- To nie ma znaczenia - powiedział Zen pospiesznie. - Najważniejsze jest to, że to Dal Maschio opracował plan porwania i pilotował helikopter, z którego wyskoczył Durridge. Mówimy o człowieku, który może zostać nowym burmistrzem - a to dopiero pierwszy punkt jego planów. Dal Maschio jest bezwzględny, sprytny i ambitny. Będzie parł na sam szczyt, chyba że uda się go powstrzymać właśnie teraz. I my musimy go powstrzymać, Tommaso. Musisz mi w tym pomóc.

Saoner chrząknął pogardliwie.

- Ty chyba masz nierówno pod sufitem. Kogo obchodzi, co się stało z Ivanem Durridge'em? Na miłość boską, ten człowiek był zbrodniarzem wojennym. Chorwaci chcieli tylko zrobić to samo, co kiedyś zrobili Izraelczycy, dopaść bestię i postawić ją przed sądem. A ja postanowiłem im w tym pomóc. To nie nasza wina, że ten skurwysyn wolał sam wyskoczyć ze śmigłowca. Nie ma to nic wspólnego z nami i nic wspólnego z pięknymi, pozytywnymi ideałami, które reprezentuje nasz ruch, a których nigdy nie pozwolę ci zniszczyć cynicznymi manewrami. A teraz zejdź mi z drogi!

Zen usunął się na bok. Saoner zawahał się przez chwilę, zaskoczony nieoczekiwaną kapitulacją. Później zrobił krok ku drzwiom, grzebiąc w kieszeni z rosnącym zdziwieniem na twarzy. Jego uwagę zwróciło ciche dzwonięcie.

- Nie tego przypadkiem szukasz?

Zen zamachał w powietrzu kluczami.

- Ty przekłety złodzieju! Oddaj mi je natychmiast!

Zen powoli potrząsnął głową.

- Musisz spędzić trochę czasu w samotności, Tommaso, przemyśleć sobie to, co właśnie ci powiedziałem. Nie chcę cię ponaglać. Masz czas do jutra rana. W końcu jednak zgodzisz się

zoznawać. Znam cię zbyt dobrze, by...

Saoner uderzył go w twarz.

- Nigdy nie zdradzę ruchu! Nigdy, nieważne, co mi zrobisz!

Zen patrzył na niego nieruchomym wzrokiem, pocierając uderzony policzek.

- Nic ci nie zrobię, Tommaso. Musisz zrobić to sam.

Wrzucił klucze do swojej kieszeni.

- Możesz iść, dokąd tylko chcesz, nie wolno ci tylko przejść na stały ląd. Nie wolno ci również korzystać z telefonów, podobnie jak nie możesz wciągać w sprawę kogokolwiek oprócz mnie. Będę przez cały czas tuż za tobą. Tak długo, jak długo będziesz stosować się do tych zasad, nie będę interweniował.

Dwaj mężczyźni wpatrywali się w siebie przez długą chwilę.

- Oszalałeś - wyszeptał w końcu Saoner.

Zen wzruszył ramionami.

- Jeden z nas na pewno oszalał. Przed świtem powinniśmy się przekonać, który.

## XXV

Z początku Saoner nie próbował uciekać. Ruszył spokojnym krokiem, jak gdyby postanowił przejść się przed snem, dla uspokojenia żołądka czy może myśli. Miasto przeszło już całkowicie we władanie kotów. Pojawiały się wszędzie, przysiadły samotnie na murach i parapetach, zbijały się w milczące kongregacje na środku placów, kłócąc się o kawałek jedzenia albo zajmując czyszczeniem sierści.

Saoner przeszedł wzdłuż jednego z długich, prostych kanałów dzielących na trzy części północne rejony Cannaregio, później krętymi uliczkami skręcił na południe w stronę Strada Nova. Przez chwilę zdawało się, że idzie tą samą trasą, którą wcześniej dotarł do domu, kiedy jednak doszedł do Ponte Rialto, skręcił w prawo i skierował się w stronę targu. Gdy Zen doszedł do połowy mostu, dachy okolicznych domów zamigotały w świetle księżyca, jak gdyby pokrył je mróz.

Saoner zdążył go nieco wyprzedzić, szedł teraz pomiędzy straganami targu warzywnego w stronę portyku *Pe-scheria*. Tutaj koty były wyjątkowo tłuste i liczne. Gromadziły się jak szczury, wabione przez zapach rybich łbów i wnętrzości, którymi żywiły się za dnia, kiedy lady pełne były błyszczących stosów cefali, okoni, sardynek, płastug, węgorzy, krabów, przegrzebków, sepii, małży, omułek i całej reszty, których nazwy Zen znał jedynie w dialekcie: *branzin, orada, tria, barbón, peocio, passarin, dental...*

Zanim Zen zorientował się, co się dzieje, usłyszał jedynie odległy tupot butów, tak bardzo zniekształcony przez rozbrzmiewające echem ściany, że nie można było ustalić, skąd dobiega. Zen zamknął oczy i w pamięci pospiesznie przeanalizował plan dzielnicy. Jedyne wyjście, do którego mógł dobiec Saoner, prowadziło przez niewielki mostek do nabrzeża po drugiej stronie Rio delle Beccarie. Stamtąd do wody prowadziły dwie ulice. Nie - uliczki były trzy, ale jedna ślepa.

Zen puścił się biegiem, jednak nie w kierunku, który wybrał Saoner, ale prosto przed siebie, przez malutkie Campo delle Beccarie i ustawiony pod kątem most. Jeśli w ciągu kilku najbliższych sekund nie znajdzie Saonera, będzie za późno, liczba zmiennych stanie się tak duża, że rozwiązanie nie będzie już możliwe.

Dotarłszy do pierwszej z dwóch uliczek, które mogła wybrać jego ofiara, zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Usłyszał tylko odległy plusk wody. Przymknął oczy. Ponownie przejrzał mapę, jaka powstała w jego pamięci, z zadowoleniem stwierdzając, że nie ma innego wyjścia. Po obu stronach uliczki, u której wylotu stanął, ciągnął się nieprzerwany szereg domów. Zen wszedł w nią i szybko przeszedł do następnego skrzyżowania.

Ta ulica dzieliła się na trzy, wszystkie skręcały w lewo. Zen, najciszej jak potrafił, podszedł do pierwszej uliczki i zajrzał za róg. Okazało się, że to ślepy zaułek, zamknięty przez wody następnego kanału. Podszedł do następnego. Nazwa na tabliczce sugerowała, że jest to wejście na dziedziniec obszernego *palazzo* stojącego frontem do ulicy. Panowały tam ciemności. Zen wyjął z kieszeni stulirówkę i rzucił ją w zaułek. Moneta z brzękiem upadła na kamienie. W kilka sekund później z drugiego zaułka wyskoczył Tommaso Saoner i wpadł prosto na Zena.

W pierwszej chwili próbował zawrócić, zmienił jednak zdanie i minął Zena, niczym nie dając po sobie poznać, że go rozpoznał. Zen ruszył za nim, teraz utrzymując jednak mniejszy dystans niż poprzednio. Obaj mężczyźni szli spokojnie przez wachlarz uliczek zbiegających się w San Giacomo dell'Orio. W ciemności przed nimi pojawiło się niespodziewanie chybotliwe światło reflektorów. Chwilę później zza zakrętu wynurzyła się taksówka i przepełnęła obok nich z cichym warkotem. Kiedy hałas ucichł, dzwon na wieży kościelnej wybił północ. Zen

uśmiechnął się ponuro, ten sygnał oznaczał, że oficjalnie jego pobyt w mieście już się skończył. Jeśli jego przeciwnicy liczyli na to, że posłusznie zapakuje walizki i pojedzie tam, dokąd mu każą, popełnili poważny błąd. Kiedy dwanaście dźwięcznych uderzeń przecięło krępującą go płataninę przepisów i urzędowych wymagań, poczuł się tak, jak gdyby zdjęto mu z barków wielki ciężar. Działając na własną rękę, był o wiele bardziej skuteczny i niebezpieczny, niż pełniąc rolę urzędnika.

W końcu znaleźli się na otwartym nabrzeżu naprzeciwko długiej fasady dworca kolejowego, gdzie Saoner niespodziewanie puścił się biegiem. Przez mniej więcej pierwsze sto metrów Zen dotrzymywał mu kroku, ale później Saoner zaczął się oddalać. Wpadł na stopnie wysokiego mostu nad Rio Nuovo i zniknął, kierując się w stronę Piazzale Roma. Kiedy Zen dotarł do szczytu mostu, musiał zatrzymać się, by złapać oddech. Lata pracy za biurkiem odbiły się na jego kondycji. Mimo to zmusił się do kolejnego wysiłku, choć wiedział, że się spóźnił. Już stąd słyszał warkot silnika taksówki pracującego na niskich obrotach, by w wozie było ciepło. Zanim dobiegnie do postoju, Saoner będzie już daleko, popędzi Ponte della Liberta w luksusowym volvo czy mercedesie, umknąwszy sprytnie z psychologicznej pułapki, jaką zastawił na niego Zen.

Kilka schodków obsadzonych po obu stronach cherlawymi krzaczkami prowadziło z przystanku *vaporetto* do pustej przestrzeni asfaltu, poznaczonej miejscami parkingowymi dla autobusów i samochodów. Na drugim końcu placu migotał neon oznaczający wjazd do piętrowego parkingu podziemnego. Cały plac był pusty. W chwilę później Zen pojął, że warkot, który usłyszał, wydaje silnik jednego z tramwajów wodnych, jakie nocą kursują po mieście. Warkot przybrał na sile, kiedy szyper wrzucił wsteczny, by utrzymać motorówkę przy nabrzeżu. Na brzeg wysiadło trzech młodych ludzi. Śmiejąc się głośno, skierowali się w stronę parkingu. Pokładowy zamknął już bramkę i chciał rzucić cumy, kiedy z krzaków przy schodach wynurzyła się samotna postać, która skoczyła w stronę tramwaju. Bramka się uchyliła i ostatni pasażer wszedł na pokład, kiedy łódź odbijała już od nabrzeża.

Zen puścił się sprintem w stronę przystanku, krzycząc do pokładowego, by poczekali, ale jego wołanie zagłuszył warkot silnika. Szczelina pomiędzy burtą a nabrzeżem poszerzała się błyskawicznie, kiedy szyper dał całą naprzód, kierując się w stronę szerokiego basenu między parkingiem i dworcem kolejowym a drugim brzegiem. Zen popędził nabrzeżem i w ostatniej chwili zdążył wskoczyć na pokład przepływającego obok tramwaju. Pokładowy zniknął właśnie w sterówce.

Tramwaj zakołysał się, kiedy znalazł się na wodach kanału. Zen zawisł, trzymając się barierek. Tuż pod jego stopami obracały się śruby zmieniające wodę w pienne *spumante*. Nagle na tle podwójnie oszklonych drzwi kabiny pasażerskiej pojawił się cień. Drzwi otworzyły się i na pokład wyszedł Tommaso Saoner. Zen zaczepił stopę o dolną barierkę i zaczął wspinać się na pokład, ale wciąż jeszcze balansował niebezpiecznie na śliskim stopniu, kiedy Saoner podszedł do niego, podał mu rękę i pomógł wgramolić się na pokład.

Zen padł na czerwone plastikowe krzeselko na rufie. Spojrzał na Saonera i pokiwał głową.

- Widzisz, Tommaso? Chciałbyś być bezwzględny i zuchwały jak twój bohater Dal Maschio, ale nie jesteś. Jesteś słaby i uczciwy. Dal Maschio zepchnąłby mnie bez chwili wahania, bym się utopił albo żeby poszatkowały mnie śruby. Ty jednak nie potrafisz się na to zdobyć, choć wciąż myślisz, że możesz pracować z ludźmi, którzy to potrafią, robili to i będą robić w przyszłości.

Saoner spojrzał na niego pustym wzrokiem, odwrócił się i wszedł do kabiny pasażerskiej. Zen zapalił drżącymi dłońmi papierosa, osłaniając płomień przed wiatrem. Tramwaj skręcił z

głównego kanału i pod szerokimi mostami ze stali i betonu przepłynął na kanał przebiegający pomiędzy stacją rozrządową a portem. Pojawił się pokładowy.

- Ktoś wysiada na Santa Maria? - krzyknął.

Saoner się podniósł. Łódź ze stukotem uderzyła o nabrzeże. Zen wyrzucił papierosa i zszedł na brzeg w ślad za Saonerem. Santa Maria była ponurą dzielnicą, jednym z nowych kwartałów miasta wzniesionych na przełomie wieków. Nie używane tory kolejowe biegły między kadłubami wyciągniętych na brzeg statków. W pewnej odległości widać było bloki z czerwonej cegły, zbudowane dla robotników portowych.

Oślepiające światło przecięło ciemność i pędzący kształt przeleciał z ogłuszającym hałasem, mijając Zena o milimetr. Wydało się to tak całkowicie niezwykle, że Zen w pierwszej chwili pomyślał o latającym spodku i wizycie przybyszów z kosmosu. Dopiero po kilku chwilach przyszedł do siebie na tyle, by zorientować się, że teren, na którym się znalazł, to szosa prowadząca do terenów portowych. Odnalazł wzrokiem znikającą postać Tommasa Saonera i ruszył przed siebie z ponurym uśmiechem na twarzy. Nie tylko omal nie został zabity, ale na dobitkę sposób, w jaki by się to stało, zapewniłby, że jego nazwisko zawsze już wywoływałoby uśmiech na ustach wszystkich. Aurelio Zen, człowiek, którego w Wenecji przejechał samochód.

Na pełnym wdzięku kamiennym łuku przerzuconym nad kanałem Arzere Saoner zatrzymał się na chwilę, może nie wiedząc, jaki wybrać kierunek, a może zaniepokojony widokiem kompleksu więziennego wznoszącego się nad brzegiem kanału. Odbicia ulicznych lamp falowały łagodnie w przypiływie nadchodzącym od otwartych wód laguny. Na przeciwległym rogu jakiś mężczyzna w pidżamie zamykał zielone okiennice sypialni. Zamarł, by przyjrzeć się Saone-rowni, który pospiesznie skręcił w prawo i ruszył przed siebie równym krokiem, jak gdyby podjął decyzję w sprawie celu swego marszu i chciał już dotrzeć na miejsce. Te pozory pewności i pośpiechu kłóciły się jednak z okrężną drogą, jaką wybrał, skręcając to w jedną, to w drugą stronę, najpierw ku Campo Santa Margherita - gdzie Zen zmniejszył dystans, obawiając się, że Saoner może próbować wyciągnąć z łóżek swoich kolegów z NRV - potem na wschód, ku Rio Nuovo, by wreszcie zawrócić koło smukłego kościoła Angelo Raffaele i wyjść na smagany wiatrem brzeg Zattere.

Bryza wzburzyła kanał Giudecca i podniosła krótkie fale, które uderzały hałaśliwie o kamienne nabrzeże, co pewien czas zalewając bulwar spienioną wodą. Delikatna mgielka tłumiała światła rozstawionych w sporych odstępach lamp, a księżyc skrył się za chmurą. Po prawej stronie w oddali błyszcząły płomienie nad kominami rafinerii w Marghe-rze. Gdy Zen szedł za Tommasem Saonerem obok terminalu linii Adriatica, poczuł, jak powoli ogarnia go uczucie zmęczenia i przygnębienie. Był na nogach od świtu, a nie był to dla niego łatwy dzień. Zaczął pojmować, że nie wytrzyma do brzasku, jak to sobie założył. Musi znaleźć jakiś sposób, by przyspieszyć sprawę, spróbować zburzyć ślepą wiarę Tommasa w Dal Maschia, nawet podstępem, jeśli będzie to konieczne.

Kiedy okrążyli cypel Dorsoduro, pojawiły się przed nimi światła Riva degli Schiavoni na drugim brzegu szerokiego kanału San Marco. Wszystko było tam mroczne i opustoszałe. Masywne fasady dawnych składów celnych dominowały nad ziemią, po drugiej stronie otwierał się widok na wody laguny. Wydawało się, że Saoner zapomniał, co tutaj robi, maszerował szybko przed siebie, aż zatrzymał się na krawędzi wysokiego kamiennego nabrzeża, stanowiącego kraniec trójkątnej wyspy Salute.

Kiedy Aurelio Zen go dogonił, Saoner spoglądał na czarną wodę kipiącą z sykiem w dole. Przez chwilę stali obok siebie w milczeniu.

- To męty, Tommaso - odezwał się wreszcie Zen. - Czy naprawdę tego nie widzisz?

- Myślisz, że wszystko jest zepsute, bo sam jesteś zepsuty do szczytu - wyszeptał Saoner.

Zen spojrział na niego.

- Naprawdę uważasz, że jestem zepsuty?

Saoner skinął głową. Spojrział na Zena.

- Zbyt wiele czasu służyłeś staremu reżimowi, dawnym panom. Ale teraz nadchodzi zmiana. Nie potrafisz tego dostrzec. Kiedy widzisz kogoś takiego, jak Dal Maschio, w pierwszym odruchu próbujesz go zniszczyć. Jest zbyt nowy, zbyt groźny. Gdybyś tak naprawdę posłuchał tego, co mówi, w końcu pojąłbyś, że to wszystko ma sens. Musiałbyś jednak porzucić dawne myśli, zmienić nawyki, jakich nabrałeś przez lata, a to wymagałoby zbyt wiele wysiłku. - Pokiwał palcem. - Powiedziałeś, że jestem słaby. No cóż, ty za to jesteś leniwy. Wolisz zło, które już znasz, od człowieka, który niezależnie od swoich wad, wart jest więcej niż cała stara banda razem wzięta!

U ich stóp pluskała i falowała niespokojna woda.

- Mówisz o Dal Maschii jak kochanek - wyszeptał Zen.

- Co, do jasnej cholery, chcesz przez to powiedzieć?

- Zdobył twoje serce i nie potrafisz pojąć, jak to możliwe, że nie widzę w nim tego, co ty.

- Wzruszył ramionami. - Nie ma w tym nic zwykłego, nie jest to również groźne w życiu prywatnym. Tutaj jednak jest to kwestia polityczna. Pamiętasz, jak męczyliśmy się w szkole na lekcjach greki, kiedy wydawało się, że dzwonek już nigdy nie zadzwoni? *Polis*, miasto. *Polites*, obywatel. Nie chodzi teraz o to, co ty sam czujesz do Dal Maschia, Tommaso. Chodzi o twoją obywatelską odpowiedzialność.

Śmiech Saonera zabrzmiał jak szczeknięcie.

- Nie muszę wysłuchiwać tych wykładów o moralności, Zen - rzucił, odwracając się do niego plecami.

Pościg zaczął się na nowo. Tym samym spokojnym, wyważonym krokiem Saoner poprowadził drugą stroną *Pun-ta della Dogana*. Minęli kościół *Salute* i weszli w poplątany labirynt uliczek prowadzących do *Accademia*, gdzie po raz drugi tej nocy przeszli przez most. Kiedy dotarli do *Campo San Stefano*, zatrzymał się, wydawało się, że się waha. Właśnie w tym miejscu wódz *Nuova Repubblica Veneta* pożegnał się ze swymi akolitami. Przez chwilę Zen myślał, że Saoner spróbuje poszukać schronienia w domu Dal Maschia, i ruszył w lewo, by odciąć mu drogę. Skutkiem tego Saoner skręcił w przeciwnym kierunku, w stronę *Piazzzy*, wkraczając do dzielnicy innej od wszystkich, przez które do tej pory przechodzili, na ulice pełne banków, restauracji, hoteli oraz sklepów i butików, które zaspokajały potrzeby międzynarodowej rzeszy kupujących.

Wydawało się jednak, że Saonera wabi woda. Kiedy dotarli do ponurego potwora *San Moise*, skręcił w prawo, prosto w uliczkę prowadzącą do bulwaru. Minęli nabrzeża dla promów i budynki kapitanatu portu, obok gaiku drzew, wśród gałęzi, w których świergotało niewidoczne stadko szpaków, i poszli szeroką łukowatą promenadą. Saoner przyspieszał kroku, tak że Zen z wysiłkiem utrzymywał dzielący ich dystans.

Przeszli przez most kanałem prowadzący do *Questura* i dalej, do *Rio dell'Arsenale*. Tutaj oświetlenie było słabsze i rzadsze, chwilami postać Saonera znikwała zupełnie w narastających ciemnościach. Zen zaczynał już tracić poczucie rzeczywistości, jak gdyby odepchnięte sny zaczynały powoli przesączać się do jego świadomości. Z wysiłkiem przypominał sobie, co robi i dlaczego, ale miał wrażenie, że przypomina sobie jakieś fakty dotyczące kraju, w którym nigdy nie był.

- Tommaso!

Nie było odpowiedzi. Zen puścił się biegiem.

- Tommaso, zatrzymaj się! Porozmawiajmy!

Saoner nie odwrócił się, nie zwolnił też kroku. W końcu Zen go dogonił.

- To śmieszne, Tommaso! Nie idźmy dalej.

Saoner maszerował przed siebie jak robot. Dotarli właśnie do terenu, który francuscy najeźdźcy zmienili w park publiczny ze ścieżkami, fontannami i posągami, podejmując nieudaną próbę zmienienia *Serenissima* w normalne, przyzwoite miasto. W środku zimy i w nocnym mroku miejsce to wyglądało jeszcze bardziej niezwykle niż zazwyczaj. Zen chwycił Saonera za ramię i zmusił go do zatrzymania się. Księżyc ponownie wychynął zza chmur, zmieniając ciemność w półmrok. Dwaj mężczyźni stali, z ich ust wydobywały się w srebrzyste powietrze obłoczki pary. Drzewa w zwartym szeregu wzdłuż promenady zostały przycięte do równej wysokości w taki sposób, że przypominały gigantyczne kandelabry.

- Całe to gadanie o moralności! - krzyknął gorzko Saoner. - Ty hipokryto!

Zen gapił się na niego z nie udawanym zaskoczeniem.

- O co ci chodzi?

- Wiem, dlaczego chcesz zniszczyć Dal Maschia! Dlatego, że masz chrapkę na jego żonę, tylko i wyłącznie dlatego!

- Bzdury!

- Spędziła w twoim domu co najmniej dwie noce, zgodnie z wiadomościami moich informatorów. Mówią, że pierdoliliście się tak ostro, że aż się woda burzyła w kanale.

Z wysiłkiem zachowując spokój, Zen sięgnął po papierosa i zapalił.

- Bardzo to dla mnie pochlebne, Tommaso, niestety, nie jest to prawda. *Signora Dal Maschio* i ja spotkaliśmy się rzeczywiście kilkakrotnie - nasze matki są bliskimi przyjaciółkami - ale z przykrością muszę stwierdzić, że całe jej zainteresowanie moją osobą wynikało z tego, że mąż kazał jej śledzić postępy śledztwa w sprawie Durridge'a. - Wydmuchnął nierówną smużkę dymu. - Powinieneś wiedzieć, że w czasie naszych rozmów zdobyłem też nieco informacji o drugiej stronie. Żywo przypominam sobie, jak opowiadała mi o pewnych komentarzach męża dotyczących jego współpracowników z *Nuova Repubblica Veneta*. Chciałbyś może dowiedzieć się, co Dal Maschio myśli o tobie, Tommaso?

Saoner zatupał, jak gdyby chciał rozgrzać stopy.

- Wiem, co Ferdinando o mnie myśli.

- Muszę przyznać, że ogólnie rzecz biorąc, traktuje swoich stronników dość lekceważąco. „Urzednicy i sklepikarze cierpiący na kryzys średniego wieku. Ci, którzy mają jaja, zdradzają żony, reszta oddała się mnie”.

- Ferdinando nigdy nie powiedziałby niczego podobnego - rzucił pogardliwie Saoner.

- Co zaś tyczy się jego poglądów na twój temat...

Saoner odwrócił się gwałtownie.

- Nie chcę ich znać!

- Nie jest wcale tak źle - zachichotał Zen, przyciągając go ku sobie. - *Cristiana* powiedziała, że Dal Maschio wysoko ceni pracę, jaką dotychczas dla niego wykonałeś. „Nigdy nie dotarlibyśmy tak daleko, gdyby nie ludzie tacy, jak Tommaso, prości i mocni, tępi, ale godni zaufania, niezdolni do samodzielnej myśli, ale sprawnie wykonujący polecenia”. Zdaje sobie świetnie sprawę z twoich wad i ograniczeń, ale w pełni docenia twoje zalety. Dlatego początkowo nie chciał się zgodzić na to, by się ciebie pozbyć.

Saoner zamrugnął oczami.

- O czym, do cholery, mówisz?

- Mówię o przegrupowaniu, które zaplanował, kiedy wygra wybory. Jeśli partia odniesie taki sukces, jakiego się oczekuje, polityczna pozycja Dal Maschia zmieni się diametralnie. Nie będzie już przywódcą marginalnej grupy, ale burmistrzem jednego z najważniejszych miast

Europy, osobą znaną w kraju i za granicą, o ogromnych możliwościach i władzy. Aby poradzić sobie z tą sytuacją, będzie musiał zebrać wokół siebie nowych ludzi - obdarzonych wizją, wyobraźnią i poczuciem humoru, którzy potrafią występować przed kamerami. - Zen upuścił papierosa na chodnik i przydepnął niedopałek. - Oczywiście, jestem pewien, że znajdzie dla ciebie jakieś odpowiedzialne stanowisko - podjął pospiesznie. - Coś, co odpowiada twoim zdolnościom i umiejętnościom. Cristiana wspominała o posadzie w departamencie odpowiedzialnym za czyszczenie kanałów.

- To wszystko kłamstwa!

Zen posłał mu przeciągłe spojrzenie i nie odezwał się słowem.

- Wymyśliłeś to wszystko! - krzyknął rozpaczliwie Sa-oner.

- Wymyślanie to twoja specjalność - odpowiedział spokojnie Zen. - Zrobiłeś charyzmatycznego przywódcę z opor-tunistycznego wiecowego krzykacza i poprawiłeś historię naszego miasta tak, by odpowiadała waszym nonsensom o Wenecji odciętej od reszty Włoch i Europy, zamieszkiwanej przez czystej krwi stuprocentowych weneccjan, mówiących tylko i wyłącznie dialektem.

Saoner w rozpaczycy zaciskał i rozprostowywał pięści.

- Wystarczy już! Więcej tego nie wytrzymam. Dlaczego mnie torturujesz? - Ruszył naprzód, szepcząc do siebie. -Próbowaliśmy przecież tylko zmienić wszystko na lepsze. Przecież chyba nie ma w tym nic złego, prawda? Nigdy nie chciałem brać udziału w niczym nielegalnym. Nie pamiętam nawet, jak się to wszystko zaczęło. Po prostu nie pamiętam...

Puścił się biegiem. Sprintem przeleciał przez park i most do dzielnicy składającej się z dziewiętnastowiecznych kamienic, która wyglądała jak fragment Turynu rzucony w wody laguny. Zen ruszył za nim, wołając, by Saoner się zatrzymał. Obydwaj mężczyźni biegli niepokojąco pustą ulicą oświetlaną księżycowym blaskiem, a ich kroki na bruku rozbrzmiewały jak uderzenia młotów. Płuca Zena zaczęły wkrótce boleć po niedawno wypalonym papierosie, ale Saoner biegł pchany szaleńczą energią, jak gdyby uciekał przed jakąś niewyobrażalną grozą. Kiedy zniknął na mostku prowadzącym na brudną wysepkę, na której w ciemnościach wznosiły się metalowe części konstrukcji stadionu, Zen zrezygnował z pościgu.

Zmarznięty i bez tchu wracał powoli przez opustoszałe ulice Sant'Elena i rzadki piniowy las w kierunku przystanku *vaporetto*. Ogarnęło go ogromne zmęczenie i opadł na ławeczkę. Podmuchy wiatru szarpały jego ubraniem jak niewidzialne palce. Czuł rozpacz. Zrobił wszystko, co było w jego mocy, to jednak nie wystarczyło. Okłamał Tommasa w najbardziej bezczelny i bolesny sposób, mówiąc o opinii, jaką swego zastępcę darzył Dal Maschio, jednak wszystko bezskutecznie. Nie docenił wpływu, jaki Dal Maschio miał na swoich stronników oraz potęgę atawistycznych tęsknot, wmieszanych do jego ideologicznego koktajlu.

Z otępienia wyrwał go warkot nadpływającego tramwaju. Niepewnie podniósł się z ławeczki i sztywno pokuśtykał ścieżką prowadzącą do przystanku. Ktoś już tam czekał. Zen zorientował się nagle, że *vaporetto* płynie na Lido, nie do miasta. Zamierzał właśnie wrócić na swoją ławeczkę, kiedy reflektor tramwaju oświetlił postać oczekującego. Był to Tommaso Saoner.

Zen popędził ścieżką i dotarł na miejsce akurat na czas, by wsiąść do *vaporetto*. Sternik wrzucił wsteczny, by odbić od przystanku, a potem dał naprzód i wyprowadził łódź na tor wodny, wymijając od lewej burty prom samochodowy również kierujący się ku Lido. Zen obszedł pokład, aż znalazł się obok okna, przez które mógł zajrzeć do wnętrza kajuty. Tommaso Saoner siedział sztywno, patrząc prosto przed siebie. Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z tego, że po twarzy spływają mu łzy. Zen wycofał się w mrok, otulając się ciasno płaszczem. Wiatr stracił nieco na sile, ale był teraz jeszcze silniejszy niż przedtem. Okruchy księżycy



kołysały się i drżały na sfalowanym morzu.

Kiedy znaleźli się pod osłoną wyspy, wiatr ucichł zupełnie. Zen odczekał aż Tommaso Saoner wysiądzie pierwszy, ale Saoner podniósł się z miejsca dopiero wtedy, kiedy do kabiny wszedł pokładowy. Z początku nie chciał wysiadać, ale po krótkiej rozmowie z marynarzem, który przekonywał go, że to ostatni rejs tej nocy, wspiał się po schodkach i zszedł na brzeg.

Ze wszystkich topograficznych dziwactw laguny Lido zawsze wydawało się Zenowi najbardziej niepokojące. Latem, kiedy miasto zmieniało się w kurort, przydawało mu to złudzenia normalności, ale ponury luty ujawniał prawdziwy charakter tego miejsca. Zen miał przed sobą doskonale normalne miasto z asfaltowymi ulicami, które nazywały się *Via* taka i *Piazza* taka, stały na nich nawet znaki drogowe i światła. Wokół porozrzucane były zwyczajne wille i domy, biura i hotele, rozlegały się zwykle odgłosy samochodów, ciężarówek, skuterów, motocykli i autobusów. Krótko mówiąc, miejsce to wydawałoby się doskonale banalne, gdyby nie to, że wszystko wzniesiono na samotnej piaszczystej łasze oddzielającej płytkie wody laguny od otwartego Adriatyku.

Zanim Zen zszedł na brzeg, Saoner zdążył już odejść pięćdziesiąt metrów główną aleją prowadzącą w stronę morza. Zen bliski już był porzucenia go, ale ciekawość wzięła górę. Na następnym skrzyżowaniu ciemność przecięły reflektory. Pojawił się samochód, który zatrzymał się na chwilę, po czym przejechał przez główną ulicę i zniknął po prawej stronie. Zaraz za nim pojawiła się furgonetka, jeszcze trzy samochody, ciężarówka, a na końcu samochód cysterna z mlekiem. Zen zatrzymał się na wysadzonym drzewami chodniku, próbując znaleźć jakieś racjonalne wyjaśnienie tego tajemniczego nocnego konwoju. Jego umysł był w takim stanie, że dopiero po prawie minucie zorientował się, że samochody musiały przyplłynąć promem, który mijali po drodze. Zadowolony z siebie rzucił okiem przed siebie, ale przekonał się, że postać, którą śledził, zniknęła.

Pomimo potężnego zmęczenia, biegł całą drogę do obszernego *piazza*, gdzie aleja dochodziła do *lungomare*. W lecie było to centrum modnej dzielnicy turystycznej, teraz jednak ogrody wydawały się ponure i zaniedbane. Zen rozejrzał się dokoła, od wysypanego teraz kulkami na mole, zamkniętego na zimę Grand Hotel des Bains do błyszczącego pasa plaży, gdzie fala pienila się aż po horyzont.

- Tommaso! - krzyknął.

Wiatr porwał jego głos, Zen wołał jednak dalej.

- Tommaso! Tommaso!

Obszedł *piazza* dookoła, przeszedł też kawałek drogą w obie strony, nigdzie jednak nie było żywej duszy. Na wschodzie zaczynały się właśnie pojawiać ulotne ślady brzasku, kiedy poddał się w końcu i ruszył w drogę powrotną do miasta.

## XXVI

Zimowe słońce, ostre i błyszczące, wpadło przez brudne okno i zaznaczyło swoją obecność rombem na podłodze. Ślad dziecinnych przesądów kazał Zenowi nie stawiać na nim stopy, kiedy krążył po pokoju, zbierając z całego mieszkania swoje rzeczy i wkładając je z powrotem do zniszczonej skórzanej walizki, która od ponad trzydziestu lat towarzyszyła mu w podróżach.

Nie zajęło mu to zbyt wiele czasu. Zabrał ze sobą wyłącznie to, co niezbędne, a większości nie miał nawet czasu rozpakować. Znowu nie wiedząc, co z sobą zrobić, padł na krzesło, wpatrując się w świetlistą plamę na płytkach podłogi. Pogoda była cudowna jak na tę porę roku, każdy musiał to przyznać. Ogarnięty zmęczeniem Zen zamknął oczy. Wciąż miał przed sobą słoneczną plamę, odbitą w jego źrenicach jako drżący blok czerni.

Otworzył oczy, sięgnął po telefon i wykręcił numer. Znowu nikt nie odebrał. Wyobraził sobie telefon dzwoniący w pustym mieszkaniu w Rzymie. Dzwonek rozbrzmiewał w regularnych odstępach, w ciszy przerywanej jedynie odgłosami ruchu ulicznego za oknem. Po chwili Zen odłożył słuchawkę na widelki i spojrzał na zegarek. Do odjazdu pociągu zostały jeszcze dwie godziny. Znowu czuł się jak dziecko, które czeka, aż skończy się lekcja, aż zabrzmi dzwonek i znowu rozpocznie się prawdziwe życie.

Jak gdyby w odpowiedzi na jego myśli odezwał się dzwonek, odbijając się chrapliwym echem w klatce schodowej. Zen podniósł wzrok. Na przeciwległej ścianie wisiał obraz, namalowany podobno przez wuja jego matki. Po raz pierwszy w życiu Zen zdał sobie sprawę z tego, że nie ma pojęcia, co, jeśli w ogóle cokolwiek, mają przedstawiać wirujące barwne plamy. Nigdy nie przyszło mu do głowy, by o to zapytać. Traktował obraz jako coś oczywistego, co pojawiło się na ścianie natychmiast po jej wzniesieniu.

Dzwonek zabrzmiał ponownie. Zen podniósł się i podszedł do okna, ale nie zobaczył nikogo. Otworzył je więc i wychylił się w chłodne, czyste powietrze. Na progu stała Cristiana Morosini w szarym tweedowym płaszczku i zielonej chustce na głowie. Patrzyła na niego. Przez chwilę obserwowali się bez słowa. Później Zen cofnął się do pokoju i nacisnął guzik zwalniający zamek.

Kiedy weszła do pokoju, ponownie stał przy oknie, obrócony twarzą ku drzwiom. Cristiana zawahała się, po czym weszła do pokoju i zatrzymała się na słonecznej plamie. Rozejrzała się nerwowo dookoła, kilkakrotnie otwierając i zamykając usta, z których nie wydobył się jednak żaden dźwięk. Nagle dostrzegła otwartą walizkę.

- Wyjeżdżasz?

Zen przyglądał się jej przez chwilę w milczeniu.

- Dlaczego sama sobie nie otworzyłaś? - zapytał. - A może twój mąż nadal ma klucz?

Cristiana machnęła ręką. Zen poczuł sentymentalne ukłucie żalu na widok białych palców, które tak dokładnie i skutecznie badały całe jego ciało. Wszystko, co się wydarzyło, z całą pewnością nie było jej winą.

- Zamierzałam zatelefonować i powiedzieć ci o wszystkim - Cristiana zająknęła się - ale Nando chciał, żeby to była niespodzianka.

- A Nando dostaje wszystko, czego chce.

Rysy jej twarzy ściągnęły się nieznacznie.

- Wciąż jest moim mężem.

- A kim ja jestem w takim razie, Cristiano? A kim jesteś ty?

Jego głos był tak ostry, że zadrżała szyba w oknie. Cristiana z irytacją wzruszyła

ramionami.

- Nie wiem, co mam powiedzieć, Aurelio. Myślałam, że to był tylko romans. Podobałeś mi się, a Nando mnie zranił. Pomyślałam, że należy mi się mała zemsta, a chciałam się przy okazji trochę zabawić.

Zen odwrócił wzrok, potrząsając głową z udawanym niesmakiem.

- Och, daj spokój! - krzyknęła Cristiana jak gdyby z gniewem. - Wyobraź sobie tylko, co sam byś teraz mówił, gdyby sytuacja się odwróciła i gdyby się okazało, że to ja jestem zaborcza i zachłanna, podczas gdy ty chcesz tylko wrócić do domu i zapomnieć, że cokolwiek się wydarzyło. Wiedziałam przecież, że masz kogoś w Rzymie. Nie przyszło mi do głowy, że bierzesz to wszystko na poważnie.

- Oczywiście, że nie!

Spojrzała na nią ze sztucznym uśmiechem.

- Wyjąwszy sprawy seksu, Cristiano, interesowałam się tobą wyłącznie z przyczyn zawodowych. Miałem nadzieję, że możesz zdradzić mi pewne wiadomości o mężu, które pomogą mi w prowadzeniu śledztwa.

Cristiana spojrzała na niego z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

- Nie mam wątpliwości, że spotykałaś się ze mną wyłącznie z tego samego powodu - mówił dalej Zen. - Aby informować Nanda o postępach, jakie poczyniłem. Wykorzystywaliśmy siebie nawzajem. Nikomu nic się nie stało i żadne z nas nie ma prawa się skarżyć.

- To nieprawda! - krzyknęła Cristiana. - Powiedziałeś, że prowadzisz śledztwo w sprawie Ady Zulian. Co, do cholery, mogło to obchodzić Nanda?

Zen wzruszył ramionami.

- Jak tam sobie chcesz. Jakie ma to znaczenie teraz, kiedy wygrałaś? Dzisiaj rano spotkałem się z sędzią Mamolim. Śledztwo zostaje zamknięte. Bon i pozostali zostali zwolnieni. Wyborcze zwycięstwo twego męża jest zapewnione, zostaniesz zatem *signora* Dal Maschio, lojalną żoną lokalnego politycznego *supremo*. Tylko ty i ja będziemy wiedzieli, że wysłałaś za porwawczą i mordercę.

-Co?

Jej twarz zmartwiała z przerażenia.

- Nie wspominał ci o tym małym wyczynie? - wyszeptał Zen. - Jakie to dziwne. Założę się, że mówi o tym innym swoim kobietom. Właśnie takie rzeczy je biorą.

Cristiana ruszyła w jego stronę.

- O czym ty mówisz? Co mają znaczyć te potworne kłamstwa?

Zen podniósł ręce do góry.

- Skoro uznałaś mnie już za kłamcę, nie ma sensu, bym mówił cokolwiek więcej. Czemu nie zapytasz o to Tommasa Saonera? On wie wszystko o tej sprawie.

Cristiana zatrzymała się i wbiła w niego wzrok, kiwając powoli głową.

- Jak mogłeś powiedzieć coś tak potwornego?

- Jak można było zrobić coś tak potwornego, Cristiano. DurrIDGE był może zbrodniarzem wojennym, ale...

- Miałam na myśli ten żart o Tommasie!

Zen zmarszczył brwi.

- Że co?

Wpatrywali się w siebie w milczeniu.

- Nic nie słyszałeś? - zapytała w końcu.

- O czym?

- Podawali w porannych wiadomościach lokalnych i...

- O czym ty mówisz? - rzucił z rozdrażnieniem Zen.

Cristiana opuściła głowę.

- On nie żyje.

- Nie żyje? Kto nie żyje?

- Tommaso Saoner.

Zen wybuchnął śmiechem.

- Nie żartuj sobie. Widziałem go przecież zaledwie...

Głos zamarł mu na ustach.

- Rano fale wyrzuciły ciało na Lido - powiedziała Cristiana. - Nando jest załamany.

Tommaso był jednym z jego najbliższych i najbardziej zaufanych współpracowników. Spotkali się wczoraj wieczorem. Nando odprowadził go nawet kawałek do domu. - Spojrzała na Zena. - Kiedy go widziałeś?

Odwrócił się twarzą do okna.

- Och... wcześniej.

Na długą chwilę zapadła cisza.

- Co się stało? - zapytał prawie niesłyszalnie.

- Wygląda to na samobójstwo. Był ubrany i nie ma żadnych oznak przemocy. Nando twierdzi jednak, że wczoraj wieczorem zachowywał się zupełnie normalnie. Żartował sobie nawet z ciebie. - Zadrżała. - Co mogło nagle doprowadzić go do czegoś podobnego? I dlaczego właściwie zrobił to akurat na Lido? To nie ma sensu!

Zapadła ponura cisza. Cristiana wpatrywała się w Zena, który wciąż wyglądał za okno.

- Wydawało mi się, że uważałeś go za swojego przyjaciela - powiedziała ostrym tonem.

- Był moim przyjacielem.

- Nie wydajesz się szczególnie wstrząśnięty tym, że nie żyje!

Tym razem cisza była jeszcze bardziej przytłaczająca.

- Nie wiem już teraz wcale, czy tak naprawdę cię znam - wyszeptała Cristiana. - Nie jestem też pewna, czy w ogóle cię lubię.

Zen odwrócił się powoli i spojrzał na nią.

- Ja też.

Wymienili długie spojrzenie. Cristiana odwróciła się nagle i wyszła z pokoju. Drzwi wejściowe zamknęły się z trzaśnięciem. Zen stał, wpatrując się w czworokątną plamę słonecznego światła na podłodze. Przesunęła się odrobinę w lewo, była teraz krótsza i bardziej skośna niż wcześniej. Zen obszedł ją ostrożnie dookoła i sięgnął po telefon.

- *Mamma?* Wreszcie! To ja, Aurelio. Wracam do domu dzisiaj wieczorem. Tak, zdążę na kolację. Poprosisz Marię Grazię, by ugotowała coś smacznego? Od tygodnia nie jadłem nic porządnego. Rosalba? Jadłem u niej obiad po przyjeździe, ale później... Ma się świetnie. Kto? Cristiana? To jej córka, prawda? Widziałem się z nią przez chwilę. A jak ty się czujesz? Dobrze. Naprawdę? Miło mi to słyszeć. Nie mogę już doczekać się, kiedy was zobaczę. Ciebie i Tanię. Co? Co? Wyprowadziła się? Dokąd się wyprowadziła? Dlaczego? Myślałem, że znakomicie się dogadujecie... - Usiadł na kanapie, przyciskając słuchawkę do ucha. - Ja? Co ja takiego zrobiłem? Przecież nawet mnie tam nie było! - Jego twarz ściągała się stopniowo, kiedy słuchał, co matka ma mu do powiedzenia. - Przepraszam, *Mamma*, ale muszę już iść, bo spóźnię się na pociąg - powiedział zmienionym głosem. - Do zobaczenia. Tak. Do zobaczenia. I dla ciebie. Do zobaczenia.

Wyciągnął pogniecioną paczkę „Nazionali” i siedział, paląc jednego papierosa za drugim, aż paczka opróżniła się, a popielniczka wypełniła. Założył płaszcz i kapelusz, zamknął walizkę i wyszedł.

Tam, gdzie nie docierało słońce, powietrze było nadal chłodne. Zen przeszedł przez trójkątne *campo*, nie oglądając się za siebie, z walizką w prawej ręce, przygarbiony i z opuszczoną głową. Kiedy skręcił w długą aleję wiodącą ku Lista di Spagna, zderzył się z kimś idącym w przeciwnym kierunku. Wymamrotał pospieszne przeprosiny i chciał przejść, kiedy usłyszał swoje nazwisko. Postawił na ziemi ciężką walizkę i spojrzał na mężczyznę, na tłuste siwe włosy, zniszczoną marynarkę, kapcie w szkocką kratę, trudnego do opisanie kundla wlokącego się na końcu sznurka.

- Daniele - wyszeptał bez entuzjazmu. - Musisz mi wybaczyć. Spóźnię się na pociąg.

- Wyjeżdżasz?

- Jak widzisz.

- Tak szybko?

Zen podniósł walizkę.

- Przede wszystkim nigdy nie powinienem tu przyjeżdżać.

Daniele Trevisan podskoczył do niego z zaskakującą szybkością i złapał go za ramię.

- Nie możesz jeszcze jechać!

Zen spojrzał na twarz starca skurczoną jak stary orzech.

- Od chwili, gdy zobaczyłem cię w zeszłym tygodniu, zastanawiałem się, czy powinienem ci cokolwiek powiedzieć - podjął Trevisan z wahaniem. - Bóg jeden wie, kiedy wrócisz i czy będę jeszcze wtedy żył. - Pokiwał bezradnie głową. - Po prostu nie wiem, co robić, Angelo. - Widząc wyraz twarzy Zena, starzec poprawił się pospiesznie. - To znaczy, Aurelio.

Zen spróbował wyrwać się z uścisku.

- Proszę mnie puścić!

- Zatrzymaj się! Poczekaj!

Zen odwrócił się do niego z groźnym spojrzeniem.

- Dlaczego nie możesz zostawić mnie w spokoju? - krzyknął.

Starzec wpatrywał się w niego bez słowa.

- Czego ode mnie chcesz? - zapytał Zen.

- Nie, nic! Ja tylko...

Na twarzy Daniele Trevisana pojawił się przepraszający uśmiech.

- Chciałem tylko postawić ci kieliszek wina w nowym barze Claudia. Chodź, Aurelio, nie możesz wyjechać z Wenecji bez ostatniej *ombra*.

Zen spojrzał na niego.

- Proszę! - dodał nieoczekiwanie starzec.

Zen spojrzał na zegarek.

- Musimy się pospieszyć. Muszę złapać pociąg.

Kiedy dotarli do baru, Zen stwierdził z zaskoczeniem, że rozpoznaje to miejsce.

Przychodził tu wielokrotnie z matką na telewizję, w czasach kiedy jedynie bogacze mogli sobie pozwolić na kupno odbiornika. Zadłużając się po uszy, *barista* z Lista di Spagna zdołał kupić telewizor i w ten prosty sposób przemienił zwyczajną dawniej winiarnię, odwiedzaną wyłącznie przez starszych mężczyzn, w główne miejsce spotkań całej lokalnej społeczności, gdzie mężczyźni, kobiety i dzieci z sąsiedztwa zbiegali się tłumnie, by oglądać teleturniej Mike'a Bongiorno „Podwójna stawka albo wysiadka” i płacić wygórowane ceny za napoje zamawiane w czasie programu.

Telewizor - w nieco bardziej nowoczesnym wydaniu - stał na tej samej półce na końcu sali. Nadawano właśnie amerykański serial o policjantach, z marnym włoskim dubbingiem, ale dawna magia zniknęła bez śladu. Bar był prawie pusty, jeśli nie liczyć grupki cudzoziemskich turystów, którzy spojrzeli pytająco, kiedy Daniele Trevisan wkroczył do środka, ciągnąc za sobą

zapchlonego psa. Claudio również nie wydawał się szczególnie uradowany ich widokiem. Kiedy Daniele przedstawił mu Zena, spojrzął na nich pustym wzrokiem.

- To syn Angela - odpowiedział Daniele Trevisan.

Claudio wzruszył ramionami.

- Za dużo pijesz, Daniele.

Postawił na kontuarze dwa kieliszki i napełnił je z otwartej butelki.

- Zabierzcie wino do kąta - powiedział. - Wystraszyście mi turystów.

Skierowali się ku mrocznej, brudnej części baru, zastawionej połamanymi krzesłami i pustymi skrzynkami po butelkach.

- To było tak jak nasze dzisiejsze spotkanie - powiedział Daniele, kiedy usiedli. -

Zaszedłem, by sprawdzić, czy Ada dobrze się czuje, i nagle go spotkałem. Szedł brzegiem kanału w moją stronę. - Zaryzykował uśmiech. - On też nie patrzył wcale, dokąd idzie. To pewnie rodzinne. - Starzec zagryzł wargę. - Od razu wiedziałem, że to Angelo.

Ramię Zena zdrząło konwulsyjnie. Kieliszek potoczył się po blacie i upadł na podłogę, rozpryskując się na kawałki jak żarówka. W chwilę później pojawił się Claudio, który ruszył ku nim z rozwścieczoną miną.

- Wystarczy! Won!

Zen wyjął z portfela dwa tysiące lirów.

- To był wypadek. To powinno pokryć stratę.

- Nie potrzebuję twoich pieniędzy! Chcę tylko, żebyście się stąd wynieśli! Nie prowadzę przytułku dla pijaków!

- Nie. Prowadzisz tani bar, którego jedynym celem jest okradanie turystów, którzy na niczym się nie znają, a którym sprzedajesz gówniane kanapki z dziesięciokrotnym przebicciem i wino, które smakuje jak nietoperze szczyny.

Barman wyglądał, jak gdyby groziła mu apopleksja. Kopnął psa, który obwąchiwał właśnie siedzenie jego spodni.

- Jeśli natychmiast się stąd nie wyniesiecie, zadzwonię na policję!

Zen odwrócił portfel, pokazując legitymację.

- Policja już tu jest.

Ramiona barmana opadły. Odwrócił się, mnąc w dłoni banknot. Zen wyrwał mu go z ręki.

- Ludzie mogą pomyśleć, że próbowałem cię przekupić - uśmiechnął się słodko.

- Śmiesznymi dwoma tysiącami lirów?

Zen wzruszył ramionami i oddał mu banknot.

- Masz rację. Ciebie mógłbym kupić za tysiąc.

Kiedy Claudio schronił się za barem, Daniele Trevisan wybuchnął złośliwym chichotem.

- Tak właśnie trzeba z nimi postępować.

Rozlane wino utworzyło na blacie kałużę, która powoli przesuwała się w stronę Zena. Wsadził w nią palec, tworząc kanał, którym płyn ściekł po drugiej stronie stołu.

- Mówiłeś coś o tym, że widziałeś mojego ojca - powiedział cicho. - To, oczywiście, niemożliwe.

Odwracając wzrok, Daniele Trevisan potrząsnął głową.

- To na pewno był on. Dwa lata temu. Dokładnie dwa i pół. To był lipiec. Miasto było jak łaźnia. - Jego oczy stały się puste i niewidzące. - Odezwałem się do niego w dialekcie. Z początku wydawało się, że nie rozumie. Odpowiedział mi jakimś dziwnym językiem. Później zaczął jednak mówić, z początku niepewnie, jak dziecko.

Zen podniósł się od stołu.

- Jesteś albo szalony, albo okrutny. Niezależnie od wszystkiego, nie zamierzam dłużej

słuchać tego steku bredni.

Podniósł walizkę i zapiął płaszcz, co pewien czas spoglądając na Trevisana. Starzec nie patrzył na niego. Po chwili Zen ponownie usiadł.

- Masz dziesięć minut - powiedział chłodno.

Trevisan wpatrywał się w kieliszek, jakby to była szklana kula jasnowidza.

- Zapytał o ciebie i twoją matkę. Wyjaśniłem, że oboje wyprowadziliście się do Rzymu. „Tam już byliśmy”, powiedział. Przyjechał z grupą polskich turystów na pielgrzymkę. Właśnie otwarto granice i postanowili skorzystać z wolności, by odwiedzić Włochy i zobaczyć polskiego papieża. „Nie gadaj, że zrobiłeś się taki religijny”, mówię do niego, ale powiedział, że wycieczka została zorganizowana przez Kościół i dlatego była tania. Przywieźli ich prosto z miasta, którego nazwy zapomniałem.

- To absurd! - krzyknął Zen. - Co ma z tym wszystkim wspólnego Polska?

- Tam teraz mieszka.

- Nie żartuj!

Daniele Trevisan ponownie zajął się swoim kieliszkiem.

- Wygląda na to, że zdezerterował na Ukrainie. On i dwóch chłopaków z naszego miasta uznali, że mają dosyć. Pamiętasz Fabia Foisa i jak mu tam było, jednego z braci Vivian? Pewnie byłeś jeszcze za mały. - Westchnął. - Oczywiście, nic im z tego nie wyszło. Tamci dwaj zmarli. Anielem zaopiekowała się jakaś chłopka, której wszyscy mężczyźni krewniacy zginęli. Został u niej, zajmował się gospodarstwem i ukrywał aż do końca wojny. Wtedy zaszła w ciążę. Później przenieśli się do miasta. Komuniści przejęli władzę i granice zostały zamknięte. Wtedy dopiero okazało się, że jest w Polsce. I musiał tam zostać.

Zen uśmiechnął się z wyższością.

- Zakładając nawet, że ta nedorzeczna historia jest prawdą, jako cudzoziemiec mógł po prostu pokazać swoje dokumenty i musieliby go wypuścić.

- Zniszczył włoskie dokumenty, kiedy uciekł. Bał się, by nie rozstrzelano go jako dezertera. Podawał się za jednego ze zmarłych braci tej kobiety.

Zen uderzył dłonią w blat.

- Mógł iść do włoskiej ambasady w Warszawie! Był w końcu uchodźcą, na miłość boską! Mógł wrócić do domu, kiedy tylko chciał!

Daniele Trevisan po raz pierwszy spojrzął na Zena.

- Być może nie chciał.

Ich oczy spotkały się na krótką chwilę.

- Nie wierzę w to wszystko - wyszeptał Zen. - Wymyśliłeś to sobie.

- To prawda, Aurelio. Przysięgam.

- A więc gdzie jest teraz ten człowiek?

Starzec wzruszył ramionami.

- Pewnie z powrotem w Polsce. Grupa wyjeżdżała tego samego popołudnia. Zapytałem go, czy zamierza wrócić, ale odpowiedział, że nie. „To już zbyt wiele czasu”, powiedział. „To inne życie”. Później zapytałem go, czy zamierza...

Urwał i zaczął obracać kieliszek.

- Czy co zamierza? - zapytał Zen.

Trevisan wykonał niezrozumiały gest.

- Czy zamierza skontaktować się z tobą i twoją matką. Powiedział jednak, że nie. „Myślę, że nie żyję”, powiedział. „Mieliby z tego tylko kłopoty”. Próbowałem go przekonywać, ale nie chciał mnie słuchać. Kazał mi przysiąc na grób mojej matki, że nigdy o niczym nie powiem tobie ani Giustinianinie. I nie powiedziałbym, gdybym ciebie nie zobaczył...

Spojrzał na Zena i skinął głową.

- Masz rację. Nie powinieneś być tu przyjeżdżać.

Zen wpatrywał się w oczy starca przez długą chwilę. Później podniósł walizkę i wyszedł. Ulica pełna była ludzi kierujących się w stronę dworca. Zen został od razu pochwycony przez sporą grupę rozmawiającą z ożywieniem w jakimś niezrozumiałym języku. Drugą stroną ulicy płynął prąd przeciwny. W środku, gdzie dwa prądy się spotykały, powstawały wiry i tarcia, a przyciągające ku sobie sklepy i domy po obu stronach powodowały powstawanie kolejnych zawirowań i fal. Ludzki prąd zatrzymywał się kilka razy, co powodowało narastanie nacisku i przyspieszenie przepływu, kiedy zator się rozładował.

Po pewnym czasie mury się skończyły. Tłum stracił na spójności i impecie, rozlewając się na placu przed dworcem kolejowym. Ludzie krążyli po nim, wydawali się zagubieni i oszołomieni. Gdzieś w oddali stłumiony głos odczytał kilka niezrozumiałych ogłoszeń. Zgarbiona nad akordeonem Cyganka żebraczka grała w kółko ten sam kawałek wojskowego marsza. Promień słońca oświetlił zegar, uniemożliwiając odczytanie godziny. Jakieś dziecko zapłakało.

- Przepraszam!

Dwoje ludzi w średnim wieku, ubranych dziwacznie, ale schludnie, uśmiechnęło się do Zena. Mężczyzna powiedział coś niezrozumiałego. Zen wzruszył ramionami i potrząsnął głową. Mężczyzna powtórzył to samo wolniej, wskazując na mapę w trzymanym w ręku przewodniku. Zen zrozumiał, że tamten pyta go po angielsku o drogę do jakiegoś miejsca. Przymknął oczy i spróbował przypomnieć sobie kilka słów w tym języku.

- Przykro mi - powiedział z przepraszającym uśmiechem. - Ja też jestem tutaj obcy

**KONIEC**